

TOM 1. TRYLOGIA GENERACJE

ALIVE

ŻYWI

Feria

SCOTT

SIGLER

ALIVE

ŻYWI

Feeria
young

SCOTT

SIGLER

PRZEKŁAD:
MAREK CIEŚLIK

Spis treści

CZEŚĆ I JEDEN DWA TRZY CZTERY PIĘĆ SZEŚĆ SIEDEM
CZEŚĆ II OSIEM DZIEWIĘĆ DZIESIĘĆ JEDENAŚCIE
DWANAŚCIE TRZYNAŚCIE CZTERNAŚCIE PIĘTNAŚCIE
SZESNAŚCIE SIEDEMNAŚCIE OSIEMNAŚCIE DZIEWIĘTNAŚCIE
DWADZIEŚCIA DWADZIEŚCIA JEDEN DWADZIEŚCIA DWA
DWADZIEŚCIA TRZY CZEŚĆ III DWADZIEŚCIA CZTERY
DWADZIEŚCIA PIĘĆ DWADZIEŚCIA SZEŚĆ DWADZIEŚCIA
SIEDEM DWADZIEŚCIA OSIEM DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
CZEŚĆ IV TRZYDZIEŚCI TRZYDZIEŚCI JEDEN TRZYDZIEŚCI
DWA TRZYDZIEŚCI TRZY TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ CZEŚĆ V TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
TRZYDZIEŚCI SIEDEM TRZYDZIEŚCI OSIEM TRZYDZIEŚCI
DZIEWIĘĆ CZTERDZIEŚCI CZTERDZIEŚCI JEDEN
CZTERDZIEŚCI DWA SUPERGRZECZNA PROŚBA OD AUTORA
PODZIĘKOWANIA O AUTORZE

Tytuł oryginału: Alive

Przekład: Marek Cieślik

Redakcja: Wojciech Kądziela

Korekta: Karolina Pawlik

Skład i adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyńczak

Projekt okładki: David G. Stevenson

Zdjęcie na okładce: Ruth Henderson / Arcangel Images

Zdjęcie z tyłu okładki: Elisabeth Ansley / Trevillion Images

Copyright © 2015 by Scott Sigler

This translation published by arrangement with Del Rey, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright for the Polish translation © Wydawnictwo JK, 2016

ISBN: 978-83-7229-593-4

Wydanie I, Łódź 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

Wydawnictwo JK

ul. Krokusowa 1-3

92-101 Łódź

tel. 42 676 49 69

fax 42 646 49 69 w. 44

www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Mojej matce, która jest żywym wzorem miłości i przywództwa

CZEŚĆ I

CIEMNOŚĆ I ŚWIATŁO

JEDEN

Budzi mnie nagły, przeszywający ból.

Uderza błyskawicznie i głęboko – szybko mijające wrażenie użądlenia w szyję tam, gdzie zaczyna się ramię.

Czy coś mnie ukąsiło?

Nie... to tylko sen. Może jakiś koszmar.

Nie tak powinnam się budzić w swoje urodziny. Mam dwanaście lat. Aż trudno mi uwierzyć – mam dwanaście lat, nie jestem już małą dziewczynką. Mam prawo pospać dłużej, może nawet przespać cały dzień. Liczę na tort, przyjaciółki i przyjaciół, i że nie będę musiała iść do szkoły.

Szkoła.

Myśl o niej gasi cały mój entuzjazm. Jestem taka zmęczona. Czuję się, jakbym w ogóle nie spała. Jeśli nie usłyszałam budzika, znowu spóźnię się na lekcje. Mama chyba mnie zabije. Nie chcę iść do szkoły. W szkole żab-dziewczyny i kółko-gwiazdy ciągle się ze mnie śmieją. A w urodziny nikt nie powinien się ze mnie śmiać. Nie cierpię szkoły, nie cierpię ich wszystkich, ja...

Czuję chłodne mrowienie na szyi, dokładnie w miejscu tego wcześniejszego użądlenia. Łaskocze, rozszerza się...

...czy ja krwawię?

Otwieram oczy w ciemności. Całkowitej ciemności. Słyszę swój własny oddech, ale poza tym – nic. I jeszcze... nie mogę się ruszyć. Jakieś wygięte pręty, chłodne w dotyku i chropowate, trzymają mnie w nadgarstkach. Wykręcam ręce, próbuję je wyśliznąć, ale w ciasnych zaciskach tylko ścieram sobie skórę.

– Mamo?

To słowo brzmi za głośno, prawie jak okrzyk. Coś jest nie tak. Mój głos brzmi jakoś dziwnie... jakby był czymś stłumiony.

Mama nie odpowiada.

– Tato?

Cisza.

Wyteżam siły, ale unieruchomione mam nie tylko przeguby rąk

– coś przytrzymuje mi nogi w kostkach i na wysokości bioder, tak ciasno, że nie mogę się nawet obrócić.

To nie mój pokój. To nie mój dom. Moich rodziców tu nie ma.

Czuję skurcz w klatce piersiowej, jakby próbowała zacisnąć się na łomoczącym w niej sercu. Cała drzę, każdą komórką ciała krzyczę: „Wstawaj! Wstawajwstawajwstawaj!”.

– Jest tu kto?

Cisza.

– Pomocy! To ja...

Zapiera mi dech.

Nie wiem, jak mi na imię.

Miotam się, szarpie, ciągnę z rozpaczą za te pręty, które tak bezwzględnie mnie trzymają.

– Niech mi ktoś pomoże!

Nikt nie odpowiada.

Krzyczę tak głośno, że zdzieram sobie gardło. Ktoś przecież musiał to usłyszeć. Ktoś musi po mnie przyjść, musi mi pomóc.

Czekam.

Nadal nic.

Unoszę głowę – czołem trafiam w coś stałego, nieruchomego. To dlatego mój głos brzmi tak dziwnie: tuż przed twarzą mam jakąś deskę.

Nie, nie deskę... wieko.

Pod sobą i po bokach czuję miękkie obicie.

Jestem w...

...o nie, o nie...

...czy ja jestem w trumnie?

– Na pomoc! Niech mnie ktoś stąd wyciągnie!

W szyi znowu zatapia mi się żądło, które mnie obudziło. Tym razem tak głęboko, że ból aż mnie paraliżuje: sztywnieję, kamienieję z zaciśniętymi powiekami.

Jestem uwięziona w ciemności, a coś gryzie mnie w szyję.

(Jeśli uciekniesz, twój wróg będzie cię ścigać. Zabij swojego wroga, a wtedy już zawsze będziesz wolna).

Ta myśl brzmi znajomo, jak jakieś uporczywe wspomnienie. Budzi się we mnie wściekłość, która każe mi się skoncentrować mimo

straszego bólu, daje mi siłę, żeby postarać się bardziej. Ciągnę i pcham, unoszę się i wiercę. Skupiam wszystkie swoje siły na prawej ręce – ciągnij, do cholery! – i zdieram sobie skórę przegubu na chropawym materiale, ale przecież muszę się stąd wydostać...

Ciągnę, pcham, wykręcam się, szarpię, coraz mocniej i mocniej, aż moja trumna zaczyna trzeszczeć.

Czuję, że pręt pęka. Mogę trochę swobodniej ruszać prawą ręką. Tylko trochę, ale przecież swobodniej.

Żądło wślizguje mi się jeszcze głębiej w szyję i znowu krzyczę.

Nikt nie przyszedł wcześniej i nikt nie przyjdzie teraz.

Czy to żądło trafi mnie w płuco? Przebije mi serce?

Czy zaraz umrę?

Szarpię się jeszcze raz, tak mocno, że kości moich nadgarstków aż chrzęszczą o pręty. Słyszę kolejne ciche pęknięcie, a potem jeszcze jedno – i moja prawa ręka jest wolna.

Przebiegam nią wzdłuż ciała aż po szyję, na oślep chwytam to coś, co się we mnie wbija. Ściskam w garści coś mokrego i śliskiego – zimnego, wijącego się węża. Próbuje mi się wysliznąć, ale mam go i już nie puszczę. Jednym szarpnięciem pakuję go sobie w usta i zagryzam. Okropny smak, ale zaciskam zęby z całej siły, aż do bólu szczęk. Rzucam głową, zagryzam jeszcze mocniej – czuję jakieś chrupnięcie.

Waż wiotczeje. Odrzucam go na bok, pluję, próbując pozbyć się paskudnego smaku z języka.

Prawą ręką do lewego przegubu. Łapię za to, co go krępuje. Pod dotknięciem powłoka tego czegoś kruszy się w proch, odsłaniając materiał twardy i porowaty. Szarpię prawą ręką, unosząc lewą zaciśniętą w pięść, i wkrótce słyszę pęknięcie, które uwalnia mi drugą rękę.

Oburącz łapię wygięty pręt trzymający mnie w pasie. Atakuję go, *do siebie od siebie do siebie od siebie do siebie od siebie*, aż cała moja trumna się trzęsie. Pręt pęka.

Teraz nogi.

Wieko jest tak blisko mojej twarzy i piersi, że, rozplaszczona, rękami sięgam tylko do ud. Mam na sobie... jakąś krótką spódniczkę? Nie poddam się, muszę sięgnąć dalej. Zrobię wszystko, żeby się stąd

wyrwać. Przekręcam się na prawe biodro, wykorzystuję opór zacisków wokół kostek u nóg, żeby wśliznąć się niżej, dosięgnąć ich lewą ręką. Ramieniem i twarzą przejeżdżam po gładkim wieku trumny, trę o nie policzkiem, nosem, zamkniętą powieką, ale mimo to ledwie dotykam palcami kolan.

Muszę wyciągnąć się jeszcze bardziej, bardziej, muszę walczyć dalej, muszę wyrwać się z tej ciemności. Jak nie dosięgnę stóp, umrę tu samotna z krzykiem na ustach i...

...koniuszkami palców muskam chropowate pręty trzymające mnie w kostkach. Tak blisko... jeszcze tylko trochę. Poskręcane mięśnie i powykrzywiane kości wibrują mi z bólu, kiedy wciskam się jeszcze bardziej w dół trumny, ale w końcu lewą ręką chwytam za pręt.

Chwytam, potrząsam, szarpnię, muszę go obluzować...

Trzask, trzask – uwalniam obie stopy.

Cofam się wślizgiem, aż znowu leżę płasko na wznak. Przyciskam obie dłonie do wieka.

Pcham – wieko ani drgnie. Mam za mało siły.

Myśl. MYŚL. Musisz się stąd wyrwać...

Muszę użyć i rąk, i nóg, całej masy ciała...

Przekręcam się i obracam na brzuch. Mam za mało miejsca, żeby na dobre uklęknąć na czworaka, ale z całej siły odpycham się od podłoża, napieram na wieko wyprężonym grzbietem. Pot ścieka mi w oczy. Pot, a może i krew. Cisnę, aż mi kręgosłup krzyczy z bólu...

...w wieku coś pęka.

Na dno mojej trumny pada promień oślepiającego światła, tak jasny, że jego widok aż mnie parzy. Zamykam oczy i napieram jeszcze mocniej. Czuję, że wieko się unosi, tylko odrobinę, ale na tyle, że udaje mi się podciągnąć pod siebie kolana.

(Atakuj, atakuj, gdy się wahasz, zawsze atakuj, nigdy nie daj wrogowi odetchnąć).

Biorę głęboki wdech, zbieram się w sobie i napieram w górę ze wszystkich sił, resztką sił...

Rozlega się drżący lament: coś wygina się i rozrywa. Koniec walki – potężne wieko pęka jak krucha skorupka, a ja wyrywam się w górę, podnoszę się...

...i upadam.

Ląduję twardo, wzbijając chmurę jakiegoś gęstego pyłu, i zadyszana, wciągam go prosto w płuca. Podłoga wiruje pode mną, a wszędzie wokół jest światło – światło tak jasne, że kłuje nawet przez zaciśnięte powieki.

Leżę na boku i, mrużąc oczy, staram się coś zobaczyć. Kaszlę, próbując odzyskać oddech. Czekam, aż wzrok przyzwyczai mi się do otoczenia, i liczę tylko, że zdąży, zanim ten, kto zamknął mnie w trumnie, wróci, żeby znowu mnie w niej zatrzasnąć.

DWA

Oślepienie światłem oczy zachodzą mi łzami. Na języku mam warstwę ziarnistego pyłu czy kurzu, który pokrywa mi też zdarte od krzyku gardło i zalega głęboko w płucach, więc bez przerwy kaszlę. Hałas może sprowadzić tych, którzy mi to zrobili, ale nie potrafię przestać. Nic nie widzę i tak mi słabo, że nie mogę się ruszyć.

Jestem bezbronna.

W końcu atak kaszlu przechodzi. Moje ciało rozluźnia się na tyle, że mogę unieść się do siadu. Podciągam kolana do piersi, ciasno otaczam nogi ramionami. Rozcieram nadgarstki, z których szorstkie pręty zerwały mi skórę.

W trumnie było mi ciepło. Rozbiłam ją, wyklulłam się z niej i jestem teraz w jakimś zimnym pomieszczeniu. Drzę z zimna. Wydostałam się, tak, ale jestem sama, wyczerpana i przerażona.

Gdzie mama i tato? Dlaczego ich tutaj nie ma? „Tutaj”, czyli właściwie gdzie?

Czuję zapachy, które nie całkiem rozpoznaję. Są suche, stęchłe. To miejsce pachnie... martwo.

Światło nadal mnie razi, ale już mniej. Zaczynam wreszcie coś widzieć.

Szarość. Ten pył jest szary. Pokrywa wszystko wokół, wisi w powietrzu, jego drobiny unoszą się i wirują z każdym moim oddechem.

Czuję pulsujący ból szyi w miejscu, w którym tamto coś mnie ukąsiło. Sięgam ręką. Koszula. Mam na sobie koszulę z krawatem. Wsuwam rękę pod kołnierzyk, dotykam rany... Gdy cofam palce, są uwalane kleistą mazią, mieszaniną pyłu i krwi.

Przyglądam się swojemu ubraniu: biała koszula zapinana na guziki, krótka spódniczka w czerwono-czarną kratę, czarne podkolanówki, zero butów. Koszula wydaje mi się za ciasna. Rękawy kończą mi się w połowie przedramion. Krawat jest czerwony, z wyhaftowanym żółto-czarnym kręgiem maleńkich obrazków. Przez środek tego kręgu biegnie słowo wyszyte białą nitką: MICTLAN.

Nie mam pojęcia, co ono znaczy. A to ubranie... Czy aby na pewno jest moje?

Wszystko jest nieostre – widzę tylko moją trumnę. Ale nie mogę zajrzeć do środka, bo siedzę nisko, na zapyłonej podłodze. Wieko pękło równo przez środek na całej długości. Ta połowa, która jest bliżej mnie, odsunęła się gładko do boku trumny. Druga połowa wystaje w górę. Może coś w niej złamałam albo wygięłam, dlatego nie przesunęła się tak, jak powinna.

Miejscami wieko błyszczący w świetle – poznaję, że to krwawe ślady moich palców tam, gdzie chwyciłam za pokrywę, ścierając z niej cienką warstwę przylegającego do powierzchni pyłu.

Dlaczego nikt nie przychodzi mi pomóc?

A jeśli to coś, co ukąsiło mnie w szyję... nie umarło? Co, jeśli nadal jest w trumnie, spręży się do skoku, szykuje, żeby wysliznąć się i znów mnie zaatakować? Nie chcę zaglądać do środka, ale nie ma tu nikogo innego, a muszę się upewnić, że to coś nie żyje.

Inaczej może będzie mnie ścigać.

Sięgam do krawędzi trumny, chwytam ją i podciągam się w górę. Nogi mi ścierpły. Drżą mi i dygoczą, kiedy się podnoszę i zaglądam do skrzyni.

Widzę białą tkaninę rozerwaną w wielu miejscach, umazaną długimi czerwonymi smugami, tu i tam pokrytą też jaśniejszymi plamami szkarłatnego proszku. Przez rozdarcia prześwituje luźne ochronne wypełnienie.

Zakrwawiona biała poduszka. Obok niej – zwiotczały biały wąż.

Nie, to nie wąż: to jakaś rurka.

Zakończona długą, błyszczącą igłą rurka. Jej biała powłoka jest rozerwana w miejscu, gdzie ją przegryzłam, a przez tę przerwę widać jakieś czarne włókna.

Przez chwilę przyglądam się rurce. Nie rusza się. Jest martwa, bo ją zabiłam.

Podnoszę kawałek pręta, który przytrzymał mnie w pasie. Jego powierzchnia jest poorana głębokimi dziurami, kruszy się w ten szkarłatny proszek... może rdzę? Rdzę, która zżarła większość metalu, przez co pręt stał się cienki i kruchy. Gdyby był solidny, nie dałabym

rady się uwolnić, mowy nie ma.

Oczy już mnie nie pieką. Już nie zachodzą mi łzami. Widzę teraz resztę pomieszczenia.

Jest w nim jeszcze jedenaście trumien. Dwa równoległe rzędy, w każdym sześć trumien ułożonych wzdłuż, jedna za drugą. Rzędy rozdziela szerokie przejście, wypełnione płaskim morzem nietkniętej niczym szarości. Trumny pokrywa gruba warstwa pyłu, nadająca krawędziom łagodnych krągłości.

Leżałam w ostatniej trumnie z lewej. Widzę ją teraz wyraźnie, ze wszystkimi szczegółami. Zdobia ją misterne płaskorzeźby: rysunkowe ludziki z wielkimi nosami i olbrzymimi, dzikimi pióropuszcami na głowach; przysadziste piramidy o wielu poziomach; słońce przedstawione w różnych prostych formach; ogromne koty o przesadnie wielkich oczach i wykrzywionych w grymasie, pełnych zębów pyskach.

Sala jest długa i wąska, jakby zaprojektowano ją specjalnie do przechowywania tych trumien. Teraz, kiedy oswoił mi się wzrok, wcale nie jest tu za jasno: na łukowatym sklepieniu działa tylko kilka świateł, przez co ledwie widać na kamiennych murach pokryte warstwą szarości płaskorzeźby.

Na samym końcu sali zauważam łuk, coś jakby... portal. W nim... Czy to może drzwi? Wyglądają na ciężkie i solidne, ale chyba nie mają żadnej klamki czy uchwyty.

Coś przykuwa mój wzrok do dolnej ściany mojej trumny. Płaski obszar o rozmiarze dłoni, otoczony przez dziesiątki małych guzów, wszystko skąpane w puszystej szarości.

Wyciągam drżącą rękę i omiatam pył z jednego z mniejszych kształtów. To jakiś klejnot: ciemnopomarańczowy, świecący jak zamrożony płomień.

Wycieram do czysta całe płaskie miejsce. Wryto na nim siedem liter i kropkę.

M. Savage

Czy to moje nazwisko?

Coś słyszę. To cichy odgłos. Bardzo cichy, bardzo słaby. Kojarzy mi się z uwięzieniem w ciemności, a po chwili rozumiem dlaczego.

To dochodzący z którejś trumny krzyk dziewczyny.

TRZY

Słaniam się na nogach, które ciągle jakoś nie chcą mnie utrzymać. Żeby nie upaść, opieram się o trumny, kiedy zataczam się w stronę, skąd dobiega krzyk.

Każdy mój krok unosi w powietrze obłoczek pyłu, jakby przede mną nikt nigdy nogi tu nie postawił.

Hałaśliwa trumna leży w połowie lewego rzędu. W miarę jak się zbliżam, zaczynam rozumieć ledwo słyszalne słowa, dochodzące ze środka:

– Na pomoc! Mamusiu, wyciągnij mnie stąd!

Kładę dłoń na wieku pokrytym szarym, zaskorupiałym pyłem. Czuję słabe wibracje: dziewczyna w trumnie walczy. Przypomina mi się tamta długa, zakrwawiona igła, wystająca z białej rurki.

Kilkoma zamaszystymi ruchami ścieram pył z trumny, niechcący wywołując krótkotrwałą mgłę. Wypolerowane płaskorzeźby błyszczą w świetle.

Kostkami palców stukam w wieko. Krzyki cichną.

– Uspokój się – mówię. – Spróbuję cię stąd wydostać.

Chwila ciszy. Potem dziewczyna znów się odzywa, a choć trumna tłumi jej głos, desperacja w jej pytaniu jest wyraźnie słyszalna.

– Kto to?

„Kto to?” Nie mam pojęcia. Ale jakoś nie wydaje mi się, że kiedy powiem jej: „Jestem Savage” – czyli „Jestem dzikuską” – zacznie bać się mniej. Nie mam nawet imienia, tylko inicjał, ale może i to wystarczy.

– Na imię mi Em. A tobie?

– Ja... Sama nie wiem.

Ogarnia mnie uczucie ulgi tak intensywne, że znów prawie się przewracam: *Nie tylko ja tak mam.*

Muszę wydostać tę dziewczynę.

– Przytrzymują cię pręty?

– Coś mnie przytrzymuje – odpowiada. – Nie wiem co, nic nie widzę. Nie mogę się ruszyć. Tak tu ciemno, pomóż mi, proszę cię!

– Już ci mówiłam, uspokój się.

Moje słowa odbijają się echem od kamiennych ścian i słyszę, jak szorstko brzmią. Ona się boi, jest w pułapce. To, że ją skrzyczę, nic tu nie pomoże.

– Wszystko będzie dobrze – mówię już łagodniejszym tonem.

– Słuchaj, musisz wyłamać te pręty.

– Wyłamać? – Na razie tylko głos jej się łamie. – Próbowałam, one są za grube!

– Postaraj się bardziej. Ja wyłamałam swoje.

Kolejna pauza. Słucham, jak stęka i się męczy, a potem w jej głosie brzmi czysta groza:

– Nie mogę ich wyłamać, mówiłam ci, jestem za słaba. Wyciągnij mnie, proszę cię, wyciągnij mnie stąd!

Plaskam dłonią w wieko.

– Cicho bądź – mówię. – Coś wymyślę, żeby to otworzyć.

Dlaczego nie może się wydostać tak jak ja? Czy jest ode mnie słabsza? Jej strach jest zaraźliwy, promieniuje z trumny i węzowymi splotami zaciska mi się w piersi. Na początku bałam się, że umrę w ciemności, ale jeśli teraz umrze ta dziewczyna, znowu będę sama. Jakimś cudem brzmi to jeszcze gorzej.

Nie bardzo wiem, co innego zrobić, więc naciskam na wieko. Nic się nie dzieje. Wsuwam koniuszki palców pod coś, co w dotyku przypomina krawędź, i podnoszę, najpierw delikatnie, potem ze wszystkich sił, jakie mi zostały. Nadal nic. Macam długi szew, który biegnie przez środek wieka, rozdzielając je na połowy... za ciasny, żeby wcisnąć w niego palce.

Rozglądam się po sali. Po drugiej stronie przejścia widzę oparty o jedną z trumien szary, niewyraźny kształt. Ma długość mniej więcej mojego przedramienia razem z dłonią. Pięć kroków i już sięgam po niego, chwytam, podnoszę i otrząsam z pyłu.

Trzymam w ręku złoty drążek, na całej długości upstrzony klejnotami w najróżniejszych kolorach i rozmiarach. Jeden z końców ma kształt litery C: krótkie wypustki są nie ze złota, a ze srebra. Drążek jest ciężki, solidny.

Broń. Mam broń.

Nagle nie boję się już tak bardzo.

Obracam się, żeby wrócić do dziewczyny, gdy coś jeszcze przykuwa mój wzrok. Wieko trumny, o którą opierał się drążek, równie zakurzone jak pozostałe, nie przywiera tak szczelnie jak wieko trumny z dziewczyną. Jest odrobinę uchylone, widać pod nim cienką linię głębokiego cienia, nie szerszą niż mój mały palec u ręki.

Nie umiem odwrócić wzroku.

W prawej ręce trzymam broń. Lewą wyciągam przed siebie. Wsuwam palce przez ledwie wyczuwalną warstwę pyłu w głąb tego cienia i ujmuję krawędź bliższej połowy wieka. Czuję na skórze chłód polerowanego drewna. Mocno zaciskam chwyt i ciągnę do siebie. Pokrywa przesuwają się odrobinę, ale po chwili stawia mi opór. Kiedy wyłamałam wieko w mojej trumnie, otworzyło się. Może jeśli uda mi się wcisnąć w szczelinę ten złoty drążek, będę mogła...

– Em, jesteś tam? – dochodzi mnie stłumiony głos dziewczyny z drugiej strony przejścia. A po chwili, na krawędzi paniki: – Zostawiłaś mnie?

Pośpiesznie wracam do jej trumny.

– Przepraszam, jestem. Znalazłam coś, co się przyda. Spróbuję wyłamać wieko i cię stąd wyciągnąć. Będzie hałas. Wytrzymaj, dobrze?

– Dobrze. Tylko pośpiesz się, proszę.

Unoszę broń nad głową i walę w wieko trumny. Broń uderza z głuchym łoskotem, wgniatając ciemny materiał. Od wstrząsu z całego wieka wzbija się i zawisa w powietrzu połyskliwa warstewka kurzu.

Dobrze jest w coś tak wałać. Naprawdę dobrze. Biorę kolejny zamach, tym razem większy. Czuję, jak wargi wyginają mi się dziko, kiedy metal trafia w cel. I jeszcze raz, i znowu, za każdym razem mocniej, rozbijam płaskorzeźbę z wielkim kotem, burzę schodkową piramidę, odłupuję polerowaną powierzchnię, odsłaniając białe drewno.

W końcu coś pęka: wieko rozdziela się przez środek. Podłużne połowy przesuwają się na boki, a moim oczom ukazują się starsza ode mnie dziewczyna o rudych włosach, długich, gęstych i kręconych, które kaskadą opadają jej na twarz. Powieki ma mocno zaciśnięte – pewnie razi ją światło. Przytrzymują ją szkarłatne pręty. Ma na sobie białą, za małą koszulę, czerwony, haftowany krawat i krótką spódniczkę w kratę.

Oddycha szybko. Twarz ma całą ściągniętą w grymasie i lekko

rzuca głową, jakby spodziewała się ciosu, przed którym nie ucieknie, a nie wiedziała, skąd ten cios nadejdzie.

– Em? To ty?

Biorę ją za rękę. Uścisk ma słaby, ale skórę ciepłą i miękką.

– To ja – uspokajam ją. – Nic się nie bój.

– Dziękuję, Em, och, dziękuję ci. Możesz zdjąć ze mnie te pręty?

– Tak. Tylko teraz ani drgnij.

Do strzaskania kruchego, starego metalu wystarcza mi kilka starannie wymierzonych ciosów moją bronią.

Dziewczyna unosi ręce do piersi, rozciera sobie nadgarstki. Skóra na nich nie jest prawie wcale zadrapana – czy w ogóle choćby próbowała użyć siły, żeby się wydostać?

– Czekaj – mówię i odkładam broń na bok. – Pomogę ci wyjść.

Podtrzymuję ją, gdy siada, a następnie pomału wydostaje się z trumny. To spore wyzwanie, bo jest bardzo słaba, a ja czuję się niewiele silniejsza od niej. Staje jedną stopą na ziemi, ale nogi się pod nią uginają – wpada mi w objęcia i przewracamy się obie. Łąujemy bezładnie w obłoku pyłu, nie rozluźniając uścisku.

Nie ruszamy się. Leżymy tak przez chwilę, drżąc, przywierając do siebie, kaszląc odrobinę. Dziewczyna ściska mnie mocno, tak mocno, że wiem: czujemy się podobnie. Żadna z nas nie rozumie, co się dzieje, ale już nie jest sama, i z tego powodu czujemy ogromną wdzięczność.

CZTERY

Rudowłosa dziewczyna mocno mruży oczy, aż marszczy jej się grzbiet nosa. Ileż ma tych włosów! Nadal zasłaniają jej twarz, jakby mogła odgrodzić się nimi od tej dziwnej rzeczywistości, w której się znalazłyśmy. Bardzo się stara przyzwyczać do światła zachodzące łzami oczy. Drży mi w ramionach, przerażona i zdezorientowana.

– Jesteśmy bezpieczne – próbuję ją pocieszyć. – Nikogo innego tu nie ma. Nie przejmuj się tak.

Kiwa głową i przytula się do mnie mocniej, ale czuję, że trochę się też rozluźnia. Jej ręka odnajduje moją. Zaplatamy palce.

Przyglądam się naszym splecionym dłoniom: ich skóra ma inny kolor. Jej ręka jest blad różowa. Moja jest o wiele ciemniejsza – moja jest śniada.

Nasze dłonie są prawie tej samej wielkości. Dziwi mnie to – wygląda przecież na starszą ode mnie, prawie jakby miała już kończyć szkołę. Dziewczyny w tym wieku są przeważnie o wiele wyższe.

Szkoła... To ubranie, czy w szkole chodziłyśmy w czymś takim? Nie pamiętam. Mam w głowie niewyraźny obraz kilku dziewczyn, które były piękne, wręcz idealne, podczas gdy ja wyglądałam głupio i brzydko, chociaż wszystkie miałyśmy na sobie dokładnie to samo.

Jej krótka spódniczka w kratę odsłania prawie całe nogi. Są długie i kształtne, nie tak jak moje – chude jak patyki, z wystającymi kolanami. Może kiedyś też będę mieć takie nogi jak ona. Rękawy białej koszuli kończą się jej tuż pod łokciami. Na dekolcie brakuje dwóch górnych guzików i widzę, jak krągłe ma piersi. Pewnie czuje się tym skrepowana. Ja czuję się skrepowana za nią – jest mi z tym nieswojo.

Leżymy bez ruchu, w powietrzu nad nami wirują drobiny pyłu.

Ależ ona ma długie włosy. Sięgam do własnej głowy i czuję, że sama mam włosy splecione z tyłu w ciężki warkocz. Przeciągam go przed siebie i przyglądam mu się – jest gruby i czarny. Zwisając z głowy, sięga mi aż do pasa. Włosy wydają się gładkie, jakby niedawno wyszczotkowane.

Ktoś włożył mnie do trumny, a potem uczesał? Po skórze przebiega

mi zimny dreszcz.

Może to nic takiego. Może to mama wyszczotkowała mi włosy. Albo tato. Ale jeśli zrobili to jacyś oni, czy było to tuż przed tym, jak zamknęli mnie na głucho i zostawili na pewną śmierć?

Rudowłosa dziewczyna w końcu otwiera nieco oczy. Widzę ich kolor w szparkach zmrużonych powiek: są ciemnozielone.

Mruganiem pozbywa się łez. Pociąga nosem, ociera go ręką.

– Uratowałaś mnie – mówi. – Uwolniłaś. Dziękuję ci, Em.

Siada i odgarnia gęste włosy za lewe ucho, potem za prawe.

Dopiero wtedy widzę coś na jej czole.

Czarne kółko, szerokie jak odstęp między jej oczami, wykonane z czegoś, co nie należy do niej, a zarazem jest jej częścią. Ciemny kolor wyraźnie odcina się na tle jej jasnorożowej skóry. Po swojej zewnętrznej stronie kółko jest gładkie, po wewnętrznej jakby poszczerbione, do środka wystają krótkie ostrza. Jest ich osiem, rozstawionych w równych odstępach. Krótkie, wystające ostrza... trochę jak...

Jak zęby.

To ząb-dziewczyna.

Zalewa mnie nagła fala emocji. Ząb-dziewczyny... naśmiewały się ze mnie w szkole... prawda? Nie pamiętam szkoły. I nie pamiętam, dlaczego ząb-dziewczyny tak mnie wyśmiewały, pamiętam tylko, jak czułam się przez ich słowa, spojrzenia i żarty: mała, nieważna, nic niewarta.

Nienawidzę jej.

Nie... Przecież nawet nie znam tej dziewczyny. W każdym razie nie wydaje mi się, żebym ją znała. Obie jesteśmy w kropce. Nie znienawidzę jej tylko z powodu jakiejś ozdoby na skórze.

Zaraz, zaraz – a czy ja też jakąś mam?

Moja wolna ręka podrywa się do czoła. Czuję coś, co jest tam osadzone. Kółko, takie jak u rudowłosej, tyle że gładkie zarówno z zewnątrz, jak i od środka. Nie ma w nim żadnych wystających ostrzy, żadnych zębów.

Nasze dłonie są nadal splecione. Jej skóra jest ciepła. To jedyna ciepła rzecz w tym zimnym pomieszczeniu.

– Boję się – mówi. – Co to za miejsce?

– Nie wiem.

Końcami palców lekko obrysowuję kształt, który znaczy moje czoło.

Rudowłosa zauważa, co robię, i sięga ku głowie. Źrenice rozszerza jej błysk odkrycia.

– Ja też coś mam – mówi. – Twoje kółko jest zwykłe, ale w moim wyczuwa się coś od środka. Jakies guzy czy co... Co to takiego?

Zęby, mam ochotę powiedzieć, bo jesteś ząb-dziewczyną.

Ale nie mówię tego. Lubię ją, a ona chyba lubi mnie. Nie chcę, żeby usłyszała to określenie, bo jeszcze coś jej się przypomni i przestanie mnie lubić.

– To takie jakby małe wypustki – odpowiadam.

Czeka, aż powiem coś więcej, ale nie wiem, jak inaczej opisać to, co widzę.

Zastanawia się przez chwilę. Wzrusza ramionami.

– Obie mamy na sobie jakieś symbole. Nie wiem, co one znaczą.

– Ani ja.

Rozgląda się po pomieszczeniu, jakby przyswajała sobie wszystkie informacje.

– Nie na takie urodziny liczyłam – oświadcza.

– Ty też masz dzisiaj urodziny?

Patrzy na mnie z wahaniem, jakby myślała, że robię jej jakiś dowcip.

– Tak – odpowiada. – Kończę dwanaście lat.

To ona robi sobie ze mnie żarty. Przeczucie mnie nie myliło: ta ząb-dziewczyna, cokolwiek to znaczy, już się ze mnie nabija. Odsuwam się od niej.

– Wiesz, nie jestem głupia – mówię jej.

Zaczyna szybciej mrugać, wyraźnie speszona.

– Ja... Oczywiście, że nie. Nic takiego nie powiedziałam.

– Czerwieni się i odwraca wzrok, jakby rozumiała, że powiedziała coś nie tak, ale nie miała pojęcia co. – Em, nigdy nie zachowałabym się niegrzecznie wobec kogoś starszego ode mnie.

Starszego? Co ona wygaduje?

– Masz więcej niż dwanaście lat – mówię. Wskazuję na jej nogi,

piersi. – Popatrz na siebie. Bierzesz mnie za głupka, który uwierzy, że masz tyle lat, co ja?

W wyrazie jej twarzy speszenie połączone z dezorientacją przechodzi w kompletne niedowierzenie. Wyciąga przed siebie ręce, przygląda im się, a potem przygląda się całej sobie.

– Nie rozumiem – mówi.

Próbuje obciągnąć sobie w dół koszulę, ale materiał się nie poddaje. Jej brzuch – płaski, blady – pozostaje odkryty. Od tego też robi mi się nieswojo.

Co do brzucha – mój mi marznie.

Spoglądam na własną, poplamioną krwią koszulę i dopiero teraz orientuję się, że ona też jest za krótka. Kończy mi się na brzuchu, wystawia go na zimno. Jej rękawy sięgają połowy przedramion. Nic dziwnego, że marznę: jestem na pół goła.

Dotykam swojego brzucha, nagle zażenowana. Mam wrażenie, że to coś... niestosownego, jakby odsłanianie nagiej skóry było czymś złym.

Koszula za ciasno opina mi piersi.

A może... to moje piersi są za duże na tę koszulę? Ujmuję je w dłonie. Wcześniej nie były tego rozmiaru... prawda? Nie, nie były. Tego jestem pewna. Nic nie pamiętam, ale wiem, że moje ciało się zmieniło.

Rudowłosa dziewczyna przygląda mi się intensywnie. Dociera do mnie, że w jej obecności bezwstydnie macam się po piersiach. Patrząc w bok, składam ręce na kolanach.

Ruda dotyka własnych piersi – i znów ze zdumienia otwiera szeroko oczy.

– Co się stało? Nie były takie wcześniej.

Kręcę głową.

– Ja mam tak samo.

– A więc mówisz, że masz dwanaście lat – przypomina.

– Wyglądasz na dziewiętnaście, może dwadzieścia. Jak dorosła kobieta.

– Ty też.

Lekko kiwa głową. Spogląda w bok, gdzieś w przestrzeń. Jej wargi drgają, jakby wypowiedała bezgłośnie jakieś słowa.

– To jest bez sensu – mówi w końcu. – Potrzebujemy więcej informacji. Póki ich nie ma, musimy wierzyć w to, co widzimy na własne oczy.

Znowu ujmuje swoje piersi w dłonie. Wcale się nie krępuje – waży je w dłoniach, myśli.

Kąciki jej ust unoszą się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

– Nie pamiętam, o co prosiłam – mówi – ale jestem prawie pewna, że nie spodziewałam się dostać tych dwóch w prezencie. Może to jednak nie najgorsze urodziny. Znaczący, jeśli nie liczyć tego uwięzienia w ciemności.

Fascynacja i zachwyt nieoczekiwaną zmianą w jej ciele nie do końca jeszcze przegnały lęk z jej oczu. Wyciąga rękę, dotyka płaskorzeźby widocznej na wieku trumny. Jest tam... chyba jaguar, z jednym okiem rozłupanym w drzazgi od mojego ciosu.

– Niektóre z tych obrazów wyglądają znajomo – oświadcza ruda.
– Nie mogę sobie przypomnieć dlaczego, ale... No, są znajome.

– Na mojej trumnie też takie są.

Rudowłosa dziewczyna marszczy nos, kręci głową.

– Trumny są dla tych, którzy umarli. My, jak widać, żyjemy.

Patrzy na moje czoło. Mruży oczy – próbuje coś zrozumieć – a po chwili odwraca wzrok. Czy przypomniała sobie, co oznacza moje kółko? Jeśli tak, nie dzieli się tym ze mną.

Wskazuje wysadzany klejnotami drążek, leżący obok mnie.

– Chyba wiem, co to jest – oznajmia.

Podnoszę broń i ścieram z metalu wszechobecny pył. Podsuwam drążek dziewczynie, żeby mogła obejrzeć go lepiej.

– Może używałaś kiedyś takiej broni?

Po raz pierwszy rudowłosa uśmiecha się od ucha do ucha. Uśmiech dosłownie rozjaśnia jej całą twarz. Wygląda niesamowicie. W jej oczach błyszczy zachwyt. Chyba niemożliwe, żeby istniał ktokolwiek piękniejszy niż ona w tej właśnie chwili.

– To nie jest broń – mówi. – To raczej jakieś narzędzie.

Narzędzie? To mi nie przyszło do głowy.

Zaczyna kiwać głową, jakby była pewna, że ma rację, ale po chwili przestaje. Jej uśmiech znika. Nie ma jednak pewności. Nie jest pewna

niczego.

– Em... wiesz, jak mi na imię?

– Nie. Sprawdźmy, jak się nazywasz.

Podnoszę się, biorę ją za rękę i pomagam wstać.

Początkowo wydawała się taka wysoka, ale ja jestem od niej niższa tylko odrobinę.

Prowadzę ją do nóg jej trumny. Tak samo jak w mojej jest tu płaskie miejsce, które otaczają zakurzone klejnoty. Omiotam je z pyłu. Niebieskie klejnoty tworzą prostokąt wokół liter: *T. Spingate*.

– To ty – mówię. – Chyba. Nazywasz się Spingate. Coś ci to mówi, przypomina?

Marszczy czoło. Jej dolna warga drży. Oczy zachodzą jej łzami, ale tym razem nie z powodu światła. Rzęsy ma długie i ciemne. Czuję nagłą, rozpaczliwą potrzebę znalezienia lustra. Czy też mam zielone oczy, takie jak ona?

Spingate kręci głową.

– Nic nie pamiętam. Przypominam sobie mamę... tak jakby. Ale nie pamiętam jej twarzy.

Gdy tylko wypowiada te słowa, odkrywam, że sama nie mam pojęcia, jak naprawdę wyglądają moi rodzice. Mama i tato to puste dźwięki. Rozumiem pojęcie „moi rodzice”, wiem, że mnie kochali i że ja ich kochałam, ale ich twarze, imiona... Zero.

Spingate pociąga nosem, ociera łzy. Powoli kiwa głową, jakby akceptując istniejący stan rzeczy. Baczenie przygląda się otoczeniu, obejmując wzrokiem ściany, sufit, portal z drzwiami.

– Em, wiesz może, co jest na zewnątrz, poza tą salą?

– Pojęcia nie mam.

Patrzy na trumnę po drugiej stronie przejścia, tę, przy której znalazłam broń.

– Tamta pokrywa jest nie całkiem zasunięta. To tam leżałaś?

Wskazuję w prawo, na ostatnią trumnę w naszym rzędzie. Widzę ślady moich stóp, ścieżkę wydeptaną w pyle.

– Byłam w tamtej – mówię.

Spingate przez dłuższą chwilę gapi się na koniec przejścia. Znowu porusza trochę ustami. Kiedy to robi, to jakby zapomina, że jestem obok.

Nagle lustruje mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Dlaczego cała jesteś we krwi?

Jeśli nie liczyć rozmazanych smug kurzu, jej koszula jest biała i czysta.

– W mojej trumnie była jakaś rurka – odpowiadam. – Wbiła we mnie igłę. Od tego się obudziłam.

Twarz jej pochmurnieje. Może dociera do niej, że gdybym nie wyrwała się z trumny, ona nadal leżałaby w swojej.

– Ale jak ci się udało wydostać? Nie ma tu nikogo innego.

Wzruszam ramionami.

– Wydostałam się sama.

Rzuca mi dziwne spojrzenie, jakby chodziło o coś nie do pomyślenia. Krzyżuje ręce i rozciera sobie powoli ramiona, może próbuje obronić się przed chłodem. Przesuwa się na drugą stronę przejścia, krokiem trochę chwiejnym, ale o własnych siłach, po czym klęka u stóp trumny z niedomkniętym wiekiem. Strzepuje kurz z tabliczki.

– Tu jest napis „B. Brewer”. Kamienie są fioletowe. Może uda nam się otworzyć pokrywę tym narzędziem i sprawdzić, czy ktoś jest w środku?

Siedziałyśmy tak i gadałyśmy sobie, a mnie nawet nie przyszło do głowy, że takich uwięzionych jak my może tu być więcej. Wszystkie te trumny... Może w którejś leży ktoś, kto wie, co to za miejsce i skąd się tu wzięłyśmy.

Przechodzę na drugą stronę i w wąską szczelinę wbijam ciężki drążek: kładąc go na bliższej połowie pokrywy, rozwidlony koniec wsuwam pod dalszą. Naciskam w dół.

Wieko ani drgnie.

Staję na palcach, opieram się na drążku całym swoim ciężarem.

– Em, pomogę ci...

– Poradzę... sobie – mówię z wysiłkiem, tak że moje słowa brzmią jak stęknienia. Słyszę, jak pokrywa przeciągle skrzypi. Podnoszę się jeszcze trochę, a potem znów naciskam ze wszystkich sił – z trumny dobiega donośne „łup” i naraz coś puszcza.

Połowy wieka gwałtownie się unoszą i z mechanicznym

pomrukiem rozsuwają do boków trumny. Z ich rzeźbionych powierzchni osypują się warstwy szarości.

Zaglądamy do środka: odepchnięte falą strachu, moje ciało cofa się o krok.

Spingate reaguje inaczej – pochyla się do przodu.

– Może miałś rację – przyznaje. – Jeżeli to jest B. Brewer, to w jego przypadku chyba faktycznie jest to trumna.

PIĘĆ

Brewer to martwy chłopczyk.

Wzdłuż jego maleńkiego, zeschniętego ciała biegnie wąska linia pyłu, który opadł przez szczelinę między połowami wieka.

Jego trumna ma tę samą wielkość co inne, ale otacza tak małe zwłoki, że wygląda na olbrzymią. Skóra twarzy przyschła mu do czaszki tak mocno, że w kilku miejscach pękła, odsłaniając kość. W miejscu oczu ma puste oczodoły. Cofnięte wargi ukazują dwa rzędy pożółkłych zębów. Wygląda, jakby się uśmiechał.

Robi mi się niedobrze.

Brewer ma na sobie białą koszulę i haftowany czerwony krawat. Nie ma spódniczki w kratę, tylko czarne spodnie z czarnym paskiem. Nawet gdyby nie zdążył wyschnąć na wiór, ten strój byłby za duży na jego małe ciało. Dziobate, upstrzone szkarłacie pręty przytrzymują go za biodra, kostki u nóg i nadgarstki, choć jego stopy i dłonie kryją się w nogawkach i rękawach.

Spingate wskazuje na jego maleńkie czoło, na symbol – równie czarny jak nasze – osadzony w wyschłej skórze. To kółko z jedną linią biegnącą przez środek w dół i drugą od boku do boku.

– Krzyżyk – mówi Spingate.

– Albo litera T.

Wzrusza ramionami.

– Może znak plusa?

– Może.

Zab-dziewczyna, kółko-dziewczyna, chłopak z krzyżykiem... a my nie mamy zielonego pojęcia, co to wszystko znaczy.

Wpatruję się w zwłoki. To mogłam być ja. To są mimo wszystko trumny, więc dlaczego on jest martwy, a ja żyję? Od patrzenia na niego robi mi się zimno, ale inaczej niż z powodu chłodu w zbyt skąpym ubiorze.

W spodniach byłoby mi o wiele cieplej. Czy jemu wolno było nosić spodnie tylko dlatego, że był chłopcem? Jeśli tak, to niesprawiedliwe.

Spingate powoli wyciąga rękę w stronę Brewera. Dziabie go palcem w policzek. Wyschnięte ciało kruszy się i odpada. To okropne, ale Spingate wygląda, jakby nic a nic się tym nie przejmowała.

Łapie chłopca za rękaw koszuli, zaczyna ciągnąć.

Chwytam ją mocno za przedramię.

– Przestań – mówię. – Co robisz?

– Bandaż.

– Po co?

Wskazuje na moje nadgarstki.

– Ciągłe jeszcze krwawisz.

Spoglądam na przeguby rąk i widzę, że Spingate ma rację. Na tamtych prętach zdarłam sobie skórę aż do mięsa. Z dziesiątków maleńkich otarć wysączają mi się kropeczki czerwieni. W rankach zbiera się pył, przez co krew wygląda mniej jak ciecz, a bardziej jak szlam, ale nadal powoli się wysącza.

– Nic mi nie jest – oponuję. – Lepiej nie niepokoić zmarłych.

Spingate prycha.

– Zmarłym jest wszystko jedno.

Oddziera z koszuli trupka dwa długie pasy materiału, szarpiąc przy tym drobnym ciałkiem chłopca. Od głowy odpada mu gruby, zeschnięty fragment twarzy i odsłania się kość policzkowa.

Spingate owija mi nadgarstki paskami materiału, związując je na końcach.

– Tak lepiej – oznajmia. – Może otworzymy resztę trumien?

Zamkniętych pozostało dziewięć. Straciłyśmy ze Spingate sporo czasu, siedząc na ziemi, potem jeszcze trochę na oglądanie Brewera.

– Tak – odpowiadam. – I to szybko.

Spingate wyciąga rękę po moją broń.

– Mogę spróbować?

Uznaję to za niezły dowcip. Nie miała dość siły, żeby sama wydostać się z własnej trumny, a myśli, że do innej włamię się z zewnątrz?

Podaję jej wysadzany klejnotami drążek.

Spingate bierze go do ręki i... w tym momencie jej twarz znów rozjaśnia ten zniewalający uśmiech. Jest przejęta, porusza się szybko,

nagle zapomina o całym strachu.

Podchodzi do następnej trumny i ociera tabliczkę z nazwiskiem. Klejnoty świecą się jaskrawożółto.

– „K. O’Malley” – odczytuje Spingate na głos.

Wodzi palcami po żółtych klejnotach. Opuszką palca dotyka jednego z nich i naciska: klejnot wsuwa się odrobinę, aż słyhać pstryknięcie. Spingate cofa palec, ale klejnot pozostaje wciśnięty. Naciska go jeszcze raz – znów słyhać pstryknięcie i klejnot wraca do pierwotnej pozycji. Spingate przechodzi do następnego: ścisną go między palcem wskazującym a kciukiem i przekręca. Klejnot obraca się wokół własnej osi.

Z jakiegoś miejsca wewnątrz trumny dobiega nas cała seria cichych terkotów i brzdęknięć.

Spingate sama nie wie, co robi, ale próbuje różnych rzeczy: naciska coś, potem wyteżę słyha, coś przekręca, słyha jeszcze dłużej. Jej wargi poruszają się trochę, znów bezgłośnie. Wskazuje na klejnoty, jej palec podskakuje w powietrzu – liczy.

Unosi broń, dotyka sekwencji klejnotów na rękojeści, a potem w podobnej kolejności naciska klejnoty otaczające nazwisko K. *O’Malley*. Z bocznej ścianki trumny wyjeżdża gwałtownie w górę jakiś ukryty panel, odsłaniając dwa małe wgłębienia.

Spingate się śmieje, zachwycona własnym sukcesem. Podnosi się i wsuwa widełki drażka w odsłonięte otwory – pasują idealnie. Słyhać kliknięcie. Spingate unosi drugi koniec drażka.

Z wnętrza trumny dobiega niskie dudnienie. Obie połowy wieka zaczynają drżeć. Kurz się z nich osypuje, kiedy elegancko rozsuwają się na boki.

W środku, z zamkniętymi oczami, bez ruchu, leży... chłopak. Śpiący chłopak, ubrany tak samo jak Brewer, ale równie duży jak my. A nawet większy: jego ramiona wciskają się w białe obicie trumny, palce nóg w czarnych skarpetkach dotykają jej dolnej ścianki. Ma gęste, brązowe włosy. Jego skóra jest ciemniejsza niż u Spingate, choć nie tak ciemna jak u mnie.

Jest piękny.

Symbol na jego czole to kółko, tak jak na moim, ale w jego kółku

prawa połowa jest wypełniona czernią. Ma na sobie czystą białą koszulę, o wiele za małą na jego gładki tors. Części guzików brakuje. Nie ma na nim ani śladu kurzu. Ani też krwi. Pręty przytrzymujące go w pasie, przegubach rąk i kostkach u nóg wydają się sporo za ciasne.

Wpatruję się w niego. Nie umiem się powstrzymać. Czuję się jakoś dziwnie. W środku cała drzę.

– Oddycha – odzywa się Spingate ledwo słyszalnym szeptem.

Muszę obudzić tego chłopaka... Musi mnie zobaczyć.

– Oddaj mi broń... znaczy, to narzędzie. Wyłamię pręty.

– Chwileczkę – odpowiada Spingate. – Może nie trzeba będzie niczego wyłamywać.

Narzędzie tkwi nadal, osadzone pod kątem, w bocznej ścianie trumny. Spingate patrzy na nie, potem na O'Malleya, potem znów na narzędzie. Naciska dwa klejnoty na rękojeści – nic się nie dzieje. Myśli przez chwilę, naciska inne dwa klejnoty i po chwili pręty przytrzymujące O'Malleya w przegubach rąk, kostkach u nóg i pasie rozdzielają się w połowie i z trzaskiem chowają w grubym obiciu trumny.

O'Malley ani drgnie, jeśli nie liczyć powolnego unoszenia się i opadania jego klatki piersiowej. Czuję nagły przyływ paniki, że to Spingate obudzi go ze snu – a przecież osobą, która tego dokona, muszę być ja.

– Idź pootwierać resztę trumien – rzucam.

Patrzy na mnie chyba trochę zbита z tropu. Znów spogląda na O'Malleya.

– Spingate, pośpiesz się – strofuję ją. – Nie wiemy, ile czasu nam zostało.

Wzdycha. Jej też podoba się ten chłopak, trudno jej się od niego oderwać. W końcu jednak wyciąga narzędzie z otworów i rusza do kolejnej trumny.

Wpatruję się w O'Malleya. Jego włosy wyglądają na takie miękkie... Usta ma lekko otwarte, pełne wargi poruszają się z każdym oddechem. Kiedy Spingate po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęła, uznałam, że nie może istnieć nikt piękniejszy od niej.

Myliłam się.

Słyszę, jak Spingate otrzepuje kurz z metalowej tabliczki.

– Ten tu to... ech, sama nie wiem – mówi. – To się chyba czyta... „Aramowskaj”?

Coś w tym, co słyszę, zwraca moją uwagę.

– Jakie litery są na końcu?

– Kończy się na S, K, I – mówi Spingate.

Zapiera mi oddech, bo nagle coś sobie przypominam. Nazwisko. Nazwisko pewnego... och, co to jest, mam to na końcu języka, aż mnie łąskocze w mózgu... pewnego muzyka. Tak! Muzyka, którego nazwisko kończy się na S, K, I.

Czajkowski.

– To nie „skaj” – poprawiam ją – tylko „ski”.

Wracam do wpatrywania się w O’Malleya.

– „Aramow-ski” – powtarza Spingate. – Mogę otworzyć?

Dlaczego bez przerwy prosi mnie o pozwolenie?

– Pewnie, otwieraj.

Słyszę, jak czymś operuje. Wyciągam palec, delikatnie dotykam O’Malleya w okolicy żeber. Jest ciepły. Od naszego zetknięcia biegną mi po skórze przyjemne ciarki. Nie jest mi już zimno.

O’Malley nie reaguje.

Co tu robić? A jeśli on wcale się nie obudzi?

Znów słyszę to charakterystyczne dudnienie, a potem śmiech Spingate, bo udaje jej się otworzyć trumnę Aramowskiego.

SZEŚĆ

Spingate otwiera pozostałe trumny. W pięciu z nich kryją się wychudłe martwe ciała. W trzech – żywi ludzie, śpiący tak samo jak O'Malley.

Nie pamiętam imienia ani twarzy mojej mamy, ale jakimś cudem pamiętam, jak chodziłyśmy razem do sklepu. Zanim włożyła do koszyka karton jajek, zawsze otwierała go, żeby sprawdzić, czy któreś nie jest pęknięte. Ta sala to karton z tuzinem jajek: sześć jest pękniętych i zepsutych na zawsze, sześć nadal zdrowych.

B. Aramowski to chłopak o ciemnej skórze, o odcieniu niemal tak głębokim jak czarne włosy, które ciasnymi lokami trzymają się jego głowy. Symbol na jego czole to kółko, tak jak na moim, ale w środku jego kółka jest jeszcze drugie, mniejsze. Jest wysoki, jeszcze wyższy niż O'Malley; jego stopy opierają się płasko o dolną ściankę trumny, a w górną wciska się jego głowa. Biała koszula ciasno opina mu mięśnie, chociaż jest chudszy od O'Malleya – nie zerwał mu się żaden guzik.

K. Bello ma skórę całkiem białą. Czy to normalne, żeby ktoś miał tak bladą cerę? Może jest chora. Bello ma długie blond włosy, tak cienkie, że gdy przechodzi się koło jej trumny, ich pasma poruszają się wolno, tknięte powiewem powietrza. Symbol na jej czole to pojedyncze kółko, zupełnie tak jak na moim.

Ostatnia żywa osoba, *J. Yong*, to jeszcze jeden chłopak. Ma jasnobrązową skórę, na oko gładką i miękką. Ma też gęste włosy, równie czarne jak u Aramowskiego, tyle że proste, nie kręcone. Opadają mu grzywką na oczy i zasłaniają jego symbol. Odgarniam mu włosy z czoła i sprawdzam: czarne kółko, a w nim czarna pięcioramienna gwiazda.

Savage, Spingate, O'Malley, Aramowski, Bello, Yong. Nazwisk umarłych, z wyjątkiem Brewera, nie znam i nie chcę znać.

Pęknięte jajka się nie liczą.

Wszyscy – i żywi, i martwi – są ubrani w tym samym stylu: biała koszula zapinana na guziki, czerwony krawat, czarne spodnie albo spódnica w czerwono-czarną kratę.

I jeszcze coś: wszyscy są piękni. Więcej niż piękni... idealni.

O'Malley jest atrakcyjniejszy od innych chłopaków, ale tylko odrobinę. Wszyscy trzej mają wyraźne rysy, prostokątne szczęki, muskularne karki, umięśnione ciała. Gdyby nie spali, założę się, że mogliby biec i biec bez wysiłku. Że mogliby podnieść dowolny ciężar. Każdy z nich mógłby pewnie unieść mnie jak piórko, od niechcienia.

Spingate i Bello mają krągłe kształty, piękne włosy, płaskie brzuchy i jędrne nogi. Są nieskazitelnie doskonałe. Nie pamiętam nic konkretnego z mojej szkoły, ale dręczą mnie echa uczuć, jakie budził we mnie widok starszych dziewczyn podobnych do nich. Czułam się taką niezdarą. Wiedziałam, że nigdy nie będę mieć takiego ciała jak one. Tamte dziewczęta były zawsze takie pewne siebie...

A teraz ja mam jędrne nogi i płaski brzuch, tak samo jak Spingate i Bello, tak samo jak tamte dziewczyny, których właściwie nie pamiętam. Mam także piersi, ale i tak nie dodają mi pewności siebie, bo to nie jestem ja. To, że mam ciało kobiety, nie zmienia faktu, że nadal jestem dzieckiem.

Spingate stoi obok trumny Bello i łagodnie gładzi śpiącą dziewczynę po włosach.

– Em, nie rozumiem – mówi. – Dlaczego oni jeszcze śpią?

Moja przeszłość to niewyraźny szept, delikatne cienie wydarzeń, które może faktycznie się działy, a może tylko mi się śniły. Jedyna rzeczywistość, na jakiej mogę polegać, zaczęła się w chwili, kiedy igła znalazła swój cel.

Obudził mnie ból. Ból, strach i krew. Na Spingate nie ma śladu krwi.

– Nie wiem dlaczego – odpowiadam jej. – A ciebie co obudziło? Zastanawia się.

– Mrowienie. Na całym ciele.

– To bolało?

Kręci głową, przestaje, potem potakuje.

– Troszeczkę. Może. Nie, właściwie to nie.

Zaglądam do trumny O'Malleya. Nie ma tu żadnej białej rurki. Chyba że jest gdzieś ukryta pod białym materiałem.

A może... igła była przeznaczona tylko dla mnie.

Spingate nagle klaszcze w dłonie i zaczyna podskakiwać. Jej rude

loki podskakują razem z nią.

– Słabe kopnięcie prądem – mówi. – To to mnie obudziło. Prąd elektryczny.

Obchodzi pomieszczenie dookoła, ogląda dokładnie obrazy wyryte na kamiennych ścianach, przygląda się trumnom, a nawet zagapia w sufit. Nie wiem, co ma nadzieję znaleźć, więc wracam do O'Malleya.

Nagle zaczynam się bać, że on się już nigdy nie obudzi. A może on wcale nie istnieje... Może nadal jestem w swojej trumnie i wszystko to mi się śni? Ale jeśli O'Malley nie istnieje, dlaczego aż zasycha mi w gardle, kiedy na niego patrzę?

– Coś tu znalazłam – odzywa się Spingate. – To chyba jakieś regulatory.

Kiwam głową, ale nie odwracam wzroku. Otaczam ręką silne ramię O'Malleya. W namacalności jego ciała jest coś pocieszającego.

Bardzo delikatnie szczypię go w ramię.

Nie rusza się.

Obudź się... Proszę cię, wstawaj.

Szturcham go lekko.

Nadal się nie rusza.

Pochyliłam się nad nim, gotowa naprawdę mocno nim potrząsnąć. W tym momencie skórę przeszywają mi tysiące igiełek. Moja ręka cofa się z mimowolnym szarpnięciem – gdy tylko puszczam O'Malleya, ukłucia igiełek ustają. Patrzę na dłoń i nie do końca rozumiem, co się właśnie stało.

– Znalazłam! – woła Spingate. – I co, obudzili się?

O'Malley drga leciutko. Jego twarz nie jest już tak spokojna.

Marszczy czoło i mocno zaciska zamknięte powieki, jakby zaczął mu się śnić jakiś koszmar.

– Nie – odpowiadam. – Rusza się, ale jeszcze śpi.

– Dołożę im trochę więcej.

Słyszę bzyczenie. O'Malley siada wyprężony jak struna. Z napiętej koszuli odskakuje guzik i ląduje gdzieś bezgłośnie na pokładach pyłu. Chłopak jest przerażony, dezorientowany. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w przestrzeń.

Oczy ma niebieskie.

Słyszę okrzyki strachu i konsternacji. To budzą się Aramowski i Bello. Aramowski wypada z trumny i ląduje twardo na ziemi, wzbijając kłęby pyłu. Bello siada z zaciśniętymi powiekami, ręce wyciąga na oślep przed siebie, jakby próbując się bronić przed zagrożeniem, którego ani nie widzi, ani nie umie powstrzymać.

Yong wytacza się z trumny ruchem szybkim i pełnym gracji, choć oczy ma nadal zamknięte. Ląduje na boku, osłaniając uszy dłońmi i dotykając ściągniętymi łokciami podkurczonych kolan.

Wracam wzrokiem do O'Malleya.

Mruży oczy i mruga w rażącym go świetle, ale patrzy mi prosto w twarz.

Ci, co przeżyli, zbudzili się ze snu.

Pisklęta wykluły się z jaj.

SIEDEM

Nie wiedzą, jak się nazywają. Nie wiedzą, dlaczego się tu znaleźli. Nie wiedzą, gdzie jesteśmy.

Na pewno wiedzą tylko jedno: że mają dziś urodziny.

Najgłośniejszy jest Aramowski, który nie tyle zadaje pytania, co żąda odpowiedzi. Myśli chyba, że to pewnie ja i Spingate wsadziłyśmy go do trumny.

Yong nie przestaje zerkać na własne ramiona, lekko prężąc przy tym mięśnie. Gdy biały materiał się na nich opina, w kącikach ust chłopaka błąka się uśmiech. Między jednym takim spojrzeniem a drugim Yong piorunuje nas wszystkich wzrokiem, jakby nie można nam było ufać, jakbyśmy dobrze rozumieli, co się dzieje, ale wspólnie udawali co innego, żeby się nie dowiedział.

Bello zachowuje się tak cicho, jakby się bała odezwać. Jest najmniejsza z nas wszystkich. Wygląda delikatnie. Nie wątpię, że chłopaki mogliby sami wydostać się z trumien, gdyby obudzili się z bólu i w ciemności. Spingate może też by potrafiła, gdyby nie wmówiła sobie, że to niemożliwe. Ale Bello? Pozostałaby w swojej pułapce na zawsze, aż wreszcie umarłaby i wyszła na wiór jak Brewer.

O'Malley obserwuje mnie i Spingate, ale chyba bez żadnej podejrzliwości ani złości. Kiedy ktoś się odzywa, O'Malley patrzy na niego tak, jak Spingate na nasze narzędzie albo na klejnoty-regulatory: analizuje, mierzy.

Opowiadam pozostałym, co się działo od czasu, kiedy wydostałam się z trumny, do momentu, gdy Spingate obudziła ich prądem. Ponieważ obie przebudziłyśmy się najwyżej pół godziny przed nimi, opowieść o wszystkim nie zajmuje mi długo.

Kończę mówić i czekam na reakcję pozostałych. Ale reakcji nie ma. Spingate się nie odzywa. Udaje, że ogląda wysadzany klejnotami drażek, byle tylko uniknąć spojrzeń innych.

– To wszystko – mówię. – To wszystko, co nam wiadomo.

Czworo nowych gapi się na mnie. Ja obudziłam się samotna, różnych rzeczy musiałam domyślać się sama. Im jest w pewnym sensie

trudniej: obudzili się zdezorientowani, więc widząc, że ktoś na nich czeka, spodziewają się wyjaśnień. Tyle że, oczywiście, nie mogą ich dostać ani od Spingate, ani ode mnie.

O'Malley drapie się po skroni. Przewierca mnie spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

– Czyli nic więcej nie wiesz – podsumowuje. – Tylko tyle?
Potakuję.

– No to niewiele wiesz.

Nie mówi tego oskarżycielskim tonem. Stwierdza fakt.

– My wszyscy... – odpowiadam. – My niewiele wiemy.

Powoli kiwa głową.

– My. Tak, my.

W tym słowie tkwi jakaś siła.

Yong kręci głową i, zniesmaczony, odwraca wzrok.

Bello wpatruje się w każdego po kolei, jakby czekała, aż ktoś coś zrobi. Cokolwiek. Ale nic się nie dzieje. Oczy ma niezwykle: ich zieleń, widoczna przy krawędzi tęczówki, wokół czarnej kropki źrenicy przechodzi w pomarańczowy brąz. Jej wzrok trafia w końcu na mnie.

– No to, Em... co teraz?

Czekam; może ktoś inny coś powie, może będzie wiedział, co robić dalej. Piątka pozostałych najwyraźniej czeka na to samo.

– Spingate – mówię – wśród tych regulatorów, które znalazłaś, jest może coś jeszcze? Może... sama nie wiem... moglibyśmy wezwać pomocy czy coś?

Spingate kręci głową.

– One są chyba tylko do regulacji... och, jak to się nazywało... a, tak, do regulacji środowiska trumien. Nie wydaje mi się, żeby służyły do czegoś więcej.

Tego się obawiałam.

– Wobec tego musimy opuścić to miejsce.

Bello w nerwach zaczyna lewą dłonią chwycić prawą, prawą dłonią – lewą, i tak dalej, w kółko.

– Powinniśmy tu zostać – oświadczam. – Nie wiemy, co jest na zewnątrz. Powinniśmy poczekać, aż starsi po nas przyjdą.

„Starsi”. Podobnie jak w słowie „my”, także w słowie „starsi” jest

magiczna moc. Starsi wiedzieliby, co robić, powiedzieliby nam, dokąd iść.

Yong rozkłada ręce w geście, którym obejmuje całe pomieszczenie.

– Jacy starsi? – pyta. – Widzisz tu jakichś starszych? Bo ja nie. Ktoś nas tu wsadził, pewnie ci sami starsi, za którymi tak płaczesz.

– Wcale tego nie wiemy – mówi Bello, coraz szybciej załamując ręce.

Yong spluwa w kurz.

– Nie bądź idiotką. Jesteśmy w jakimś lochu, szkoda czasu na twoją głupotę.

– Przestań! – wtrącam głosem tak ostrym jak wtedy, gdy krzyknęłam na Spingate, żeby była cicho. – Nie musisz od razu być wredny.

Yong obrzuca mnie zimnym spojrzeniem. Widzę, że kieruje wzrok na moje czoło, że oczy zwięzają mu się na jakąś myśl, że prawie coś sobie przypomina, ale po chwili mu to ucieka.

– Pewnie – powiada z ironicznym uśmiechem. – Bądźmy wszyscy mili, bo to wszystko naprawi, tak?

Czuję coś, czego dotąd nie doświadczyłam: gniew. Nie podoba mi się to, jak Yong na mnie patrzy, jak wyraźnie mnie lekceważy.

Słyszymy jakiś pomruk, stłumiony odgłos, który warkocze szybko, potem wolno, potem szybciej i głośniej.

Wszystkie głowy odwracają się w stronę, z której dobiega ten dźwięk: w stronę Spingate.

– Aha – orientuje się rudowłosa. Zakrywa rękami swój goły brzuch. Czerwieni się. – Przepraszam. Chyba jestem głodna.

Ostatnie słowo coś najwyraźniej we mnie odblokowuje, daje mi znać o dojmującej pustce w środku. Była tam pewnie cały czas, tylko mój mózg po prostu jej nie przetwarzał. Może zbyt zajęty myśleniem o wszystkim, co jest nie tak, nie uświadomił mi, że umieram z głodu.

Widzę ręce innych na ich własnych brzuchach. Wszyscy są głodni.

– Bello ma rację – mówię. – Nie wiemy, co jest na zewnątrz. Ale wiemy, czego nie ma tutaj: jedzenia.

Patrzemy na siebie i rozumiemy się bez słów. Czekanie nie

wchodzi w grę.

– Wody też tutaj nie ma – dodaje Spingate. – Woda jest jeszcze ważniejsza niż jedzenie. – Spogląda z ukosa w górę i w lewo, marszcząc nos. – A przynajmniej tak mi się wydaje.

Aramowski obciąga rękawy swojej białej koszuli. Bawi się nią bez przerwy, jakby pilnował, żeby nie zaskoczyło go jakieś podstępne zagniecenie.

– A może ty pójdziesz, Em? – proponuje. – Możesz znaleźć jedzenie i picie i nam je tu przynieść. My możemy poczekać tutaj. Na wypadek, gdyby przyszli starsi.

Z ust Yonga wydobywa się donośne „pfft”.

– Ale z ciebie odważniak, Aramowski – szydzi.

Aramowski piorunuje go wzrokiem.

– Tu nie chodzi o odwagę, tylko o to, co jest praktyczne.

Yong przewraca oczami.

– Ach tak, więc to o to chodzi! O to, co praktyczne! No to może ty pójdziesz, Aramowski? A reszta z nas zostanie. To dopiero będzie praktyczne.

Aramowski prostuje plecy, wypręża się na całą wysokość. Jest sporo wyższy od drugiego chłopaka.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić – cedzi.

Yong rozsuwa skrzyżowane na piersi ręce. Opuszcza je wzdłuż tułowia, zaciska w pięści.

– Zgłaszasz na ochotnika innych, ale sam nie pójdziesz? Może wobec tego cię zmuszę, żebyś poszedł?

Uśmiecha się. To przepiękny uśmiech, z rodzaju tych, po których chciałabym chodzić za nim przez cały dzień, żeby z oddali patrzeć, co robi albo z kim rozmawia. Ale jego oczy... Z nich emanuje coś zupełnie innego. Aramowski jest wyższy i obaj są napakowani, ale Yong pali się do bójki, Aramowski – nie. Może myślał, że zastraszy Yonga samą swoją posturą, ale obróciło się to przeciw niemu i teraz nie wie, co robić.

– Zostajemy razem – wtrącam pośpiesznie. – I nikogo do niczego nie zmuszamy, dobra?

Aramowski szybko kiwa głową.

– Em dobrze mówi.

Yong znów się we mnie wgapia. Mam wrażenie, że go irytuję.

O'Malley po raz dziesiąty próbuje dopiąć dwa górne guziki koszuli, chociaż powinien już wiedzieć, że mu się nie uda – tors ma zbyt szeroki. Daje za wygraną, ale w zamian przytrzymuje się ręką pod szyją, jakby się wstydził, że widać mu za dużo ciała.

Spogląda na mnie.

– Em, dlaczego to ty decydujesz, co robimy? Ty tu dowodzisz?

W jego głosie nie ma złości. O nic mnie nie oskarża. Zadaje pytanie, bo ktoś powinien je zadać.

– Nie wiem – odpowiadam.

Aramowski mierzy we mnie palcem. Nie... wskazuje na moje czoło.

– Em nie może dowodzić. To tylko kółko.

Wypowiada to tak, jakby mój symbol miał jakieś znaczenie.

Wiadomo – wszystkie nasze symbole mają znaczenie. Czujemy to. Ale pytający wyraz twarzy u pozostałych mówi mi, że nikt nie wie, jakie to znaczenie.

O'Malley wzrusza ramionami.

– Jeśli nie Em ma podejmować decyzje, to kto?

Nikt się nie odzywa. Jesteśmy dziećmi: ktoś powinien nam mówić, co robić. Zawsze dotąd tak było.

W końcu Yong przerywa milczenie:

– Mogę ja.

Ręce ma znów założone na piersi, głowę przechyla lekko na prawo. Jest żywym wyzwaniem, prowokuje, żeby ktoś mu się przeciwstawił. W całej jego postawie jest coś, co wróży ból.

– Ja będę rządził – oświadcza. – Wszyscy róbcie tylko, co powiem, a nic się nam nie stanie.

Moim zdaniem nie powinien dowodzić. Ani on, ani też Aramowski – w tym wysokim chłopaku jest coś, od czego robię się nerwowa. Ale kim ja jestem, żeby zabraniać Yongowi dowodzenia? Ktoś musi nas stąd wyciągnąć, ktoś musi podejmować decyzje.

Yong wbija spojrzenie w Bello, która natychmiast opuszcza oczy. Chłopak wwierca wzrok w Spingate; ta odchrząkuje, znów się czerwieni, wreszcie wzrusza ramionami. Potem Yong próbuje przygwoździć

spojrzeniem Aramowskiego, ale ten unika jego wzroku. Teraz ja staję się celem jego palących oczu. Próbuję się z nim zmierzyć, bez słów stawić mu opór, ale nie daję rady – odwracam wzrok. Te jego pięści... Czy mógłby mnie uderzyć?

Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się z kimś bić.

W końcu Yong wbija wzrok w O'Malleya.

O'Malley odpowiada mu spojrzeniem – spokojnym, nie groźnym, ale i nie poddającym się próbie zastraszenia.

– Em wy dostała się ze swojej trumny bez niczyjej pomocy – odzywa się. – Nie udało się to nikomu innemu. Potem uwolniła Spingate. We dwie oswobodziły nas wszystkich. Gdyby nie Em, może nadal byśmy spali. Albo jeszcze gorzej – nie spali, tylko leżeli uwięzieni w tych trumnach.

Yong marszczy brwi. Wygląda na zdezorientowanego, jakby myślał, że każdy sprzeciw musi polegać na krzykach i przepychankach, a nie na zwykłym rozumowaniu. O'Malley nawet z nim nie dyskutuje, tylko po prostu przedstawia fakty.

– No to nas wy dostała. – Yong wzrusza ramionami. – Co z tego? Ona nie ma pojęcia, co się dzieje. Wyciągnęła nas z tych trumien, ale to nie znaczy, że jest dobrym przywódcą.

O'Malley myśli o tym przez chwilę, wyraźnie się zastanawia, po czym kiwa głową.

– Zgadza się, to nie znaczy, że jest dobrym przywódcą – potwierdza. – Ale nie wpadła w panikę. Kiedy Spingate wołała o pomoc, Em jej pomogła. Opowiedziała nam też, co się dzieje, i nie udawała przy tym, że wie więcej, niż naprawdę wiedziała. Nie wydaje ci się, że takie właśnie cechy chcielibyśmy widzieć u przywódcy?

Yong nie odpowiada.

Sama nie wpadłabym na to, że te rzeczy czynią ze mnie przywódcę, ale kiedy O'Malley ukazał je w ten sposób, wydaje się to takie oczywiste.

Może Yong ma ochotę wdać się w dyskusję, ale nie bardzo ma z kim czy z czym.

– Jak sobie chcecie – mówi, opierając się o jedną z trumien. Odwraca wzrok na pełne pyłu przejście między trumnami i obrzuca je

takim spojrzeniem, jakby nudziło go tylko odrobinę mniej niż my.

Spingate podchodzi do mnie, podaje mi narzędzie. Nie musi mówić po co – to przywódca powinien je nieść.

– Możesz dowodzić, Em – mówi. Patrzy na Bello i Aramowskiego. – Nie sądzicie, że Em powinna dowodzić?

Ząb-dziewczyna chce, żebym to ja dowodziła? Z moich niewyraźnych wspomnień wynika, że to niemożliwe, a jednak widzę to na własne oczy.

Bello i Aramowski spoglądają po sobie. Bello znowu zaczyna z tym swoim załamywaniem rąk.

– Póki nie znajdziemy starszych – szepcze. – Em może dowodzić, póki nie znajdziemy starszych.

Aramowski wyraźnie się z nią nie zgadza, ale milczy.

Odbieram narzędzie z rąk Spingate. Uśmiecham się do niej. Odpowiada mi uśmiechem.

O'Malley wpatruje się we mnie. Te jego niebieskie oczy unieruchamiają mnie, dostaję przez nie jakiejś trzęsawki. Czy kiedy na mnie patrzy, też czuje w brzuchu takie łaskotanie jak ja, kiedy patrzę na niego? Wziął mnie w obronę. Dlaczego? Naprawdę uważa, że mogę być dobrym przywódcą?

Uśmiecha się do mnie nieśmiało, a potem wzrusza ramionami.

– A więc to chyba ty decydujesz, Em. Co robimy dalej?

Co robimy? Skąd ja mam wiedzieć? Dowodzę, ale uświadamiam sobie, że podczas całej wymiany zdań ani razu o to nie prosiłam. To chyba bez znaczenia – wszyscy czekają, aż podejmę jakąś decyzję.

No to podejmuję.

– Po pierwsze, musimy wyjść z tej sali.

Podchodzę do łukowatego portalu. Inni ruszają za mną, blisko. Yong czeka, aż wszyscy staniemy, i dopiero wtedy do nas dołącza.

Portal jest wykonany z jakiegoś metalu pokrytego płatkami rdzy i zakurzonymi symbolami, takimi samymi jak te na ścianach i trumnach. To, co wzięłam za drzwi, to dwie kamienne płyty zsunięte tak szczelnie, że pionową linię ich styku można by uznać za cienką rysę. Nie widzę żadnych klamek, żadnego sposobu na ich otwarcie.

– Super – odzywa się Aramowski. – Twoje dowództwo zapowiada się na medal.

Ignoruję go.

Spingate daje krok naprzód i otrzepuje z kurzu prawą stronę portalu. Widać błyszczące kamienie szlachetne osadzone w łuszczącym się metalu.

Jej wargi poruszają się bezgłośnie. Czekam, aż skończy się zastanawiać.

– Z tym jest podobnie jak przy trumnach – oznajmia wreszcie.

– Naciskam te trzy czerwone kamienie...

Naciska je – raz, dwa, trzy – i każdy klejnot wsuwa się odrobinę ze słyszalnym pstryknięciem.

Pod klejnotami otwiera się mały panel. Są w nim dwa otwory, takie same jak w trumiennych panelach.

Spingate klaszcze i podskakuje, zachwycona swoim odkryciem.

Patrzę na nią ze zdumieniem.

– Skąd wiesz, jak to się robi?

Przygryza dolną wargę. Unosi brwi, potem kręci głową i wzrusza ramionami.

– Sama nie wiem. To się wydaje... jakies takie oczywiste.

– Wskazuje rząd trzech czerwonych klejnotów na trzonku narzędzia.

– Naciśnij te trzy: raz, dwa, trzy, a potem otwórz tym drzwi.

Waham się przez chwilę. Jeśli to nie zadziała, jeśli drzwi się nie otworzą, nie będę miała pojęcia, co zrobić dalej. Ładny ze mnie przywódca.

Naciskam czerwone klejnoty: raz, dwa, trzy. Wsuwam zęby narzędzia w otwory, czuję słabą wibrację, gdy coś się na nich blokuje. Narzędzie zmieniło się w dźwignię. Podnoszę ją, wyczuwając początkowy luz i opór. Stopniowo zwiększam nacisk, aż nagle jakiś ukryty, od dawna znieruchomiały element puszcza, po czym narzędzie unosi się gładko i zatrzymuje ze szczękiem.

Podłoga drży, ściany wydają z siebie jęk. Z sufitu osypuje się pył.

Wokół rozbrzmiewa donośny, dźwięczny ton. Kamienne drzwi rozsuwają się nieznacznie – teraz drży już całe pomieszczenie.

Na zewnątrz naszej sali z trumnami światło jest jaśniejsze.

Drzenie ustaje. Drzwi otwierają się powoli.

CZEŚĆ II

SŁOWA I BRONŃ

OSIEM

Otula nas miękko fala ciepłego powietrza.

Za otwartymi drzwiami widać korytarz. Jego ściany, białe i na ogół gładkie, są gdzieniegdzie zadrapane i popękane. Sufit to chyba jakiś blady, chropowaty kryształ, który jarzy się jasnym światłem. Tak jak w pomieszczeniu z trumnami, także tu podłoga usłana jest miękką szarością.

Bello i Aramowski obejmują się, dziewczyna ledwo sięga mu do ramienia. Spingate podchodzi o krok bliżej. Przed nią stoi O'Malley, który mnie obserwuje, czekając, aż coś zrobię. Yong chowa się gdzieś z tyłu – pewnie nadal odgrywa znudzonego.

Ktoś musi wyjść pierwszy.

Biorę głęboki oddech. Jestem przywódcą, tak? To znaczy, że muszę przewodzić. Wyciągam narzędzie z odzwi.

Kiedy wychodzę na korytarz, ku mojemu zdumieniu razem ze mną wychodzi Yong.

Znowu ten lekceważący uśmiezek.

– Przecież nie może być tak, że cała zasługa jest tylko po twojej stronie, prawda?

Udawał, że go nudzimy, ale nie mógł znieść, że ja pierwsza przestąpię próg. Yong jest dziwny. A może normalny. Skąd niby mam to wiedzieć?

Korytarz biegnie w lewo i w prawo, w obie strony daleko i prosto jak okiem sięgnąć. Z obu stron – choć po prawej bardziej – cała podłoga jest zasłana jakimiś garbami; kurz i pył pokrywają je równie grubo jak podłoże.

Te garby to...

Przed oczami staje mi Brewer, wyschnięty, maleńki Brewer.

Te garby to...

Zaciskam powieki. Mózg chyba przestał mi działać. Moje myśli dziwnie blokują się w głowie, robią się... zamulone, to chyba najlepsze słowo. Nie umiem poskładać tych klocków w całość. Nie chcę poskładać ich w całość.

Pozostali wymijają mnie całą grupą. Nikt nie odzywa się nawet słowem.

Yong skręca w prawo, podchodzi do pierwszego stosu garbów. Pochyla się i coś podnosi. Kurz i pył opadają maleńkimi kaskadami drobin, które zawisają i wirują w powietrzu.

Yong trzyma w ręku kość.

Długą, białą, z przyczepionymi kawałkami czegoś ciemnego... resztkami zeschniętego na wiór mięsa. Wygląda, jakby Yong miał w dłoni jakąś koszmarną maczugę.

– To kość udowa – szepcze Spingate głosem, w którym słycać szok. – Ludzka kość udowa.

Yong pozwala jej wypaść. Opuszcza wzrok, powoli obraca się na pięcie. Otaczają go szkielety i kości – są ich tu całe stosy.

Ten korytarz jest pełen martwych ludzi.

Czuję na ramieniu czyjeś ręce: tuli się do mnie Bello.

– Em, tu jest coś nie tak – mówi. – Chodźmy stąd.

Świetny pomysł. Szkoda tylko, że nie wiem dokąd.

Yong sięga do okrągłego garbu u swoich stóp. Strzepuje szary pył, a po chwili podnosi w dłoniach ludzką czaszkę, ciasno opiętą zeschniętą skórą. Dolnej szczęki brak. Puste oczodoły wpatrują się w przestrzeń.

Yong przygląda się czaszce, układa ją sobie w dłoniach. W tym momencie trzymający się jeszcze szczęki sztywny kawałek ciała pęka i kruszy się w obłok pyłu, który powoli opada na ziemię.

Dopiero teraz rozumiem. Ten pył czy kurz... to ludzka skóra. Skóra, mięśnie, oczy, mózgi i wnętrzności, które obróciły się wszystkie w jedno: wirujący w powietrzu proch. Proch, który miałam w ustach, w gardle, który był wszędzie wokół i pokrywał sobą dosłownie wszystko.

To, co wzięłam za morze kurzu, okazało się oceanem śmierci.

Yong upuszcza czaszkę, po czym biegiem wraca do nas – jednak w grupie jest mu raźniej.

Bello płacze bezgłośnie. O'Malley otacza ją ramieniem.

Znów wszyscy patrzą na mnie, czekając, aż powiem im, co robić. Nawet Yong. Ale ja nie wiem, co robić. No bo kto by wiedział? Muszę się skupić, muszę wymyślić coś, co będzie mieć jakiś

sens.

Korytarz naprawdę wygląda, jakby w obu kierunkach ciągnął się bez końca. Na całej jego długości widać kolejne łukowate portale, takie jak nasz. Część z nich ma drzwi odrobinę otwarte; nie wiadomo, co kryje się w znajdujących się za nimi mrocznych pomieszczeniach. Kamienne powierzchnie innych, wciąż zasuniętych na głucho, są nadkruszone i pooblupywane.

Teraz, kiedy już zobaczyłam kości, nie mogę przestać ich widzieć. Na całej długości korytarza – kształty w pyle.

Kości są wszędzie.

Część z nich tworzy całe szkielety. Inne leżą osobno: pęknięte, złamane, strzaskane. Niektóre poczerniały na węgiel – zostały spalone.

Bezgłośny płacz Bello przechodzi w cichy szloch. Jej łzy kojarzą mi się ze słabością (*placzem niczego się nie rozwiąże*), mam ochotę wrzasnąć na nią, żeby się zamknęła, żeby wreszcie przestała. Ale wiem, że Bello nic na to nie może poradzić.

– Gdzie my jesteśmy? – pyta poprzez łzy. – Co się tutaj stało?

O'Malley nadal otacza ją ramieniem. Gdybym to ja płakała, czy mnie też by tak objął?

O'Malley puszcza Bello, podchodzi do Aramowskiego, który stoi parę kroków dalej, i szepcze mu coś do ucha. Aramowski staje przy Bello. Obejmuje ją, przyciąga do siebie. Dziewczyna opiera głowę na białej koszuli, opinającej jego ramię.

O'Malley podchodzi do upuszczonej przez Yonga czaszki. Podnosi ją, otrzepuje z niej resztki pyłu. Jeszcze kilka płatków zeschniętej skóry kruszy się i rozpada. O'Malley obraca czaszkę w dłoniach i wyciąga rękę ku nam, pokazując ją od góry.

W białej kopule kości ziele nierówna, mniej więcej trójkątna dziura.

– Ktoś zabił tego człowieka – stwierdza O'Malley. – Uderzył go... albo ją... czymś ciężkim. Może była tu jakaś bitwa. – Patrząc na czaszkę, mruży oczy, po czym przenosi wzrok na nas, na nasze głowy, jakby porównywał rozmiar. – Moim zdaniem to byli starsi. Starsi, którzy się pozabijali.

Ilu martwych ludzi spoczywa w tym korytarzu? Może stu? Trudno

powiedzieć, ich szczątki porozrzucane są wszędzie.

Z jednego z zakurzonych szkieletów coś wystaje. Czy to rękojeść? Podchodzę do tego, co kiedyś było człowiekiem, chwytam za rękojeść i ciągnę.

Wpatruję się w płaski, zaostrowany kawałek metalu: trzymam w ręku nóż.

Gdybym oparła rękojeść w zgięciu łokcia, ostrze noża sięgałoby mi do końca najdłuższego palca. W miejscu połączenia ostrza z rękojeścią wystają na boki dwa cienkie, ale mocne kawałki metalu. Są na nich wyryte maleńkie schodkowe piramidy i słońca. Rękojeść za miejscem, w którym ją chwyciłam, kończy się płaską, okrągłą płytką otoczoną drobnymi czerwonymi klejnotami; w środku jest drugi krąg, wysadzany takimi samymi kamieniami.

Symbol kółka w kółku, zupełnie taki jak na czole Aramowskiego. W jednej ręce trzymam narzędzie, w drugiej nóż.

Bello marszczy nos.

– Em, czy to jest miecz?

– Miecze są większe – wtrąca Yong. – Chyba. Chociaż... Nie, są większe.

– Zostaw go – mówi Bello. – To coś dla nich. Coś dla starszych. Nam to niepotrzebne.

Mam ochotę wypuścić nóż z ręki. Nie z powodu słów Bello, ale dlatego, że sam przedmiot mnie przeraża. Wolałabym go nawet nie dotykać. Ten nóż służył do zabijania. Do tego, żeby obracać ludzi – ludzi takich jak my – w stosy kości i obłoki pyłu.

Starsi się pozabijali. Jeśli któryś jeszcze żyje, czy będzie próbował zabić także nas?

– Może będziemy musieli się bronić – mówię do Bello.

– Potrzebujemy go.

Bello kręci głową.

– Nie potrzebujemy. To coś złego. Proszę, nie bierz go z nami.

Podchodzi do mnie Yong. Jego oczy nagle się ożywiły, płonie w nich jakiś zapal. Chłopak wyciąga rękę.

– Daj mi ten nóż – mówi. – Ja go wezmę. Ty noś narzędzie.

W jego słowach pobrzmiwa głód, w jego żądzy jest coś...

niepokojącego. Tak samo jak wiem, że oddanie mu przywództwa byłoby złym pomysłem, wiem, że nie powinien dostać noża.

– Na razie ja go poniosę – odpowiadam.

Yong stoi przede mną, pozostałych ma za plecami. Oni nie widzą jego twarzy, ale ja tak. Górna warga mu drga, wygina się w szyderczy grymas. Widoczny w nim zapal zmienia się, przepoczwarza. Ciężkie czarne włosy zwisają mu tak, że prawie przesłaniają oczy, oczy ziejące nienawiścią.

– Jeszcze zmienisz zdanie – mówi cicho. A potem najcichszym możliwym szeptem dodaje: – Albo pomogę ci je zmienić.

Zanim zdążę zareagować, uśmiecha się, okręca na pięcie i wraca do pozostałych. Zostaję sam na sam ze szkieletem.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie powiedzieć wszystkim, co usłyszałam od Yonga, ale uznaję, że lepiej nie. Nie potrzeba nam teraz kolejnej sprzeczki. Musimy posłuchać rady Bello i już sobie stąd pójść.

Patrzę na drzwi osadzone wzdłuż korytarza. Pożłobione, poszczerbione, porysowane. Czy ludzie rozpaczliwie próbowali dostać się przez nie do środka?

Zauważam jedne lekko rozsunięte. Gdybyśmy po wyjściu z naszej sali skręcili w lewo zamiast w prawo, ten portal miałibyśmy o kilka kroków dalej po prawej ręce. Przerwa między połowami kamiennych drzwi jest tak wąska, że ledwo wśliznę się przez nią bokiem. Wewnątrz widzę przyćmione, migoczące światło.

Czy tam jest więcej trumien? Ruszam w tamtą stronę, mijając Bello i resztę grupy.

Na moje ramię spada czyjaś silna ręka.

Należy do O'Malleya.

– Em, nie wchodź tam – prosi.

Zauważa, że patrzę na jego rękę, więc ją cofa. Twarz mu się czerwieni. Nie zachowywał się tak, kiedy obejmował Bello.

– Muszę – odpowiadam. – W środku może jest więcej takich jak my.

O'Malley zamyka na sekundę te swoje niebieskie oczy, przełyka ślinę, kiwa głową i otwiera powieki.

– Wobec tego idę z tobą.

Od tych słów serce zaczyna mi walić tak głośno, że O'Malley chyba musi to słyszeć.

Trzymam w rękach nóż i narzędzie. Na początku myślałam, że narzędzie to broń – choć nią nie jest, spokojnie może pełnić jej funkcję.

Podaję je O'Malleyowi.

– Weź to – mówię. – Może być niebezpiecznie.

Spingate wydaje z siebie urywany okrzyk. Wskazuje narzędzie ręką.

– To się nazywa berło – oznajmia. – Właśnie mnie oświeciło. To narzędzie tak się właśnie nazywa.

Broń, narzędzie czy berło... Teraz obchodzi mnie tylko to, że jest ciężkie i że O'Malley może nim coś rozwalić.

Bierze je do ręki.

– Jestem z tobą, Em – mówi.

Jego oczy... takie niebieskie...

Nie dam rady patrzeć w nie ani chwili dłużej, więc obracam się w stronę drzwi. Dochodzę do nich i wślizguję się w wąskie przejście.

O'Malley idzie w ślad za mną.

DZIEWIĘĆ

W sali panuje półmrok – jest tu tylko jedno światło, migoczące wysoko na łukowato wygiętym sklepieniu.

Wyciągam nóż ostrzem przed siebie. O'Malley obiema rękami trzyma berło za dolny koniec. Drugi, rozwidlony, ma na wysokości ucha.

Podobnie jak w naszej sali, jest tu dwanaście zakurzonych trumien, ustawionych po sześć w dwóch podłużnych rzędach. Wszystkie są otwarte. Dopełniające się wieka nie są złożone elegancko po bokach, tylko połamane, wystają pod różnymi kątami. Czy z tych trumien też ludzie wyrwali się siłą tak jak ja?

Podchodzę do pierwszej z nich. O'Malley jest tuż obok mnie. Zanim zajrzę do środka, omiatam z pyłu tabliczkę z nazwiskiem.

Pomarańczowe kamienie otaczają litery *L. Morgan*.

W trumnie zakurzone części ubrania – mała biała koszula, krótki czerwony krawat, małe czarne spodnie – okrywają maleńkiego, zeschniętego na wiór trupka.

Trupka o wiele mniejszego niż Brewer.

Trupka tak małego, że mogłabym ukołysać go w ramionach.

Czaszka, maleńka czaszka, leży roztrzaskana w drzazgi ciosem w środek czoła. Nie odróżniam symbolu na tej zeschniętej, popękanej skórze, o ile w ogóle był tam jakiś symbol.

O'Malley powoli sięga drżącą ręką do głowy L. Morgana. Koniuszkiem palca delikatnie dotyka grzbietu kości pod prawym oczodołem.

– Dziecko – mówi. – Niewiele starsze niż niemowlę. Jak ktoś mógł zrobić coś takiego?

Niemowlę. Nawet gdyby L. Morgan był przytomny, kiedy nastąpił atak, to nie mógłby sam się obronić. Ciała starszych na korytarzu... Może tamci ludzie zginęli w jakiejś bitwie, ale tutaj zdarzyło się coś innego.

O'Malley podchodzi do kolejnej trumny. Jedna połowa wieka pozostaje zamknięta, drugą ktoś dawno temu wyrwał i rzucił na podłogę, gdzie stała się siedliskiem pyłu i kurzu.

– Tu to samo, Em – mówi O’Malley. Głos ma nierówny, to bardziej urywane oddechy niż słowa. – Zerwali wieko, a potem zmiażdżyli tej dziewczynce twarz.

W zakurzonej przejściu między rzędami trumien widzę stertę garbów. Dalej jeszcze jedną i jeszcze jedną. Umarły tu nie tylko dzieci.

W sali jest jeszcze dziesięć innych trumien. Wszystkie otwarte. Nie muszę do nich zaglądać, żeby wiedzieć, co zawierają.

Wszystkie te maluchy, zabite tak, jak leżały... Nie zniosę tego ani chwili dłużej. Muszę stąd wyjść.

– O’Malley, idziemy.

– Na pewno nie chcesz...

– Idziemy!

W pośpiechu wracam do kamiennych drzwi. Przeciskam się przez szczelinę z powrotem na korytarz. Czekają tam z szeroko otwartymi oczami Spingate, Bello, Yong i Aramowski. Mają wyraz twarzy, który już rozpoznaję: wyglądają, jakby rozpaczliwie chcieli usłyszeć jakąś dobrą wiadomość.

– No i? – pyta Spingate. – Jest więcej takich jak my?

– Ci byli... młodszy – odpowiadam. – I wszyscy nie żyją.

– Młodszy – powtarza Spingate. – Jak Brewer?

Kręcę głową. Zawieszam wolną dłoń na wysokości biodra, wnętrzem ku ziemi, pokazując im, jakiego wzrostu byłby L. Morgan, gdyby żył.

Wszyscy patrzą w tę przestrzeń, jakby oczekiwali, że nagle u mojego boku pojawi się dziecko, które pogładzę po głowie.

Są wstrząśnięci. Nawet Yong. Rozpacz wydłuża mu twarz, sprawia, że zapominam o jego nieustannym uśmiešku.

Za moimi plecami z wąskiego przejścia wysuwa się O’Malley. Jego tors ledwo mieści się w szczelinie. Krawędź kamiennych drzwi odrywa mu jeszcze jeden guzik, na gładkiej skórze pojawia się długie, białe zadrapanie.

Bello wpatruje się w niego z nadzieją, jakby liczyła, że opowie coś innego niż ja.

– To prawda? – pyta go. – Małe dzieci?

O’Malley potakuje.

– Małe dzieci. Ubrane tak jak my. Zostały zamordowane.
„Zamordowane”.

To słowo budzi we mnie gniew. My też mogliśmy zginąć w ten sam sposób, zamordowani we śnie. Chcę wiedzieć, kto zmiażdżył te maleńkie czaszki. Chcę znaleźć ludzi, którzy to zrobili, chcę, żeby zapłacili za to.

– To byli Starsi – mówię. Sama słyszę nienawiść we własnym głosie. – To na pewno oni. Chcą nas pozabijać – gestem rozpostartych rąk obejmują kości leżące na korytarzu – tak jak pozabijali się między sobą.

Nie mam ochoty zaglądać do żadnej z pozostałych sal. Musimy uciec jak najdalej od całej tej śmierci. Rozglądam się w obie strony korytarza.

Z lewej jest nasza sala z trumnami i miejsce, w którym znaleźliśmy nóż.

Z prawej leży chyba mniej kości, więc to tam pójdziemy.

– Tędy – mówię i ruszam przed siebie.

O'Malley równa ze mną krok, idąc po mojej prawej. Czwórka pozostałych rusza w ślad za nami.

Szkielety zostawiamy za sobą.

DZIESIĘĆ

Idziemy pod górę.

Kąt nachylenia jest tak mały, że z początku tego nie zauważyłam, ale korytarz łagodnie prowadzi wzwyż.

Idziemy już od wielu godzin. Przynajmniej tak się nam wydaje; nie mamy jak mierzyć czasu. Niekończące się nachylenie korytarza, choć delikatne, wyczerpuje nasze i tak niewielkie siły.

Ja trzymam nóż. O'Malley niesie berło. Przez jakiś czas próbowałam nieść jedno i drugie, ale berło okazało się za ciężkie.

Gdybyśmy wyruszyli w przeciwną stronę, szlibyśmy teraz w dół. Spingate powiedziała, że nie wiadomo, jak daleko w dół – jak głęboko w ziemię – moglibyśmy zejść, ale w górę nie da się iść wiecznie.

Prawda?

Nasza sala z trumnami musi leżeć głęboko pod powierzchnią ziemi. Ten korytarz zdaje się nie mieć końca. Łagodnie świecący sufit wygina się nieco w górę, równoległe do podłogi. Daleko przed nami podłoga na pozór zbiega się z sufitem, ale niezależnie od tego, ile idziemy, miejsce zbiegu pozostaje dokładnie w tej samej odległości.

Nikt się nie odzywa. Milczymy, przejęci myślą o kościach ułożonych w sterty i o martwych dzieciach. Ale zostawiliśmy je za sobą, i bardzo dobrze.

Nie tylko kości już za nami – od jakiejś godziny, na ile umiemy to ocenić, nie widzieliśmy żadnych drzwi. Idziemy pustym, pozbawionym wyrazu korytarzem wśród nietkniętego pyłu.

Boli mnie brzuch. Czuję, jak mnie w nim ssie. Burczy mi w nim, i to głośno. Podobne odgłosy dobiegają od innych. Potrzebujemy jedzenia.

Głód, zmęczenie, poczucie zagubienia i strach – wszystko to nam ciąży. Ledwie wlecemy za sobą nogi po twardej podłodze, pozostawiając w pyle wydłużone ślady.

W końcu O'Malley przerywa milczenie.

– Muszą gdzieś być jacyś ludzie, którzy jeszcze żyją – mówi.
– Nawiążemy z kimś kontakt, przyjdą nam na ratunek.

„Ratunek”. Kolejne magiczne słowo. Oznacza kogoś, kto nas ocali. Mam nadzieję, że moi rodzice żyją, że ich kości nie było wśród tych, które pokrywa szary proch. Nie pamiętam twarzy mojej matki ani jej imienia, ale wiem, że ją kocham. A mój ojciec... Jeśli mnie kocha, dlaczego po mnie nie przyszedł? Mam przeczucie, że był odważny i silny, ale nie wiem, czy to prawda, czy tylko marzenie małej dziewczynki, że jej tatuś jest najlepszym tatusiem na świecie.

Bello wyprzedza nas, odwraca się ku nam i zaczyna iść tyłem. Po raz pierwszy widać w niej jakiś entuzjazm.

– Może ci ludzie, którzy przyjdą nam na ratunek, będą mieć jedzenie – pociesza się.

Przypominam sobie jakiś zapach... Tato robiący obiad. Może jakieś mięso? Ślina zbiera mi się w ustach, a w brzuchu burczy jeszcze głośniej.

– Chleb – mówi Bello, a oczy ma rozmarzone. – Gorący chleb z masłem i cynamonem. Z chrupiącą skórką i cały miękki w środku.

– Kanapka – dodaje O'Malley. – Z musztardą i ogórkiem na wielkich, grubych, słonych płatach zimnego mięsa z kurczaka.

Kotlety schabowe... to właśnie smażył mój tato. Jakim cudem przypominam sobie coś takiego, a nie pamiętam jego twarzy?

– Babeczki – odzywa się Aramowski. – Czekoladowe, z czekoladowym lukrem, którego jest drugie tyle, co samej babeczki. Z mnóstwem posypki.

Do ust napływa mi tyle śliny, jakbym właśnie dostała ślinotoku.

– Makaron – dorzuca Yong. – Z pomidorowym sosem i taką warstwą sera, że trzeba wziąć co najmniej trzy gryzy, żeby w ogóle dobrać się do makaronu.

– Nieważne, co przyniosą – mówi Spingate – byleby było gorące. I żeby było tego więcej, niż mogę zjeść. Ale na deser na pewno chcę jedną z tych babeczek Aramowskiego.

– Ja też – przyłącza się O'Malley.

Bello kręci głową. Nadal idzie przed nami tyłem. Oczy jej błyszczą, kroczy wyprostowana na całą wysokość, choć w jej przypadku nie jest to za dużo. Wygląda na szczęśliwą: to ktoś zupełnie inny niż

pociągająca nosem dziewczyna, którą poznałam w naszej sali z trumnami.

– Nic się nie znacie – mówi. Stuka się palcem w skroń.

– Najwyraźniej nie myślicie tak logicznie jak ja. Aramowski prawie trafił z tą czekoladą i lukrem, ale to musi być tort. Urodzinowy tort. Z dwunastoma świeczkami!

Aramowski się śmieje.

– Racja, Bello, ale co z posypką? Żeby mi była posypka!

Bello wywraca oczami z udawaną irytacją.

– Oczywiście, że tak! Przecież to twoje urodziny, dostaniesz posypkę. Każdy dostanie posypkę.

Zgadzamy się wszyscy, że to fantastyczne zakończenie naszego ratunkowego posiłku.

Uśmiechy, potakiwania, pomruki zadowolenia... to prawie idealna chwila. Przez moment nie jesteśmy więźniami zbyt dorosłych ciał w za małych ubraniach i bez butów, nie otacza nas proch, w który obrócili się żywi kiedyś ludzie, nie jesteśmy samotni ani zagubieni – jesteśmy szóstką przyjaciół, którzy idą razem na urodzinową imprezę. Będzie tort, będą gry i zabawy, będą prezenty. Będą kochający rodzice, którzy nas chronią.

Nie przerywając marszu, Bello zaczyna obracać się w powolnych piruetach, a jej ramiona, uniesione siłą bezwładności, rozkładają się szeroko.

– Założę się, że nasi rodzice już po nas idą – mówi. – Przecież muszą nas szukać, no nie?

– Moi na pewno – odzywa się Yong bez wahania.

Bello kiwa głową.

– Moi też. Tylko że... w ogóle ich nie pamiętam. Yong, pamiętasz swoich rodziców? Jak wyglądają?

Yong znów wydaje z siebie to swoje „pfft”.

– No pewnie, że pamiętam.

Wiemy, że kłamie, on sam też dobrze wie, ale nikt nie zarzuca mu kłamstwa, bo to przyjemne kłamstwo, takie, w które wszyscy chcielibyśmy wierzyć.

Piruety Bello są coraz wolniejsze. Z jej twarzy znika entuzjazm –

ogarnia ją strach.

Zatrzymuje się. My też stajemy całą grupą.

Bello ma w oczach łzy. Znowu płacze? Ta dziewczyna naprawdę zaczyna mnie wkurzać.

– Nasi rodzice – mówi. – A jeśli to nasi rodzice włożyli nas do tych trumien?

Zastanawiałam się nad tym sama. Wstyd mi, że coś takiego pomyślałam choćby przez chwilę. Widzę, że inni opuszczają albo odwracają wzrok – wszystkim nam przyszło to do głowy, Bello tylko pierwsza wypowiedziała to na głos.

Na jej pytanie nikt nie odpowiada. Bello kurczy się w sobie, trochę garbi, przyciąga łokcie do boków i powtarza ten swój nerwowy gest: lewą dłonią chwyta za prawą, prawą za lewą. Stoi w miejscu i pozwala wszystkim się wyminąć, a potem rusza za nami na samym końcu grupy.

Znów maszerujemy w milczeniu. Słyszymy tylko swoje oddechy i szuranie nogami.

I burczenie w brzuchach.

Mija może kolejna godzina. Może dwie. Idziemy dalej, bo nie mamy innego wyboru.

W końcu nieustannie majaczący przed nami widok – zbieg sufitu z podłogą – ulega zmianie: zauważamy inny korytarz, który krzyżuje się z naszym. To coś nowego, i to wystarczy, żebyśmy mimo wyczerpania przyśpieszyli kroku.

Docieramy do skrzyżowania. Nowy korytarz prowadzi dość daleko w prawo, ale sufit w nim świeci słabiej. W dalszej części chyba wcale nie ma światła. W odległości jakichś stu kroków widzę w półmroku tylko jeden łuk portalu, z drzwiami otwartymi na oścież. Może dalej są następne, ale nie widać ich, bo jest za ciemno.

W lewo korytarz po kilku krokach urywa się pod ścianą, która wygląda jak jakaś czarna ciecz zamrożona w pół chlapięcia, jakby roztopiona i schłodzona. Może to kiedyś były drzwi, tyle że całkiem inne od wszystkich, które widzieliśmy do tej pory.

Spingate wchodzi na kilka kroków w prawą odnogę. Wpatruje się w dal, przechylając odrobinę głowę, jakby mogła w ten sposób zobaczyć więcej.

– Idziemy tym samym korytarzem już bardzo długo – mówi. – Nic jeszcze nie znaleźliśmy. Znaczący, jak dotąd. Spróbujemy tego nowego?

Nikt poza nią się nie odzywa. Czy czekają, aż to ja zdecyduję?

Yong podchodzi do Spingate i staje obok. Tak samo jak ona zagląda w głąb nowego korytarza, nawet w ten sam sposób przechyla głowę. Potem spogląda na mnie.

– Pójdziemy tędy – oświadcza. – To ma sens.

Nie jestem wcale pewna. Korytarz prowadzący w prawo wygląda inaczej: płasko. Nie widzę tu tego złudzenia zbiegu podłogi z sufitem, na które patrzyłam przez ostatnie kilka godzin. Z drugiej strony – jest za mało światła, by sięgnąć wzrokiem aż tak daleko.

Korytarz, którym dotąd szliśmy, wydaje się nie mieć końca, ale dokądś musi prowadzić. Co do tego nowego – nie jestem pewna.

– Nie będziemy wchodzić w ciemny korytarz – mówię. – Poza tym musimy iść prosto.

Aramowski wskazuje korytarz po prawej.

– Ale ten korytarz biegnie płasko. Może nie zauważyłaś. Idziemy pod górę już... no, już bardzo długo. Nogi mnie boją.

Mnie też boją nogi. Też chciałabym dać im odpocząć, ale wiem, że podejmuję właściwą decyzję.

– Idziemy prosto – powtarzam. – Jeśli zaczniemy skręcać, możemy pomylić kierunki. Kiedy pójdziemy prosto, będziemy przynajmniej wiedzieli, jak wrócić, jeśli przytrafią nam się jakieś kłopoty. Wiem, że to męczące, ale dobrze jest iść pod górę. Każdy krok przybliży nas do wyjścia.

Widzę, jak garbią się im ramiona, słyszę ich ciężkie westchnienia. Nie mają ochoty się ze mną zgodzić, chcą pójść łatwiejszą drogą.

– Em tu dowodzi – mówi O'Malley. Głos ma zmęczony. – Idziemy tak, jak ona nas prowadzi.

Spingate wzdycha i wzrusza ramionami. Bello z ociąganiem kiwa głową. Aramowski nie przestaje zaglądać w nowy korytarz, jakby na całej długości wyłożony był jego wymarzonymi babeczkami. Żadne z nich nie chce iść tam, gdzie ja, ale najwyraźniej, choć z rezygnacją, podporządkują się mojej decyzji.

Wszyscy z wyjątkiem Yonga.

– Ja już nie chcę iść tak, jak prowadzi nas Em – oświadcza.
Zakłada ręce na piersi. – Teraz chyba moja kolej, żeby dowodzić.

– Nie dowodzimy po kolei – oponuje O’Malley. – To nie jest jakaś gra.

Yong celuje we mnie palcem. Jest w tym geście jakieś złośliwe nadąsanie i przez chwilę widzę przed sobą dwunastoletniego klasowego tyrana w przebraniu dorosłego.

– Ona sama nie wie, co robi – stwierdza. Patrzy na mnie, wyciągając otwartą dłoń. – Próbowalaś, Em, ale ci nie wyszło. Teraz moja kolej, więc daj mi ten nóż.

I w okamgnieniu dwunastolatek znika. Patrzę na dorosłego mężczyznę, szczupłego i silnego, który nie przyjmie odmowy do wiadomości.

Yong kiwa palcem wyciągniętej dłoni.

– Dawaj go – mówi. – Bo jak nie, sam ci go zabiorę. A to ci się nie spodoba.

Spingate bierze się pod boki.

– Przestań się wygłupiać, Yong. Em nami dowodzi, a ty...

Yong, tak szybko, że prawie nie zauważam ruchu jego rąk, popycha Spingate, i to mocno. Dziewczyna trafia w ścianę i upada na pupę. Patrzy na niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

Nawet nie próbuje wstawać.

Bello i Aramowski przyciskają się lekko do siebie i odsuwają od nas, obserwując ten nagły konflikt.

Wiem, że powinnam coś powiedzieć, ale nie potrafię otworzyć ust.

Robi to O’Malley.

– Wystarczy – oznajmia.

Yong nie jest jedynym mężczyzną w naszej grupie. W prawym ręku O’Malley trzyma berło. Wygląda niepewnie z wysadzonym klejnotami metalowym drążkiem, jakby nie bardzo wiedział, co z nim w tej sytuacji zrobić.

Daje krok w stronę Yonga.

– Nie wolno nikogo bić – mówi. – Przeproś Spingate.

Yong znowu wydaje z siebie to swoje „pfft”.

– Bo jak nie, to co? Zmusisz mnie do tego?

Palce O'Malleya zaciskają się na berle. Koszula zwisa mu z ramion rozchylona – pewnie urwał mu się ostatni guzik.

– Do niczego nie będę cię zmuszał – odpowiada. – Tylko... nie bijemy się między sobą. A dowodzi Em, tak?

Yong rzuca się na niego, biorąc przy tym zamach, i prawą pięścią wali O'Malleya w nos. Głowa O'Malleya odskakuje do tyłu i chłopak pada niezdarnie na ziemię, przysiadając na lewej nodze i wystawiając prawą przed siebie. Yong cofa ramiona i wyprowadza kolejny cios lewą pięścią w prawe oko O'Malleya.

O'Malley pada na bok. Berło wysuwa mu się z dłoni. Chłopak przestaje się ruszać.

Yong patrzy na mnie.

– Teraz ja dowodzę, Em. – Ponownie wyciąga rękę. – Daj mi ten nóż.

Widzę go, widzę gwiazdę na jego czole, uśmieszek wyższości na ustach. Myśli, że może robić, co zechce. Myśli, że może dyrygować innymi.

Traktuje innych jak swoją własność.

W jednej chwili czuję do niego nienawiść. Chcę, żeby coś mu się stało.

Unosi brwi w udanym zdziwieniu.

– Nie? Nie wydaje ci się, że twoja kolejka się skończyła? Doprowadziłaś nas donikąd, Em. Jestem głodny i od teraz robimy wszystko po mojemu. Dawaj ten nóż, głupia kółko-dziewczyno, albo zobaczysz.

Nienawidzę go. Nienawidzę, nienawidzę.

W środku robię się zimna. Zimna i opanowana.

Yong wzrusza ramionami.

– Jak sobie chcesz.

Wielkimi krokami rusza w moją stronę – pewny siebie, niebezpieczny. Spingate wciąż siedzi pod ścianą i tylko się gapi. Aramowski i Bello nie robią nic. Z ustami wykrzywionymi w aroganckim, wściekłym uśmiechu Yong bierze zamach ręką ściśniętą w pięść, pochyła się, żeby mnie uderzyć...

I nagle zatrzymuje się z pięścią zawisłą w powietrzu.

Oczy ma szeroko otwarte, usta też.

Opuszcza wzrok.

Ja robię to samo.

Ten nóż... Rękojeść jest w mojej dłoni, ale ostrze...

Ostrze noża tkwi głęboko w brzuchu Yonga.

JEDENAŚCIE

Po białej koszuli Yonga rozlewa się jaskrawa czerwień. Spływa głównie w dół, ale podchodzi też w górę, przesączając się wilgocią przez materiał.

Nawet nie poczułam, jak ostrze wchodzi w ciało. Naprawdę nie. Nagle po prostu w nim tkwiło, już w środku, jakby miał je w sobie od początku.

Okrągła płytką z kółkiem wpisanym w kółko błyszczący na rękojeści noża. W świetle padającym z sufitu osadzone w niej klejnoty migoczą tą samą barwą co krew Yonga.

W korytarzu zapada cisza. Nie słyhać zupełnie nic. Nie mogę się ruszyć.

Yong podnosi wzrok, patrzy na mnie. W oczach ma łzy. Na jego męskiej twarzy maluje się chłopięcy wyraz lęku i zaskoczenia.

– Ale... moja kolej – skarży się, a potem uginają się pod nim nogi. Upada na bok. Ześlizguje się przy tym z noża, który wciąż ściskam. Łąduje na ramieniu i zaraz zwija się w kłębek tak jak wtedy, kiedy wypadł z trumny.

Widzę, jak na koszuli w dole jego pleców pojawia się i rozszerza plama krwi.

Ostrze przeszło na wylot.

Ta niemożliwa cisza, ten czas, który obrócił się w nieubłagany kamień, trwa bez końca. A potem mija.

Bello wrzeszczy, zakrywa rękami twarz.

Za jej plecami Aramowski cofa się o pół kroku.

Spingate rzuca się w stronę Yonga, klęka obok, kolanami prawie dotyka jego kolan. Pochyla się nad nim, spogląda na jego plecy.

– O nie – odzywa się. – Yong! Połóż się na płask, daj mi zobaczyć ranę!

Yong trzyma się za brzuch. Prawie całe ręce ma zasłonięte udami, ale i tak widzę, że palce oblewa mu krew.

Wydaje z siebie długi, cichy jęk. Powieki ma zaciśnięte.

Włosy Spingate opadają jej na twarz, przeszkadzają. Wściekle

rozciera sobie uda, jakby nie wiedziała, co zrobić z rękami, po czym wali Yonga w ramię.

– Mówię ci, połóż się na płask!

W jej stronę nachyla się Bello z policzkami błyszczącymi od łez.

– Przestań go bić! Zrób coś!

Spingate kręci głową, znowu rozciera sobie uda rękami. Podnosi wzrok na mnie.

– Em, nie stój tak, pomóż!

Nóż wysuwa mi się z dłoni i z brzękiem pada na podłogę. Do smug krwi na ostrzu natychmiast przykleja się pył i kurz.

Klękam za plecami Yonga.

– Co mam robić?

– Pomóż mi położyć go na płask – ponagla mnie Spingate, ale teraz, gdy ktoś jej pomaga, jej głos brzmi już spokojniej. – Musimy ucisnąć ranę.

Chwyta Yonga pod ramieniem i nogą i unosi, ja łapię za drugie ramię i kolano i pociągam. Przetaczamy go na wznak. Jest nadal zwinięty w kłębek, plecy ma wygięte w pałąk – wygląda jak jajko, przemyka mi przez głowę – i muszę go przytrzymywać, żeby znowu nie przewrócił się na bok.

Zaczyna szlochać, całe jego ciało się trzęsie. Ma szeroko otwarte usta; między wargami lśni niteczka śliny.

– Boli – mówi. – Boli.

Spingate przykładą rękę do jego policzka, szybkimi muśnięciami odgarnia mu z czoła czarne włosy.

– Posłuchaj mnie, Yong – mówi. – Dostałeś nożem. Muszę obejrzeć ranę.

Yong rzuca głową, jakby próbował odtrącić jej rękę.

– Nie, nie, boli! Niech już przestanie!

Spingate wierzchem dłoni zarzuca do tyłu swoje rude włosy. Patrzy gniewnie na Bello i Aramowskiego.

– Ruszcie się, pomóżcie!

Aramowski podbiega, kładzie ręce na kolanach Yonga i łagodnie naciska, próbując rozprostować chłopaka.

– Nie – broni się Yong. – Boli. Zawołajcie mamę... Proszę, lećcie

po moją mamę!

Błaga nas o coś, czego nie możemy mu dać. Jego słowa brzmią dziwnie: pasują do innego głosu – wyższego i cieńszego.

Pod kolanami czuję wilgoć – krew Yonga rozlewa się po podłodze.

Spingate wydyma wargi w ataku gniewu. Potrząsając Yongiem za ramiona, pochyla się i wrzeszczy mu prosto w twarz:

– Rozluźnij nogi! Rozluźnij!

Bello łapie ją za ramię i szarpie.

– Przestań, Spingate! Przecież sama nawet nie wiesz, co robisz!

Nie patrząc, Spingate wyszarpuje lewe ramię z jej chwytu – chce się od niej odsunąć, ale trafia przy tym Bello łokciem w usta. Bello podrywa ręce do twarzy. Zgięta w pół odwraca się i wycofuje, słaniając się na nogach.

Spingate chyba nawet nie wie, że ją uderzyła.

Aramowski klepie Yonga po kolanach, próbując je rozciągnąć.

– Wyprostuj nogi – powtarza głębokim głosem, cierpliwie.

– Wyprostuj.

Yong wydaje z siebie długi jęk, szarpany szlochem, który rozrywa mu pierś. Powieki ma z całej siły zaciśnięte. Z nosa kapie mu śluz, spływa po lewej stronie ust i policzku.

W końcu udaje mu się rozluźnić nogi, pozwala Aramowskiemu i mnie delikatnie je wyprostować. Leży płasko na wznak, jego ciałem wstrząsają lekkie drgawki. Oblane krwią dłonie wciąż mocno przyciska do brzucha. Od klatki piersiowej w dół całą koszulę ma czerwoną.

Spingate sięga do jego szyi, ściąga z niej krawat i podaje mi.

– Przyciśnij to do rany, jak tylko odsunę mu ręce – poleca.

– Musimy zatamować krwawienie.

Biorę krawat.

Spingate znów pochyla się nad twarzą Yonga.

– Musisz cofnąć ręce – mówi. – Dobrze? Zabierz ręce.

Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, więc zaczynam wzorem Spingate głaskać Yonga po głowie, od brwi przez czoło ku tyłowi. Krew z mojej dłoni rozmazuje się na jego kółku z gwiazdą, skleja mu włosy.

Jego skóra... jest chłodna, lepka, i to nie tylko od krwi. Yong się poci.

Spoglądam na Spingate.

– Zrób coś!

Spingate szarpie Yonga za ręce, próbuje ściągnąć mu je z brzucha.

– Staram się – szepcze. – Nie widzisz, że się staram?

Ręce Yonga ani drgną. Spingate pochyla się nad nimi, ciągnie mocniej, ale ręce tkwią w miejscu, zaciśnięte tak silnie, że palcami chyba przebijają się przez skórę, powodując dalsze obrażenia.

– Aramowski! – woła Spingate. – Pomóż mi z tym.

Aramowski wykonuje polecenie – otacza ciemnoskórymi palcami pokrwawione przeguby rąk Yonga i odciąga je łagodnie, ale uparcie, pokonując opór rannego. Palce Yonga zaczynają chwytać powietrze.

– Mamo... boli.

W jego słowach nie ma już dawnej energii. Wyraz „mamo” jest wydłużony i rozkawałkowany: „maa-aaa-aamo”.

Spingate rozrywa na nim koszulę, guziki lecą we wszystkie strony. Jego jasnobrązowa skóra jest jak płótno umazane czerwienią. Spingate przeciera ręką umięśniony brzuch Yonga, zgarnia krew na bok – przez chwilę jest prawie czysty.

Ale tylko przez chwilę, bo czerwień znowu wzbiera i wypływa z klutej rany, tętniącej Yongowi tuż nad pępkiem, nieco na lewo od niego. Wezbranie, wypływ... wezbranie, wypływ...

Spingate trzepie mnie w ramię.

– Em! Krawat!

Wpycham krawat w ranę tak szybko, że Yong krzyczy, jakbym go w nią walnęła. Dociskam krawat mocno, licząc, że to pomoże, jak zapowiedziała Spingate.

Yong patrzy na mnie, ale jego oczy mnie nie widzą.

– Mamo? Proszę... niech już nie boli.

Słowa są ledwo słyszalne. Ręce Yonga rozluźniają się, chwytne szpony wiotczą w bezwładne dłonie.

Zamykają mu się oczy. Stracił przytomność?

Spingate znów nim potrząsa.

– Yong! Obudź się!

Krawat już całkiem przesiąkł, jak mokra myjka, którą trzeba by wykręcić, ale ja przyciskam ją nadal w tym samym miejscu.

– Jak zaśnie, nie będzie się tak opierał – mówię. – Czemu nie chcesz, żeby zasnął?

Spingate patrzy na mnie zbita z tropu.

– Czemu? Ja... Sama nie wiem. Bo tak i już.

Aramowski rzuca mi spojrzenie pełne powątpiewania. Nie wydaje mu się, żeby Spingate wiedziała, co robi. To prawda – widać to gołym okiem – ale żadne z nas nie wie, co robić.

Całe ciało Yonga rozluźnia się. Głowa opada mu na lewą stronę. Aramowski opuszcza jego rękę i układa je na podłodze wzdłuż bioder.

Spingate oddycha zbyt szybko. Potrząsa głową.

– Mam dwanaście lat – szepcze. – Tylko dwanaście.

Rozciera sobie uda. Widzę, że po policzkach cieką jej łzy.

– Przestań – syczę. – Płaczem niczego się nie rozwiąże. Pomóż mu!

Spingate rzuca na mnie okiem, chwytając moje spojrzenie i jej ręce wracają do pracy. Układa je płasko na brzuchu Yonga po obu stronach krawata.

– Em, teraz podnieś, powoli – mówi, a ja robię, co każe.

Krew wydostaje się z bulgotem, jakbyśmy napełniły wodą balon i otworzyły wylot. Po boku Yonga spływa krótka strużka...

Kolejna jest już dużo mniejsza.

Czekam na następną, ale się nie pojawia.

Krwawienie ustało.

Patrzę na krawat w swoich rękach – czerwoną tkaninę przesiąkniętą czerwienią. Czerwień kapie na Yonga, na moje nogi, na podłogę. Krew Yonga zmieniła szary pył i kurz pod moimi kolanami w szkarłatną breję.

Spingate nagle mruga, jakby coś sobie przypomniała. Pewnym ruchem przykłada dwa palce do szyi Yonga.

Ten nie reaguje.

Aramowski gapi się na to wraz ze mną. Kątem oka zauważam, że Bello podchodzi bliżej, zasłaniając ręką usta. Ma szeroko otwarte oczy i lekko kręci głową.

Spingate przesuwa palce, próbuje w innym miejscu. Tętno – tego właśnie szuka, tętna.

Znów przesuwa palce i wciska je tak głęboko pod dolną szczękę Yonga, że po obu stronach skóra i mięśnie szyi aż mu się wybrzuszą. On jednak ani drgnie.

Moje spojrzenie wędruje ku klutej ranie – ranie, którą ja zadałam. Zebrała się w niej i leży nieruchomo wąziutka kreska krwi.

Spingate cofa roztrzęsioną dłoń.

– On... on umarł.

To słowo zmienia Yonga z człowieka w jakiś... przedmiot. Padam na pupę, wycofuję się, zostawiając w czerwonej brei szeroką, rozmazaną ścieżkę, aż plecami uderzam o ścianę i bardziej już nie mogę się cofnąć.

Przyglądam się przestraszonemu chłopczykowi, który wołał mamę.

Yong nie żyje.

To ja go zabiłam.

DWANAŚCIE

Sama nie wiem, jak długo siedzimy bez ruchu.

Spingate płacze. Bello też, ale teraz nie widzę w tym oznaki słabości. Chyba i ja powinnam płakać, ale łzy nie przychodzą.

Całą koszulę i kraciastą spódniczkę mam we krwi Yonga. Spingate jest także poplamiona krwią. Dwie wyraźne smugi ma na żebrach, bo tam próbowała wytrzeć ręce po śmierci chłopaka. Wiem, że to nie jest jej krew, i wiem, że nie wypada myśleć w ten sposób, ale prawie się cieszę, że w końcu się ubrudziła.

Koszula Aramowskiego jest bez skazy. Nie ma na niej ani jednej plamki, nawet zagniecenia.

– To nie jest twoja wina, Em – mówi Aramowski. – To był wypadek.

– Pewnie, że tak – odpowiadam warknięciem.

Ale... czy naprawdę tak było?

Byłam taka wściekła. Te fale nienawiści, które się przeze mnie przetoczyły... Chciałam zrobić Yongowi krzywdę. Ale gdyby się na mnie nie rzucił i nie próbował mnie uderzyć, nic bym nie zrobiła. Więc Aramowski ma rację – to nie moja wina.

Aramowski wstaje, podchodzi do leżącego na ziemi O'Malleya, delikatnie próbuje go ocucić.

Wpatruję się w Yonga. Czekam, aż się poruszy, jakby to była jakaś zabawa i tylko mnie tak nabierał. Zaraz usiądzie i się uśmiechnie, a potem wszyscy wybuchną śmiechem, bo nabierają mnie razem z nim.

Ale nikt się nie śmieje.

Yong się nie rusza.

Aramowski pomaga wstać O'Malleyowi, któremu krew cieknie z nosa, sączy mu się też ze skaleczenia nad prawym okiem.

O'Malley przygląda się Yongowi.

Potem patrzy na każdego z nas po kolei, jakby też czekał, aż ktoś ogłosi koniec tej zabawy. Widzę, że jego wzrok wędruje od Yonga do zakrwawionego noża, z powrotem do Yonga, w końcu do mnie.

– Em, co się stało?

Obrzucam go gniewnym spojrzeniem. Wiedzialaby, co sie stalo, gdyby sie nie dal znokautowac. Wlasciwie to gdyby sie nie dal znokautowac, zupełnie nic by sie nie wydarzylo. Najwyrazniej potrafi broniec mnie slowami, ale nie pieściami.

Nie wyglada juz tak pieknie jak przedtem.

Aramowski kladzie mu dlon na ramieniu.

– Yong rzucil sie na Em – wyjasnia. – Bronila sie i dzgnela go nozem.

Nawet nie wiem, kiedy zrywam sie na rowne nogi.

– Wcale go nie dzgnelam! Sam nadzial mi sie na noz. To byl wypadek, Aramowski. Wypadek!

Moje krzyki odbijaja sie echem od scian. I Aramowski, i O'Malley troche odchylaja sie przede mna do tyłu.

– Wypadek – powtarza Aramowski O'Malleyowi, kiwajac glową.

– To byl oczywiscie wypadek, tak jak mowi Em. Pewnie gdyby Yong cie nie znokautowal, to nie zaatakowalby Em i nadal by zyl.

O'Malley sie krzywi. Zabolalo go to, co uslyszal? Dobrze, powinno go zabolec.

– Spingate probowala go ratowac – dodaje Aramowski. – Rana byla bardzo glęboka. Nie dalo sie nic zrobic.

Twarz O'Malleya jest pozbawiona wyrazu. Stoi tak i krwawi. Podchodzi do Yonga, klęka w szkarlatnej brei i mowi, patrzac na ciało:

– Dlaczego nas tak zaatakowal? Jakby mu cos odbilo.

Nie, nic mu nie odbilo, chcial tylko dowodzic. Chcial tego tak mocno, ze nie mial problemu z biciem innych, zeby tylko wyszlo na jego. Byl samolubnym draniem.

O'Malley wstaje z kolan. Otrzepuje spodnie. Pociaga nosem... Placze. Nie szlocha halaslíwie jak Bello czy Spingate, ale tez nie stara sie ukryc lez, ktore splywaja mu po policzkach.

– To okropne – mowi. Potem patrzy na mnie. – No to, Em... co dalej?

Zarty sobie stroi? Jako przywodca doprowadzilam nas donikad, nie znalazlam jedzenia, wsadzilam Yongowi noz w brzuch, a mimo to O'Malley nadal uwaza, ze to ja powinnam decydowac?

Spingate też na mnie patrzy. I Bello, i Aramowski.

Wszyscy czekają.

Tak. Jestem przywódcą i powinnam nim być. To ja podejmuję decyzje. Przykro mi, że Yong nie żyje, ale to nie była moja wina, tylko jego.

– Idziemy prosto – mówię.

Pochylam się i podnoszę nóż.

– Nie. – Protest Bello brzmi prawie jak okrzyk. – Mówiłam wam, że ten nóż to coś złego. Zostaw go, Em, po prostu zostaw.

Ignoruję ją. Spódnicę i tak mam zniszczoną, więc wycieram o nią nóż do czysta, najpierw jedną stronę ostrza, potem drugą.

Spingate burczy w brzuchu. Zwiesza głowę, gęste rude loki zasłaniają jej twarz.

Odchodzę korytarzem na kilka kroków, aż znów stoję na nietkniętej połaci szarości.

Pozostali się wahają.

– Chodźmy – mówię. – Musimy ruszać.

O'Malley ruchem głowy wskazuje Yonga.

– A co z nim? Będziemy go nieść? A może zabierzemy go z powrotem do sali z trumnami, żeby nie został na podłodze?

To pytanie uświadamia mi całą naszą sytuację: Yong nie żyje, a ja planuję go tu zostawić. Nie wiemy, jak daleko musimy jeszcze iść. Nie mamy jedzenia ani wody. Usta wyschły nam tak, że zaczynają nam pękać wargi. Już teraz jesteśmy wyczerpani – nie stać nas na wydatek energii potrzebnej do niesienia zwłok.

Będzie mu tu samotnie.

Próbuję odpędzić tę myśl, bo to myśl małej, głupiej dziewczynki. Yonga już nie ma. Nie lubiłam go, ale był też jednym z nas. W głębi serca wiem, że to nie w porządku – porzucić tak jego ciało. Ale jaki mamy wybór?

– Nie – odpowiadam. – Przykro mi, ale nie możemy zabrać go ze sobą i już nie zawracamy. Nie żyje. Zostaje tutaj.

O'Malley patrzy na Yonga, jakby chciał ze mną dyskutować i argumentów szukał właśnie tam, gdzieś na ciele chłopaka. Przez dłuższą chwilę przygląda mu się i myśli, po czym powoli kiwa głową.

– Pewnie masz rację – mówi. – Ale... bo ja wiem... nie powinniśmy go pogrzebać czy coś?

Spingate wstaje, też otrzepuje z ubrania czerwone błoto.

– To by dopiero była sztuczka jak się patrzy, O'Malley. Chcesz przekopywać się przez podłogę?

O'Malley wierzchem dłoni ociera sobie twarz, zmazując z niej i krew, i łzy.

Spogląda w ciemny korytarz.

– Widzę łukowate drzwi – mówi. – Chyba są otwarte. W środku mogą być puste trumny.

Zdażyłam zapomnieć o tym portalu widocznym w korytarzu prawie na granicy przyćmionego światła. O'Malley chce włożyć Yonga do trumny. Może to i lepiej, niż tak go po prostu zostawić.

– W porządku – odpowiadam. – Zrób to szybko i zaraz wracaj.

W jego spojrzeniu widzę pytanie, a po chwili zrozumienie. Ja już Yonga nie dotknę. Nie chcę nawet do niego podchodzić.

– Pewnie, Em – mówi O'Malley. – Aramowski, pomożesz mi?

Wyższy chłopak potakuje skinieniem głowy.

– Najpierw powinniśmy powiedzieć kilka słów – sugeruje. – Tutaj, póki wszyscy przy nim jesteśmy.

Spingate prychnie z niesmakiem.

– Zmarłym jest wszystko jedno, co się mówi.

Podchodzi do mnie, staje obok i czeka.

Aramowski składa dłonie na wysokości piersi. Zamyka oczy, odchyła głowę w tył. W tym geście jest coś znajomego – to kolejna rzecz z naszej przeszłości, której nie chcą nam zdradzić wspomnienia.

Spingate zakłada ręce na piersi.

– Tracimy tylko czas.

Bello celuje w nią palcem.

– Ty siedź cicho, Spingate. Myślisz, że taka jesteś mądra, ale Yonga uratować nie umiałaś, prawda?

Spingate odwraca się, jakby Bello chlasnęła ją w twarz.

– Próbowałam – broni się. – Próbowałam.

O'Malley, Aramowski i Bello patrzą na mnie, czekając na pozwolenie.

– Streście się – mówię.

Aramowski opuszcza złożone ręce na wysokość pasa.

– Wszyscy się boimy – mówi. – Yong nie chciał się tutaj znaleźć, tak samo jak reszta z nas. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego nas zaatakował. Nikt nie chciał, żeby zginął. Dzisiaj... dzisiaj miał urodziny.

Słowa same w sobie są bez znaczenia. A jednak to, w jaki sposób Aramowski je wypowiada, miękkim, spokojnym tonem... Jego słowa niosą ukojenie.

Nadal nie mamy pojęcia, co się dzieje, w dodatku ten koszmar staje się coraz gorszy, ale podobnie jak my wszyscy, Yong był dwunastoletnim dzieciakiem. To nie moja wina, że nie żyje. Ale też i nie jego – dociera do mnie, że winni są ci, którzy włożyli nas do trumien i porzucili w tym lochu.

– Dziękuję, Aramowski – mówię.

Bello nie może przestać płakać. Oczy ma czerwone i zapuchnięte. Klęka obok Yonga. Drżąc na całym ciele, dotyka czołem jego czoła i trwa tak przez chwilę. Serce się kraje na ten widok. Wzrusza mnie prawie do łez.

Ale łzy nadal nie płyną.

Bello wstaje. Mija mnie ze spuszczoną głową.

Yong leży samotnie w podeptanym, rozmazanym kręgu szkarłatnego blocka. Teraz niczym się nie różni od Starszych, których zostawiliśmy za sobą: jeszcze jedna ofiara przemocy, martwa, bo jakiś nóż zrobił dziurę w jej ciele.

Ciekawe, ile czasu minie, zanim rozpadnie się w proch.

Nie ma tu już nic więcej do zrobienia. Spoglądam na O'Malleya, ruchem głowy wskazuję mu ciemny korytarz.

O'Malley chwytą Yonga za nadgarstki, Aramowski – za kostki u nóg. Odchodzą razem w półmrok korytarza, połączeni lekko wygiętym ciałem chłopaka, którego zwisająca do tyłu głowa kołysze się bezwładnie z każdym ich krokiem.

Odnoszą go w dal.

Bello, Spingate i ja czekamy. Nie trwa to długo. Wkrótce O'Malley i Aramowski wracają – już bez Yonga. Nie wiem, czy znaleźli dla niego jakąś trumnę, w każdym razie czuję ulgę, że go zostawili.

Dołączają do nas obaj. Aramowski nadal nie ma na sobie ani śladu krwi, ale zmienił mu się wyraz twarzy. Zobaczył coś, co go przeraziło, wytrąciło z równowagi.

Kieruję wzrok na O'Malleya. Nie chce spojrzeć mi w oczy. Wiem, co zobaczyli: więcej zamordowanych dzieci.

– Ze wszystkich trumien ktoś pozrywał wieka – mówi Aramowski. Jego głos brzmi inaczej, jak ostatni słaby podmuch wiatru przed ciszą. – Znaleźliśmy jedną, której wieko dało się jeszcze przesunąć. Złożyliśmy Yonga w środku i dopchnęliśmy wieko. Zamknęło się ze szczękiem. Spoczął w pokoju.

Przychodzi mi do głowy pytanie, czy położyli go na kimś, czy też wyjęli szkielet na podłogę, żeby Yong leżał w pojedynkę. Dochodzę do wniosku, że nie chcę tego wiedzieć.

– Czas na nas – mówię.

Odwracam się i ruszam dalej głównym korytarzem. Pozostali ruszają w ślad za mną. Tym razem O'Malley idzie obok nich.

Ja idę z przodu, sama.

TRZYNAŚCIE

Idziemy pod górę.

Jesteśmy pokrwawieni.

Bello ma pękniętą i opuchniętą dolną wargę.

O'Malleyowi ustało krwawienie z nosa, ale wciąż sączą mu się niewielkie krople z rozcięcia nad okiem.

Korytarz ciągnie się i ciągnie. Pył nie ma końca.

Musi stąd istnieć jakieś wyjście. Musi.

W ustach mam sucho i kleiście. Tak bardzo chce mi się pić... Nie jestem już głodna, ale to chyba nic dobrego. Boli mnie głowa.

Inni są w podobnym stanie. Nie tyle idą, co ledwie powłóczą nogami. Z tymi wyschniętymi wargami i zapadniętymi oczami sprawiają wrażenie wykończonych. Może i mieli idealny wygląd, ale to już przeszłość.

Czy damy radę iść dalej, jeśli w miarę szybko nie znajdziemy wody?

Potrzebujemy też snu. Jeśli gdzieś po drodze trafimy jeszcze na jakieś sale z trumnami, może chwilę odpoczniemy.

Co kilka kroków widzę szeroko otwarte oczy Yonga, wyraz niedowierzania na jego twarzy.

To był wypadek. Wszyscy tak uważają. Nie mogłam na to nic poradzić. Sam nadział mi się na nóż. Naprawdę. Chciał mnie uderzyć. Miałam dać mu się uderzyć?

Patrzę na swoją rękę, tę prawą, w której trzymam nóż. Krew Yonga – już zaschnięta – tkwi w fałdkach skóry na kostkach moich palców, wymieszana z pyłem i lepkim potem, który pokrywa mnie od stóp do głów.

Jeszcze nigdy nie byłam taka brudna. Nigdy nie byłam taka spocona i paskudna. Nigdy nie byłam taka wystraszona, spragniona, samotna.

Nie jestem dobrym przywódcą, ale czworo ludzi liczy na mnie. I że doprowadzę ich w bezpieczne miejsce. Nie wiem, czy mam lat dwanaście, czy dwadzieścia, ale wiek chyba już stracił znaczenie.

Jesteśmy tu tylko my.

Istnieje stąd jakieś wyjście. I ja je znajdę.

Za sobą słyszę pociąganie nosem. Odwracam się, myśląc, że to Bello znów płacze, ale to nie ona – to Spingate.

Zatrzymuję się. Inni robią to samo.

– Zrobiłaś dla niego wszystko, co mogłaś – mówię. – Przynajmniej coś zrobiłaś. My, pozostali, byliśmy do niczego.

Kręci głową.

– Nie o to chodzi. Tylko że... może oni wszyscy nie żyją.

Aramowski otacza ramieniem jej ramiona.

– Jacy oni?

– Wszyscy Starsi – mówi Spingate. – Jestem taka zmęczona. Już nic mi się nie chce. A jeśli ich nie ma, to nie został nikt, kto mógłby przyjść nam na ratunek.

– Nic nam nie będzie – uspokaja ją Aramowski, po czym piorunuje mnie wzrokiem, jakby Spingate popłakała się przeze mnie. – Em jest naszym przywódcą. Mówi, że wie, co robi.

Nic podobnego nie mówiłam. Czy on próbuje coś udowodnić? Nabieram podejrzeń, że Aramowski mówi jedno, ale ma na myśli coś innego.

Bello znowu składa ręce, zaciska i obraca dłonie gestem, któremu nie ma końca.

– A jeśli Spingate ma rację? – pyta. – Jeśli Starszych nie ma, to co zrobimy?

Aramowski kiwa głową.

– Właśnie, Savage, co wtedy? Kto się o nas zatroszczy?

Wszyscy oglądaliśmy nawzajem swoje trumny; każdy zna moje nazwisko, ale Aramowski wypowiada je jako pierwszy. Nawet ja sama nie mówiłam go dotąd na głos. Nie lubię tego nazwiska i nie wiem dlaczego. Na jego brzmienie robi mi się nieswojo. Aramowski chyba wiedział, że tak to na mnie działa... więc dlaczego się tak zachował?

Bo chce, żebym wypadła gorzej w oczach pozostałych.

Czuję budzący się we mnie gniew.

Aramowski kwestionuje moje przywództwo, oto, co robi. Uważa, że to on powinien dowodzić.

Moje palce zaciskają się na rękojeści noża.

Obezwładnia mnie zimna wściekłość, impuls, żeby dać Aramowskiemu nauczkę... Ale przyglądam się temu uczuciu i wtedy ono znika, zastąpione przez przyprawiającą o dreszcz świadomość.

Właśnie tak się czułam, kiedy ruszył w moją stronę Yong.

Ogarnia mnie pełen zażenowania spokój i zdaję sobie sprawę, że Aramowski wcale nie kwestionował moich decyzji. Po prostu mówił. Nie ma w tym nic złego. A nawet gdyby faktycznie kwestionował moje przywództwo, to też byłoby w porządku, o ile tylko nikogo by nie bił. Jeśli ja nie jestem właściwym przywódcą, to jest nim ktoś inny. Nie dbam o to, kto dowodzi. Chcę się stąd wydostać i tyle.

– Może i nie ma żadnych Starszych – zgadzam się. – W takim razie przeżyjemy bez nich.

Wszyscy gapią się na mnie, jakbym mówiła językiem równie im nieznanym jak ich imiona. Nawet gniewne spojrzenie Aramowskiego zmienia się w wyraz zdumienia. Czy naprawdę tak trudno im wyobrazić sobie, że damy radę przeżyć o własnych siłach?

Wskazuję korytarz za ich plecami, ten, którym przyszedliśmy.

– Chcecie kogoś, kto się o nas zatroszczy? Czy przypadkiem nie mieli się o nas zatroszczyć ci, którzy tam zginęli? Widzieliście, co zrobili jedni drugim. Wymordowali małe dzieci w ich własnych trumnach. Jeśli wszyscy Starsi zginęli...

Waham się, bo wiem, że powiem teraz coś, czego żadne z nich nie chce usłyszeć. Wypowiedzenie tego na głos może to urzeczywistnić. Ale, choć może i nie pamiętam wszystkiego, wiem tyle, że rzeczywistość jest, jaka jest – czy nam się to podoba, czy nie.

– Jeśli Starszych naprawdę nie ma, to i dobrze – ciągnę. – Nie potrzeba nam ich. Nie potrzeba nam ratunku od nikogo... Damy radę uratować się sami.

Wiem, że twarz mi się czerwieni, więc okręcam się na pięcie i znów ruszam przed siebie. „Uratować się sami”? Nagle czuję się jak idiotka. Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy ani kim jesteśmy. Małych dzieci nie powinno się zostawiać sobie samym.

Czy po tym, co właśnie oświadczyłam, pozostali jeszcze za mną pójdą?

Odpowiedzią jest szuranie czterech par nóg, które dalej wloką się moim śladem.

Po lewej dogania mnie Aramowski.

– Może Starsi nie zrobili tego sobie nawzajem – odzywa się cicho. A głośniejsze dodaje: – Może... może to był jakiś potwór.

To słowo trafia w nas z dużą siłą. Słowo pełne bezkształtnych postaci, utkane ze strachu. „Potwór” znaczy wszystko, czego nie rozumiemy, a w tej chwili nie rozumiemy niczego.

– Daruj sobie – parska śmiechem Spingate. – Nie ma żadnych potworów.

Aramowski ogląda się na nią przez ramię.

– Naprawdę? A skąd wiesz, że potworów nie ma?

– Nie ma i już – odpowiada Spingate. – Potwory to coś, w co tylko małe dzieci wierzą.

Aramowski i Spingate zaczynają sprzeczkę, ale ja przestaję słyszeć, co mówią – zauważam coś daleko przed nami: przerwę w pozornym zbiegu sufitu z podłogą.

Tym razem wiem, co to takiego.

– Przed nami jeszcze jeden korytarz – mówię głośno.

Sprzeczka momentalnie się urywa.

Nagle nie jestem już tak zmęczona. Przyśpieszam kroku, maszeruję tak szybko, że prawie przechodzę w trucht. Nie obchodzi mnie, czy ten nowy korytarz jest taki jak poprzedni, czy panuje w nim półmrok, czy nawet ciemność – wejdziemy tam, bo rozpaczliwie chcę zobaczyć coś odmiennego.

Po mojej prawej – O'Malley. Dołącza do mnie po raz pierwszy od śmierci Yonga.

– Em, może tym razem skęcimy.

– Zobaczymy – odpowiadam.

Sama nie wiem, czemu tak mówię – przecież już postanowiłam skęcić, a on tylko chce tego samego.

Nasze kroki wypełniają cały korytarz cichym tupotem. Zbliżamy się do celu, wzbijając obłoki pyłu, które zawisają za naszymi plecami.

Wtem w tle naszych odgłosów słyszę jakiś jeszcze.

Hamuję gwałtownie, ślizgam się w pyle i staję, wyciągając ręce na

boki, żeby nikt mnie nie wyprzedził.

– Em, uważaj – mówi O'Malley, robiąc unik, żeby ominąć ostrze noża, które prawie dotknęło jego brzucha.

Otwieram usta do przeprosin, gdy Aramowski wpada na mnie z tyłu. Łapie mnie za ramiona i ratuje przed upadkiem w przód.

– Przepraszam – tłumaczy się. – Stanęłaś tak nagle.

Po mojej lewej Bello zaczyna załamywać ręce.

– Em, co się dzieje?

Gromię ich wszystkich wzrokiem, przykładam palec do ust.

Milkną.

Stoimy bez ruchu. Żadnych gestów, słów, nawet oddechów.

W panującej ciszy znów słyszę ten sam odgłos. Z początku jest słaby, ale szybko narasta. Dobia z przecięcia naszego korytarza z nowym.

To ciężki tupot nóg maszerujących w jednym rytmie.

CZTERNAŚCIE

Mam ochotę uciekać, ale się powstrzymuję, bo to na nic. Nie ma tu żadnych drzwi, korytarz ciągnie się bez końca, nie ma się gdzie schować. Maszerujący zobaczą nas, kiedy tylko wyjdą z za rogu.

Odgłos się zbliża.

(Jeśli uciekniesz, twój wróg będzie cię ścigać...)

Znowu to zdanie przetacza mi się przez głowę. Czyj to głos? Jeszcze jedno, czego nie pamiętam.

A jednak wiem, że głos mówi prawdę. Jesteśmy tak wyczerpani, głodni i spragnieni, że raczej nie udałoby się nam uciec – nasz bieg byłby za wolny, a więc krótki. Niezależnie od tego, kim są ci, którzy nadchodzą, albo pokażemy im plecy i zobaczą, że się ich boimy, albo nóż – a wtedy zrozumieją, że jesteśmy niebezpieczni.

Przyciskam się blisko do prawej ściany z nożem wyciągniętym przed sobą. O'Malley staje o krok za mną, przy moim lewym ramieniu, ściskając berło jak maczugę. Chwytam od razu, że nie chowa się za mną ze strachu, tylko bierze ze mnie przykład, przykleja się do ściany, żebyśmy byli trochę mniej widoczni. Wiem, że w razie nadejścia zagrożenia postara się wystąpić naprzód i pierwszy się z nim zmierzyć, bo przecież jest ode mnie o wiele większy.

Może i nie umie się bić, ale nie przeszkadza mu to stanąć u mojego boku. Jest tak blisko, że go wyczuwam, czuję ciepło jego ciała. Śmierdzi od niego potem. Jego zapach to coś nowego. Jest inny niż ten, którym zalatywali kiedyś chłopcy w szkole, jeśli wierzyć moim szczątkowym wspomnieniom. Rozkojarza mnie – choć nie pachnie dobrze, prawie mi się podoba. Serce podchodzi mi do gardła i wali tak mocno, że czuję je aż w żołądku. Czy to z powodu niebezpieczeństwa, czy także przez O'Malleya?

Zaciskam szczęki i poprawiam chwyt na rękojeści noża. Mamy kłopoty, muszę się skupić.

Bello ciągnie mnie za lewe ramię.

– Em, uciekajmy! Co, jeśli to Starsi?

Wyrywam się jej. Nie mam czasu jej tłumaczyć, że kieruję się

głosem, który słyszę w głowie – wspomnieniem – i że on nie kłamie, ja to wiem.

– Nie uciekamy – odpowiadam. – Kim by nie byli, stawimy im czoła.

Bello zaczyna łkać. No jasne. Przesuwa się za O'Malleya i staje przy Spingate i Aramowskim.

Kroki maszerujących są już tak blisko, że brzmią jak miarowe dudnienie wielkiego bębna.

Mrozi mnie nagła myśl: a jeśli Aramowski ma rację? A jeśli potwory istnieją? Spingate nie może być pewna, że potworów nie ma. Nikt nie może być pewny. Przed oczami migają mi wizje zębisk, pazurów i dzikich ślepi, stada bestii płynącego korytarzem w poszukiwaniu bezradnych dzieci, które można porwać i pożreć.

Ale ja nie jestem już dzieckiem.

I nie jestem bezradna.

Maszerujący wynurzają się z korytarza i skręcają... w prawo, oddalając się od nas.

Nie potwory... ludzie.

Kolumna dwójkowa pięknych ludzi ubranych tak jak my, a na ich czele największy człowiek, jakiego w życiu widziałam. Wszyscy są tak skupieni, by nie zgubić kroku, że nawet nie patrzą w naszą stronę.

Czuję ulgę tak przemożną, że prawie wybucham śmiechem nad sobą i swoją wiarą w bzdury Aramowskiego.

Przywódca tamtych niesie długi kij i maszeruje miarowym, głośnym krokiem. Jego skóra jest tylko odrobinę ciemniejsza od bladej skóry Bello. Ma lśniące blond loki, które przylegają mu do głowy tak ściśle, że kiedy kroczy, nawet się nie poruszają.

Liczę. Dziewiętnaście osób – dwie kolumny po dziewięcioro i ten duży blondyn na czele.

Stoimy i ani drgniemy. Może maszerujący w ogóle nas nie zauważą.

Już prawie się obracam pokazać wszystkim, żeby byli cicho, gdy nagle słyszę okrzyk Spingate:

– Hop hop! Tutaj!

Załamuję się.

Maszerujący stają. Nie stają jednak równo: Spingate ich wystraszyła. Wyłamują się z formacji, boją się, niektórzy nagle przytulają się do innych.

– Spingate, ty kretynko – syczy Aramowski za moimi plecami.
– Po co to zrobiłaś?

– Są tacy sami jak my – odpowiada Spingate. – Możemy z nimi współpracować.

Blondyn przebiega na tył kolumny swoich, ustawia się między nami a nimi. Wymierza w nas kij i wtedy widzę, że kończy się on paskudnym ostrzem. To nie kij – to włócznia.

Na czole chłopak ma kółko-gwiazdę.

Unosi włócznię wysoko.

– Wszyscy za mną! – wrzeszczy i puszcza się biegiem w naszą stronę. Jedna para z jego grupy biegnie tuż za nim, chłopak i dziewczyna. Oboje mają krótkie, lśniące czarne włosy i skórę koloru karmelu. Pozostali ani drgną – stoją w korytarzu, niepewni, co robić.

Nogi jakby wrosły mi w podłogę. O'Malley ciągnie mnie za ramię, ponaglając do ucieczki, ale nie mogę się ruszyć. Osilek o blond włosach naciera na nas – za chwilę wbije mi w brzuch grot włóczni, a ja skończę jak Yong: na podłodze, martwa, zimna i samotna, rozpadając się w proch.

Zaraz umrę, a nawet nie zdążyłam się dowiedzieć, jak mi na imię.

Chłopak z włócznią zwalnia, zatrzymuje się o parę kroków od nas. Patrzy na mnie, nie, patrzy niżej – dopiero teraz widzę, że trzymam przed sobą nóż wyciągnięty ostrzem w jego stronę.

Choć się boję, nie mogę nie zauważyć rysów twarzy blondyna. Jest piękny, ale inaczej niż O'Malley; ten chłopak jest większy, silniejszy, ma masywniejsze ramiona i kark. Po prawej stronie jego wyraźnej szczęki sinieje guz.

Wszyscy mamy za małe ubrania, ale koszula blondwłosego chłopaka jest zapięta jeszcze tylko w pasie – swoją masywną pierś rozciąga tkaninę w szerokie V. Rękawy opinają mu się na ramionach tak ciasno, że tylko patrzeć, jak rozerwą się w strzępy. Przy najdrobniejszym jego ruchu widzę, jak pod gładką skórą pulsują mięśnie.

Stoi w miejscu. Miał tylko jedną taktykę: nacierać. Nie zadziałała, więc teraz nie wie, co począć.

Może jednak nie umrę tak zaraz.

– Cześć – mówię.

Mruga z zaskoczenia.

– Ee... cześć.

Opuszczam rękę z nożem.

– Jestem Savage – przedstawiam się. Akurat tym razem moje nazwisko wydaje mi się bardziej na miejscu niż inicjał imienia.

Chłopak stawia włócznię drzewcem na podłodze, mierząc grotem prosto w sufit. Patrzy na mnie, jakby nie wiedział, co o mnie sądzić. Nie złości się, nie zachowuje podejrzliwie... Jeśli już, to jest zbity z tropu.

– Nie uciekałaś – stwierdza.

Kręcę głową.

– Nie uciekałam. Jak się nazywasz?

Waha się przez chwilę – może czeka, aż zmienię zdanie, odwróćę się nagle i jednak dam przed nim nogę. Kiedy nic się nie dzieje, wzrusza ramionami.

– Nazywam się chyba Bishop – mówi.

Chyba się tak nazywa? Wie nie więcej niż my.

– „R. Bishop” – dodaje. – Tak było napisane na mojej kolebce.

– Kolebce?

To słowo kojarzy mi się z niemowlętami, jeszcze mniejszymi niż te maluchy, których zwłoki widzieliśmy wcześniej.

Bishop kiwa głową.

– Kiedy się obudziliśmy, każdy z nas w takiej leżał.

– Aha – domyślam się. – Chodzi ci o trumny.

Gapi się na mnie, a po chwili uśmiecha.

– „Trumny”? To nie bardzo radosne słowo, co?

Zdaję sobie sprawę, że jest tu jedyną osobą bez czerwonego krawata.

Ma dziwny kolor oczu: są żółte, trochę ciemniejsze niż te jego zmierzwiłone blond loki klejące mu się do głowy. W jego oczach odbija się światło, wyglądają, jakby same się jarzyły.

Symbol na jego czole... to gwiazda w kółku, taki sam miał Yong.

Dwoje młodych o surowym spojrzeniu, chłopak i dziewczyna za jego plecami, to także kółko-gwiazdy. Czy, tak jak Yong, będą próbowali rządzić? Czy będą bić innych, żeby postawić na swoim?

Bishop przenosi wzrok za mnie, obrzuca nim pozostałych.

– Jest was więcej?

Mam na końcu języka: „Było nas sześcioro”, ale w tym momencie widzę twarz umierającego Yonga.

– Tylko piątka – odpowiadam, odpędzając tamten obraz. – A was dziewiętnastka?

Ogląda się w głąb korytarza i widzi, że pobiegło za nim tylko dwoje. Z niesmakiem kręci głową.

– Zależy, jak liczyć – mówi. Pochyla się w moją stronę i ciszej dodaje: – Większość jest niewiele warta. El-Saffani to chlubny wyjątek. – Tu ruchem ręki wskazuje chłopaka i dziewczynę.

Odzywają się jedno przez drugie, na zmianę, zaczynając od dziewczyny:

– Jesteśmy silni...

– ...silniejsi niż reszta...

– ...oprócz Bishopa.

Ich oczy wyglądają identycznie – mają ciemną oprawę grubych brwi i ciemnobrązowe tęczówki. Są smukli i mocni, stworzeni do biegu, a nie pokazów czystej siły. Chłopak jest nieco wyższy. Choć ich przywódca uśmiecha się rozluźniony, oboje wyglądają na gotowych do walki.

Jest ich dwoje, ale usłyszałam tylko jedno nazwisko.

– Które z nich to El-Saffani? – pytam.

– Jedno i drugie – odpowiada Bishop. – Tak było na ich kolebkach: „T. El-Saffani” i „T. El-Saffani”.

To bliźniaki.

Bishop ogarnia wzrokiem moje ubranie, przenosi spojrzenie na koszulę Spingate, wargę Bello, rozcięcie pod okiem O'Malleya.

– Dlaczego wszyscy jesteście we krwi? Macie za sobą jakąś walkę?

Pozostali maszerujący podchodzą z wolna bliżej. Na ich koszulach nie ma śladów krwi. Na koszulach Bishopa i El-Saffanich też nie.

Najwyraźniej tej grupie szło dotąd łatwiej niż mojej.

– Wypadek – odpowiadam i spoglądam przelotnie na innych, zwłaszcza na Spingate, dając wzrokiem znak, żeby siedzieli cicho. Ci nowi nie muszą wiedzieć o Yongu, w każdym razie nie teraz.

Bishop wzrusza ramionami. Twarz rozciąga mu uśmiech od ucha do ucha, pasujący bardziej do chłopczyka niż dojrzałego mężczyzny. Wypręża pierś, wystawiając na ciężką próbę ostatni guzik swojej koszuli.

Unosi włócznię wysoko w górę, prawie dotykając jej grotem świecącego sufitu.

– Savage, podobasz mi się. Ty i twoi znajomi możecie dołączyć do mojego szczepu.

„Szczep” – jeszcze jedno magiczne słowo.

Zaatakował nas, wrzeszcząc, wściekły, z bronią w ręku – gotów się bić, tego jestem pewna – a teraz zachowuje się jak na dużej przerwie? Jakbyśmy byli kumplami?

– Czemu podnosisz włócznię? – pytam.

Moje pytanie na chwilę zbija go z tropu.

– Tak ogłaszamy ważne rzeczy – mówi, jakby to było absolutnie oczywiste. – Kiedy podnosi się włócznię, wszyscy muszą słuchać. Takie są zasady.

O’Malley daje krok do przodu, staje ze mną ramię w ramię. Wydawał mi się taki duży, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Ale teraz, przy Bishopie, wcale tak nie wygląda.

– Dołączyć do twojego szczepu? – upewnia się. Mruży swoje niebieskie oczy. – Może to wy powinniście dołączyć do naszego.

Bishop gapi się na niego, jakby O’Malley bredził coś bez sensu.

– Ale to ja mam włócznię. To znaczy, że jestem przywódcą.

– Podnosi broń, ale bez groźnych zamiarów. Pokazuje ją nam, jakbyśmy wcześniej jakimś cudem kompletnie ją przeoczyli.

O’Malley wskazuje mnie ruchem ręki.

– Co z tego? – pyta. – Savage ma nóż.

W tym wszystkim pobrzmiwa coś, od czego żołądek podchodzi mi do gardła. Włócznie i noże. Szczepy. Początek sprzeczki... Sprzeczki o to, kto powinien dowodzić. Tak samo zaczęło się z Yongiem. Sprawy idą w złą stronę. Muszę je jakoś powstrzymać.

– Nikt nie musi dołączać do niczyjego szczepu – protestuję.

To jeszcze bardziej dezorientuje Bishopa. Zaczyna się irytować.

– Ktoś musi dowodzić – mówi. – Muszą być jakieś zasady. Na tym to wszystko polega.

Jego palce zaciskają się na drzewcu włóczni. Intuicyjnie wyczuwam, że jeśli R. Bishop zezłości się wystarczająco mocno, moim przyjaciółom może stać się krzywda.

Przez szeregi przeciska się ostrożnie jakaś dziewczyna. Skórę ma bladą, ale bez takiego różowego odcienia jak u Spingate. Ten kolor trudno określić, to jakby jasna opalenizna, na pewno nie biały. Jest mojego wzrostu – czy też mam tak krótką spódniczkę? Mięśnie dziewczyny, zwłaszcza mięśnie jej mocnych nóg, wibrują przy najmniejszym ruchu. Włosy ma jak nikt inny: długie, kręcone loki stroszą się coraz szerzej i szerzej aż po końcówki, sięgające gładkich, jędrnych ramion. Teraz się nie uśmiecha, ale jej uśmiech musi być olśniewający.

Na czole ma kółko-gwiazdę.

Jej koszula nie nosi śladów krwi, ale na prawym policzku widać duży niebieskawy siniak. Poza tym chyba nic jej nie jest – jeśli nie liczyć ust, suchych i spękanych jak nasze.

Widzę teraz, że wszystkie nowe dzieciaki mają zeschnięte wargi, nawet Bishop.

– Macie jakąś wodę? – pyta dziewczyna.

Bishop gromi ją wzrokiem.

– Zamknij się, Latu. Rozmawiam ja.

Odpowiada mu spojrzeniem równie gniewnym i wyzywającym.

– Może powinieneś mniej rozmawiać, a więcej przewodzić, Bishop. Chce nam się pić.

Bishop wzdycha.

– Chcesz, żeby powtórzyło się to, co ostatnim razem?

– Nie wiem – odpowiada Latu. – A ty chcesz?

Jest silna i mnie mogłaby pewnie stłuc na kwaśne jabłko, ale Bishop jest od niej prawie dwa razy większy. Dziewczyna promieniuje gniewem, ale też i strachem. Czy już raz biła się z nim i przegrała?

– Jestem dobrym przywódcą – mówi Bishop. – Nasze koszule nie

są pokrwawione, prawda?

Bishop próbuje udawać, że nie przejmuje się Latu, ale nie wychodzi mu to przekonująco. Z każdą sekundą bardziej się złości. El-Saffani obserwuje go, jakby bliźniaki czekały, co zrobi. Są wyraźnie spięte. Wyglądają na gotowe do ataku, tak jak wyglądał Yong. Czy wszystkie kółko-gwiazdy są takie?

Muszę przekierować myśli Bishopa na coś innego niż O'Malley i Latu.

– Bishop, skąd przyszła wasza grupa?

Wskazuje za siebie, w głąb nowego korytarza.

– Stamtąd.

No jasne, że stamtąd. Nie o taką informację mi chodziło.

– Ciągłe skręcamy – odzywa się chłopak El-Saffani.

– Bishop mówił, że dobrze jest skręcać – dodaje dziewczyna El-Saffani.

Słysząc śmiech innego chłopca, tak szyderczy, że robi mi się głupio, choć nie mam z ich grupą nic wspólnego.

Bishop odwraca się i grozi palcem w stronę, z której dobiegł śmiech.

– Zamknij się, Gaston. Mówiłem, że masz się ze mnie nie śmiać.

Jakiś chłopiec wyslizguje się z grupy ciasno stłoczonej za Bishopem i Latu. Jest mały, mniejszy nawet ode mnie. Biała koszula leży na nim jak ulał – wszystkie guziki zapięte, rękawy właściwej długości – a czerwony krawat jest po prostu bez zarzutu. Tylko lewe oko Gaston ma podbite i opuchnięte.

Symbol ma taki sam jak Spingate: poszczerbione kółko.

– Nie śmieję się z ciebie, Bishop – mówi Gaston. – Przypomniał mi się tylko taki kawał. Naprawdę śmieszny. Idzie on tak: dawno, dawno temu był sobie taki bardzo wielki, bardzo głupi dzieciak, który lubił bić innych. Ciągłe skręcał, chociaż tak naprawdę nie wiedział, dokąd idzie, aż w końcu...

Bishop robi krok w jego stronę. Gaston błyskawicznie wtapia się w grupę i znika za większymi dzieciakami.

– Tak też myślałem – kwituje Bishop.

Rzuca okiem w kierunku skrzyżowania korytarzy. Kiedy

maszerował na czele, był taki pewny siebie, jakby składał się wyłącznie z przekonania o własnej racji. Trochę przekomarzania – i oto wydaje się pełen wątpliwości.

– Może powinniśmy zawrócić – odzywa się cicho. – Było kilka odnóg, któreśmy... może powinniśmy spróbować znowu w tamtą stronę.

Latu kręci głową, i to bardzo zdecydowanie.

– Ja nie wracam – protestuje. – Nie ma mowy.

Z jej szeroko otwartych oczu wyziera zawzięta determinacja zrodzona z autentycznego strachu.

Widzę, że w grupie Bishopa niektórzy przytakują Latu, z ich twarzy bije lęk. Nawet zimne spojrzenia El-Saffanich stają się bardziej normalne – znowu są dziećmi, maluchami przerażonymi czymś, o czym woleliby zapomnieć.

– Co widzieliście? – pytam, chociaż się domyślam, że to samo, co my.

Bishop oblizuje zeschnięte wargi. Nieobecny wzrok wbija w ścianę.

– Sale – odpowiada. – Sale pełne kościotrupów. Niektóre kości wyglądały, jakby je ktoś porąbał na kawałki.

Kiwam głową.

– Widzieliśmy to samo.

Bishop mówi dalej, jakbym się wcale nie odezwała:

– Jedna sala była dziwna. Dostaliśmy się do niej przez drzwi w podłodze. Zeszliśmy po drabinie. Tę salę tylko Gastonowi udało się otworzyć. W niej i kilku innych były te... ee... Gaston, jak ty je nazywałeś?

Gaston znowu wysuwa się z grupy, ale trzyma się z dala od Bishopa.

– Postumenty – mówi. Pokazuje ich wysokość, zawieszając dłoń na poziomie swojego mostka. – Zrobione z białego kamienia i ustawione w salach w taki sposób, że wyglądały na... ważne. Tak jakby miały na nich stać jakieś naprawdę ważne posągi, no nie? Ale wszystkie postumenty były popękane albo rozbite... oprócz trzech w tej sali z drabiną. Ale tamto miejsce...

Urywa. Wygląda na przestraszonego, i to nawet bardziej od Latu.

– Coś w tej sali was wystraszyło – naciskam go. – Co takiego?

Gaston otwiera usta, ale się waha. Patrzy w stronę Bishopa, który nie chce spojrzeć mu w oczy. Może i się nie lubią, ale tam zdarzyło się coś, co wytrąciło z równowagi ich obu.

– Zwłoki – mówi Gaston cichym głosem. – Całe zeschnięte na wiór, nic, tylko skóra i kości. Leżały rozpostarte na ziemi twarzą w dół. Ubranie na nich było chyba białe, ale... – Przerzywa, przeciera sobie twarz i ciągnie: – Soki przesączyły się przez ubranie, tak że zrobiło się kolorowe. Na jednym ręku było coś jakby kajdany, coś jak metalowa obręcz z wystającym z niej cienkim ostrzem, tylko że do niczego nie przykuta. – Ruchem głowy wskazuje włócznię Bishopa. – To było w plecach tego trupa, wbite tak mocno, że aż tkwiło w podłodze.

Bishop zdobył swoją broń tak samo jak ja moją – wyciągnął ją ze zwłok kogoś, kto od niej zginął.

Sama nie wiem dlaczego, ale mam ochotę poprawić humor temu małemu chłopcu. Może mu wstyd, że się bał, ale nie ma się czego wstydzić.

– My też widzieliśmy zwłoki – mówię. – Zwłoki potrafią być straszne.

Gaston podnosi wzrok, zastanawia się chwilę i kręci głową.

– Nie – zaprzecza. – To znaczy, tak, te zwłoki były całe zeschnięte, paskudne i straszne, ale nie o to chodziło. Chodziło o samą tę salę. Zeszliśmy do niej tylko Bishop i ja. Była bardzo ciemna, okrągła i... no, było z nią coś nie tak, to wszystko.

– Tam straszyło – mówi cicho Bishop. – Straszyły w niej duchy.

Gaston przewraca oczami.

– Bishop, nie ma żadnych duchów. Ile ty masz lat, dziesięć?

Bishop odpowiada mu warknięciem:

– Ach tak? Skoro nie ma żadnych duchów, czemu tak szybko zasuwałś z powrotem po drabinie, co? Mało się nie posikałeś.

Gaston nie odpowiada. Widzę, że chciałby to jakoś wytłumaczyć, powiedzieć wszystkim, co dokładnie było nie tak z tamtą salą, ale nie potrafi. Gaston zdaje się myśleć, że zna odpowiedź na wszystko. Kiedy natyka się na coś, czego nie wie – na coś, co czuje, zamiast rozumieć – jest wytrącony z równowagi. Muszę to zapamiętać.

Latu zakłada ręce na piersi.

– Dość gadania. Ja tam nie wracam. Nie chcę znowu oglądać kości.

Bishop otrząsa się ze wspomnienia o tamtym dziwnym miejscu.

Zmusza się do uśmiechu. Znowu jest muskularnym, barczystym, odważnym królem placu zabaw.

– Coś przeoczyliśmy, to wszystko – oznajmia. – A kości leżą tu pewnie wszędzie. Wracamy i cześć. Jak dojdziemy do korytarza z salą, w której straszy, pójdziemy w drugą stronę. Prościzna.

Przed spotkaniem z Bishopem i jego grupą byłam pewna, że chcę pójść nową odnogą korytarza. Ale to właśnie z niej nadeszli, a nie znaleźli żadnego jedzenia ani wody. Wyglądają też na trochę zagubionych. To samo może zdarzyć się i nam, jeśli dojdziemy w stronę, z której przyszli. I tak jak Latu – nie chcę znowu oglądać trupów. Może najlepiej będzie, jak wrócę do swojego pierwotnego założenia.

W górę nie da się iść bez końca.

Zaczynam wskazywać na długi korytarz za nami, ale łapię się na tym, że robię to nożem. Powstrzymuję się i zmieniam ręce.

– My przyszliśmy stamtąd. Chcemy iść tym korytarzem dalej, aż się skończy. Moim zdaniem, jeśli będziemy skręcać, wkrótce przestaniemy wiedzieć, dokąd idziemy.

Bliźniaki El-Saffani spoglądają po sobie. Także reszta ludzi Bishopa wymienia się spojrzeniami. Czy to możliwe, że ta myśl nigdy nie przyszła im do głowy?

– Idziemy dalej prosto – kończę. – Jeśli chcecie się do nas przyłączyć, wszyscy jesteście mile widziani.

Wyraz twarzy Bishopa się zmienia. Patrzy na mnie z podziwem, ale też z czymś jeszcze – jakbym zakwestionowała jego autorytet, a on musiał na to jakoś zareagować.

Podchodzi o krok bliżej. Jest wyższy ode mnie przynajmniej o głowę. Muszę podnieść wzrok, żeby spojrzeć w te jego dziwne żółte oczy. O'Malley cały się najeża – jest teraz równie spięty jak El-Saffani.

Bishop uśmiecha się do mnie z góry.

– Jesteś odważna – oznajmia. – Nie uciekałaś. Prawie wszyscy przede mną uciekają. Nasze szczepy powinny trzymać się razem.

W grupie siła. Ty i twoi przyjaciele pójdziecie z nami.

Myśli, że jestem odważna? Śmiechu warte. Największy człowiek, jakiego w życiu widziałam, rzucił się na mnie z wrzaskiem, wymachując włócznią... Nie mogłam się nawet ruszyć, a on bierze to za odwagę. Tak czy siak, cokolwiek sobie myśli, nie zaczniemy teraz nagle wędrować ślepo w kółko.

Prostuję ramiona i mierzę go spojrzeniem z dołu.

– Mówiłam ci już, dokąd idziemy, Bishop.

Na jego twarzy znowu pojawia się ten wyraz ni to złości, ni to dezorientacji.

– Ale to ja noszę włócznię. To znaczy, że ja dowodzę.

O'Malley nachyla się bliżej nas.

– Może powinien ją nosić kto inny.

Bishop odpowiada mu uśmiechem. To uśmiech zupełnie inny niż ten pod moim adresem.

– Możesz wyjąć mi ją z ręki – mówi do O'Malleya. – Jeśli ci się uda, to ty będziesz dowodzić.

O'Malley trzyma berło opuszczone wzdłuż boku. Nerwowo zaciska i rozluźnia chwyt na wysadzanej klejnotami pałce.

Bishop obrzuca berło przelotnym spojrzeniem, prawie niecierpliwym, jakby miał nadzieję, że O'Malley się nim zamachnie, pierwszy zacznie walkę.

– Savage mi się podoba – mówi do niego. – Ty nie. Jak się nazywasz?

– O'Malley.

– To ładna broń, O'Malley – ciągnie Bishop. – Błyszcząca i elegancka.

To się zaraz skończy rozlewem krwi. Tak samo jak z Yongiem.

Mogę zapobiec walce – wystarczy, że pozwolę Bishopowi dowodzić. Wystarczy, że powiem kilka słów i nikomu nic się nie stanie.

Ale nie mogę, bo chcę być przywódcą.

Nie przestając uśmiechać się do O'Malleya, Bishop zamyka oczy.

– Może mnie walniesz swoją błyszczącą bronią? Nawet nie patrzę. Pewnie znokautujesz mnie jednym ciosem, a potem będziesz mógł zabrać mi włócznię.

Wyraźnie prowokuje O'Malleya. Widzę, że ten rozważa

propozycję: marszczy czoło, zerka na nos Bishopa, na jego skroń, na szczękę, jakby szukał, gdzie najlepiej uderzyć. Na czoło występują mu kropelki potu, od których ciemnieje pokrywający skórę pył. Za chwilę wybuchnie jakaś wielka bitwa. Zaraz weźmie zamach, poleje się krew, znów będzie pełno krwi...

Wtem O'Malley wyraźnie się rozluźnia. Z jego rysów znika całe napięcie. Twarz ma znowu gładką, bez wyrazu.

– Mam lepszy pomysł, Bishop – mówi. – Zależy ci, żebyśmy wszyscy trzymali się razem, więc może też wszyscy razem zadecydujemy, kto ma rządzić?

Bishop otwiera oczy. Uśmiech znika mu z twarzy.

– Niby jak wszyscy mają zdecydować? Przecież po to się ma przywódcę, żeby decydował. Nie?

O'Malley potakuje.

– Zgadza się. Ale pomysł, żeby trzymać się razem, był twój, prawda?

Bishop przygląda mu się podejrzliwie.

– Tak, ale nadal nie rozumiem, o co ci chodzi.

Gaston z krzywym uśmiechem zakłada ręce na piersi.

– Chodzi mu o to, żebyśmy głosowali, Bishop – mówi. – W ten sposób nikomu nic się nie stanie.

Bishop obrzuca wzrokiem resztę swojej grupy. Wie, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Nie żeby był głupi, przecież widzę, że nie, ale nie jest takim bystrzakiem jak O'Malley. Daleko mu do tego.

Zastanawia się przez chwilę, po czym kiwa głową.

– Dobra, w porządku, możemy głosować. Ja zorganizowałem osiemnaście osób. Savage, ty zorganizowałaś czworo. Więc głosowanie wygrywam ja. – Pręży pierś. – To ja jestem przywódcą.

Gaston kręci głową.

– Od początku dowodziłeś tylko dlatego, że jeśli się z tobą nie zgadzaliśmy, to nas biłeś. Ty nikogo nie organizowałeś, nadęty głupku, tylko zastraszałeś.

Rozglądam się po twarzach pozostałych nowych. Fakt, nikt nie ma krwi na koszuli, ale spod skorupy pyłu tu i tam wyglądają sińce i obrzękłe wargi. Ten siniak na policzku Latu... pasuje do rozmiaru

wielkiej dłoni Bishopa, zaciśniętej w wielką pięść.

Bishop sprawia wrażenie zirytowanego, rozdrażnionego, jakby nie mógł pojąć, dlaczego nikt nie rozumie prostych faktów.

– Podejmowałem decyzje – tłumaczy. – Ktoś musi podejmować decyzje, inaczej żadne decyzje nie zostaną podjęte.

W jednej chwili rozumiem, że ja i Bishop jesteśmy bardziej do siebie podobni niż od siebie różni. Ktoś musi podejmować decyzje... tylko że tym kimś nie powinien być on.

Gaston wskazuje mnie palcem.

– Ona ma jakiś plan. Ty tylko każesz nam łązić w kółko, a wszyscy za bardzo się ciebie boją, żeby coś powiedzieć.

Widzę, że część ludzi Bishopa potakuje. Ale tylko niektórzy. Kilkoro ma na czole kółko z gwiazdą, takie jak Bishop, Yong czy El-Saffani; z tego grona nie potakuje nikt.

Zerkam pytająco na O'Malleya: może powinnam coś powiedzieć? Kręci głową niemal niezauważalnie, drgnienie w lewo, drgnienie w prawo. Jego niebieskie oczy wpatrują się we mnie surowo. Chce, żebym dała mówić innym.

Siedzę więc cicho.

Bishop macha ręką wzdłuż korytarza.

– Savage nic nie robi, tylko idzie prosto przed siebie. Gdzie w tym jakaś przygoda?

Teraz potakują mu pozostałe kółko-gwiazdy. One też są żadne przygód. Szybko liczę: razem z Bishopem, El-Saffani i Latu – kółko-gwiazdę ma na czole osiem osób. Poza tym jest jedna dziewczyna z takim kółko-krzyżykiem jak u Brewera, jeszcze jeden chłopak z poszczerbionym kółkiem jak u Gastona i Spingate, dwa półpełne kółka jak u O'Malleya i sześć pustych kółek jak u Bello i mnie. Aramowski to jedyne kółko-w-kółku – ciekawe, jak on zagłosuje.

Bishop obraca się twarzą do swoich. Prostuje ramiona i wypręża pierś. Mówi do nich donośnie – niby nie krzyczy, ale niewiele mu brakuje.

– Kto by chciał iść prosto przed siebie? To głupota. Im więcej skręcamy, tym więcej terenu pokrywamy. Słuchajcie, na pewno coś wkrótce znajdziemy. Coś przeoczyliśmy, nic więcej. Wrócimy

i skrećimy w inną stronę.

Członkowie jego grupy bez kółko-gwiazd na czole wbijają wzrok w ziemię, rozglądają się po korytarzu, patrzą wszędzie, byle nie na niego. Wyraźnie nie chcą spojrzeć mu w oczy.

W końcu dociera do mnie, dlaczego O'Malley chce, żebym była cicho – Bishop sam robi wszystko, by przegrać głosowanie. Ale nie mogę liczyć tylko na to, muszę coś powiedzieć. Jeśli uda mi się przeciągnąć jego ludzi na moją stronę, zakończę ten spór bez walki. To znaczy, o ile Bishop faktycznie zaakceptuje wynik głosowania.

– Nie trzeba nam przygody – mówię. – Trzeba nam się stąd wydostać.

Od razu widzę, że twarze się zmieniają – w szeroko otwartych oczach pojawia się zachwyt.

Gaston podnosi rękę.

– Ja głosuję na Savage – mówi, nadal piorunując wzrokiem Bishopa. – Kto jeszcze głosuje na Savage?

Ręce podnoszą Bello, Aramowski, Spingate i O'Malley. A także Latu i wszyscy pozostali z grupy Bishopa, którzy nie należą do grona kółko-gwiazd.

Gaston liczy po kolei, wskazując każdego palcem. Liczy powoli, głośno. Nawet za głośno, jakby wynik, który już jest oczywisty, sprawiał mu niekłamaną satysfakcję.

– Szesnaście głosów na Savage. A teraz ręka w górę, jeśli chcecie Bishopa.

Ręce podnosi siedem osób, w tym Bishop. Przegrał, ale głosowały na niego wszystkie kółko-gwiazdy oprócz Latu. Teraz patrzą na mnie gniewnie: czterech chłopaków, dwie dziewczyny. Kółko-gwiazdowe chłopaki są wyższe niż większość z nas, napakowane. Dziewczyny kółko-gwiazdy, smukłe i umięśnione, w walce na pięści pewnie dałyby radę O'Malleyowi czy Aramowskiemu.

Bez noża nie miałabym szans w walce z żadnym z nich.

Jeśli kółko-gwiazdy zignorują wynik głosowania i pójdą za Bishopem, będzie problem.

Uświadamiam sobie, że sama nie zagłosowałam, ale to bez

znaczenia.

Gaston kiwa głową.

– Szesnaście głosów na Savage, siedem na Bishopa. – Usta wyginają mu się w krzywym, na pół szyderyczym uśmiechu. – Savage wygrała. To ona jest przywódcą. Bishop, oddaj jej włócznię.

Oczy Bishopa zwężają się. Zaciska spękane wargi, rozdyma nozdrza. W tej chwili wygląda straszniej, niż kiedy szarżował na mnie z wrzaskiem. Dzikość kipi mu pod skórą. Przez jakąś sekundę nie wiem, czy nie wbije Gastonowi włóczni w brzuch.

– Ona jest moja – mówi. – Włócznia jest moja.

O'Malley wskazuje ją ręką.

– Mówiłeś, że włócznię nosi przywódca. Em jest przywódcą, więc oddaj włócznię jej.

Słowa O'Malleya brzmią zupełnie inaczej niż Gastona. W jego głosie nie ma złośliwości czy arogancji, jedynie irytująco spokojne przypomnienie faktów, które wszyscy już znają.

Drzewce włóczni zaczyna się trząść: Bishop ściska je tak mocno, że drży mu ręka. Podoba mu się bycie przywódcą.

A ja nagle rozumiem, że mnie też.

Przez dłuższą chwilę jestem pewna, że zaraz wybuchnie bitwa, wskutek której skończymy jako kości rozrzucone po korytarzu. Ale wtedy Bishop zamyka oczy i pochyla włócznię w moją stronę.

Biorę ją. Dam radę. Potrafię nas poprowadzić.

Podaję swój nóż O'Malleyowi. O'Malley wręcza berło Spingate. Gaston chyba dopiero teraz je zauważa – i najwyraźniej rozpoznaje, sądząc po jego szeroko otwartych oczach.

Bishop kręci głową, po chwili nią potakuje. Wydaje z siebie długie, głośnie sapnięcie. Wezbrana w nim dzikość nagle wyparowuje. Zdążył się już pogodzić z sytuacją. Wszystko, co czuje, odmalowuje się na jego twarzy tak wyraźnie, jakby opowiadał o tym na głos.

– Dobra, Savage, wygrałeś – przyznaje. – W porządku. Jesteś przywódcą. I co dalej?

Ważę włócznię w dłoni, czuję jej ciężar. Może powinnam zmienić symbol przywództwa na berło – narzędzie zamiast broni. Ale nie,

Spingate dużo lepiej niż ja wie, jak posługiwać się berłem, a ja rozumiem, że trzeba przyjąć coś, co będzie wskazywać, kto rządzi.

Byłam przywódcą czwórki innych ludzi. Teraz jestem przywódcą dwudziestki trójki. Chyba wszyscy chcą iść za mną, sama nie wiem czemu. Nieważne zresztą. Obiecuję sobie, że ich nie zawiodę.

Nie jestem pewna, co powinnam zrobić, więc biorę przykład z Bishopa: unoszę włócznie.

– Idziemy prosto – mówię.

I idę.

Ruszają za mną.

PIĘTNAŚCIE

Idziemy pod górę.

Idziemy, idziemy, idziemy.

To się kupy nie trzyma – nawet jeśli nasza sala z trumnami mieściła się głęboko pod ziemią, czy nie powinniśmy do tej pory wyjść na powierzchnię? Tymczasem nie widzieliśmy jeszcze żadnych okien, żadnych oznak świata zewnętrznego.

Bołą mnie nogi. Zdążyły mi zdrętwieć od ciągłego marszu, ale kiedy napotkaliśmy grupę Bishopa, stanęliśmy na chwilę i chyba krew zaczęła trochę żywiej w nich krążyć. Moje nogi spodziewały się, że odpoczną. Nie podoba im się, że wróciły do pracy. Mam wrażenie, jakby skóra i mięśnie miały mi się wkrótce przetrzeć aż do kości.

Słyszę za sobą rozmowy pozostałych, zarówno moich, jak i tych od Bishopa. Zadają na głos te same pytania, które i mnie chodzą po głowie. Wiedzą, że mają krewnych, ale nie pamiętają żadnych twarzy. Wiedzą, że chodzili do szkoły, ale nie przypominają sobie, na jakie zajęcia, kim byli ich nauczyciele, rówieśnicy z klasy... zupełnie żadnych szczegółów.

Chcą wiedzieć, co znaczą ich symbole.

Chcą wiedzieć, jak mają na imię.

Podczas marszu próbuję się poznać choćby z częścią nowych. Jest wśród nich K. Smith, jedyny kółko-krzyżyk, dziewczyna tak chuda, jakby była na skraju śmierci głodowej. Ma olśniewające szare oczy, oliwkową skórę i krótkie brązowe włosy. Jest najwyższą dziewczyną z nas wszystkich, prawie dorównuje wzrostem O'Malleyowi.

G. Beckett ma opaloną skórę i jasnorude włosy. Jego symbol to poszczerbione kółko jak u Spingate i Gastona. Beckett niewiele mówi. Wygląda na młodszego ode mnie – nie tyle ze względu na wzrost, co na sposób, w jaki się zachowuje.

Oprócz Bello i mnie jest jeszcze sześć pustych kólek: E. Okereke, chłopak o skórze najczarniejszej z nas wszystkich; Y. Johnson, dziewczyna z włosami popielatoblond, która nie patrzy nikomu w oczy, tylko mamrocze coś pod nosem; R. Cabral, która z kolei patrzy w oczy wszystkim, za to stale milczy; oraz O. Ingolfsson, przysadzisty blondyn,

na oko równie silny jak Bishop, ale niższy i wyraźnie mniej sprawny. Ostatnie dwa kółka to J. Harris i M. D'Souza, chłopak i dziewczyna, którzy rozmowy ze mną uparcie unikają.

Kółko-gwiazdy nie mogą ścierpieć tego, że wygrałam głosowanie. W większości mnie ignorują. Łysa Y. Bawden o brązowej skórze odpowiada na moje pytania, ale mi nie ufa. Przynajmniej nie okazuje mi jawnej wrogości; U. Coyotl – którego jasnobrązowa skóra ma odcień czerwony, jakby mama podczas kąpieli o wiele za mocno go wyszorowała – oraz W. Visca – duży chłopak o jasnoróżowej skórze i jaskrawobiałych włosach – prawie na mnie warczą, ilekroć na nich spojrzę.

Ale najbardziej zaskakuje mnie Bishop. Spodziewałam się, że zachowa urazę, może będzie planował odebrać mi włócznie albo walczyć ze mną o przywództwo tak jak Yong. Tymczasem nie robi nic z tych rzeczy. Jest radosny. Jest gadatliwy. Właściwie to nie przestaje gadać. Jego nieprzerwane trajkotanie to jedyna rzecz, która podnosi wszystkich na duchu.

Czas wlecze się tak samo jak nasze nogi. Słowo daję, sama nie wiem, jak długo jeszcze damy radę iść.

Mija może pięć, może sześć godzin od momentu, kiedy przejęłam włócznie, gdy upada pierwsza z nas: dziewczyna z półpełnym kółkiem o nazwisku Q. Opkick.

Zanim do niej docieram, Bishop już podtrzymuje ją ramieniem. Uśmiecha się, kiwając głową, jakby to, że ktoś mdleje z braku jedzenia lub wody – albo jednego i drugiego – było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem.

Wkrótce upadną kolejni. Nie możemy zrobić dla Opkick nic, tylko brnąć dalej, więc brniemy dalej.

Moje nogi... ależ one bołą.

Jakąś godzinę później sama omal się nie przewracam. Potykam się, ale O'Malley łapie mnie, przytrzymuje. Znowu robi coś dziwnego ze spojrzeniem, jakby umiał mówić do mnie samymi oczami. A jego oczy mówią mi: „Nie upadaj... Jeśli upadniesz, będzie po nas”.

Kiwam głową. Dam radę iść dalej.

I wtedy, wreszcie, daleko przed nami, nasz korytarz... nasz

korytarz się kończy.

Zaczynam poruszać się szybciej. Inni też. Wszyscy zapominają o bólu głowy, pragnieniu, zaschniętych gardłach. Kiedy Bishop wymuszał na swoich marsz w nogę, było słychać odgłos podobny do miarowego bicia wielkiego bębna. Ja nie każę nikomu maszerować: gdy przyśpieszamy kroku i puszczamy się biegiem, brzmi on jak przetaczający się grzmot.

Korytarz kończy się zakurczonym, zardzewiałym łukiem. Blokują go dwie kamienne płyty rozdzielone wąską rysą.

Drzwi.

Zatrzymujemy się. Przyglądamy. Może to nic takiego. A może wszystko, czego nam trzeba.

Czy to koniec? Udało nam się? Czy te drzwi wypuszczą nas z tego straszego miejsca? Czy zaprowadzą do jedzenia, do wody, do ludzi, może do naszych rodziców?

– Bishop – mówię – przekaż Opkick komuś innemu. Potrzebny mi jesteś tu obok, z przodu.

O'Malley patrzy na mnie z kwaśną miną. Nie podoba mu się moja decyzja, ale to niemądre – Bishop jest największy i najsilniejszy z nas wszystkich, to oczywiste, że powinien wyjść jako pierwszy.

Bishop dołącza do mnie pod drzwiami. Po bokach ma El-Saffanich. Bliźniaki podeszły nieproszone – gdziekolwiek idzie Bishop, idą z nim.

Oglądam się na Spingate.

– Otwórz je – mówię.

Potakuje gwałtownie, podekscytowana nową zagadką, którą musi rozwiązać. Otrzepuje pył z metalowych odrzwi, odsłaniając osadzone w nich klejnoty. Przez chwilę badawczo przygląda się portalowi. Widzę, jak rusza wargami. Zaczyna naciskać niebieskie kamienie. Kręci głową – coś jej się pomyliło.

Dołącza do niej Gaston. Wskazuje na dwa żółte klejnoty. Spingate przytakuje, naciska je, a potem inny, zielony. Otwiera się ukryty panel.

W środku widać dwa ciemne wgłębienia.

Spingate patrzy na mnie pytająco, jak zwykle prosząc o pozwolenie.

Spoglądam na Bishopa. Wiąże mnie z nim coś, czego nie

wyczuwam przy O'Malleyu. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. To coś, co czuję gdzieś w dołku, a może w szpiku kości. O'Malley jest inteligentny, pomaga mi organizować sprawy i uspokajać sytuację, ale Bishop przypomina mnie samą pod jednym podstawowym względem: chce być przywódcą. Tak jak i ja jest skłonny podejmować decyzje i brać za nie odpowiedzialność.

Bishop uśmiecha się do mnie szeroko. Może za tymi drzwiami czeka przygoda, której tak bardzo pragnie.

Jest gotowy.

Ja też.

Skinieniem głowy daję znak Spingate.

– Otwieraj.

Wsuwa zęby berła w otwory. Słysząc pstryknięcie mechanizmu. Spingate unosi koniec drążka.

Cały korytarz skrzypi i drży w posadach.

Ze zgrzytem tak głośnym, że niektórzy zasłaniają sobie uszy, kamienne drzwi zaczynają się trząść.

SZESNAŚCIE

Drzwi rozsuwają się odrobinę i zatrzymują. Ze szczeliny bucha gorące, wilgotne powietrze, a razem z nim jakiś smród, mocny i okropny.

Spingate podbiega do mnie.

– Em, powietrze jest wilgotne. To znaczy, że tam może być woda!

Kiwam głową. Nie jestem pewna, czy Spingate ma mnie za idiotkę, czy po prostu wygłasza każdą myśl, która przychodzi jej do głowy, nieważne jak oczywistą.

Powoli drzwi rozsuwają się szerzej.

Za nimi jest ciemno choć oko wykol – jedynie światło z naszego korytarza rzuca na podłogę jasny, rozszerzający się prostokąt.

Przez chwilę łudzę się, że to tylko jakaś iluzja albo wzrok płata mi figle. Chcę zobaczyć trawę i drzewa. Chcę zobaczyć, że jesteśmy na zewnątrz. Tyle że to, czego chcę, się nie liczy: rzeczywistość jest, jaka jest. A rzeczywistość, którą przed sobą widzę, to tylko jeszcze jedno pomieszczenie.

Mały Gaston marszczy nos i macha przed nim ręką.

– Jejku, co za okropność. Bishop, jak puszczasz bąka, mógłbyś przynajmniej odejść na koniec korytarza.

Bishop obraca się w jego stronę. Gaston znowu znika w grupie. Bishop krzywi się ze złości i chce za nim pogonić, ale łapię go za ramię.

– Zostań przy mnie – mówię. – Nie wiemy, co może stamtąd wypaść.

Jego blada twarz się rumieni. Wiedział przecież, że w takiej chwili nie powinien dać się Gastonowi wytrącić z równowagi. Na ugiętych kolanach, z rękami wyciągniętymi przed siebie, gotów odeprzeć wszelkie zagrożenie, podchodzi do rozszerzającego się otworu między kamiennymi płytami.

Słyszę, jak dzieciaki za nami zaczynają jęczeć i narzekać na odór. Chyba znam ten zapach, to coś związanego ze szkołą... Szkoda, że nie pamiętam. Jeśli kiedykolwiek znajdziemy ludzi, którzy odebrali nam pamięć, klnę się na Tlaloca, że zadżgam ich co do jednego.

„Tlaloc”? A kto to jest Tlaloc? To jakieś imię albo nazwisko, tak jak „Czajkowski” to nazwisko, ale nie wydaje mi się, żeby Tlaloc był muzykiem. Nie mam pojęcia, czyje to imię, ale daje mi przynajmniej jakąś nadzieję, że może kiedyś moje wspomnienia wrócą.

Ciężkie drzwi są już otwarte do połowy, gdy nagle prawa strona zaczyna zgrzytać i zwalnia. Trzęsie się w górę i w dół, a podłoga pod naszymi nogami aż podskakuje. W końcu kamienna płyta zacina się z ogłuszającym trzaskiem.

Lewa połowa drzwi otwiera się dalej. Do końca wsuwa się w ścianę, a cały korytarz drży po raz ostatni.

Prawa część drzwi, najwyraźniej popsuta, pozostaje krzywo wychylona na zewnątrz. Przestrzeń przed nami ogarnia ciemność, nie licząc światła padającego z korytarza, które odbija się refleksami na twardej podłodze, zaśmieconej kawałkami metalu i umazanej czymś brudnym.

O'Malley nachyla się ku mnie.

– Em, co robimy?

Możemy albo odwrócić się na pięcie i odejść, albo wejść do ciemnej, śmierdzącej sali – tak wilgotnej, że od samego stania w progu zaczynam się pocić. Ale, jak powiedziała Latu: „Ja tam nie wracam”.

– Potrzeba nam światła – odpowiadam.

Obracam się w stronę Spingate.

– Jakież pomysły?

Spingate obiema rękami przyciska berło do piersi. Kręci głową.

Bishop bez słowa wkracza do ciemnej sali, mając El-Saffanich po bokach. Drażni mnie, że wszedł tam bez mojego pozwolenia, ale tylko trochę.

Kawałki metalu to jakieś sprężyny, okrągłe i płaskie pręty, śruby, gwoździe i jakieś przypadkowe elementy – kto wie, czego częściami kiedyś były. Gdzieś znad portalu zwieszają się białe tkaniny – może to jakieś transparenty?

Gaston daje krok przed Spingate i obraca się do niej przodem. Gapi się na... czy on się gapi na jej piersi? Spingate też to widzi – policzki jej czerwienieją i spogląda na mnie, milcząco prosząc, żebym coś z tym zrobiła.

– Gaston – mówię – nie bądź ordynarny.

Gaston patrzy na mnie, zbity z tropu. Po chwili załapuje i aż otwiera szerzej oczy.

– A, nie, patrzę na to berło – szczerzy się do Spingate. – Ale nie zrozum mnie źle, masz naprawdę fajne cycki.

Nie wierzę własnym uszom. Spingate, wytrącona z równowagi, nie wie, co powiedzieć.

Gaston wyciąga do niej rękę.

– Mogę zobaczyć to berło? Czuję, że ono... potrzeba nam światła, a ono powinno... – Szuka właściwych słów. – Rozumiesz, o co mi chodzi?

Spingate kręci głową, nadal zdenerwowana jego uwagą, ale nagle mruży oczy. Patrzy na berło jeszcze raz. Przez kilka sekund porusza wargami, w końcu potakuje.

– Tak, chyba wiem, o czym mówisz – stwierdza. – Powinno...

Urywa. Przytrzymując berło za dolny koniec, górny podsuwa Gastonowi, by chwycił za widlaste zęby. Razem pochylają się nad narzędziem, badając je w skupieniu.

Z wnętrza ciemnej sali dobiega wołanie Bishopa:

– Em, jest bezpiecznie, możesz wejść!

Czuję równocześnie entuzjazm i zdenerwowanie. Entuzjazm, bo mam wrażenie, że Bishop się o mnie troszczy – sprawdza teren, żebym była bezpieczna. Zdenerwowanie, bo to ja dowodzę, a on wszedł do sali bez pytania, bez mojego pozwolenia ani polecenia. Nie tak to wszystko powinno działać. No więc – zrobił tak, bo chce mnie chronić, czy dlatego, że nie szanuje mnie jako przywódcy?

Nie, to bez sensu. Jeśli już Bishop miałby kogoś chronić, to pewnie byłaby to Spingate. Widzę, jak chłopaki na nią patrzą. Ale nie chodzi też o moje przywództwo – gdybym zdążyła pomyśleć, i tak poprosiłabym Bishopa, żeby poszedł pierwszy: jest większy, szybszy i silniejszy od każdego z nas. Ja to wiem i on to wie. Zrobił to, o co i tak bym go poprosiła... tyle że go nie prosiłam.

Bishop wyłania się z ciemnej sali.

– Em, chodź. Tylko uważaj, jest ślisko.

Wchodzę w otwarte przejście. Wraz ze mną idzie O'Malley.

Moje oczy szybko przyzwyczajają się do niedużej – choć zawsze to coś – ilości światła. To pomieszczenie jest większe niż nasza sala z trumnami: sporo szersze i tak długie, że przeciwległy koniec niknie w głębokim cieniu. Niewiele tu rzeczy, tylko te kawałki metalu rozrzucone po podłodze.

Stawiam kolejny krok i noga mi wyjeżdża, tak że o mało się nie przewracam.

– Mówiłem, uważaj – ostrzega Bishop.

Przyklękam i dotykam palcami podłogi. Jest czymś cała uwalana.

– Co to za smar?

O'Malley wskazuje zakleszczone drzwi.

– Pewnie stamtąd.

Górna część kamiennej płyty przebiła łuk portalu, wyginając metal i niszcząc ścianę. Te drzwi muszą niemało ważyć. Wyglądają, jakby miały lada chwila wyrwać się ze ściany i upaść na płask, miażdżąc wszystko pod sobą.

– Odsuńcie się od drzwi! – wołam głośno, żeby każdy mnie usłyszał. – Są niebezpieczne.

Czuję, że zimny smar przesiąka mi przez skarpetki.

– Pełno go tutaj wszędzie – mówi Bishop. – Pokrywa całą podłogę. Chyba pomaga otwierać drzwi. Musiał być wyciek, może dlatego drzwi się zacięły.

Ciekawe, jak dawno temu ktoś zszedł tutaj coś naprawiać. Może ta sala nie jest ważna dla zarządzających tym miejscem, kimkolwiek są. Po co coś naprawiać coś, czego nikt nie używa?

Gdzie nie stanę, zmieszana ze smarem ziemia chręści i ślizga mi się pod zmęczonymi stopami. Badam ściany: są kamienne, na całej długości zdobione szeregiem płaskorzeźb. Za ciemno, żeby odróżnić szczegóły, ale dotykiem palców rozpoznaję nierówne kontury: słońca, jaguary, schodkowe piramidy, twarze o wielkich, płaskich nosach.

Jak tu okropnie śmierdzi. Znam ten zapach... szkoda tylko, że mój mózg nie potrafi odnaleźć właściwego tropu.

Rzucam okiem z powrotem, na drugą stronę przejścia – pozostali stoją zbici w grupkę, zaglądając do wnętrza sali w nadziei na coś do jedzenia albo chociaż picia. Białe koszule Bello i Aramowskiego zlewają

się w jedno z białymi koszulami Latu, Ingolfssona, Becketta i reszty. Między ludźmi moimi i Bishopa nie ma żadnej różnicy – wszyscy tkwimy w tej sytuacji razem.

Oprócz kółko-gwiazd, mówię sobie. One są inne.

Wydaje mi się, że mrok w sali ożywa. Kłębi się wokół mnie, przytłacza. Kółko-gwiazda... Yong... jego twarz tak blisko mojej, jego szeroko otwarte oczy. Wiedział, że zaraz umrze, wiedział i nie mógł zrobić zupełnie nic, tylko czekać, aż nadejdzie śmierć, czekać w agonii, wzywając swoją matkę.

Czuję na ramieniu czyjąś dłoń i wrzeszczę.

Bishop odskakuje zaskoczony, podrywa ręce w uspokajającym geście.

– Przepraszam, Em – tłumaczy się. – Wołałem cię po imieniu, ale mnie nie słyszałaś. Nic ci nie jest?

Szybko kręcę głową. Widzę, że El-Saffani na mnie patrzą. Może nawet patrzą gniewnie. Czy biorą mnie za słabeusza?

– Nic mi nie jest – mówię. – Czego chciałeś?

Wskazuje w górę, na transparenty.

– Widziałaś, co na nich jest?

Spoglądam na nie. Z początku stanowią tylko subtelne wariacje na temat ciemności i cienia, szare jak sam popiół, ale po kilku sekundach zaczynają tworzyć jakieś wzory. Transparenty – nie, flagi – zwisają z drzewc umocowanych na ścianie nad przejściem. Flag jest może z dziesięć, wszystkie są białe, a może jasnoszare, i na każdej widnieje ten sam symbol: puste kółko.

– Takie same, jakie macie ty i Okereke – zauważa Bishop.

Dałabym wszystko, żeby wiedzieć, co znaczą nasze symbole. Czy określają to, kim byli moi ludzie? Może mój „szczep”, jak powiedziała by Bishop? Czy to była sala mojego szczepu?

Wchodzę samotnie w głąb ciemnego pomieszczenia, popękane przejście zostawiam za sobą. Stopy pokonują niewielki opór – znów idę pod górę. Od samego początku to nachylenie jest tak słabe, że prawie niewyczuwalne, ale krok za krokiem, minuta za minutą, godzina za godziną... daje się we znaki. Można dostać szału.

To ja nas tu przyprowadziłam. Przyprowadziłam w wielkie nic.

Tak strasznie chciałam, żeby te drzwi wypuściły nas na powierzchnię. To wszystko mnie przerasta... Moje decyzje nie doprowadziły do niczego dobrego.

Próbowałaś, Em, ale ci nie wyszło.

– Zamknij się, Yong – szepczę. – Zamknij się, proszę.

Mam ochotę płakać, ale – tak jak i wcześniej – łzy nie przychodzą. Płaczem niczego się nie rozwiąże, czy nie tak mówił mi głos w mojej głowie?

Muszę się skupić. Wszyscy liczą na to, że ze mną będą bezpieczni.

Coś majaczy przy ścianie po lewej. Kilka kroków i już tam jestem. Wygląda to jak kolumna z białego kamienia, pęknięta w pół; górna połowa leży strzaskana i pokruszona na śliskiej od smaru podłodze. Rozpoznaję ją z opowieści o sali, w której straszy – to jeden z tych sięgających Gastonowi do piersi postumentów.

Ciekawe, co spoczywało na jego płaskim wierzchu, zanim ktoś rozwalił go na kawałki.

Podchodzi do mnie chłopak. Wyczuwam go, zanim widzę: w ciemności obok mnie wyrasta O'Malley.

– Em, pozostali się denerwują – mówi cicho. – Chcą wiedzieć, czy mają tu wejść, czy zawracamy.

Ja też się denerwuję, ale czy to ma dla niego jakiegokolwiek znaczenie?

– Dokąd niby mamy wracać? – pytam, nie próbując nawet ukryć frustracji. – Do naszego korytarza pełnego kości czy do Bishopowej sali, w której straszy?

Ledwie widzę twarz O'Malleya.

– No wiesz, przed siebie iść nie możemy – zauważa. – Jest za ciemno.

Nie, wracać nie będziemy. Nie dopóki jestem przywódcą. Cały ten wysiłek nie może pójść na marne. Wcześniej czy później w górę zaprowadzi nas na zewnątrz.

– Idziemy prosto.

O'Malley waha się, może próbuje dobrać odpowiednie słowa.

– Innym się to nie spodoba – mówi wreszcie.

Parskam śmiechem tak złym i mrocznym, że sama zwątpiłabym

w każdego przywódcę, który by się tak zaśmiał.

– O'Malley, mnie się to nie podoba. Ale nie mamy wyboru.

Słyszemy za sobą jakieś poruszenie przy popękany portalu.

– Em! Chodź tu!

To Spingate, a właściwie sama jej sylwetka w świetle padającym z korytarza. Jest z nią Gaston. Trzyma w ręku berło, ale to nie berło się przygląda.

– Hej – protestuje O'Malley – czy ten mały gapi się Spingate na...

Przerywam mu, łapiąc za ramię i ciągnąc za sobą.

– Chodź, zobaczymy, czego od nas chce.

Stąpając ostrożnie po śliskiej podłodze, wracamy do Spingate. Jej twarz jest rozpromieniona z radości. Gdybyśmy mogli zmienić jej entuzjazm w światło, w tej sali nie byłoby cienia.

– Zobacz, co z Gastonem odkryliśmy – mówi. – Gaston, pokaż jej!

Chłopiec odwraca berło do góry nogami i dotyka jakiejś sekwencji kamieni. Nagle z końca berła wytryskuje z sykiem maleńki stożek płomienia, którego światło jest tak jasne i potężne, że odruchowo zasłaniając oczy dłonią.

Gaston wyłącza płomień. Przed oczami tańczą mi powidoki. Cała sala znów tonie w ciemności.

– To jakiś palnik – wyjaśnia Gaston. – Chyba służy do spawania różnych rzeczy.

Spingate znowu podskakuje i klaszcze. Będziemy musiały o tym porozmawiać. To, jak jej... jej biust podskakuje razem z nią, rozprasza nawet mnie – nie wyobrażam sobie, jak to musi działać na chłopaków.

– Czyli możemy użyć berła do oświetlania sobie drogi

– podsumowuję. – To super.

Gaston z kwaśną miną wzrusza ramionami. Właściwie jednym ramieniem.

– Bo ja wiem, czy to taki dobry pomysł. Żeby był ogień, spala się paliwo, a nie wiemy, ile go jest. Nie powinniśmy używać berła jako źródła światła, bo może się wypalić i kiedy ogień będzie nam naprawdę potrzebny, nie zadziała.

Wzdycham ciężko. Ależ to wkurzające.

– No to do czego mamy go używać, Gaston?

Chłopiec wydyma wargi.

– Żeby coś podpalić? Może ten smar z podłogi nada się na paliwo. Gdybyśmy nasączyli nim nasze ubrania, znaleźli jakieś kije czy coś, może udałoby się nam zrobić pochodnie.

Spingate zakłada ręce na piersi.

– I co, wszyscy bylibyśmy nadzy?

Gaston szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Ej, jak mus, to mus – mówi i ogarnia gestem całe pomieszczenie.

– Widzisz tu jakąś inną tkaninę?

Chwila ciszy. Podnoszę wzrok. Bishop i O'Malley robią to samo. Flagi.

– Bishop, myślisz, że dasz radę je ściągnąć? – pytam.

Bishop kiwa głową.

– Ten wysoki chłopak z twojego szczepu – przypomina mi. – Jak on się nazywa?

– Aramowski?

– Aramowski – powtarza Bishop. – Da się nam podsadzić, mnie i Visce? Musiałby stanąć nam na rękach. Może parę razy upaść, ale chyba jakoś strasznie się nie potłucze.

Aramowski usłyszał swoje nazwisko, więc zagląda do sali, wyciągając szyję z ciekawości.

Patrzę na podłogę. Światło z korytarza odbija się w warstwie brudnego smaru. Uśmiecham się. To mu się nie spodoba, ale nie dam mu wyboru.

– Aramowski, chodź no tu! – wołam. – Czas, żebyś się w końcu ubrudził.

SIEDEMNAŚCIE

Idziemy pod górę. Niesiemy pochodnie.

Aramowski się jednak nie ubrudził. Nie spadł ani razu. No jasne. Z pomocą Bishopa i Viski pozrywał flagi razem z drzewcami. Ciężko mi to przyznać, ale nieźle się spisał.

Spingate i Gaston nożem pocięli flagi na długie paski, umazali je w brudnym smarze i owinęli ciasno na końcu każdego drzewca. Potem Gaston pozapalał je berłem. Płomienie pełgają po materiale miękko pulsującymi falami, które aż hipnotyzują, gdy patrzy się w nie dłużej.

Bello była na tyle sprytna, żeby zatrzymać jedną flagę w całości. Związała jej rogi razem, robiąc coś w rodzaju tobołka, w którym mieszczą się dodatkowe paski nasączone smarem. Do niesienia tego zapasu zgłosił się Okereke. Ze wszystkich kólek z grupy Bishopa Okerekego lubię najbardziej, pewnie dlatego, że wydaje się najbardziej pracowity.

W głąb długiej sali posuwamy się trójkami. Światło pochodni rzuca cienie, które drgają i skaczą. Ciemność przypomina żywe stworzenie, czające się, żeby nas napaść i pożreć żywcem.

Sala kończy się wąskim korytarzem o kamiennych ścianach. Bishop i El-Saffani wprowadzają nas do niego; Bishop niesie pochodnię. Idę w drugiej trójce, kilka kroków za nimi. Po lewej mam O'Malleya z nożem w ręku, po prawej – Latu z drugą pochodnią. Z tyłu w długim pochodzie idzie reszta grupy. Nierówne płomienie oświetlają przestraszone twarze.

Jeśli kiedyś wreszcie pójdę spać i przyśni mi się jakiś koszmar, na pewno będzie się rozgrywał w takim miejscu jak to.

Bishop nie wyprzedza nas za bardzo. Razem z El-Saffani zatrzymuje się i czeka na mnie, a już wkrótce orientuję się dlaczego: w lewej ścianie widać otwarty łukowaty portal, drugi taki majaczy w ścianie prawej. Za nimi po każdej stronie otwierają się jeszcze dwa podobne. W migoczącym świetle pochodni portale drgają jak pyski olbrzymich, krwiożerczych potworów.

– Chyba powinniśmy zajrzeć do tych sal, Em – mówi cicho Bishop.

– Niedobrze zostawiać za sobą miejsca, których się nie sprawdziło.

O'Malley kręci głową.

– Jeśli będziemy oglądać każdą odkrytą salę, mogą się nam wypalić wszystkie paski do pochodni i zostaniemy w ciemnościach. Lepiej jak najszybciej idźmy dalej przed siebie.

Aramowski, dotąd w następnej trójce za nami, podchodzi teraz bliżej; nie może się doczekać uczestnictwa w grupie podejmującej decyzje.

– O'Malley ma rację – wtrąca. – Jesteśmy zmęczeni, chce nam się jeść i pić. – Robi pół obrotu, żeby ci z tyłu wyraźnie go słyszeli. – Nie chcemy tracić czasu na jakieś zabawy, Em. Chcemy jedzenia.

Słyszę marudne pomruki zgody, na niejednej twarzy maluje się niezadowolenie. Tracą cierpliwość. Wybrali mnie na przywódcę... Myśleli, że jedzenie i wodę wytrzasnę im spod ziemi samą włócznią?

– Cierpliwości – mówię do wszystkich. – Wydostaniemy się stąd, ale muszę was prosić o cierpliwość.

Niby że ja nas stąd wydostanę? Sama się dziwię, jak przekonująco potrafię brzmieć.

I Bishop, i O'Malley mówili sensownie. Ale z powodu ciemności i cieni w tym miejscu jest niebezpiecznie, a instynkt podpowiada mi, że kiedy w grę wchodzi niebezpieczeństwo, powinnam ufać Bishopowi.

– Sprawdzimy te sale – decyduję. – Może jest w nich woda. Ale musimy to zrobić szybko i jak najprędzej pójść dalej.

Bishop kiwa głową.

– El-Saffani i ja się uwiniemy. Wy wszyscy zostańcie tutaj.

Zanim znajduję odpowiedź, odzywa się Latu:

– Wy sprawdźcie te po lewej, my te po prawej – mówi do Bishopa.
– Będzie szybciej.

Bishop zagapia się na nią. Przez cienie, które tańczą mu po twarzy, wygląda na o wiele więcej lat. Jakby był niemal... dorosły. Zaczyna mówić, ale urywa – przecież już nie dowodzi. Spogląda na mnie i czeka, aż to ja podejmę decyzję.

– My sprawdzimy te po prawej – potwierdzam.

Bishop wydyma wargi, po chwili kiwa głową.

– Dobra.

Machnięciem ręki przywołuje kogoś naprzód. To chłopak kółko-gwiazda o skórze prawie tak ciemnej jak u Aramowskiego. Farrar, tak się chyba nazywa. Gdyby nie Bishop, to Farrar byłby największy z naszego grona. Wszystko jest w nim szerokie: klatka piersiowa, ramiona, głowa – nawet nos ma krótki i płaski.

– Przytrzymaj wszystkich tutaj – mówi mu Bishop. – My zajrzemy do tych pomieszczeń.

Farrar kiwa głową, tylko raz. Staje prosty jak świeca – wysoki, z tyłu rozłożyste plecy, z przodu masywna pierś. Blokuję korytarz, jakby był w nim trzecią ścianą. Słucha poleceń, ale nawet na mnie nie spojrzy. Znow budzi się mój gniew. Może połapię się z czasem, jak to działa z Bishopem, w każdym razie jeśli chodzi o kółko-gwiazdy, to on wydaje rozkazy, a one słuchają. Z wyjątkiem Latu – ona chyba jest po mojej stronie.

Tylko że nie powinno być stron. Muszę sobie ciągle o tym przypominać.

Bishop wolną ręką chwyta mnie za ramię.

– Uważaj na siebie, Em. Gdybyś potrzebowała pomocy, wystarczy, że krzykniesz. Farrar albo ja przybiegniemy.

Po tych słowach odwraca się i rusza do pierwszej sali po lewej, z El-Saffani idącymi za nim krok w krok.

O'Malley prycha naburmuszony.

– Akurat będzie nam potrzebna jego pomoc.

Też liczę, że nie, ale w razie czego dobrze będzie mieć Bishopa pod ręką.

Latu, O'Malley i ja wchodzimy do pierwszej sali po prawej. Jej układ wygląda znajomo. Nad nami wznosi się łukowe sklepienie ozdobione płaskorzeźbami, które w świetle pochodni przesuwają się i drżą. Przez środek biegnie przejście, tak samo jak w naszej sali z trumnami, po bokach też widać jakby trumny, ale inne niż nasze. U nas były to dwa rzędy drewnianych, misternie zdobionych skrzyń ustawionych w luźnych odstępach i w jednej linii; te tutaj są zwykłe i białe, ułożone ciasno jedna obok drugiej i jednym końcem dociśnięte do samej ściany. Przejście prowadzi do kolejnego z tych białych kamiennych postumentów, roztrzaskanego na dziesiątki kawałków.

Te trumny nie są zakryte. Nie widzę wewnątrz tych dalszych, ale te bliżej nas są puste. Na ich przednich ściankach nie ma żadnych rzeźbień ani klejnotów, nie ma tabliczek z nazwiskami – tylko po dwie płaskie, okrągłe metalowe płytki, każda wielkości mojej pięści. Wszystkie są podrapane i powyginane, podobnie jak biały materiał wokół nich – jakby ktoś w twardych butach kopał w te płytki coraz mocniej i mocniej.

Latu idzie wzdłuż sali z wysoko uniesioną pochodnią. Patrzy to w lewo, to w prawo, aż dociera do ściany i wraca do nas truchtem.

– Puste – mówi. – Wszystkie.

O'Malley klęka przy jednej z trumien. Przesuwa dłonią po jej krawędzi, stuka w to miejsce ostrzem noża.

– Latu, poświęć tutaj – prosi.

Latu zniża pochodnię. Widzę, że światło zaczyna gasnąć: płomień powoli się dopala.

O'Malley wkłada palec w głębokie wyłobienie.

– Patrzcie, jaka rysa – mówi, sunąc palcem wzdłuż wgłębienia. Biały materiał jest rozerwany i rozszczepiony. To nie drewno, nie metal. Powinnam wiedzieć, co to jest, ale – jak prawie wszystkiego – nie mogę sobie przypomnieć.

O'Malley wstaje z kolan. Latu świeci do wnętrza trumny. W środku jest jeszcze więcej zadrapań, zarówno na spodzie, jak i na ściankach oddzielających tę trumnę od sąsiednich. Na płaskim dnie widać jakieś metalowe zaciski, ale niczego nie trzymają. Też są porysowane, a do tego zardzewiałe.

Rysy, pęknięcia, pokruszone kawałki... tyle zniszczeń.

– Wygląda, jakby ktoś się na nią wściekł – mówi O'Malley.
– Jakby się wściekł na nie wszystkie.

– Żadnego obicia – zauważa Latu. – Nasze miały obicie. Czy ludzie leżeli w nich wprost na tym twardym dnie?

O'Malley wzrusza ramionami.

– O ile to w ogóle są trumny. Nie wiemy tego na pewno.

Tylko że przecież wiemy.

Dlaczego te są inne niż nasze? Dlaczego są ułożone tak ciasno?

Latu coś dostrzega. Sięga do trumny, pociąga za jeden z zacisków. Ten puszcza z żalonym szczękiem i Latu się prostuje. Pokazuje nam coś

w wyciągniętej ręce.

To maleńki skrawek brudnobiałego materiału.

O'Malley przejmuje go, przybliża do twarzy i mruży oczy, przypatrując mu się w świetle gasnącej pochodni.

– Wygląda tak samo jak obicie w naszych trumnach – stwierdza.

Podaje mi skrawek. Biorę go. Trudno o pewność na podstawie tak małej próbki, ale O'Malley chyba ma rację.

W pamięci odżywają mi wspomnienia mojej własnej trumny. Ciemności po otwarciu powiek. Białej tkaniny obryzanej moją krwią. Sprzed przebudzenia nie pamiętam nic, za to widzę wszystko, co nastąpiło później – w tym rzeczy, o których wolałabym zapomnieć.

Latu pochyla się, przeciera dłonią twarde, płaskie dno skrzyni.

– No to gdzie jest reszta tej tkaniny? – pyta. – Gdzie te obicia?

Ktoś je powyjmował?

Nie znam odpowiedzi. O'Malley też nie.

– Sprawdźmy resztę sal – mówię.

Ruszamy z powrotem, ale po drodze Latu zauważa coś jeszcze. Sięga do innej trumny, podnosi to coś i przybliża do pochodni, żebyśmy mogli się przyjrzeć całą trójką.

Jakiś wąski odłamek, bladożółta drzazga. Nie mogła być częścią trumny – ma inny kolor. Ale wiem, że gdzieś już widziałam ten materiał, i to niedawno.

Wyjmuję go z dłoni Latu – delikatnie, dwoma palcami – i przyglądam się uważniej.

Czuję, jak pierś przenika mi nagły chłód zrozumienia.

– Kość – mówię. – Mały kawałek kości.

Znowu omiatam wzrokiem trumny, jakbym przeoczyła jakieś zwłoki, ale w żadnej nic nie ma.

O'Malley bierze ode mnie odłamek, wpatruje się w niego.

– Zgadza się – potwierdza. – Ale gdzie jest reszta szkieletu?

Jeszcze jedna rzecz, której nie wiemy.

Odbieram drzazgę O'Malleyowi i wrzucam do którejś z trumien.

– Następną salę – zarządzam. – Idziemy.

OSIEMNAŚCIE

Bishop i El-Saffani znaleźli to samo, co my: dwa rzędy pustych, poobijanych trumien.

Ogień niesiony przez Latu gaśnie. Bello owija wokół drzewca nowy kawałek flagi, Okereke przypatruje się temu, świecąc własną pochodnią. Zapala od niej naszą, a Bello zaczyna owijać nowym paskiem drzewce Bishopa.

Razem z Latu i O'Malleyem wchodzimy w drugie drzwi po prawej.

Ta sala niczym się nie różni od poprzednich. Znajdujemy kilka małych skrawków tkaniny, kilka ułamków kości. Tym razem liczymy trumny: dwadzieścia cztery po każdej stronie. Jeśli wszystkie sześć sal tak wygląda, jest tu miejsce dla prawie trzystu osób.

Tylko gdzie one są? Albo przynajmniej ich ciała?

Trzymając włócznię, stoję pośrodku pomieszczenia, a O'Malley i Latu idą w głąb przejścia dzielącego rzędy trumien. On sprawdza te po prawej, ona te po lewej. Tu także stał kiedyś postument, ale ktoś go roztrzaskał w sto białych kawałków. Tylko płaski wierzch pozostaje prawie nietknięty.

– Ej, Latu – odzywa się O'Malley. – Ten siniak na policzku... nabił ci go Bishop?

Latu kiwa głową, nadal badając trumny po kolei.

– Tak, ale ja walnęłam go pierwsza.

O'Malley przerywa przegląd.

– Co? A to jak się stało?

– Obudziłam się w sali z Johnson i Cabral – mówi Latu.

– W pozostałych kolebkach były martwe małe dzieci.

Nawet w słabym świetle pochodni widzę, jak twarde ma mięśnie ramion.

– Założę się, że ty pierwsza wyrwałaś się z kolebki – mówię, używając jej określenia trumny. – Potem oswobodziłaś tamte dwie. Mam rację?

Latu odpowiada mi spojrzeniem.

– Kiedy się obudziłam, moja kolebka była już otwarta – stwierdza.

– U Johnson i Cabral tak samo. Wyjście z sali też było otwarte.

Dlaczego ich trumny otworzyły się same, a nasze nie? I jakim cudem wyjście z ich sali po prostu stało otworem, skoro nam udało się wydostać dopiero po użyciu berła?

– Wędrowaliśmy trochę po korytarzu – ciągnie Latu. – Potem znalazł nas Bishop. – Jej oczy zwężają się na to wspomnienie. – Miał już przy sobie innych. Rzucił się na nas, tak jak później na was. Johnson i Cabral uciekły. Ja nie.

Ciekawe, czy tak jak ja nie mogła się ruszyć z przerażenia, czy faktycznie jest odważna.

– Rzucił się na ciebie – powtarza O'Malley, zdumiony tą opowieścią. – Uderzyłaś go, żeby cię nie przewrócił?

Latu kręci głową.

– Nie, zatrzymał się przede mną, tak jak potem przed Em. Powiedział mi, że mam przyłączyć się do jego szczepu. Nie podobało mi się, jak do mnie mówił, i nie miałam ochoty przyłączać się do żadnego głupiego szczepu, więc dałam mu w nos.

Nie jest odważna, tylko narwana.

O'Malley zaczyna się śmiać.

– Ten siniak na jego szczęce... Ty mu go nabiłaś?

Latu potakuje.

– Nie powinnam była. Nie przemyślałam tego. Uderzyłam go, a on oddał mi tak mocno, że się przewróciłam. Ja... nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wcześniej ktoś mi tak przyłożył. Zapytał, czy mam dość. Powiedziałam, że tak, i pomógł mi wstać.

O'Malley wraca do sprawdzania trumien. Czasami wkłada do nich rękę i maca naokoło, czy czegoś tam nie ma.

– I co było dalej? – pyta.

Latu też powraca do przeszukiwania.

– Dalej? Nic – odpowiada. – Uznałam, że to była bójka, w której wygrał on. Więc Johnson, Cabral i ja przyłączyliśmy się do jego szczepu i wędrowaliśmy wszyscy po tej durnej okolicy sama nie wiem jak długo.

Oblizuje zeschnięte wargi, a na jej języku odbija się refleksiem światło pochodni. Przypominam sobie, jak bardzo chce mi się pić. Jest

tak wilgotno, że koszula lepi mi się do ciała – musi tu gdzieś być woda.

Bishop ją walnął, fakt, ale to ona uderzyła go pierwsza. Mnie nie uderzył. Ani O'Malleya. Czy Bishop umie panować nad sobą lepiej, niż potrafił Yong? Swoją drogą, Latu go uderzyła – czy to znaczy, że ona panuje nad sobą gorzej? Zdążyłam już poczuć z nią więź, jakbyśmy kiedyś były bliskimi przyjaciółkami, tylko tego nie pamiętały, ale jeśli bywa tak nieprzewidywalna, czy rozsądnie jest jej ufać?

O'Malley kończy przegląd po swojej stronie i wraca do mnie. Latu tak samo. Chłopak uśmiecha się do niej szeroko.

– Ten twój siniak musi nieźle boleć – mówi – ale założę się, że i tak warto było walnąć tego głupka.

Latu odpowiada mu uśmiechem.

– No pewnie.

Wracamy na korytarz, akurat gdy Bishop i El-Saffani znikają w ostatniej sali po lewej. Pochodnia Latu zaczyna trochę przygasać, ale pali się jeszcze dosyć tkaniny, żebyśmy sprawdzili ostatnią salę po prawej, zanim trzeba będzie dowieźć kolejny nasączony smarem pasek.

Oglądam się na wylot ciemnego korytarza. Farrar nadal blokuje przejście. Za jego plecami migoczące pochodnie podświetlają wystraszone twarze i białe plamy koszul.

Wchodzimy z O'Malleyem i Latu do naszej ostatniej sali. Śmierdzi tu tak samo jak na korytarzu i w przeszukanych przez nas pomieszczeniach. Latu bez słowa rusza w lewo, O'Malley w prawo i każde z nich zaczyna sprawdzać trumny po swojej stronie. Może to tu jest woda, a może znajdziemy jeszcze jakąś broń.

Coś słyszę.

O'Malley i Latu też to usłyszeli. Przystają. Nastawiamy ucha, szukamy źródła dźwięku... Skrobanie, chrząkanie... łomot jakiegoś ciała o ściankę trumny.

Dobiega z ostatniej trumny po lewej.

Czy to dzieciak taki jak my, czy... coś innego?

Nie wiem, co robić. Znowu zamieniam się w słup soli. O'Malley też; w białkach jego szeroko otwartych oczu migocze odbłask pochodni.

Latu skrada się powoli w kierunku odgłosów.

Powinniśmy pójść po Bishopa, wezwać więcej kółko-gwiazd.

Powinam coś powiedzieć, ale usta wcale mi nie chcą działać lepiej niż nogi.

Latu jest o pięć trumien od tej ostatniej... o cztery...

O'Malley staje obok mnie. Ostrze długiego noża wystawia do przodu.

Trzy trumny... dwie...

Niskie, głębokie chrząknięcie.

Ten odgłos... to nie jest podobny do nas dzieciak. Ani dorosły. To nie jest człowiek.

Coś się porusza, wysuwa z ostatniej trumny, coś o błyszczących oczach, coś pokrytego czarną, tłustą sierścią, po której spływają refleksy światła, i już wiem, że potwory istnieją.

Robię krok do tyłu. O'Malley dwa. Latu wycofuje się powoli, mierząc przekrzywioną pochodnią w to groźne, zaskakujące coś.

Patrzmy na potwora. Potwór patrzy na nas.

Budzi się we mnie stare wspomnienie, nie tylko na ten widok – także ze względu na zapach. Ten okropny zapach, którego nie mogłam skojarzyć. To z czasu, kiedy byłam mała, w szkole... nie, nie dosłownie w szkole, tylko na szkolnej wycieczce... wycieczce w jakieś szczególne miejsce.

Na... na wieś.

Ten okropny zapach to smród zwierzęcych odchodów.

A stojące w trumnie stworzenie o czarnej sierści to nie jest żaden potwór.

To świnia.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Świnia jest akurat tak wysoka, że łbem wystaje ponad ściankę trumny. Nie jest zbyt duża. Ma czarną sierść, przynajmniej na łbie, bo tylko tyle widać. A może ten kolor to po prostu warstwa smaru i brudu? Ciężko to ocenić w słabym świetle pochodni, chociaż jest go dość, by czarne ślepia zwierzęcia migotliwie drżały i błyskały.

– Nie do wiary – szepcze O'Malley. – To świnia. Chyba już kiedyś taką widziałem.

Latu nie przestaje się cofać, póki nie staje obok nas.

– Em, co robimy?

Pojęcia nie mam. Co tu robi jakaś świnia?

Serce galopuje mi tak szybko, że czuję je niemal w gardle. Dopiero co z trumny wyskoczył ten czarny łeb, a ja uwierzyłam, że to Aramowski ma rację, nie Spingate – że potwory istnieją i jeden zaraz nas zaatakuje.

– Wieś – mówi O'Malley. – Widziałem taką samą na wsi. – Głos ma lekki i rozmarzony, jakby słowem „wieś” odkrył w sobie jakieś przyjemne wspomnienie.

Latu pochyla się w jego stronę, nie spuszczać wzroku ze świni, która też nas obserwuje.

– Co to jest „wieś”? – pyta dziewczyna.

– Miejsce, gdzie się uprawia i hoduje jedzenie – odpowiada O'Malley.

W jednej chwili skurcze żołądka i głód, który skręca mi kiszki, powracają z jeszcze większą siłą.

– Jedzenie – powtarza Latu. Macha pochodnią w stronę świni. – To coś to jedzenie? – W jej słowach brzmi pragnienie, konieczność.

– Tak – potwierdza O'Malley. Rozmarzenie zniknęło z jego głosu. Słysząc w nim głód. – Tak... świni to jedzenie, na pewno.

Świnia chrząka. Drga jej prawe ucho. Zwierzę gapi się na mnie. Świnia to jedzenie, ale jeszcze żywe. Nie wiem, co to stworzenie tu robi, ale nie wyrządza nam krzywdy. Jeśli mamy je zjeść, musi umrzeć. Czy wokół nas jest za mało śmierci?

Nie mamy pojęcia jednak, czy znajdziemy jedzenie gdzie indziej.

Dwadzieścia czworo dzieciaków to dużo gąb do wykarmienia.
Rzeczywistość jest, jaka jest, czy nam się to podoba, czy nie.
A rzeczywistość wygląda tak, że umieramy z głodu.

Tylko żebyśmy mogli tę świnię zjeść, ktoś musi ją zabić.

– O'Malley – mówię – leć po Bishopa.

O'Malley odwraca się cicho i wychodzi z sali.

Latu trąca mnie łokciem.

– Em, daj mi włócznię. Zabiję tę świnię od razu.

– Wiesz, jak zabić świnię?

– Nie – zaprzecza. – Ja... będę ją dźgać, aż przestanie się ruszać.

Poznaję po jej głosie, że tak naprawdę nie chce zabić świni, ale wie, że trzeba, i jest gotowa się tego podjąć.

– Czekaj na Bishopa – mówię.

– Em, daj mi włócznię, zanim to coś ucieknie!

Wołanie Latu płoszy świnię. Jej racice stukają w ściankę trumny, wypełniając całą salę ogłuszającym hałasem, *klak-krak-klak*.

Za sobą słyszę czyjeś ciężkie kroki. To Bishop. Jednym rzutem oka ogarnia sytuację i woła:

– Em, dawaj włócznię!

Świnia wyskakuje z trumny prosto w przejście. Biegnie na złamanie karku, szarżuje prosto na mnie, kwicząc przeraźliwie głośno. Wystawiam włócznię przed siebie bardziej w odruchu obronnym, niż żeby dźgnąć nią zwierzę. Świnia rzuca małym łbem w lewo, ale biegnie w prawo i, ocierając się o moją nogę, śmiga obok, zanim zdążę zareagować.

Robię obrót, żeby ruszyć w pościg – i omal nie wbijam grotu włóczni prosto w serce Bishopowi. Uskakuje w ostatniej chwili nagłym skretem ciała – ależ szybko! – chwytając drzewce broni, więc jej grot tylko ze świstem rozcina powietrze.

O'Malley i El-Saffani mają okazję złapać świnię, ale zamiast się na nią rzucić, uciekają jej z drogi, a zwierzę truchtem czmycha na korytarz.

Bishop wyszarpuje mi włócznię z dłoni. W dwóch susach jest już na korytarzu. Wypadam za nim natychmiast, wreszcie odzyskując władzę w nogach.

Widzę, jak Bishop składa się do rzutu. Ten obraz wypala mi się

pod powiekami, w umyśle, w tej pamięci, która nie zapomina: prawe ramię cofnięte, mięśnie pod koszulą naprężające materiał, pewna dłoń wążąca drzewce włóczni, grot znieruchomiały na wysokości szyi. Lewa ręka wyciągnięta, końce palców wskazujące wzdłuż korytarza, ramię wyprostowane w idealnym przedłużeniu linii włóczni. Naga pierś błyszcząca od potu, mięśnie całego ciała napięte i drgające każdym włóknem. W tej chwili Bishop jest perfekcyjnym wcieleniem i pełnią ruchu. Jest kamieniem szlachetnym wyrzeźbionym w człowieka, twardym, trwałym i bez skazy.

Jego prawa ręka wystrzeliwuje w przód, rozpędzona skrętem ramion i bioder. Odprowadzam włócznię wzrokiem: leci szybko, daleko i prosto. Na samej granicy światła miga mi porośnięta czarna sierścią noga i zaraz wchłania ją cień. Włócznia podąża za nią, znika mi z oczu.

Z ciemności wrywa się pełne bólu kwiknięcie.

Bishop chwyta pochodnię z rąk Bello – nawet nie zauważyłam jej tutaj, ani Okerekego z flagotorbą pełną nasączonych pasków – i puszcza się w pogoń za świnią. Za nim biegną El-Saffani i Latu.

Oglądam się wzdłuż korytarza, widzę Farrara, który stoi pewnie i nieruchomo przed przygasającymi pochodniami, widzę dzieciaki skupione za jego sylwetką. Za bardzo rozciągamy szeregi, a wszystko dzieje się tak szybko.

Napotkaliśmy świnię – na co jeszcze możemy się natknąć?
– Bishop, STÓJ!

Potyka się zaskoczony, odwraca i patrzy na mnie. Latu i El-Saffani też się zatrzymują, choć wygląda, że ich ciała rozpaczliwie chcą gnać dalej wbrew temu, co nakazują im umysły.

– Em, trafiłem to coś – tłumaczy Bishop. – Już nie żyje! Chodźmy!

Jest teraz podnieconym dwunastolatkiem o roziskrzonych oczach w dniu swoich urodzin, a ta zabawa to jego urodzinowy prezent, i lepszego chyba nie mógłby sobie wymarzyć.

Od kamiennych ścian odbija się echem jeszcze jedno bolesne kwiknięcie. Dobiega skądś dalej – świnią nadal żyje.

Bishop krzywi się i równocześnie uśmiecha.

– Jest ranne – poprawia się.

Najlepsza zabawa, jaką mógłby sobie wymarzyć, właśnie stała się

jeszcze lepsza.

Bishop jest jak ciasno zwinięta sprężyna, z przejścia prawie się trzęsie. Czuję instynktowny przymus cofnięcia się przed nim. Wysiłkiem woli powstrzymuję krok w tył.

– Em, chodźmy – wyrzuca z siebie Bishop. – Gońmy je!

Prosi mnie, żebym z nim poszła. Zabrał mi włócznię, wyrwał mi ją z rąk, ale nie dlatego, że chciał być przywódcą. W tym momencie nie dbał o symbol; użył broni zgodnie z jej prawdziwym przeznaczeniem.

Włócznia służy do zabijania.

Wiem, że cokolwiek powiem Bishopowi, pogoni za tą świnia. Jeśli każę mu zostać, pobiegnie i tak, a wszyscy zobaczą, że moje przywództwo można po prostu ignorować. To może nam zaszkodzić nawet bardziej niż głód czy pragnienie. Muszę utrzymać kontrolę, muszę utrzymać między nami jedność.

Jeśli inni nie będą we mnie wierzyć, przegramy wszyscy.

– Bello – rozkazuję – daj połowę pasków na pochodnie El-Saffanim. Potem razem z Okerekem zanieście resztę Farrarowi i pozostałym. Zaczekajcie tam na mnie.

O'Malley kręci głową.

– Em, musimy trzymać się wszyscy razem. Nie możemy uganiać się za czymś w ciemnościach, nie wolno nam się rozdzielać. Innych to przerazi.

Ma rację. Ludzie są już wystarczająco podenerwowani. Jeśli zostawię ich z Aramowskim...

– O'Malley, więc ty wróć razem z Bello – decyduję. – Powiedz wszystkim, że próbujemy zdobyć jedzenie. – Wyciągam do niego otwartą dłoń. – Daj mi nóż.

O'Malley spogląda na moją rękę, a potem z powątpiewaniem na Bishopa.

– Powinienem pójść z tobą – mówi.

– Daj mi nóż – powtarzam. – Pomóż wszystkim zachować spokój.

O'Malley przestępuje z nogi na nogę.

– Pościg za tą świnia jest niebezpieczny.

– O'Malley, nóż.

Podaje mi go rękojęścią naprzód, obrzucając gniewnym

spojrzeniem i mnie, i Bishopa.

Zwracam się w stronę Latu.

– Idź z O'Malleyem. Wrócimy najszybciej, jak się da.

Kręci głową.

– Nie, idę z wami. Chcę wziąć udział w tym polowaniu.

To dziewczyna, która walnęła Bishopa w szczękę. W jej oczach widzę to samo, co u Bishopa: pobiegnie z nami, czy jej pozwolę, czy nie. Zaczynam mieć tego dość. Nie wiem, jak trzymać w ryzach kółko-gwiazdy, nie mam czasu wdawać się w dyskusję i nie mogę pozwolić sobie na przegraną, kiedy wszyscy patrzą. Jeśli może mnie zignorować najpierw Bishop, a potem Latu, to co zabroni Visce, El-Saffanim czy pozostałym kółko-gwiazdom robić, co im się żywnie spodoba?

– Zostaniesz przy mnie – mówię do Latu. – Będziesz mnie chronić, zgoda?

Latu potakuje tak energicznie, że jej kręcone włosy aż podskakują.

Twarz O'Malleya marszczy wyraz gniewu.

– Co? A ona może z wami iść? Dlaczego?

Bo Latu nie robi tego, co jej każę, a ty zrobisz.

– Ty pomóż innym zachować spokój – ponawiam rozkaz.

Bello podaje chłopakowi El-Saffani naręczce szmat. Latu łapie jedną z nich i owija wokół swojej płonącej jeszcze pochodni. Robi to tak szybko, że kończy akcję, zanim pochodnia na nowo się rozpała. Bishop próbuje powtórzyć jej sztuczkę i syczy z bólu, kiedy płomień osmala mu skórę.

Ssąc oparzony palec, spogląda na mnie pełnym zapалу wzrokiem i daje znak skinieniem głowy.

Jesteśmy gotowi.

Odpowiadam Bishopowi takim samym skinieniem.

Z pochodnią w rękę i wiernymi El-Saffani przy nodze Bishop rusza w głąb korytarza.

Z Latu u boku biegnę za nimi.

Wiem, że jeśli się obejrzę, zobaczę wzrok O'Malleya – dlatego patrzę przed siebie.

Nie wiem, czy to właściwa decyzja, ale została podjęta.

Zaczyna się polowanie.

DWADZIEŚCIA

Polujemy.

Biegnę razem z kółko-gwiazdami. Na ścianach korytarza mienia się wzory i płaskorzeźby, wydobywane światłem pochodni. Są tu symbole, które znamy, ale i nowe obrazy: ludzie z łopatami, ludzie zbierający plony, przenoszący różne rzeczy, wspólnie coś budujący i tworzący. Kiedy tak gnamy, maleńkie obrazy przelatują obok, jakby pędziły w przeciwną stronę.

Bishop biegnie na czele i przynajmniej w tej konkurencji nie można wątpić, kto jest przywódcą. Zwalnia, przystaje. Reszta nas naśladuje każdy jego ruch.

Na podłodze korytarza leży włócznia.

Bishop podnosi ją jedną ręką, w drugiej trzyma pochodnię. Na grocie widać krew.

Bishop podaje mi włócznię. Prawie po nią sięgam, ale mam przecież nóż. Nie mogę nieść obu tych broni, a teraz najważniejsza jest sprawność w posługiwaniu się włócznią.

– Trzymaj ją na razie – mówię. – Oddasz mi, jak będzie po wszystkim.

Bishop kiwa głową. Nie dba o to, kto dowodzi – koncentruje się wyłącznie na polowaniu.

Podaje swoją pochodnię chłopakowi El-Saffani, po czym klęka i przykłada do podłogi dwa palce. Cofa je i ogląda, a wszyscy widzimy, co ma na opuszkach.

Krew upstrzoną drobinami ziemi.

– Możemy tropić – mówi.

Rusza w głąb korytarza. Trzymamy się blisko niego.

To emocjonujące, stwierdzam z zaskoczeniem. Przyłączyłam się do nich, żeby utrzymać iluzję panowania nad sytuacją, ale skórę mam jakby naelektryzowaną, zmysły jakby wyostrzone. Nie pamiętam, kim jestem ani kim byłam, ale w głębi serca wiem, że nigdy nie czułam się równie ożywiona.

Jak mogę czuć się tak doskonale? Bishop wkrótce znajdzie to

zwierzę i je zabije. Potem pokroimy je na kawałki... będziemy je jeść. Sama myśl o tym napawa mnie wstrętem, a jednak musimy tę świnie zabić, żeby przetrwać.

Bishop biegnie pochylony, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Ślady świńskiej krwi są wyraźne, co kilka kroków widać nową smugę. Biedne stworzenie pewnie umiera ze strachu.

Poruszamy się szybko. Kółko-gwiazdy nie wydają praktycznie żadnych odgłosów. W porównaniu z ich krokami moje wydają się głośne i niezdarne. Nic dziwnego, że dziewczyna El-Saffani wciąż rzuca mi paskudne spojrzenia, Latu też nie jest ze mnie szczególnie dumna. Żeby być cicho, nie robią chyba niczego specjalnego – to im przychodzi w sposób naturalny.

Korytarz otwiera się na rozległe, owalne pomieszczenie. W zaokrąglonej ścianie ciągnie się szereg łukowatych portali – dziesięć, może dwanaście. Na drugim końcu sali zauważam, ledwo widoczny w świetle pochodni, dalszy ciąg korytarza – może i w górę nie da się iść wiecznie, ale wciąż nie ma żadnych oznak, byśmy zblížali się do wyjścia.

Co teraz? Jest nas tylko piątka, sprawdzanie wszystkich sal zajmie dużo czasu, a zatrzymując się choćby w jednej, zgubimy świnie, jeśli pobiegła dalej korytarzem.

Rzucam okiem na Bishopa, szukając podpowiedzi, ale on nadal skupia całą swoją uwagę na podłodze.

– Wiem, gdzie jest – mówi i podbiega truchtem do jednego z portali po prawej.

Biegniemy za nim. Patrę pod nogi i widzę, że światło pochodni Latu odbija się migotliwie w cienkiej strużce krwi, jakby to była wyraźna strzałka z napisem krzyczącym „Tędy!”.

Słyszę zwierzęce chrząknięcie. Staję jak wryta. Nie dobiegło z przodu, z miejsca, dokąd zmierza Bishop. Trudno powiedzieć to na pewno w tak dużej sali, ale... czy ten odgłos nie nadszedł bardziej z lewej?

– Bishop, czekaj!

Latu przystaje, ale Bishop i El-Saffani albo mnie nie słyszą, albo ignorują. Latu z pochodnią w dłoni ogląda się na mnie. W jej twarzy

czytam niemą prośbę, żebyśmy biegły dalej, zanim Bishop zostawi nas w tyle.

Dołączam do niej biegiem.

Bishop zatrzymuje się przed portalem. Kamienne drzwi są częściowo otwarte. Obie połowy spoczywają pod dziwnymi kątami, jakby były popsute i miały już nigdy się nie zamknąć. Miejsca między nimi jest dość, żebyśmy się prześliznęli.

Wchodzimy do środka.

Nasze pochodnie oświetlają kamienną kopułę i największe pomieszczenie, jakie dotąd widzieliśmy. Gdybym stanęła na ramionach Latu, a ona na ramionach Bishopa, może mogłabym dotknąć sklepienia końcami palców. W środku sali spoczywa okrągły kamień, u góry płaski, sięgający nam do pasa. Jest tak wielki, że leżąc na nim rozpostarta w każdą stronę, dłońmi i stopami ledwo sięgałabym jego brzegów.

Chrząknięcie i kwik. Tym razem nie ma wątpliwości, odgłosy dobiegły z tej sali: pod ścianą, po drugiej stronie okrągłego kamienia, drży ranna świnia. Widzi nas i w panice rzuca się szaleńczym biegiem wzdłuż zakrzywionej ściany, klekocząc racicami.

Bishop daje w jej stronę ni to krok, ni sus, skręca się w biodrach i ramionach: włócznia raz jeszcze szybuje w powietrzu.

Nie trafia.

Grot krzesze iskry, podskakując na kamiennej podłodze tuż za biegnącą świnia. Włócznia z łoskotem upada pod ścianą.

Bishop wydaje głośny okrzyk i puszcza się w pogoń. El-Saffani rusza w lewo, próbując odciąć zwierzęciu drogę, a Latu zajmuje pozycję w wąskim wyjściu z sali, blokując świni jedyną możliwość ucieczki. Choć kółko-gwiazdy nie porozumiewały się w żaden sposób, działają jak jedno – czwórka ludzi, którzy momentalnie współpracują ze sobą, jakby robili to już setki razy. Ja nie wiem, jak się przydać, więc trzymam się blisko Latu.

Świnia przystaje, rusza łbem z boku na bok, szuka jakiegoś wyjścia. Bishop rzuca się na nią. Zwierzak przeskakuje jego rozpostarte ramiona i zrywa się do ucieczki. Chłopak stęka z bólu, padając na kamienną podłogę.

Bliźniaki rzucają się na świnia jednocześnie, ale równie dobrze

mogłyby łapać wiatr. Silne zwierzę, wijąc się w lewo i w prawo, wyslizguje się z objęć chłopaka El-Saffani. Dziewczyna El-Saffani próbuje złapać je za tylne nogi: chwyta za prawą, ale kiedy świnia z całej siły prze naprzód na pozostałych trzech, El-Saffani od szarpnięcia traci równowagę, potyka się i ląduje boleśnie na ramieniu.

Świnia pruje prosto na nas – na Latu i mnie.

Latu nadal zastawia otwór wyjściowy. Macha przed sobą pochodnią, płomień chłozczy powietrze, cienie wydłużają się, skracają, wydłużają i skracają.

Świnia znów przystaje, ogień ją dezorientuje.

– Em, dźgnij ją! – wrzeszczy Latu. – Wbij jej ten nóż!

Długi nóż... Zapomniałam, że mam go w ręce. Muszę zabić to zwierzę. Musimy jeść, nie ma innego wyboru...

Świnia zerka na Bishopa, który gramoli się z ziemi, na chłopaka El-Saffani, który już się zbliża, wreszcie na Latu. Niemal widać, jak podejmuje świadomą decyzję: lepiej zmierzyć się z ogniem, niż pozostać w pułapce tej sali.

Świnia rzuca się na Latu. Wkraczam pomiędzy nie, wyciągając przed siebie nóż. Zwierzę spostrzega mój atak i sunie w lewo – alez szybko! Wyrzucam rękę w bok i czuję, że nóż wchodzi głęboko, ale wylatuje mi z dłoni, wiruje w powietrzu i z brzękiem ląduje na kamiennej posadzce.

Kwicząc z bólu i grozy, świnia rzuca się na Latu, taranuje ją i wytrąca jej z rąk pochodnię. Latu przewraca się w tył, łapiąc przy tym świnie w obie ręce. Ta wierzga nogami, próbując znaleźć punkt oparcia, ale Latu mocno opasuje ramionami gruby korpus zwierzęcia.

– Em! Pomóż mi ją przytrzymać!

Ruszam, żeby ją chwycić, ale świnia jest szybsza.

Przekręca szyję i mocno zatapia kły w ramieniu Latu. Wrzask dziewczyny odbija się echem od kopulastego sklepienia. Zwierzak rzuca łbem z boku na bok. Teraz Latu wierzga nogami, próbuje zepchnąć z siebie świnie, ale zwierzę nie puszcza.

Dopadam go niemal bezwiednie, uderzam i krzyczę, walę pięściami w twarde cielsko, w zatłuszczoną, śmierdzącą sierść.

Świnia zrywa się do ucieczki, racice trą po kamieniach. Rzuca się

biegiem w stronę korytarza, którego jeszcze nie znamy – w kilka sekund ginie w ciemnościach.

Już jej nie ma.

Latu jęczy. Prawą ręką przyciska lewe ramię. Przez palce sączy się krew, rozlewa po białej koszuli. Łapię ją, próbuję pomóc jej usiąść.

– Latu! Nic ci nie jest?

Pytanie jest bez sensu, ale nie wiem, co robić. Wszędzie krew. Twarz Latu to ściśnięta, pomarszczona płachta bólu. Cofa wargi i cedzi przez zaciśnięte zęby:

– Leć... łap ją. Zabij.

Próbuję sprawdzić, jak ciężko jest ranna.

– Zostaję z tobą.

Wybałusza oczy, z rozszerzonych źrenic wyziera czysta wściekłość.

– Em, zabij ją, bo ucieknie!

Niepewnym krokiem mija nas Bishop. Kuśtyka, próbując nie obciążać prawego kolana.

W ręce trzyma nóż.

Oglądam się na popsute kamienne drzwi. Za nimi na podłodze leży dogasająca pochodnia. W jej pełgającym świetle widzę, jak chłopak El-Saffani stara się pomóc siostrze. Ta usiłuje się podnieść, ale jej ręce i nogi są najwyraźniej za słabe i nie chcą jej słuchać.

Bishop, utykając, rusza śladem świni. Nie ma nawet pochodni. Gotów się zgubić w ciemnościach.

Latu zaciska zakrwawioną dłoń na moim przegubie.

– Em, nic mi nie jest, leć.

Łapię pochodnię z podłogi i wstaję niezdarnie. Biegnę za Bishopem.

Nietrudno się zorientować, dokąd idzie: drogę wyznacza ścieżka świńskiej krwi. W blasku mojej pochodni wygląda bardziej na czarną niż czerwoną. Widzę chłopaka przed sobą.

– Bishop, stój! Wracaj, Latu jest ranna.

Nie zatrzymuje się; każdemu długiemu krokowi lewą nogą towarzyszą dwa dociągane prawą. Gołymi stopami klapie w spryskaną

krwią posadzkę, zostawiając czerwono-czarne ślady. W którymś momencie, nawet nie wiem kiedy, zdjął i wyrzucił skarpetki.

– Bishop! Stój!

W końcu staje i okręca się na pięcie w moją stronę. Twarz ma zmienioną prawie nie do poznania, to maska nienasyconej furii.

– To coś ucieka – mówi. – Albo chodź ze mną, albo daj mi pochodnię, to pójdę sam.

Sam? Miesza mu się w głowie. Za bardzo pochłania go gniew i instynkt łowcy, dla którego liczy się wyłącznie to, żeby dopaść zdobycz. To dla niego ważniejsze niż pozostanie w grupie, ważniejsze niż Latu... ważniejsze niż ja.

W prawej ręce trzyma nóż – nisko, w pobliżu uda. Lewą wyciąga do mnie, rozcapierzając palce: chce ode mnie pochodni.

– Pójdę po ciemku, jeśli będę musiał – ostrzega.

Oszalał.

Wiem, że powinnam wrócić do Latu, zabrać ją do pozostałych, ale nie mogę zostawić teraz Bishopa. Nie mogę. Jeśli pójdzie sam i coś mu się stanie, chyba tego nie przeżyję.

– Idę z tobą.

Wyprzedzam go i ruszam truchtem w głąb korytarza. Kuśtyka za mną, twarz ma gniewnie wykrzywioną w wyrazie pełnej koncentracji.

Skoro nie mogę go zawrócić, spróbuję przynajmniej ubezpieczać.

Korytarz wygląda tak samo jak wcześniej: kamienna posadzka i ściany zdobione rzeźbieniami. Mijamy portale otwarte i zamknięte, ale ślady krwi nie prowadzą do żadnego z nich.

Bishop nawet na mnie nie patrzy. Jest opętany, gnany wyłącznie jedną myślą: dopaść świnie. Ma w sobie coś bardzo podstawowego, co mnie podnieca, wprawia moją duszę w drżenie. Powraca do mnie słowo z czasów szkoły.

„Pierwotny”.

Taki właśnie jest Bishop – pierwotny.

Noga chyba już mniej go boli. Rusza normalniejszym krokiem: lewa-prawa, lewa-prawa, chociaż za każdym razem, kiedy płaska w podłogę prawą stopą, krzywi się trochę i kuleje. Przyśpiesza. Muszę prawie biec, żeby dotrzymać mu tempa.

Krwawy trop, którym idziemy... zaczyna się przerzedzać.

- Nie – odzywa się Bishop głosem, w którym pobrzmiewa zawód.
- Jeśli teraz zgubimy ślad, możemy już nigdy go nie znaleźć.

Moja pochodnia przygasa, niewiele jej zostało. Wkrótce ogarnie nas ciemność, a Bishop albo tego nie zauważa, albo mu wszystko jedno.

- Nie mogło za bardzo się oddalić – mówi. – Straciło dużo krwi... niedługo zwolni, a potem odpełźnie gdzieś na bok i zdechnie.

W jego głosie nie ma wątpliwości – doskonale wie, co robi. Ale jeśli jest taki jak ja, jak Bello czy pozostali, ma tylko dwanaście lat. Jakim cudem taki z niego ekspert?

- Bishop, ja ledwo pamiętam, co to takiego świnia, a ty wiesz, jak się na nią poluje?

Nie myśląc kroku, podnosi na mnie wzrok znad krwawego tropu.

- Co to jest „świnia”?

- To zwierzę, za którym tak gonimy.

Wzrusza ramionami i wraca spojrzeniem do posadzki.

Ogarnia mnie zrozumienie, a wraz z nim zimny dreszcz: Bishop nie wie, jak polować na świnie, wie tylko, jak polować. Nie sądzę, żeby robiło mu różnicę, za czym gonimy – liczy się jedynie schwytanie ofiary.

Trop znika.

Bishop rozgląda się gorączkowo.

- Em, pomóż mi znaleźć krew! Tu gdzieś musi być jej więcej.

Padam na kolana, zniżam dogasającą pochodnię. Teraz to już właściwie bardziej żar niż płomień... Za chwilę znowu znajdę się w ciemności.

Przed nami po prawej coś przykuwa moją uwagę. Kolejny portal, kamienne drzwi zamknięte naглуcho, ale u dołu widzę szeroką ciemną plamę.

- Bishop, patrz!

Na czworaka podchodzę bliżej i wtykam w czarną plamę pochodnię. Tak, to jest dziura.

Dziura umazana krwią.

Bishop pada na podłogę i zaczyna się przeciskać przez otwór. Próbuje wtłoczyć się weń całym ciałem, chrząka i groźnie mruczy. Te odgłosy, które z siebie wydaje... Nie wiem, czy gdybym zamknęła oczy,

umiałabym odróżnić go od świni.

– Bishop, przestań... Nie przeciśniesz się tędy.

Nie widzę już jego głowy. Chyba zaklinował się w ramionach. Bosymi, okrwawionymi stopami wierzga w podłogę. Wije się i rzuca. A potem jego ramiona znikają i już go nie ma.

– Em, wskakuj tu!

Wsuwam w dziurę pochodnię, a potem idę jej śladem. Przepelzam z łatwością, chwytam drzewce i wstaję.

Biała koszula Bishopa jest cała w strzępach. Ściąga ją ze swych szerokich ramion i odrzuca w bok. Jego spocona, bezwłosa klatka piersiowa błyszczy w blasku pochodni. Czuję przemożną chęć, by dotknąć jego skóry, sprawdzić, czy jego mięśnie są naprawdę tak twarde, na jakie wyglądają, przejechać palcem wzdłuż obojczyka...

Potrząsam głową, próbując w niej sobie rozjaśnić. Coś ze mną nie tak? Dlaczego miałabym chcieć czegoś takiego, czegoś tak... wstydliwego? Świnia i obsesja Bishopa na jej punkcie – to na tym muszę się skupić.

Pochodnia dogasa wśród trzasków.

Bishop i ja patrzymy bezradnie, jak światło niknie zupełnie.

Wszędzie czerń.

Tak samo jak w trumnie, jak wtedy, gdy byłam uwięziona w pułapce i kąsało mnie tamto coś. Utkniemy w tej ciemności na dobre, umrzemy tutaj. Słyszę swój własny oddech – ależ jest szybki! – a czuję się, jakbym nie oddychała wcale: mam ściśniętą klatkę piersiową i nie wchodzi do niej powietrze. To niesprawiedliwe, już raz wyrwałam się z ciemności, nie wytrzymam bez światła nie dam rady nie mogę...

– Em, otwórz oczy.

...nie mogę złapać oddechu nie mogę nie mogę. Jestem uwięziona w pułapce w ciemności w trumnie gdzie nikt nie przyjdzie nas uratować a mama i tato nas porzucili i zostawili na pewną śmierć w samotności, ja muszę...

Silne ręce chwytają mnie za ramiona. Ciepłe ręce, ręce zapiaszczone i śliskie od potu.

– Em, uspokój się.

To Bishop – mówi do mnie, trzyma mnie. Powoli robię ogromny

wdech i tym razem czuję, jak głęboko wnika we mnie powietrze.

– Tak lepiej – mówi Bishop. – A teraz otwórz oczy.

Nawet nie wiedziałam, że mam zamknięte. Otwieram je, czekając na otępiający mrok, mrok bez końca... i zaskakuje mnie, że jest tu dosyć światła, by dało się po kształcie odróżnić twarz Bishopa. Jest blisko. Dość blisko, żeby go pocałować.

Puszcza moje ramiona i wskazuje w prawo.

Z początku nie rozumiem, co widzę. Wygląda to jak mur usiany setkami jaskrawych plamek, które przypominają maleńkie świecące klejnoty. Widać w tym murze pewną głębię. Ale to nie jest mur... to masa powyginanych prętów, poskręcanych wokół siebie nawzajem. A te plamki to żadne klejnoty... to odstępy, przez które przebija światło.

Bishop podchodzi do tej dziwnej ściany. Idę za nim.

To nie są też żadne pręty... to rośliny. Martwe, zdrewniałe łodygi o chropowatej korze, każda grubości mojego nadgarstka. Tu i tam widzę kilka kruchych brązowych liści. Niektóre uschnięte łodygi ciągną się wzdłuż podłogi ku środkowi sali, jakby szukały słonecznego światła, ale go nie znalazły i po prostu obumarły.

Łapię jedną z powyginanych roślin, czuję na skórze szorstkość kory. Potrząsam nią na próbę. Właściwie ani drgnie. Łodygi pozrastały się razem, spoiły ze sobą w nieprzebyty splot, który mógłby być ścianą ażurowej klatki. Jest tak gęsty, że nie do końca przepuszcza wzrok – co by nie leżało po drugiej stronie, sprawia wrażenie rozległej, jasno oświetlonej przestrzeni.

– Bishop, co to takiego?

Kręci głową.

– Nie jestem pewien. Przychodzi mi do głowy słowo „gęstwina”. Znasz to słowo?

Nie znam. Nic mi ono nie mówi, tak jak Bishopowi słowo „świnia”.

Bishop klęka, bada łodygi rękami. Wśród brązów widzę białe plamki. Klękam obok Bishopa i przyglądam się uważniej. Niektóre łodygi zostały poprzecinane: białe miejsca to drewno, jaśniejsze niż kora.

Bishop dotyka uciętej gałęzi.

– Nie rozumiem – mówi. – Jeśli ktoś chciał to przecinać, po co ciął tak nisko?

Tamta wycieczka na wieś... Coś jeszcze z tego wspomnienia ożywa... Człowiek... stary człowiek w śmiesznym kapeluszu mówił coś do mnie. Nie, nie do mnie – do nas, do całej klasy. O tym, co potrafi jeść świnia...

– Nie ciął – odzywam się. – Przegryzał. Bishop, to zrobiła ta świnia.

Jakby chcąc potwierdzić moje słowa, Bishop sięga trochę dalej w głąb, dotyka kolejnego kawałka jasnego drewna. Kiedy cofa rękę, ma na niej krew.

Oboje zauważamy to jednocześnie. Obgryzione gałęzie tworzą prowadzący w głąb gęstwiny półkolisty tunel.

Bishop spogląda na mnie.

– Skoro świni udało się przejść, nam też się uda – mówi.

Nie prosi mnie o pozwolenie, nie czeka, żeby usłyszeć, co myślę. Kładzie się na płask i wczołguje do tunelu.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Czołgamy się po ziemi.

Zdrewniałe gałązki, tworzące ściany tuneliku, drapią mnie po barkach i ramionach, wczepiają się w moją koszulę i wplątują we włosy. Nie myślałam, że włosy mam w aż takim nieładzie. Trudno mi teraz odgarniać je z twarzy. Wyglądam pewnie jak straszidło, jeszcze gorsze, niż mi się wydawało.

Bishop czołga się z wysiłkiem. Jest dużo większy ode mnie. Ostre krawędzie gałązek rozrywają mu nieosłoniętą skórę. Pełzną tuż za nim, jego stopy uciekają mi spod łokci. Oboje czołgamy się płasko, na brzuchu. Dwukrotnie widzę, jak Bishop zaplątuje się w gęstwinie, jak ogryzione drewno wbija mu się w ciało, i wiem, że z bólu zaraz zawróci. Ale on wydaje z siebie tylko warknięcie lub groźny pomruk i albo na siłę prze dalej, albo odcina nożem atakujące go gałęzie. Nie ustaje w drodze.

Jest duży, silny i szybki, ale ponadto wytrzymały. Nie tyle ignoruje ból, co go znosi. On się nie podda. Dwunastolatka we mnie patrzy na niego z podziwem – pod tym względem chce być taka jak on.

W dowolnej chwili od głosowania Bishop mógł odebrać mi wólczy i ogłosić się przywódcą. Nie byłabym w stanie go powstrzymać, a jednak tego nie zrobił. Pozostał wierny danemu słowu.

Czy jest moim przyjacielem? Czuję, że tak, i budzi to we mnie wdzięczność.

Kiedy zgasła nam pochodnia, myślałam, że ciemność mnie pożre, pochłonie, połknie. Tymczasem przed nami – światło przezierną przez gęstwinę. Nie, nie tylko przed nami – to światło dociera też z góry.

Zatrzymuję się.

Rośliny... Światło.

Czy to światło dnia?

I ten okropny smród świńskich odchodów... zniknął. W tym miejscu powietrze pachnie świeżo, czysto.

Czy to droga wyjścia? Udało się nam?

Czołgam się szybciej, żeby dogonić Bishopa. Chłopak stęka, przeciska się właśnie siłą przez kolejną plątaninę gałęzi. Tak bardzo chce

się przedostać, że jest gotów zapłacić za to własnym bólem, krwią.

A mnie uderza pytanie: czy prawdziwą ceną wszystkiego nie jest właśnie krew?

Bishop wyczołguje się z tunelu i podnosi. Przyśpieszam, nie umiem się opanować, czuję, jak ścieram sobie brzuch i uda o zimną ziemię. Próbuję wstać zbyt szybko i za karę jakaś ostra gałązka wbija mi się głęboko w ramię.

– Au, au!

– Nie ruszaj się przez chwilę – mówi Bishop. Odłamuje gałązkę z gęstwiny, po czym delikatnie wyciąga mi spod skóry wbity w nią kawałek drewna. – Nic ci nie jest?

Gdyby nie jego poważny wyraz twarzy, pomyślałabym sobie, że ze mnie drwi: całe ramiona, ręce i twarz pokrywają mu krwawiące zadrapania.

– Nie, nic – odpowiadam. – Dziękuję.

Uśmiecha się.

Przed moimi oczami rozpościera się morze zieleni. Trawa i drzewa, pierwsze oznaki życia, jakie zobaczyłam, nie licząc moich przyjaciół i tej świni. Potem podnoszę wzrok i obezwładnia mnie ból. Wszystko we mnie krzyczy: niech ktoś już z tym skończy, niech nas w końcu wypuści.

To tylko kolejna sala. Inna, ogromna, ale wciąż tylko sala: nie jesteśmy na zewnątrz.

Sufit jarzy się jasno. Żeby na niego spojrzeć, muszę przysłonić oczy. Inaczej niż w korytarzach, tutaj jest wygięty w łuk, jakbyśmy stali we wnętrzu długiej, szerokiej rury. Sklepienie unosi się wysoko nad nami. Wątpię, czy udałoby się go dotknąć w najwyższym punkcie, nawet gdybyśmy wszyscy stanęli jeden na drugim.

Po bokach widać gęste zagajniki, rosnące w nich drzewa sięgają dolnych krawędzi łuku. Na niektórych gałęziach widzę różnokształtne kolorowe plamy.

To... to muszą być owoce.

Jedzenie.

Jeśli są jadalne, jesteśmy uratowani.

Przed nami szeroka polana z sięgającą do kolan trawą, która prowadzi do czegoś równie wspaniałego: do wody. To jakieś źródło

bijące z ziemi, mieniący się, cudowny, żywy klejnot, który unosi się aż do poziomu mojej twarzy, a potem spada w wysokie trzciny. Trzciny biegną przez środek tej sali szerokim pasem o dziwnie regularnym, prostokątnym kształcie. Na drugim jego końcu rośnie znowu trawa, a za nią szereg drzew tak wysokich, że za nimi nie widać już nic więcej. Nie widać też, jak daleko ciągnie się ten wygięty sufit.

– Jedzenie i woda – odzywa się Bishop. Patrzy na mnie ze zdumieniem. – Savage... udało ci się.

Powoli kręcę głową.

– Ale nie wydostałam nas stąd.

– Wydostaniesz – odpowiada Bishop. – Wiem, że wydostaniesz.

Oglądam się za siebie. Tu gęstwina wygląda zupełnie inaczej niż od strony ciemnej sali: pokrywają ją liście. Przypomina opadający nierówno ciemnozielony koc, który spoczywa wygodnie w cieniu owocowych drzew. Rozpościera się w lewo i w prawo, przechodząc w gęsty las, który porasta oba boki tego olbrzymiego pomieszczenia. Gdzieniegdzie między drzewami prześwituje kamienna ściana.

To pewnie w tej ścianie jest dziura, którą się przeczołgaliśmy.

Uśmiechając się, Bishop pochłania wszystkie te widoki szeroko otwartymi oczami.

– To miejsce, Savage... to miejsce utrzyma nas przy życiu. Możemy tu odpocząć.

Ostatnie jego słowo coś we mnie wyzwala: jestem spragniona, głodna i taka zmęczona... Nie spałam od momentu przebudzenia w trumnie.

Ale nie mogę jeszcze odpocząć.

– Potrzeba nam Spingate – mówię. – Może ona się jakoś zorientuje, czy te owoce są jadalne i bezpieczne.

Bishop wzrusza ramionami.

– A jeśli nie są, to czy to naprawdę ważne?

Podchodzi do rosnącego w pobliżu drzewa, upstrzonego niebieskimi owocami wielkości pięści. Podnosi rękę, pociąga za jeden z nich. Gałąź wygina się przez chwilę, ale zaraz ogonek owocu pęka i konar z szelestem liści odskakuje z powrotem.

Otwieram usta, chcę powstrzymać Bishopa, ale nie mówię nic. On

ma rację: jeśli nawet jedzenie albo woda są trujące, co za różnica, czy umrzemy od nich, czy z głodu i pragnienia? Jestem wyczerpana, wycieńczona. Bishop też. Tak samo cała reszta naszych. Nawet nie wiem, czy mam dość sił, żeby wrócić po nich i tu ich przyprowadzić. Jeśli nie napijemy się i nie najemy tym, co mamy przed oczami, i tak jest już po nas.

Bishop unosi niebieski owoc do ust. Nagryza go – na ucho miąższ jest chrupki. Bishop żuje. Z ust strzela mu strużka przejrzystego soku, ścieka mu po brodzie. Bishop znów wyciąga rękę i zrywa kolejny owoc. Podaje mi go, uśmiechając się lśnącymi od soku wargami.

Przyjmuję owoc. Jest jędrny i lekki, skórkę ma chłodną w dotyku. Może mnie zabije. Jeśli tak, wszystko mi jedno.

Biorę gryza.

Po całym języku eksplodują mi smaki: słodki, chłodny, cierpki. Wiem, że dotąd jeszcze nigdy, przenigdy nie jadłam nic tak pysznego. Żuję jak szalona, biorąc drugiego gryza, a potem trzeciego.

Bishop pakuje do ust resztę swojego owocu. Zębami hałaśliwie miażdży twarde pestki, równocześnie sięgając już do innego drzewa, po inny owoc, tym razem podłużny i fioletowy. Wtem zamiera: coś przykuwa jego uwagę.

Z nożem w garści wchodzi w wysoką po kolana trawę. Widzę na jego plecach głębokie zadrapania, zygzakowate linie, z których sączy się krew. Spodnie ma porozdzierane, prześwitują przez nie uda.

Twarz mi się czerwieni i odwracam wzrok. Spodnie to jedyne ubranie, jakie mu zostało. Jak je straci, będzie cały nagi. Dorosły mężczyzna, nagi. W żołądku mi dziwnie, jakbym miała mdłości. I nie sądzę, że to wina owocu.

Kępy trawy jakby zamykały się za Bishopem. Pochyla się, dotyka czegoś, prostuje plecy i rozciera coś w palcach.

Na opuszkach ma coś czerwonego.

Bishop rusza dalej, przybliżając się do bulgoczącej kolumny wody. Już prawie wcale nie utyka.

W końcu przystaje. Pochyla głowę i przygląda się czemuś. Nie musi mnie wołać, bo wiem, co tam jest.

Idę do niego. Sztywna, ostra trawa ociera mi się o łydki i kolana.

U stóp Bishopa leży na boku świnia. Trawa wokół niej jest wygnieciona jej ciężkim ciałem. W tym jasnym, przejrzystym świetle wydaje się zupełnie innym zwierzęciem. Czarna sierść lśni. Uszy drgają we wszystkie strony szybkimi ruchami, jakby świnia liczyła, że usłyszy kogoś, kto idzie ją uratować.

Biedactwo... W tym miejscu nie można liczyć na pomoc nikogo z zewnątrz, tego zdążyłam się już nauczyć.

Trafiając włócznią, Bishop otworzył zwierzęciu udo – na widok okropnej rany zachodzę w głowę, jak w ogóle było w stanie biec. Ma też rozcięcie w górnej części boku – prosta linia zaczyna się pod szyją i biegnie za bark.

To moje dzieło.

Po czarnej sierści sączy się krew, pomieszana z ziemią i drobnymi gałązkami, upstrzona okruchami liści.

Tak – krew to cena wszystkiego.

Żebra i brzuch świni unoszą się i opadają bez żadnego rytmu. Każdy wdech to zasysane chrząknięcie, każdy wydech to słaby skowyt bólu. Nogi świni drgają, jakby chciała uciec, tylko nie miała już siły się podnieść.

Ale najgorsze są jej oczy – szeroko otwarte, brązowe, o wielkich czarnych źrenicach. Strzelają to na mnie, to na Bishopa, i z powrotem, tak przez cały czas. W tym spojrzeniu wyraźnie widać strach – wygląda prawie jak ludzkie.

Przyglądamy się świni przez chwilę.

– Miałem psa – mówi w końcu Bishop. – Sukę. Nie pamiętam, jak się wabiła.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć, więc tylko kiwam głową.

– Ta świnia umiera – szepcze Bishop. Głos ma cichy, cichutki, zupełnie niepasujący do jego postury. Rozumiem dlaczego. Dla niego to była tylko zabawa. Teraz patrzy na przerażone, wyczerpane, krwawiące zwierzę.

I to już nie jest zabawa.

Pomimo ran i brudu oblepiającego jej sierść, w tym świetle świnia wygląda dla mnie pięknie. Ten wilgotny ryjek, te szeroko otwarte ślepia... Czy widząc ją tutaj, na polanie, jak biega i truchta pełna życia,

też próbowalibyśmy ją zabić?

Mam ochotę powiedzieć: „Oczywiście, że nie”, ale wiem, że to odruch małej dziewczynki, którą kiedyś byłam. Dwunastoletnia Em – najedzona, wypoczęta, bezpieczna Em – chciałyby wziąć sobie tę świnkę do domu jak pieska.

Gdybym wiedziała, czym się to polowanie skończy, nie dopuściłabym do niego. Byliśmy głodni, ale teraz to zwierzę umrze w miejscu, gdzie jest więcej pożywienia, niż możemy kiedykolwiek zjeść. To straszne. Ta świnia nie zrobiła nam nic złego.

– Ona cierpi – mówię. – Musimy jej pomóc.

Bishop jest cały blady. Wiedział, jak się poluje, ale nie zdawał sobie sprawy, co będzie musiał zrobić na koniec.

– Nie możemy jej pomóc – protestuje. – Jest naprawdę ciężko ranna. Niedługo umrze. Może za godzinę, może za trochę dłużej.

Kręcę głową.

– Nie to miałam na myśli, mówiąc „pomóc”, Bishop. Musisz skrócić jej męki.

Patrzy na mnie z udręczoną miną.

– To znaczy zabić ją teraz? Dlaczego? Ona i tak umrze. Dlaczego nie możemy po prostu dać jej umrzeć?

Dlaczego? Dlatego, że nie potrzebuję wspomnień, by odróżnić dobro od zła. Dlatego, że to ty, Bishop, naciskałeś, żeby gonić to zwierzę, aż padło. Dlatego, że gdybym była lepszym przywódcą, zaczęłabym od powstrzymania cię przed tą pogonią. Dlatego, że Latu była ranna i powinniśmy byli z nią zostać. Dla tych i stu innych powodów, ale jeden jest ważniejszy od pozostałych.

– Dlatego, że to nie byłoby po ludzku – mówię.

Świnia wydaje z siebie piskliwy skowyt. Próbuje się podnieść, ale nie może.

Coś chłodnego łaskocze mnie w policzek. Dotykam... to łzy. Nie umiałam zapłakać nad Yongiem, a płaczę nad jakąś świnia?

Supel w mojej piersi jest równie twardy i splątany jak gałęzie, które pokonaliśmy, żeby się tu dostać. Tak samo ostry, tak samo postrzępiony.

W mojej głowie znów budzi się ten głos, który mówił mi:

„Płaczem niczego się nie rozwiąże”, „Zawsze atakuj”. To męski głos, dochodzący z głębokich pokładów wspomnień ukrytych na dnie umysłu.

Mówi teraz: „Wszystkie decyzje mają swoje konsekwencje”.

Ten głos ma rację.

– Chciałeś na nią polować – mówię do Bishopa – więc dokończ polowanie.

Bishop milczy. Świnia nie przestaje skowyczeć, a każdy cichy kwik to kolejna ostra gałązka, która wbija mi się w serce.

Bishop klęka obok świni z nożem w drżącej dłoni. Próbuje podnieść zwierzęciu łeb. Racice świni drgają – chce uciekać, bo wie, co nadchodzi, ale nie ma już sił do walki. Nawet teraz, gdy cała jego krew wysącza się na trawę, to zwierzę pragnie żyć.

W tym sensie niczym nie różni się od nas.

Wiemy już, że świnia potrafi ukąsić. Bishop nie ryzykuje. Wolną rękę wystrzeliwuje przed siebie, przygniatając do ziemi czarny łeb. Pochyliła się naprzód i unieruchamia zwierzę całym swoim ciężarem. Świnia kwiczy i chrumka, jej oddech rwie się i na wdechu, i na wydechu. Wierzga nogami jeszcze chwilę, a potem przestaje walczyć.

Bishop przyciska ostrze noża do grubej szyi stworzenia.

Czekam.

Czekam jeszcze trochę.

Z dołu patrzy na mnie świńskie oko.

– Jest przerażona – mówię cicho. – Cierpi. Proszę cię, dokończ to.

Ręka z nożem drży.

Widzę, jak mięśnie Bishopa marszczą się i drgają. Próbuje wykonać cięcie, ale ręka go nie słucha.

Bishop wydaje z siebie krótki, cichy jęk.

Umie polować. Umie rzucać włócznią. Umie krzyczeć, wrzeszczeć i bić ludzi.

Ale nie umie zabijać.

Puszczą świński łeb i przysiada na piętach.

Zwierzę nadal żyje. Każdy jego oddech to spazm męczarni. Nie pozwolę, żeby to się ciągnęło.

– Daj mi ten nóż.

Bishop podrywa głowę. Patrzy na mnie, jakbym była kimś zupełnie

obcym.

– Po prostu daj jej umrzeć w swoim czasie.

Wyciągam otwartą dłoń.

– Dawaj. Jeszcze nigdy niczego nie zabiłeś.

Bishop wstaje. Gniew wzbiera w nim niemal namacalną falą. Pochyla się nade mną, próbując mnie – bezwiednie czy świadomie – zastraszyć, ale to nie ja powoduję jego gniew: jest podenerwowany, wściekły na siebie samego i chce się wyładować na kimkolwiek, czymkolwiek.

– To prawda, jeszcze nigdy niczego nie zabiłem – mówi. I zaraz uśmiecha się szyderczo. – A ty?

Spoglądam mu w oczy i potwierdzam ruchem głowy.

Przez chwilę mi nie dowierza, ale potem jego gniew przygasa. Wie, że mówię prawdę.

– Co zabiłaś?

– Chłopaka. – Mój głos brzmi, jakby należał do kogoś innego, kogoś niezdolnego do uczuć. – Nazywał się Yong. Zaatakował mnie.

To był wypadek, wcale tego nie chciałam, nie miałam innego wyboru.

Bishop stoi oniemiały. To on jest przecież największy, najsilniejszy, najgłośniejszy. I oto ja, maleńka ja, zrobiłam innemu człowiekowi coś, czego on nie umie zrobić nawet rannemu zwierzęciu.

– Zabiłaś – powtarza – człowieka. Zabiłaś człowieka? Niemożli... Nie rozumiem. Ale... jak?

On się jąka, a świnia cierpi. Dość się nagadaliśmy.

Znowu wyciągam rękę.

– Zabiłam go tym nożem – mówię. – A teraz dawaj go.

Podaje mi nóż, ale zapomina obrócić go ku mnie rękojeścią. Sięgam, omijając ostrze, i odbieram mu go.

Klękam tuż obok świni.

– Przytrzymaj ją – rzucam.

Bishop klęka także, ponownie wciska duży łeb zwierzęcia w trawę.

Kładę dłoń na barku świni. Jest ciepły. Czuję łomot serca, które

w panice wali tak, że dudni całe ciało zwierzęcia. Yong umarł, bo dźgnęłam go w brzuch, ale umarł nie od razu. Nie mogę zrobić tego samego stworzeniu przede mną, dosyć się już nacierpiało.

Przesuwam dłoń na grubą szyję. Tutaj mięsień jest jędrny, twardy prawie jak drewno.

Coś mi podpowiada, że ciąć powinnam właśnie w tym miejscu.

Opieram tam ostrze noża.

– Em, nie – szepcze Bishop głosem tak cichym, że ledwo go słyszę, choć klęczy tuż obok mnie.

Byłoby łatwiej dać świni umrzeć powolną śmiercią w męczarniach. Ale nie zrobię tego, co łatwiejsze... Zrobię to, co należy zrobić.

Świnia przewraca okiem i łypie nim na mnie.

– Przepraszam – mówię.

Pochylam się bardziej i tnę ostrzem w przód.

Brudna czarna sierść i leżące pod nią mięśnie rozdzielają się bez oporu. Przez jedną chwilę, gdy wszystko zamiera, cięcie jest głębokie i puste, ale zaraz wypełnia się krwią. Naciskając mocniej, przeciągam ostrzem z powrotem.

Krew tryska na trawę, rozbryzguje mi się po twarzy i ramionach. Świnia wierzga mocno, jakby pewna – za późno – że to już koniec. Bishop rzuca się na nią całym ciężarem, przygniata. Świnia wykręca się i próbuje go ugryźć, ale ręce Bishopa zaciskają jej ryj.

Świnia kwiczy jeszcze głośniejsze, nie przestaje kwiczeć. Chcę, żeby już zdechła, proszę, niech już zdechnie, niech ten dźwięk wreszcie ustanie.

Bishop płacze, jego wielkim ciałem wstrząsa równie wielki szloch.

Ja też płaczę.

Jeszcze raz tnę w przód i z powrotem, przyciskając ze wszystkich sił.

Kwiki cichną, zmieniają się w słabe chrumkanie.

Po chwili zwierzę milknie.

Jego oko nadal na mnie łypie, ale już nie ma w nim śladu życia.

Jestem odrętwiała. Nie myślałam, że tak to będzie wyglądać. Nie pamiętam, co myślałam, i czy w ogóle cokolwiek... ale na pewno nie

przewidziałam, że tak się to potoczy.

Nie wiem, ile czasu mija, zanim w końcu Bishop ześlizguje się ze świni. Siada obok mnie. Bierze mnie w ramiona – w zakrwawione ramiona – i przyciąga mocno. Przyciska czoło do mojej szyi. Upuszczam nóż i przytulam go.

Słyszymy zbliżające się kroki. Oboje podnosimy wzrok: to El-Saffani. Bliźniaki przyglądają się z góry świni i nam – cali jesteśmy we krwi.

Bishop i ja podnosimy się z ziemi.

Bliźniaki zaczynają mówić jedno przez drugie, najpierw chłopak, potem dziewczyna:

– Poszliśmy waszym tropem...

– ...było łatwo, przez te krwawe ślady stóp...

– ...i odkryliśmy, gdzie przeszliście przez dziurę w drzwiach.

Oboje opuszczają głowy w tym samym momencie. Patrzą na świnię, potem na Bishopa, w oczach jaśniej im zdumienie pomieszane z podziwem.

– Nie żyje...

– ...zabiłeś ją, Bishop...

– ...ale jesteś dzielny.

Bishop kręci głową.

– Próbowałem, ale nie dałem rady – mówi. – Em to zrobiła.

Bliźniaki przenoszą wzrok na mnie. Ich spojrzenie nadal jest surowe, ale coś się w nim zmieniło – teraz nie jestem już ich wrogiem.

Bishop mógł skłamać, że to on zabił świnię, a oni by mu uwierzyli, ale nie zrobił tego. Powiedział prawdę, natychmiast i bez wahania.

Świnia nie żyje, ale jej przeraźliwe kwiki nadal odbijają się echem w mojej głowie razem z głosem Yonga wołającego mamę.

Moje ciało, umysł, zapał – wszystko się wyczerpało. Nie jestem w stanie myśleć. Ani nawet czuć; nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze coś poczuję.

Mamy żywność. Mamy też wodę – chyba – ale coś nie daje mi spokoju. Coś jest nie tak.

Wpatruję się w bliźniaki i próbuję ogarnąć, o co chodzi.

Wreszcie do mnie dociera.

- Gdzie Latu?
- Tam, gdzie została ranna...
- ...mówiła, że nic jej nie jest...
- ...kazała nam biec za wami.

Pięści zaciskają mi się same tak mocno, że paznokcie prawie przebijają skórę.

- Zostawiliście ją?

Bliźniaki spoglądają po sobie. Znów są małymi dziećmi, które nagle się połapały, że zrobiły coś złego.

- Chciała, żebyśmy pomogli wam dorwać świnie!
- Bo wszyscy są tacy głodni!
- Ma przecież pochodnię...
- ...i dodatkowe szmaty...
- ...kazała nam biec!

Zostawili ją samą i ranną.

Słyszę zwierzęce chrząknięcie i przechodzi mnie dreszcz. Patrzę na świnie, czy nagle nie wróciła do życia. Nie, życia w tym stworzeniu już nigdy nie będzie.

Drugie chrząknięcie. Strzelam oczami w kierunku dźwięku: to tam, po lewej, tuż za wysoką trawą, w kępie drzew aż przygiętych od czerwonych owoców.

Inna świnia.

To jest ich więcej?

Pojawia się drugi świński łeb.

Potem trzeci.

Czuję, jak przejmuję mnie lodowate zimno – ile tu jest tych świń?

Teraz chrząka ta trzecia.

Odgłos przetacza się po moim wycieńczonym umyśle, szuka jakiegoś związku. Wcześniej, kiedy goniliśmy za świnie po korytarzach, też coś usłyszałam – chrząknięcie, które nie pochodziło od ściganej zdobyczy.

Tamta wycieczka na wieś, opowieść człowieka w śmiesznym kapeluszu... W głowie błyskają mi kolejne zdania... i nagle uświadamiam sobie, dlaczego wszystkie te trumny były puste.

- Latu – wyrywa mi się.

Łapię leżący w trawie nóż i rzucam się z powrotem w gęstwinię.

DWADZIEŚCIA DWA

Ostre gałęzie drapią mnie po twarzy, rękach i nogach, szarpią za włosy. Ból nie ma znaczenia. Muszę dotrzeć do Latu jak najszybciej.

Dopiero gdy już się przedarłam na drugą stronę ściany, zdaję sobie sprawę, że nie wzięłam pochodni. To też jest bez znaczenia – nie będę już wracać.

Czołgam się przez dziurę w kamiennych drzwiach i wynurzam w kompletnym mroku. Wraca ten okropny zapach, ale teraz go prawie nie zauważam. Biegnę. Lewa ręka przy ścianie, w prawej trzymam nóż. Korytarz nie skręca i dopiero co w nim byłam – nie licząc świńskiej krwi, na podłodze nie ma żadnych przeszkód.

Czy pochodnia Latu nadal się pali? Czy El-Saffani zostawili jej dość nasmarowanych szmat? Rozpaczliwie pragnę zobaczyć jej światło, zobaczyć samą Latu, usiłuję wywołać ją z ciemności samym pragnieniem.

Szybciej... Muszę biec szybciej. Próbuję przyśpieszać, ale moje ciało opiera się przed pędem przez kompletną czerń, jakbym mogła wbiec w coś nowego, czego nie zauważyłam za pierwszym razem.

Jak bliźniaki mogły zostawić ją samą?

Ale to nie tylko ich wina. Ja także ją zostawiłam. A przecież była ukąszona, całe ramię miała rozorane i we krwi... Dlaczego poszłam z Bishopem, zamiast zostać z ranną przyjaciółką? Że też nie mogę cofnąć tej decyzji!

Gdy nie ma światła, zostaje sam dźwięk: plaśnięcia moich stóp w mokrych, brudnych skarpetkach, szuranie moich palców o ścianę, gwałtowny oddech, który nie daje dość powietrza, by ulżyć płonącym płucom i mdlejącym mięśniom.

Latu nic nie jest. Na pewno. Kazała mi biec, obiecała, że nic jej nie będzie.

Daleko z przodu migocąca iskierka żółtego światła wybija się z ciemności jak najjaśniejsza gwiazda. To jeszcze kawał drogi długim, prostym korytarzem, ale już prawie do niej dotarłam.

Światelko rośnie, świeci coraz jaśniej. To pochodnia, ale leżąca

płasko na podłodze. Za pochodnią... czy to Latu? Może leży na ramieniu? Widzę jakiś ruch i serce wypełnia mi ulga. Może osłabła, ale skoro się rusza, to nie umarła.

Prawie u celu. Latu trzęsie się trochę. Żyje.

– Latu! Nic ci nie jest?

Na dźwięk mojego głosu nieruchomieje.

Jakiś ruch za to widać u jej nóg. Ruch czarnego kształtu.

W ciemności materializuje się sześć okrągłych, błyszczących plamek, które tańczą w świetle pochodni.

Ślepia.

Świńskie ślepia.

Latu wcale się nie ruszała. To świnię nią poruszały.

Nie... to się nie dzieje naprawdę. Nagle fragment wspomnienia z wycieczki na wieś nabiera szczegółów. Człowiek w śmiesznym kapeluszu opowiadał nam, że świnię zeżrą wszystko: trawę, ziemię, robaki, zbiory zbóż, mięso, tkaniny, drewno...

...nawet kości.

To stąd te puste trumny, a w ostatniej buszująca świnię. Szukająca jedzenia.

Zalewa mnie fala nowych sił. Wydaję z siebie wrzask pełen takiej wściekłości, nienawiści i furii, że na jego dźwięk nawet Bishop wzięłby nogi za pas. Rzucam się na świnię, na Latu, na pochodnię, wymachując przed sobą nożem. Świnię czmychają i znikają w mroku pośród chrząknięć.

Dobiegam do Latu i staję jak wryta.

Łzy zamazują mi wzrok. Nie powinnam była jej zostawić. Chcę to cofnąć chcę tę chwilę z powrotem proszę niech to nie będzie prawda...

Życzenia nie pomogą, a płaczem niczego się nie rozwiąże, bo rzeczywistość jest, jaka jest.

Martwa twarz Latu wpatruje się w przestrzeń.

Stoję w kałuży jej krwi.

Świnię rozerwały ją na strzępy. Resztkę jej koszuli to przemoczony czerwienią szary gałgan.

Rozpruły jej brzuch.

Poszatkowały zębami jej ukąszone ramię, zrywając z niego tyle

mięśni, że nie wiem nawet, czy jeszcze trzyma się ciała, czy tylko leży obok jak odpadła część.

Zeżarły jej stopy. Jej stopy. Tam, gdzie miała kostki nóg, wystają białe drzazgi umazane czerwienią. Kości noszą ślady obgryzania.

Kawałki Latu leżą porozrzucane po korytarzu pośród krwawych śladów racic.

Świnie ją zamordowały.

Świnie ją żarły.

Dla nas świnie to jedzenie. Dla świń jedzenie to my.

Czy Latu krzyczała? Czy walczyła? Nigdy się nie dowiem.

Opieram się o ścianę. Ramieniem wciskam się w płaskorzeźbę z człowiekiem podczas żniw. Zamykam oczy.

Chcę iść spać. Chcę iść do szkoły. Chcę się wykąpać i założyć czyste ubranie. Chcę, żeby tato zrobił mi obiad. Chcę kanapkę O'Malleya, makaron z serem Yonga, babeczkę Aramowskiego.

Dlaczego nikt po nas nie przychodzi?

Dlatego, że... dlatego, że nikt nas nie kocha. Na pewno dlatego. Zostaliśmy wyrzuceni do śmieci. Jesteśmy niechciani. Nasi rodzice – to oni zostawili nas w tym koszmarze. Zostawili nas samych.

Śmierdzi tutaj. Śmierdzi świńskim gównem i śmiercią.

Wierzchami dłoni ocieram łzy.

Latu przygląda mi się martwymi oczami. Wiem, że tak jest. Przygląda się i mnie obwinia.

Łzy płyną coraz szybciej, coraz mocniej, wzrok mi się od nich zamazuje, a Latu cała drży. Twarz jej się zmienia.

Teraz to twarz Yonga.

Ilu jeszcze zginie, Em? – pyta. *Ilu jeszcze takich jak Latu i ja?*

– Nie wiem – odpowiadam. – Nie wiem ilu.

Znowu wycieram łzy, tym razem mocniej, i spoglądam na ciało. To nie jest Yong. To Latu. I nie może ze mną rozmawiać, bo nie żyje.

Wszystko mogło wyglądać inaczej. Nie pamiętam szkoły, ale wiem, że do jakiejś chodziłam. A gdybym poznała Latu w mojej klasie? Podczas obiadu mogłybyśmy siadywać przy tym samym stoliku. Na dużej przerwie mogłybyśmy bawić się razem.

Zaprosiłabym ją na swoje urodziny.

A ona mnie na swoje.

Czy to nadal dzień naszych urodzin? Sama nie wiem. Tu w dole nie ma dnia. Ani nocy.

Latu i ja byłybyśmy przyjaciółkami. Najlepszymi.

Byłybyśmy dziećmi.

Ale nie jesteśmy dziećmi. Wszyscy zostaliśmy wepchnięci w te starsze wersje nas samych. To ciało... W nim jestem kimś innym. Nie pamiętam szczegółów, ale kiedyś aż tyle nie płakałam. Na pewno nie. Nigdy nie chciałam dotknąć torsu żadnego chłopaka. Nigdy nie wpadałam w taką złość, żeby chcieć komuś zrobić krzywdę. Dopiero przy Yongu.

Czy to moja wina, że Latu nie żyje? Tak. I wina Bishopa? I El-Saffanich? Tak, to nawet wina samej Latu, bo nalegała, żeby pójść z nami, kiedy kazałam jej pójść z O'Malleyem. Wszystkie decyzje mają swoje konsekwencje. Na każdym z nas spoczywa część winy – ale tylko cząstka, bo nie podjęlibyśmy złych decyzji, gdyby ktoś kiedyś nie postawił nas na tym miejscu.

Ci, którzy nam to zrobili – oni są za to odpowiedzialni. To ich obciąża śmierć Latu. Śmierć Yonga. Cały ten ból, pragnienie i głód, cała ta krew.

Chcę się dowiedzieć, kim są. Chcę, żeby za to zapłacili.

Z korytarza dobiega echo kroków. Ludzkich kroków.

Kilka chwil później widzę oświetlone pochodniami twarze Bishopa i El-Saffanich. Stają jak wryci, wstrząśnięci widokiem zmasakrowanej Latu.

Bishop patrzy na mnie.

– Świnie?

Kiwam głową.

– Co za okropność, ona...

– ...musiała strasznie krzyczeć.

Nawet jeśli wydrę się na El-Saffanich, że zostawili Latu samą, niczego to nie zmieni. Nie przywróci jej życia. Więc się nie odzywam.

Przysiadam na piętach. Nie klękam, bo nie chcę mieć na skórze krwi Latu. Wyciągam rękę i ujmuję jej lewą dłoń. Jakimś cudem nie jest

pokrwawiona, za to jeszcze ciepła.

– Przepraszam – mówię.

Uświadamiam sobie, że to samo słowo wypowiedziałam, podryznając gardło świni, i znów wzbiera we mnie wściekłość. Ci, którzy nas tu wsadzili... to im chcę poderznąć gardła. Chcę pozabijać ich wszystkich.

Układam dłoń Latu na jej piersi. Prawej dłoni nie dotykam – dwa palce u niej zostały odgryzione.

Podnoszę się i odwracam wzrok. Już nigdy więcej nie spojrzę na jej ciało. Postanawiam zapamiętać wizję Latu z kręconymi włosami rozwianymi w pędzie, kiedy na dużej przerwie siedzimy obok siebie na huśtawkach, śmiejemy się w promieniach słońca i podpuszczamy nawzajem, która rozhuśta się wyżej.

– Bishop, zabierz Latu do sali z kopułą – mówię. – Połóż ją na tym kole z kamienia i przynieś mi włócznię.

Przez chwilę się waha, a potem pochyla, żeby podnieść moją przyjaciółkę z ziemi. Nie patrzę na to.

– El-Saffani – odzywam się do bliźniaków – owińcie pochodnię Latu nową szmatą i dajcie Bishopowi. Jak tylko skończycie, odświeżcie swoją pochodnię. Resztę szmat rozdzielcie na dwie kupki. Połowę wezmę ja z Bishopem, wy zostaniecie tutaj z drugą połową.

Bliźniaki spoglądają po sobie z lękiem i powątpiewaniem.

– My zostajemy tutaj...

– ...a wy nas zostawiacie?

– Właśnie tak. Bishop i ja idziemy po pozostałych. Wy brońcie drzwi: nie dajcie żadnym świniom zbliżyć się do ciała Latu.

Bishop wynurza się z sali i podaje mi włócznię. Przekazuję ją bliźniakom.

– Jeśli świnię podejda bliżej, zabijajcie je – mówię. – Włócznia jest długa, możecie zostać w środku, za drzwiami, i dźgać je na odległość. Wejście jest tak wąskie, że zmieszczą się tylko pojedynczo. Nawet gdyby przyszła tu setka świń, dacie radę je odeprzeć, aż Bishop i ja wrócimy z całą resztą. Potem wszyscy ruszymy do Ogrodu.

„Ogród”. Nazwa równie dobra jak inna, ale pasuje.

Dziewczyna El-Saffani zabiera się za pochodnię Latu, więc

chłopakowi El-Saffani pozostaje tylko drżącą ręką chwycić włócznie.
Patrzy na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć, że ją trzyma.

– Nie powinniśmy zostać razem? – upewnia się.

Powinniśmy. Wiem, że tak. W grupie siła. Ale jeśli zostawimy
Latu, świnie pożrą ją do końca. A na to nie pozwolę.

– Zostańcie tutaj – mówię, tym razem bardziej stanowczo. – Kiedy
wrócimy, zabierzemy Latu ze sobą, żeby ją pogrzebać.

Moja przyjaciółka nie skończy jako sterta zakurzonych kości.

Każde z tej trójki kółko-gwiazd mogłoby zignorować moje
polecenia, ale tego nie robią. Patrzą na mnie, jakbym była jakaś inna.
No, w sumie jestem inna – jestem tą, która zabija.

Dziewczyna El-Saffani kończy oporządzać pochodnię Latu. Bucha
mocny płomień. Pochodnie zawsze najjaśniej płoną na samym początku.

Podrzucam nóż w dłoni i podaję Bishopowi rękojeścią naprzód.
Jest silniejszy i szybszy, to sensowne, żeby on miał tę broń.

Kręci głową, jakby nie był tego godny. Jest mu wstyd.

– Wobec tego ja go poniosę – mówię. – Ty weź pochodnię.

Tak też robi. Unosi światło nad głowę i ruszamy szybkim truchtem
w głąb korytarza.

Biegniemy po naszych ludzi.

DWADZIEŚCIA TRZY

Odpoczywamy.

Wszystko wygląda inaczej.

Bishop i ja dotarliśmy do pozostałych bez dalszych problemów. Nie widzieliśmy żadnych świń.

O'Malley pomógł wszystkim zachować spokój. Jak tylko wspomniałam im o jedzeniu i wodzie, byli gotowi zrobić wszystko, co zechcą.

Potem opowiedziałam im o Latu. Niektórzy z grupy Bishopa chyba mi nie wierzyli, jakby nie dowierzali, że Latu nie żyje. A może nie rozumieli, na czym naprawdę polega śmierć.

Kiedy wróciliśmy do El-Saffanich, chciałam wszystkim unaocznić, jak niebezpiecznie tu jest. Kazałam im wejść do pomieszczenia z kopułą i przyjrzeć się ciału Latu – wtedy zrozumieli śmierć bardzo dobrze.

Kiedy nas nie było, El-Saffani słyszeli chrumkania i sapania dochodzące z mroku, ale świni nie próbowały dostać się do sali. Trochę mnie to rozczarowało – liczyłam, że może więcej ich zginie.

Bishop wziął ostatnią flagę – tę, w której Bello i Okereke nosili natłuszczone szmaty – i zawinął w nią ciało Latu. Poniósł ją na ramieniu, jakby zupełnie nic nie ważyła.

Do Ogrodu dotarliśmy prawie natychmiast. Jeden po drugim, moi ludzie przeczołgali się ostrożnie przez kaleczący skórę tunel. Kazałam wszystkim pozostać w pobliżu gęstwiny. Bishop musiał po drodze napomknąć coś kółko-gwiazdom, a może El-Saffani coś powiedzieli, bo Visca, Farrar, Bawden i Coyotl starali się, żeby nikt nie ignorował moich rozkazów.

Podczas gdy inni jedli, wtykali twarze w słup bulgoczącej wody albo po prostu gapili się na ogrom Ogrodu, ja doszłam niepewnym krokiem do drzewa, z którego Bishop zerwał dla mnie niebieski owoc. Usiadłam na ziemi i już nie byłam w stanie się podnieść. Nie chcę wstawać.

Bishop i El-Saffani zanieśli Latu pod inne drzewo. Tam ją pogrzebali. Wykopali dziurę własnymi rękami, nie dali sobie

pomagać.

Aramowski powiedział kilka słów, ale grób Latu jest na tyle daleko od drzewa o niebieskich owocach, że nie bardzo go słyszałam. Nie wiem, czy ta przemowa miała jakiś sens, czy raczej składała się z przypadkowych myśli, jak wtedy, gdy umarł Yong. Ale to tak naprawdę nieważne. Jak powiedziała Spingate, zmarłym jest wszystko jedno – i mnie też.

Chciałam pogrzebać też świnię, ale Spingate i Gaston szybko wybili mi to z głowy. Stwierdzili, że potrzeba nam nie tylko owoców, ale także mięsa. Gaston zrobił ognisko. Teraz ludzie pieką na nim świnię. Pachnie fantastycznie.

Aż trudno uwierzyć, że płakałam, kiedy podrzynałam gardło głupiemu zwierzęciu. Jak mięso się upiecze, planuję je jeść, i to ze smakiem.

Chcę pozabijać wszystkie śwynie. Ich kwiki i ludzko patrzące oczy już nigdy nie będą mi przeszkadzać. Zabiły mi przyjaciółkę. Zabiją nas więcej, jak tylko nadarzy się okazja. To znaczy, że dla bezpieczeństwa musimy je wybić co do nogi.

Jeśli ktoś ma tu ginąć, my albo one, niech giną one.

Spingate przyniosła mi wodę. Nie mamy żadnych naczyń, więc zamoczyła jakąś koszulę i wyżęła mi ją do ust. Poczułam chłód na języku. Moje gardło się ucieszyło. Im więcej połykałam, tym bardziej rozluźniało mi się całe ciało.

Mam nadzieję, że wzięła jedną z tych niezakrwawionych koszul.

Powieki tak mi ciężą. Nie całkiem śpię, nie całkiem czuwam.

Jeszcze nigdy nie byłam taka zmęczona.

Dociera do mnie jak przez mgłę, że ktoś koło mnie siada.

– Em, dobrze się czujesz?

To O'Malley. Lubię jego głos.

– Świetnie – odpowiadam. – Czuję się świetnie.

Mój głos wcale na to nie wskazuje. Brzmi tak, jakby moja fikcyjna rozmowa z Yongiem wkrótce miała się stać rzeczywistością, bo będę równie martwa.

Mrugam na wpół otwartymi powiekami, rozchyłam je. Trochę dalej z prawej widzę drzewko z pomarańczowymi owocami. Nie mogę

oderwać od nich wzroku, nawet po to, żeby spojrzeć w twarz O'Malleya. Jest co prawda ładny, ale tamte owoce też.

– Farrar stwierdził, że powinniśmy wystawić wartę – mówi O'Malley. – Ze względu na świnię. Na wszelki wypadek. Zająłem się tym, kiedy Bishop grzebał Latu. Teraz na warcie są Farrar, Bawden i Coyotl. Będą tam, póki inni nie odpoczną, a potem ktoś ich zmieni. Jesteśmy bezpieczni, Em.

– To dobrze – odpowiadam.

Czuję na czole ciepłą rękę, która gładzi mi włosy. To bardzo miłe.

– Możesz teraz zasnąć – mówi O'Malley. – Potrzebujesz snu.

O wszystkim innym pomyślimy później.

Głos ma szorstki, znużony, jakby sam radził sobie niewiele lepiej niż ja.

O'Malley idzie sobie. Kiedy śpię, czy to on dowodzi? Chyba tak. Mam nadzieję, że nic nie popsuje. Ale, ej, jeśli nikt nie umrze? To pójdzie mu lepiej w rządzeniu niż mnie.

Powieki mi opadają. Jeszcze raz unoszę je na siłę. Tyle że i tak niewiele widzę. Wszystko jest rozmazane.

Słyszę odgłos, którego nie spodziewałam się usłyszeć już nigdy: ludzki śmiech.

Nikt nie próbuje lekceważyć Latu, chodzi tylko o to, że mamy co jeść, mamy wodę. Jesteśmy bezpieczni.

Śmiech. To dobry dźwięk.

Oczy mi się zamykają.

CZEŚĆ III

ŻYWNOŚĆ I SCHRONIENIE

DWADZIEŚCIA CZTERY

Budzi mnie nagły, przeszywający krzyk.

Jest tak jasno, że nic nie widzę. Macam rękami wokół siebie, szukając włóczni, ale czuję tylko zimną darń i miękkie rośliny. Włóczni tu nie ma, gdzie... gdzie ona jest? Świnie po mnie idą, świnie idą wyszarpać mi trzewia i pożreć moje kości, idą tu po nas wszystkich, a ja...

Znowu ten krzyk... a zaraz po nim śmiech.

Oczy oswajają mi się ze światłem. Rozglądam się wokół. Moi przyjaciele siedzą pod drzewami albo wylegują się koło trzcin. Jedzą, rozmawiają, śpią. Są spokojni.

Nic nam nie grozi.

Ten krzyk – to była Spingate. Turla się z Gastonem w wysokiej trawie. Śmieją się.

Pod jednym z drzew na prawo stoi Aramowski, przemawia do kilku osób, które siedzą w małym półkolu. To Opkick, Johnson i Cabral, jeśli dobrze zapamiętałam ich nazwiska. Przy bulgoczącym źródle Bello i Ingolfsson układają owoce w porządne sterty. Widzę, że O'Malley rozmawia z Bordżiginem, chłopakiem z półpełnym kółkiem, który ma w sobie coś z dziewczyny.

A najdalej stąd, za rozciągniętym prostokątem trzcin, widzę gołę, umięśnione grzbiety trzech chłopaków. Nie muszę nawet oglądać ich twarzy: ciemna skóra i gruby kark należą do Farrara, białe włosy i różowa skóra do Viski, a szerokie ramiona i zygzakowate zadrapania to nie może być nikt inny, tylko Bishop. Stoją w wysokiej trawie i wpatrują się w las, ciągnący się daleko w głąb tej długiej sali.

Trzymają straż z obawy przed świniami, ale i każdym nowym zagrożeniem, które może nadejść.

Odkrywam, że kilkoro innych też pozbyło się koszul. Coyotl, Bawden, El-Saffani... wszystkie kółko-gwiazdy. Dziewczynie El-Saffani i Bawden jest najwyraźniej obojętne, że mają odkryte piersi, ale mnie bardzo to krępuje. Powinny być zakryte jak pozostałe dziewczyny. Myślą sobie, że kółko-gwiazdy są jakieś inne? Odpowiedź

brzmi chyba, że faktycznie są inne. Pozbawione koszul, kółko-gwiazdy wyglądają jak jakaś grupa osobna od całej reszty nas.

To mnie niepokoi.

Zauważa mnie Bello i twarz jej się rozjaśnia. Podrywa się na równe nogi i biegnie ku mnie. W blasku, padającym z sufitu na jej włosy blond, wygląda, jakby promieniowała wewnętrznym światłem.

– Em! Obudziłaś się. Martwiłam się o ciebie, długo spałaś.

– Tak? Jak długo?

Marszczy czoło, wzrusza ramionami.

– Kto to wie? – Wskazuje na moją koszulę. – Byłaś taka nieprzytomna, że nie obudziło cię nawet rozbieranie.

Moja koszula... większość krwi zniknęła. Brud też. Pozostały tylko wyblakłe ślady – różowe w miejscach, w których była krew, jasnobrązowe po ziemi, bladozielone po trawie. Koszula jest trochę sztywna w dotyku, spódnica też.

Ubranie mam chyba czyste... tak samo jak i skórę.

Patrzę na Bello zdezorientowana.

– Umyliśmy cię – mówi. – Ja i D'Souza. Ona to też kółko, tak jak my.

Bezwiednie unoszę ręce, żeby zakryć piersi, choć koszulę mam zapiętą po ostatni guzik.

– Zdjęłyście ze mnie ubranie?

Bello poklepuje mnie po ramieniu.

– Nie martw się, reszta dziewczyn usiadła i zasłoniła cię przed chłopakami. Wyprałyśmy ci ubranie i starłyśmy z ciebie całą tę maź. Masz mnóstwo zadrapań. Smith je oczyściła. Nie pozwoliła nikomu innemu dotknąć twoich ran. Tak samo opatrzyła też Bishopa.

Smith. Ta wysoka i chuda. Kółko-krzyżyk.

Włosy mam jakieś inne. Przeciągam warkocz do przodu: jest świeżo zapleciony. Jego koniec ktoś przewiązał paskiem białego materiału, założyłam się, że z koszuli któregoś chłopaka.

– Poprawiliśmy ci włosy – wyjaśnia Bello. – Nawet przy tym się nie obudziłaś. Musiałaś być naprawdę zmęczona.

Przespałam to, że mnie rozbierały, myły i zaplatały mi warkocz.

– Może „zmęczona” to za mało powiedziane – dorzucam.

Bello kiwa głową. Wygląda, jakby kamień spadł jej z serca. Może myślała, że umrę. Podchodzi bliżej i obejmuje mnie ramionami.

Odpowiadam jej uściskiem. Tak dobrze jest się do niej przytulić.

Inni widzieli mnie nago. Nie podoba mi się to. Może to głupie uczucie po wszystkim, co przeszliśmy, ale nikt nie powinien ściągać z kogoś ubrania bez jego zgody. To obleśne. Ale wiem, że Bello i inne dziewczyny chciały tylko sprawić mi przyjemność i fajnie znów czuć się czysto, więc może to nie najlepsza pora, żeby o tym mówić.

Bello przerywa uścisk.

No tak, powinnam się była spodziewać... zaczyna płakać.

– Och, Em, wyglądasz teraz o niebo lepiej – mówi. Najwyraźniej te łzy lecą jej ze szczęścia. – Jesteś głodna?

Odkąd wyrwałam się z trumny, co ja właściwie zjadłam? Chyba tylko ten jeden niebieski owoc.

– Umieram z głodu – odpowiadam.

– Zaraz ci coś przyniosę. – Znika w pośpiechu.

Staję na niepewnych nogach. Dla równowagi opieram się o pień drzewa. Bołą mnie wszystkie mięśnie w całym ciele.

O'Malley rzuca okiem w tę stronę, jakby sprawdzał, co u mnie. Odkrywa, że wstałam, i twarz rozpromienia mu szeroki uśmiech. Chyba dotąd nie widziałam, żeby się tak uśmiechał – ależ on jest przystojny. Nawet z tej odległości jego niebieskie oczy lśnią jak kryształ.

Widzę, że trzyma w ręku włócznię.

Biegnie truchtem w moją stronę. Spingate i Gaston też mnie zobaczyli. Przerywają swoją zabawę w zapasy i gramolą się z trawy.

Aramowski najpierw zwraca uwagę na całe zamieszanie, potem na mnie. Rzuca mi jakieś dziwne spojrzenie, po czym wraca do przemowy przed gronem słuchaczy. Ciekawe, co też im mówi.

O'Malley wciąż się uśmiecha, kiedy dobiega do mnie.

– Em, tak się cieszę, że już nie śpisz – mówi. – Zaczynaliśmy się martwić.

Podbiega do mnie Spingate. O prawe biodro obija jej się berło, zwisające z szyi na pętli z białego materiału – pewnie też zrobiła ją z koszuli którejś kółko-gwiazdy.

Otacza mnie ramionami, ścisła mocno.

Krzywię się, krzyczę z bólu, który mnie zaskoczył.

Spingate szybko mnie puszcza.

– Och, przepraszam! Uraziłam cię w te zadrapania?

Śmieję się, trochę zażenowana.

– Nie, wszystko mnie boli.

Gaston szczyrzy zęby w uśmiechu. Powoli wyciąga w moją stronę palec i dźga mnie w prawe ramię. Mój obolały mięsień odpowiada wrzaskiem tępego bólu. Odchylam ramię, cofając się przed Gastonem.

– To boli – mówię. – Po co to zrobiłeś?

Gaston się śmieje.

– Chyba chciałem sprawdzić, czy zabolę.

Spingate obrzuca go gniewnym spojrzeniem.

– Sprawiać komuś ból to nic śmiesznego, Gaston.

– Wiem, wiem – odpowiada. – Przepraszam, Em.

Gaston jest dziwny. Da się lubić, ale jest dziwny.

Ubranie nadal ma brudne. Spingate też. Nie, zaraz – z jej koszuli zniknęła cała krew. Więc uprała ją i zdążyła już pobrudzić? Widać głównie pył i kurz, ale także smugi tłuszczu i kilka płatków rdzy. To nie tylko ślady baraszkowania w trawie. Kiedy cała reszta spała albo się myła, Spingate i Gaston zajmowali się czymś innym.

Strzepuję rdzę z rękawa Spingate.

– Gdzie byliście?

Spingate rozszerzają się oczy. Twarz się jej czerwieni.

– Ee... – wykrztusza z siebie tylko tyle.

Gaston uśmiecha się szeroko.

– Wzięliśmy pochodnię i poszliśmy na eksplorację dalszego ciągu głównego korytarza.

Ta nowina zaskakuje O'Malleya.

– Poszliście gdzie?!

– Na eks-plo-rację – powtarza Gaston, rozciągając słowo, jakby tłumaczył je komuś nierozgarniętemu. – Poszliśmy korytarzem zobaczyć, dokąd prowadzi. Wystarczy ci taka odpowiedź, O'Malley, czy też mam znaleźć inne wyjaśnienie terminu „eksploracja”?

– Wiem, co to słowo znaczy – warczy O'Malley. – W tym

przypadku znaczy: „Wymknęliśmy się i poszliśmy sobie gdzieś na własną rękę bez pozwolenia”.

Gaston przewraca oczami.

– Aha, wszystko jasne, bez pozwolenia. Hej, posłuchajcie wszyscy, odnalazłem tatę! Okazuje się, że to O’Malley. Wiesz co? Skoro już przy tym jesteśmy: zjadłem tyle owoców, że mam straszne wzdęcia. Mogę pójść się wysrać czy muszę najpierw poprosić cię o pozwolenie?

O’Malley złości się coraz bardziej, co wyraźnie sprawia Gastonowi radość. Czy on musi tak grać innym na nerwach?

– Tu nie chodzi o pozwolenie – wtrącam – tylko o bezpieczeństwo. Nie możemy się rozdzielać. Widziałeś ciało Latu czy nie?

Gaston patrzy na mnie przez chwilę, po czym opuszcza wzrok. Owszem, widział ciało Latu i najwyraźniej ten obraz utkwił mu w głowie.

– Może i nie powinniśmy byli odejść tak sami – przyznaje. – Ale nie możemy przecież zostać tu na zawsze. Chciałem zobaczyć, jak daleko ciągnie się korytarz, żebyśmy na wypadek kłopotów wiedzieli, jak długo trzeba będzie iść po ciemku. Pomyślałem, że skoro śpisz, to zrobię coś pożytecznego, żebyś nie musiała wszystkiego robić sama.

Nie próbuje mi się odszczekiwać, nie przyjmuje protekcyjnego tonu, którym mówi do większych chłopaków. Szanuje mnie. Na tę myśl robi mi się cieplej na sercu. Z jakichś niejasnych względów opinia Gastona jest dla mnie ważna.

O’Malley gotuje się ze złości.

– Miałeś się nie oddalać, Gaston. Ty też nie, Spingate.

– A jednak się oddaliliśmy – odpowiada Gaston. Rzuca okiem na Spingate, uśmiechając się szeroko. – I odkryliśmy całe mnóstwo fajnych rzeczy.

Spingate robi się jeszcze czerwieńsza, choć wydawało się to niemożliwe. Piorunuje Gastona wzrokiem. Myśli, że będą na nią krzyżeć czy co?

– Spingate, wyluzuj – mówię. – No to zajęliście się eksploracją, to jeszcze nie koniec świata. Tylko obiecacie mi, że nie będziecie się już tak wymykać, dobra?

Spingate szybko kiwa głową.

– Obiecuję. I Gaston też.

Gaston uśmiecha się krzywo.

– Ja tam nic nie obiecuję, więc...

– Gaston! – warczy Spingate, obracając się ku niemu. – Masz to Em obiecać, i to już!

Gaston znów przewraca oczami, ale już bez tej bezczelności, jaką okazywał O'Malleyowi.

– Dobra, jak sobie chcesz – mówi. – Obiecuję.

Dlaczego Spingate tak się denerwuje? Mam wrażenie, że coś mi umyka, ale przecież oboje wrócili bez szwanku.

– Mówiłeś, że coś odkryliście – przypominam. – Na przykład?

– Światło – odpowiada Gaston. – Może z dziesięć minut drogi od Ogrodu korytarz kończy się kolejnym łukowatym portalem. Spingate otworzyła go berłem. Za nim jest taki korytarz jak ten, gdzie się wszyscy spotkaliśmy: białe ściany, świecący sufit, wszystko takie samo.

Słucham go z mieszanymi uczuciami. To, że idąc dalej prosto, dojdziemy do światła, brzmi dobrze, bo już niewiele pochodni nam zostało. Ale liczyłam na coś innego.

– Więcej korytarza – podsumowuję. – Żadnego wyjścia z tych lochów? Na pewno?

Kręci głową.

– W każdym razie my go nie widzieliśmy, ale też nie wychodziliśmy poza portal. Zamknęliśmy go za sobą i wróciliśmy tutaj.

– Znów szczerzy się w uśmiechu. To uśmiech pełen samozadowolenia.

– Aha, wróciliśmy od razu. Nie przystawaliśmy robić nic innego. Zupełnie nic.

Jeśli Spingate jeszcze bardziej poczerwienieje, będzie się nam mylić z Coyotlem. Co się z nią dzieje? Może jest zmęczona. Wygląda, jakby dotąd w ogóle nie spała.

– W każdym razie – ciągnie Gaston – korytarz idzie dalej prosto i pod górę, a Em, jak wiemy, uwielbia oba te cholerne kierunki. Kiedy już wszyscy porządnie odpoczniemy, trzeba ruszać dalej. Bo nie możemy przecież zostać tutaj.

O'Malley prychnął naburmuszony.

– Już to mówiłeś, Gaston.

Mniejszy chłopak potwierdza skinieniem głowy.

– I popatrz tylko, powiem po raz trzeci. – Wskazuje na swoje usta.

– Nie możemy tutaj zostać. Nie wystarczy, że to słyszysz, O'Malley, postaraj się zrozumieć.

Dlaczego Gaston musi być taki wkurzający?

– Oczywiście, że nie możemy tu zostać – mówię. – Wszyscy to wiedzą.

Gaston z uśmiechem zakłada ręce na piersi. Spingate kręci głową.

Spoglądam na O'Malleya.

– A co, inni naprawdę chcą zostać tutaj?

O'Malley wzrusza ramionami.

– Niektórzy.

– Mówiłeś im, że nie możemy, prawda?

– Em, wszyscy są tacy zmęczeni – tłumaczy. – Cieszą się, że mogą w końcu odpocząć. Jeśli niektórzy myślą, że zostaniemy tu trochę dłużej, przy wodzie i zapasach żywności, to cieszą się tym bardziej. Czasem lepiej dać ludziom myśleć to, co wolą myśleć.

Nie widzę w tym najmniejszego sensu.

– Zawsze lepiej jest mówić prawdę – protestuję.

O'Malley obrzuca spojrzeniem Spingate i Gastona, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale nie przy nich.

– Pewnie, Em – mówi beznamiętnym głosem. – Na pewno masz rację.

Co chce przez to powiedzieć? Trudno mi odczytywać O'Malleya. Pod tym względem jest odwrotnością Bishopa. Co Bishop myśli, wiem od razu, gdy tylko na niego spojrzę. Ale O'Malley? Zachowuje swoje zdanie dla siebie.

Podaje mi włócznie.

– Proszę – mówi.

Biorę ją. Ciekawe, czy jeszcze cokolwiek znaczy. Kółko-gwiazdy akceptują we mnie przywódcę, z włócznie czy bez – wszystko jedno. Może mamy już za sobą etap, gdy potrzebne są symbole.

Nie możemy tu zostać, ale przecież nie musimy też odchodzić natychmiast. Rozglądam się po wszystkich. Widzę uśmiechy, słyszę chichot. Jejku, przecież Spingate i Gaston nawet się bawili.

Fajnie tu jest. Wszystkim nam przyda się trochę czegoś fajnego.

Nikt nie udaje, że nic się nie stało i że sytuacja jest normalna.

Każdy się zmienił. Na początku, gdy się przebudziliśmy, Spingate i O'Malleya miałam chwilami za małe dzieci w dorosłym ciele. Już tak nie myślę. Ciężka próba, której byliśmy poddani, odcisnęła na nich swoje piętno. Widać to w wyrazie ich twarzy. Nikt nie zapomniał, przez co musieliśmy przejść, ale tutaj, w Ogrodzie, sprawy wyglądają... lepiej.

Mam wrażenie, że najgorsze już za nami.

Bello wraca z kawałkiem dymiącego mięsa – tak gorącym, że przerzuca go sobie z ręki do ręki, chichocząc w reakcji na ból. Patrzę, skąd przyszła, i widzę pasmo rzadkiego dymu. Okereke z Ingolfssonem szturczą czymś pocerniałe, skwierczące resztki świni. Powietrze nad nimi drga od żaru.

Bello podaje mi wilgotny, tłusty kawałek mięsa. Pachnie fantastycznie. Opieram włócznie o drzewo i po chwili to ja ze śmiechem przerzucam mięso z ręki do ręki, mimo wrażenia, jakby skwierczała mi skóra.

– Dalej – zachęca mnie Bello. – Spróbuj.

Otwieram usta do pierwszego kęsa, ale zaczynam się wahać. Ta świnia szukała czegoś w trumnach. Czyli pewnie żywiła się kośćmi, ludzkimi kośćmi. Niewiele o tym wiem, ale czy to przypadkiem nie znaczy, że mięso świni, które zaraz zjem, składa się, przynajmniej częściowo, z ludzi?

Może. Ale może też wszystko mi jedno.

Biorę wielkiego gryza. Na język tryska mi gorący sok. Z pełnymi ustami jednocześnie krzywię się i śmieję. Mięso jest pełne smaku, przepyszne. Ale to nie tylko kwestia smaku, choć jest cudowny – Bishop i ja upolowaliśmy to zwierzę, zabiliśmy je. Zabiliśmy je, żeby zapewnić pożywienie wszystkim. Z jakichś powodów ta świadomość przepelnia mnie spokojem, którego nie zdążyłam dotąd poczuć.

Świnia... schab... kotlety schabowe. Tak, to właśnie smażył mój tato, o ile mogę wierzyć poszatkiwanym wspomnieniom. Czy to on mnie tutaj zostawił, czy też ktoś mu mnie odebrał?

Dałabym wszystko, żeby choć wiedzieć, jak wyglądał.

Odgryzam kolejny kęs świniny, zanim jeszcze połknęłam pierwszy.

Bello biegnie do swojej sterty zapasów i wraca z rękami pełnymi owoców: jeden jest okrągły i pomarańczowy, jeden podłużny i zielony, a jeden fioletowy i wygięty jak wąska litera C. Nie mogę się doczekać, kiedy ich wszystkich spróbuję.

– Ten fioletowy jest najlepszy – doradza mi Bello. – Bardzo słodki. Wszyscy zgodnie kiwają głowami.

– Są takie pyszne – dodaje Spingate. – Przypominają mi lody.

Lody? Pamiętam, co to lody. Łapczywie połykam mięso, a potem biorę wielkiego gryza fioletowego owocu. Jest chłodny i miękki, słodki jak cukier i tak przepyszny, że aż zamykam oczy, żeby całą uwagę skupić na wrażeniach w ustach.

– Widzisz? – cieszy się Spingate. – Pycha, no nie?

Potakuję ruchem głowy, biorąc równocześnie drugiego gryza. Odchylam głowę w tył i żuję, rozkoszując się tą chwilą.

Następny w kolejce owoc to ten zielony. Jest bardzo pikantny i trochę piecze mnie w język, ale smak ma niewiarygodny.

O’Malley wskazuje kawałek mięsa, który nadal trzymam w ręce.

– Pokrop go sobie tym zielonym czymś – radzi.

Tak też robię – zanim znów wezmę gryza, wyciskam na mięso trochę soku. I mięso, i owoc są fantastyczne same w sobie, ale razem smakują idealnie.

Spingate obiera dla mnie owoc pomarańczowy. Ma grubą, miękką skórę, a w środku pomarańczowe kawałki, które mogę wkładać do ust pojedynczo. Chłodne i jaskrawe, smakują jak światło słońca.

Innym chyba sprawia przyjemność oglądanie, jak jem, więc robię to, aż brzuch mam tak pełny, że ciężko mi wziąć głębszy oddech.

Jestem szczęśliwa. Ale nagle słyszę czyjś głos:

– No, no, ładne rzeczy, nie powiem.

To Aramowski. Pewnie się podkradł, kiedy jadłam. Zastanawiam się, czy wyprał sobie koszulę jak cała reszta. Z drugiej strony nie zauważyłabym różnicy – ten chłopak chyba nigdy się nie brudzi.

– Dobrze widzieć, że się obudziłaś, Em – mówi. – Fajnie, że się uśmiechasz i nawet śmiejesz, mimo że ziemia na grobie Latu jeszcze nie obeschła.

Wszyscy wpatrują się w niego z niedowierzaniem. Wszyscy oprócz

mnie. Wbijam wzrok w ziemię, bo on ma rację. Jak mogę się tak świetnie bawić, kiedy Latu nie żyje?

– Aramowski, prawdziwy z ciebie osioł – stwierdza Gaston. – Em ma w końcu chwilę, żeby się odprężyć, a ty wyskakujesz z takim strasznym tekstem?

Dryblas przekrzywia głowę, jakby nie do końca rozumiał.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało uszczypliwie, Gaston – mówi. – Odkąd Em jest przywódcą, zginęły dwie osoby. Gdybym był na jej miejscu, śmierć tych osób zapewne tak by mnie prześladowała, że ledwo mógłbym funkcjonować, a ona prosi: je i się śmieje, zachowuje, jakby nic się nie stało. – Wzrusza ramionami. – Może krótka pamięć to coś, co służy przywódcom.

Nie jestem już głodna. Mięso i owoce wyślizgują mi się z rąk.

Spingate patrzy na upuszczone jedzenie. Krzywi się w szyderczym uśmiechu, długim krokiem podchodzi do Aramowskiego i dziabie go palcem w pierś.

– Ty już się najadłeś mięsa, Aramowski. Owoców też. Napileś się wody do syta. Wiesz dlaczego? Dlatego, że Em znalazła to miejsce. – Szerokim gestem ogarnia całość Ogrodu. – Wytykasz jej, że dwoje z nas nie żyje. Tak lubisz liczby? Ja też. Co powiesz na liczbę dwadzieścia trzy? Tyle z nas nadal jeszcze żyje, ty niewdzięczny głupku. Em spisała się świetnie.

– Nie... Nieprawda.

Mówię to głosem bezbarwnym, beznamiętnym. Znów czuję się odrętwiała w środku. Spingate się myli. Gdybym była lepszym przywódcą, Latu byłaby tutaj, zajadając owoce o smaku lodów. Yong też by tu był. Udawałby na pewno znudzenie i ciągle by prychał, ale przynajmniej by żył.

Między drzewami owocowymi, całkiem niedaleko, widzę miejsce, gdzie Bishop i El-Saffani pochowali Latu.

– Latu była dzielna – mówię. – O wiele dzielniejsza ode mnie.

Widzę, jak inni spoglądają po sobie – sądzą, że to ja jestem dzielna. Nie wiedzą, że tylko dobrze udaję.

Aramowski się uśmiecha.

– Nie odwiedziłaś jeszcze jej grobu, prawda?

Kręcę głową.

– Chodź ze mną zatem – mówi. – Pożegnaj się z nią i poznaj cenę porażki.

O'Malley siedział dotąd cicho i spokojnie, ale te jadowite słowa chyba przebrały miarę, bo staje z Aramowskim nos w nos.

– Stul dziób – mówi. – Z Em nie rozmawia się w ten sposób.

Aramowski unosi obie ręce z otwartymi dłońmi. Mową ciała sugeruje, że nie chce się bić, ale w oczach ma iskry.

– Tyle złości – wzdycha. – Wcale nie mówiłem, że to Em poniosła porażkę. Ciekawe, dlaczego przyszło ci do głowy, że to właśnie powiedziałem?

Ręce O'Malleya zaciskają się w pięści. Jeśli Aramowski nie przestanie bawić się słowami, nabawi się kontuzji.

– Dosyć – ucinam dyskusję. – Zostańcie tutaj wszyscy. Idę z Aramowskim na grób Latu.

O'Malley patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Em, on sam nie wie, co wygaduje. Nie poniosłaś żadnej porażki. Śmierć Latu to nie była twoja wina.

Myli się, tak jak i Spingate.

– Chodź, Aramowski – mówię. – Idziemy.

Ruszamy we dwoje w stronę grobu Latu.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Kopczyk ziemi ma szerokość mnie i długość mojego wzrostu, bo Latu była mniej więcej mojej postury. To mogłabym być ja, tam w środku. To nadal mogę być ja – wciąż przecież jesteśmy uwięzieni w tej budowli, lochu albo sama nie wiem czym, tkwimy w miejscu pełnym śmierci. Moja przyszłość też może mieć postać płytkiego grobu.

Mogła Latu leży w cieniu owocowego drzewa, całkiem przyjemnie. Coś mi mówi, że Latu podobałoby się w cieniu.

Ktoś uplótł z gałązek kółko-gwiazdę i położył ją na kopczyku. Wygląda bardzo ładnie.

– Kto to zrobił?

– Bello – odpowiada Aramowski. – Razem z Ingolfssonem spędzili nad tym mnóstwo czasu. Wszystkie te drzewa mają miękkie gałęzie. Trudno byłoby z nich robić dobrą broń, bo podobno za łatwo się wyginają. Ale za to świetnie się nadają do wyplatania symboli.

Przez chwilę przyglądamy się kopczykowi. Powiedziałabym coś, ale co tu pomogą słowa? Jak to ujęła Spingate – zmarłym jest wszystko jedno, co się mówi. Ale może słowa wypowiedane nad grobami wcale nie są przeznaczone dla zmarłych. Może mają służyć żywym.

Aramowski wzdycha.

– Co za strata. Przynajmniej udało się ją pochować. Wrócimy po ciało Yonga, żeby i jego pochować jak należy?

To pytanie momentalnie wprawia mnie w złość.

– Oczywiście, że nie. Nie możemy teraz zawrócić.

– Skoro tak twierdzisz. W końcu to ty jesteś przywódcą.

W jego ustach brzmi to tak, jakbyśmy zostawili ciało Yonga, bo tak chciałam, a przecież nie mieliśmy innego wyboru. Aramowski nie tylko mówi jedno, kiedy myśli drugie – zadaje też pytania, na które z góry zna odpowiedź.

Wpatruję się w grób Latu. Kości, ciało, ziemia i mały znak upleciony z miękkich gałązek. To wszystko, co po niej zostało.

– Kazałeś mi przyjść i poznać cenę porażki – mówię. – Potem stwierdziłeś, że nie o moją nieudolność chodzi. Chcesz powiedzieć, że to

Latu była nieudolna?

Łapię go na zerknięciu w stronę włóczni. Uświadamiam sobie, jaka groźba zabrzmiała w moim głosie. Nie planowałam, żeby tak wyszło, ale teraz mam nadzieję, że ją usłyszał. Jeśli chce mówić o mojej przyjaciółce, powinien starannie dobierać słowa.

- To wspólna nieudolność nas wszystkich – oświadcza.
- Nieudolność w oddawaniu bogom chwały i dziękczynienia.
- Wskazuje gestem grób. – Oto i cena tej nieudolności.

Nie rozumiem, co on wygaduje. Jakim bogom? Chyba coś mu się pokręciło.

– Latu zabiły świnie – poprawiam go.

Powoli kiwa głową.

– Tak, świnie. A jak myślisz, kto zesłał te świnie?

Otwieram usta, żeby mu odpowiedzieć, ale gryzę się w język. „Bogowie” – jeszcze jedno magiczne słowo, takie jak „Starsi”, „ratunek” albo „szczep”. To słowo szturcha pokrywę mułu na moich wspomnieniach. „Bogowie” to coś potężniejszego niż nauczyciele czy nawet rodzice.

Aramowski zachowuje się dziwnie, ale w tym, co powiedział, znajduję też szczyptę prawdy. Jestem pewna, że nie chodzi o żadnych bogów, ale czworonożni zabójcy Latu nie znaleźli się tu przypadkowo. Ktoś wtrącił do tego lochu nas, więc ktoś wsadził tu także te świnie.

– Widzę, że ta myśl cię niepokoi – uznaje Aramowski.

– Nie niepokoi mnie. Po prostu myślę.

Uśmiecha się delikatnie.

– Trzeba nam złożyć hołd bogom, Em. To dobry moment, żebyś rozkazała wszystkim zebrać się na modlitwę, którą poprowadzę.

Ta jego mina. Tak pełna samozadowolenia. Myśli, że pozjadał wszystkie rozumy.

– Czy ty w ogóle cokolwiek pamiętasz, Aramowski? Pamiętasz, skąd się wzięliśmy? Dlaczego tu jesteśmy?

Uśmiech znika mu z twarzy. W jego oczach nie widzę życzliwości. Mam po prostu uwierzyć, że to on zna jakieś zasady, więc kiedy pytam, to się na mnie złości.

Zachowuje się tak wyniośle, ale dotąd nic tak naprawdę nie

działał. Nie walczył. Nie polował. Nie krwawił.

– No więc? – naciskam go. – Pamiętasz, czy tylko zmyślasz to wszystko, żeby strugać waźniaka?

Warga wykrzywia mu się w prawie wrogim grymasie.

– Nie będę udawał, że cokolwiek pamiętam – mówi. – Ale wiem, że jesteśmy słabi. W tym czasie próby potrzebujemy religii, żeby przetrwać.

„Religia”... To słowo skacze po liniach granicznych mojej wiedzy, wabi mnie swoim znaczeniem. Religia stanowiła część szkoły, część mojego życia z rodzicami. Wiem to, czuję, ale nie mogę sobie przypomnieć żadnych szczegółów – ani na czym nasza religia polegała, ani dlaczego była ważna.

Pamiętam jednak pewne uczucie: nienawiść. Nienawidzę religii. Nie znam powodów, po prostu wiem, że tak jest. W tej chwili nie muszę wiedzieć nic więcej.

– Nie będziemy się modlić – mówię. – Odpoczniemy porządnie, a potem się stąd wyniesiemy.

Aramowski ze smutkiem kręci nade mną głową. Jakbym nadal miała dwanaście lat, podczas gdy on jest dorosły.

– Bogowie się na nas gniewają – mówi. – Musisz mnie posłuchać, zanim zginie ktoś jeszcze.

– To po to przyprowadziłeś mnie na grób Latu? Żeby móc opowiadać mi te bzdury?

Jego oczy się zwięzają. Założę się, że chętnie by mnie trzasnął, ale to ja mam włócznie. A może także samej mnie się boi. Boi z powodu tego, co zrobiłam Yongowi.

– Uważaj, Em – ostrzega. – Bardzo uważaj, żeby nie nazywać bogów „bzdurami”.

– Albo co, Aramowski? – O krok przybliżam się do niego.

Aramowski momentalnie cofa się o krok. Żywię się jego strachem – inaczej niż jedzeniem, a jednak wydaje mi się czymś równie niezbędnym, równie ważnym. Wiem, że to złe uczucie, ale nie umiem się powstrzymać.

– Jeśli nie będę uważać, Aramowski, to co z tym zrobisz?

Cień strachu przebiega mu po twarzy, ale po chwili udaje mu się

opanować. Uśmiezek samozadowolenia powraca.

– To nie o moje działania musisz się martwić. – Rzuca okiem na kopczyk ziemi. – Miejmy nadzieję, że bogowie zrozumieją. Miejmy nadzieję, że ciebie potraktują pobłażliwiej niż Latu.

Pragnienie jego strachu ścina mi się w sercu, a po chwili zmienia w trwogę.

A jeśli on ma rację?

Jeśli naprawdę powinniśmy się modlić?

Nie. Nie miał racji, gdy chodziło o potwory, i teraz też nie ma. Próbuje przejąć nade mną władzę, a chce to zrobić za pomocą swojej „religii”. „Religia” to więcej niż magiczne słowo – to magia sama w sobie.

Coś kłuje mnie w brzuchu. W pierwszej chwili myślę, że to efekt tej rozmowy, ale nie... brzuch mam jakiś dziwnie napęczniały.

– Koniec rozmowy – ucinam. – I niech cię nie przyłapię na wykorzystywaniu śmierci Latu do szerzenia kłamstw o bogach.

– Albo co, Savage? – pyta, przedrzeźniając moje słowa. – Myślisz, że bogowie położą mnie trupem, bo o nich opowiadam?

Teraz moja kolej na pewny siebie uśmiezek, moja kolej na przedrzeźnianie.

– To nie o bogów musisz się martwić, Aramowski.

Twarz mu szarzeje. Ten cudowny strach znów go dopadł.

Zostawiam go samego nad grobem Latu.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Och, wszystkie te owoce, które zjadłam... mój brzuch ma mi je za złe. Czuję dziwne parcie od środka. Kiedy dociera do mnie, co to takiego, śmieję się, zakrywając usta: muszę siusiu.

Znajduję Bello w pobliżu, przy trzcinach i bulgoczącym źródle wody. Siedzi na czymś... na niskim murku? Tak, na kamiennym murku, który oddziela trzcinę od trawy. Trawa jest na tyle wysoka, że wcześniej go nie zauważyłam.

Bello śmieje się do dwóch innych kólek: D'Souzy, śniadej dziewczyny o czarnych włosach, i Ingolfssona, umięśnionego blondyna, który jest prawie równie barczysty, co wysoki.

Teraz całą trójką uśmiechają się do mnie. Światło padające z sufitu odbija się na ich wypranych koszulach. Nawet krawaty mają eleganckie, porządnie zawiązane.

Dopiero teraz zauważam, że mój krawat gdzieś zniknął. Ciekawe, kiedy go zgubiłam.

Patrzą na mnie, jakbym miała im coś ważnego do powiedzenia. Ależ to krępujące. Pochyliam się nad Bello i szepczę:

– Muszę na stronę.

Unosi brwi ze śmiechem.

– A, jasne, oczywiście. Przepraszam, Em, powinnam była na to wpaść.

Wstaje i otrzepuje spódniczkę.

– Pójdę oprowadzić Em – mówi D'Souzie i Ingolfssonowi.

– Myjcie dalej beze mnie, dobrze?

Kiwają głowami, wracają do pracy: delikatnie wycierają owoce, aż zaczyna im błyszczeć skórka. Moim zdaniem wyglądały dość czysto już na gałęziach drzew. Musimy wymyślić, jak zabrać ich trochę ze sobą, kiedy będziemy stąd odchodzić.

Bello wsuwa mi rękę pod ramię i odprowadza przez wysoką po kolana trawę. Chwilę później pochyła się do mnie i szepcze:

– Ja też muszę. Ciągle mi mało tych fioletowych. Powinnam cię była ostrzec, dostaje się po nich rozwolnienia.

Odchodzimy coraz dalej od gęstwiny, w pobliżu której zgromadziła się większość naszej grupy. Wysokie trzciny mam po prawej. Przed nimi ciągnie się ten kamienny murek, na którym siedziała Bello. Teraz rozumiem, dlaczego pas trzciny jest tak regularnym prostokątem: one rosną po jednej stronie kamieni, trawa po drugiej.

Wskazuję na murek.

– Do czego to jest?

Bello wzrusza ramionami.

– Zdaniem Spingate to był kiedyś brzeg stawu czy czegoś takiego. To obmurowanie utrzymywało wodę w środku. Ale od dłuższego czasu nikt o niego nie dbał, więc staw zarósł roślinami.

Z lewej mamy las, który rośnie na obrzeżach sali. Po drugiej stronie trzciny widać więcej trawy, a dalej taki sam szeroki pas drzew.

Gdybym chciała przejść salę z jednej strony na drugą, musiałabym zrobić może z dwieście kroków. Taka jest jej szerokość. Trudno powiedzieć coś o długości, bo za drugim końcem stawu, gdzie znów rośnie trawa, las zaczyna się zbiegać z obu stron, aż wreszcie schodzi się pośrodku. Drzewa są grube i wysokie, nie widać, co jest za nimi. Wygląda jednak na to, że łukowato wygięty sufit ciągnie się dalej. Ta sala może mieć pięćset kroków długości, może tysiąc, a może ciągnie się w nieskończoność.

Widzę, że w trawie stoją Visca, Farrar i Bishop, zwróceni twarzami w stronę linii drzew. Tworzą tę „wartę”, o której wspominał O’Malley. Jestem na tyle blisko, że dostrzegam zadrapania na plecach Bishopa. Wciąż jeszcze są czerwone i zaognione, ale krwawienie ustało. Smith chyba wie, co robi, jeśli idzie o opatrywanie ran.

Trzech chłopaków stoi w świetle niczym płot mający powstrzymać wszelkie nowe zło, które będzie chciało nas zaatakować. Chociaż sufit nad nami jest oślepiająco jasny, w głębokich cieniach lasu może się kryć bez liku zagrożeń.

– Bello, czy ktoś widział jakieś świnię?

– Kilka – odpowiada. Wskazuje na las widoczny za Bishopem, Farrarem i Viscą. – Ale nie wychodzą stamtąd. Pewnie jest nas za dużo.

Za dużo, a poza tym nie ma wśród nas ciężko rannych, którzy nie mogliby się bronić.

Wiem, że nie zostaniemy w Ogrodzie długo, ale może zdążymy zorganizować jakieś polowania. Moglibyśmy wejść do lasu, pouganiać się za świniami. Nie wiem, ile ich jest. Może setki. Ale jeśli zaszlachtujemy je do ostatniej, będę pewna, że dorwaliśmy zabójczynię Latu.

Wybić je wszystkie... wytłuc co do ryja. Ta myśl przepełnia mnie dziwną radością.

– Em? Nic ci nie jest?

W głosie Bello pobrzmiwa troska. Przystanęłam, nawet nie wiem kiedy. Zagapiłam się w las, marząc o szeregu martwych świń, wypatroszonych i rozłożonych na całej polanie. Ta wizja przepełniła mnie szczęściem.

– Wszystko w porządku – odpowiadam, chociaż ostatnie myśli – oraz to, jak upajałam się strachem Aramowskiego – świadczą, że jest coś ze mną bardzo nie w porządku.

– No to chodź – ponagla mnie Bello.

Ruszamy dalej.

Na suficie zauważam kilka ciemnych plam – nieregularne kręgi różnej wielkości, niektóre skupione razem w ciekawe, przypadkowe kształty. Może to jakiś rodzaj pleśni? Mrużę oczy w jaskrawym świetle, przyglądając się uważniej – to nie pleśń. Nie ma nic na suficie: ciemne obszary to po prostu miejsca, które przestały świecić. Kolejna zagadka do rozwiązania dla Spingate.

Większość sufitu jarzy się jasno jak w dzień. Gdyby tylko było to prawdziwe światło słońca, wystarczyłoby nam przebić się przez strop. Bylibyśmy wolni. Uciekłabym jak najszybciej i jak najdalej, i nawet raz bym się nie obejrzała na to straszne miejsce, w którym Starsi zabijają się nawzajem i mordują małe dzieci.

Przyglądam się trawie. Zielone źdźbła sięgające nam kolan wyrastają z grubego dywanu brązowych szczątków. To rośliny, które rosły, usychały i padały przez wiele, wiele pokoleń. Może trawa była kiedyś ładna i porządna. Może Spingate ma rację i staw wypełniała kiedyś woda, a nie tylko trzciny. Jeśli tak, to ten czas minął bardzo dawno temu.

W podbrzuszu daje znać o sobie kłujące uczucie parcia.

– Bello, ja już naprawdę muszę.

Bello się krzywi.

– Wiem, ja też. – Wskazuje w lewo, między drzewa. – Chodzimy sobie tam – ciągnie. – To w granicach naszej warty, ale z dala od miejsc, gdzie się je. Kółko-gwiazdy dość regularnie patrolują ten obszar, upewniają się, że nie ma tam świń. A zarośla są na tyle gęste, że chłopaki nas nie widzą.

Chłopaki... przyglądają się dziewczynom? Powinno mnie to rozzłościć albo przejąć, tymczasem zastanawiam się, czy O'Malley chciałby mi się przyglądać. Ciekawe, czy obserwował mnie, kiedy spałam.

A dlaczego akurat mnie? Może miałyby ochotę obserwować Spingate albo D'Souzę – moim zdaniem są najładniejsze z nas wszystkich – ale nie mnie. Jestem za niska. Nie do końca wiem, jak wyglądam, ale niemożliwe, żebym była równie piękna jak one.

Bello prowadzi mnie w stronę drzew. Gdy wchodzimy w cień, trawa kończy się nagle, ustępując miejsca pnączom i jakimś innym roślinkom, które płożą się po gruncie.

Kilka kroków za linią traw, w miejscu ciemnym od listowia, widzę powaloną kłodę. Jest brunatna, nieruchoma, na wyschłych gałęziach nie ma liści. To szkielet, drzewna wersja ogołoconych kości z korytarza. Od jak dawna tu leży? Widzę ich więcej. Niektóre się rozpadają, są ciemniejsze i rozsypują się w próchno. Z gnijących kłód i w ich pobliżu wyrastają poszarpane krzaczki i mniejsze rośliny. Pnącza oplatają wszystko, wspinając się nawet po pniach żywych drzew.

Całe to miejsce wygląda... dziko. Nic z tego nie rozumiem. Wciąż jeszcze jesteśmy pod ziemią, tego jestem pewna. Jakim cudem takie dzikie miejsce wyrasta w środku jakiegoś lochu?

Kiedy wstępuję na dywan pnączy i płożących się roślin, mam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Obracam się szybko. Nieco dalej w trawie stoi Bishop i wpatruje się we mnie. Czekam, aż się zaczerwieni – przecież przyłapałam go na podglądaniu – ale on tylko się uśmiecha. Czuję dziwne mrowienie. Powinien się zawstydić, tymczasem to moją twarz oblewa gorąco i muszę się odwrócić.

Ból w dole brzucha przypomina mi, że nadal chce mi się siusiu, i to

bardzo. Najwyższy czas znaleźć miejsce, gdzie nikt mnie nie podejrzy.

Zapuszczam się w las śladem Bello. Nie ma tu mroku, bo przez liście przedostaje się trochę światła, ale jest mnóstwo głębokiego cienia.

Lawirujemy między drzewami, wślizgujemy się między krzaki, chcąc mieć pewność, że nikt nas nie zobaczy. Gałęzie czepiają się mojej koszuli, ale obracam się delikatnie i ześlizgują się swobodnie. Zeschłe liście tworzą grubą, miękką matę, nie do końca chroniącą przed ułamanymi patykami, które kłują mnie w stopy. Tu zarośla są gęste. Cieszę się, że – jak mówiła Bello – kółko-gwiazdy sprawdzają ten teren, bo wygląda jak wymarzony na kryjówki dla świń. Jeśli zostaniemy w Ogrodzie trochę dłużej, spróbuję znaleźć lepsze miejsce do załatwiania naszych potrzeb.

Bello odchodzi trochę na prawo, ja trochę na lewo.

Las kończy się przy ścianie. Jest bujny i zielony, rosną tu takie same grube gałęzie jak w gęstwinie, przez którą się czołgaliśmy. W górnej części ściany, wysoko poza zasięgiem moich rąk, zaczyna się zamasyta krzywizna sufitu, wynosząca jego łuk wyżej, ku środkowi sali, i przerzucająca go na drugą stronę.

Powoli wsuwam rękę w gąszcz. Kiedy ramieniem zaczynam już naciskać na łodygi, końce palców natrafiają na chłodny, wilgotny kamień.

Kamień taki sam jak wszystkie drzwi i portale, jak sala z kopułą i nasza sala z trumnami. Może te pomieszczenia i korytarze nie są z kamienia zbudowane, może je wszystkie w nim wykuto? A fakt, że wciąż idziemy pod górę... może całe to dziwaczne miejsce znajduje się wewnątrz jakiejś góry?

Coś mnie olśniewa: ten spacer wzdłuż stawu... Nachylenie terenu, choć słabe, było zawsze wyczuwalne, ale kiedy Bello i ja brodziłyśmy sobie w trawie, odniosłam wrażenie, jakbyśmy szły po płaskim.

Przez cały czas wierzyłam, że każdy krok w górę przybliży nas do wyjścia na zewnątrz, ale jeśli jesteśmy we wnętrzu góry, może najkrótsza droga prowadzi tak naprawdę w bok?

Głowa mi pęka od myślenia. Pogadam ze Spingate, jak tylko się wysusiam. Słowo daję, mam wrażenie, jakbym nie robiła tego przez całe życie.

Stoję skąpana w cieniu, otoczona drzewami i krzakami. Rozglądam się, ale Bello nie widzę. Od momentu, kiedy Spingate wydostała się ze swojej trumny, po raz pierwszy jestem sama.

Opieram włóczę o drzewo, podciągam spódniczkę w kratę i zsuwam bieliznę. Uświadamiam sobie, że także i ją Bello pewnie mi uprała. Nie chce mi się wierzyć, że dziewczyny widziały mnie nago! Co powiedziałyby moja mama, gdyby...

Jakiś ruch z prawej.

Zakrywam się szybko, bo może któryś z chłopaków zakradł się tu za nami, lecz rozluźniam się, gdy widzę, że to tylko Bello. Kryje się kawałek dalej i robi to samo co ja. Błyska do mnie przez zarośla szerokim uśmiechem, od którego robią jej się zmarszczki wokół oczu, a zbyt białe policzki podjeżdżają wyżej, po czym odwraca wzrok. Podobnie jak ja jest wyraźnie skrępowana.

Tutaj, w Ogrodzie, Bello jest zupełnie inną dziewczyną, niż była w niekończącym się korytarzu. Może przeznaczeniem niektórych ludzi jest iść na czele i mierzyć się z zagrożeniami, podczas gdy inni są stworzeni do maszerowania z tyłu, gdzie bezpieczniej.

Tak czy siak, nie chcę, żeby widziała, jak się załatwiam. Uciekam trochę w lewo, gdzie zasłania mnie pień drzewa.

Wreszcie mam kilka sekund sam na sam ze sobą. W tej chwili ciszy słyszę, jak z polany śmiech naszej grupy niesie się echem głęboko w las. Są szczęśliwi, są bezpieczni.

Ogromnie podoba mi się ten dźwięk.

Jakiś ruch po prawej znów chce przyciągnąć mój wzrok, ale tym razem nie podnoszę oczu. Bello na pewno też potrzebuje chwili prywatności. Słysząc poruszenie gałęzi, głośny szelest liści.

A potem słyszę coś jeszcze: stłumiony krzyk.

Wyglądam zza drzewa. Poprzez liście widzę Bello, widzę jej niebieskie oczy, szeroko otwarte w panice...

...i coś czarnego, co zatyka jej usta.

Coś szarpie nią do tyłu – i Bello znika w zaroślach.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Podciągam bieliznę i łapię włócznię. Biegnę w stronę Bello, krzycząc na cały głos:

– Bishop! Na pomoc!

Ostre gałązki wbijają mi się w stopy, ale nie zwracam uwagi na ból. Jestem już tu, gdzie Bello była ledwie kilka sekund wcześniej. Wpatruję się w gęste zarośla, ale nic nie widzę. W głowie słyszę: *Stój, poczekaj na pomoc*, ale tam gdzieś jest Bello – coś ją porwało.

Muszę ratować przyjaciółkę.

Wpadam w poskręcaną roślinność. Gałęzie chwytają mnie za ubranie, drapią mi skórę. Ból jest czymś odległym, nieistotnym. Przedzieram się przez jakieś gęste krzaki. W oddali miga mi biała koszula Bello – coś wciąga dziewczynę coraz głębiej w mrok lasu. Rzucam się za nią. Zahaczam nogą o spowitą jakimś pnączem kłodę i przewracam się. Ale, padając, wyraźnie widzę twarz Bello i to, co zakrywa jej usta:

Ręka, długa, koścista i powykręcana, pokryta pomarszczoną, czarną jak noc skórą. Drugie czarne ramię otacza Bello w pasie.

Łąduję na ziemi głową naprzód, wzbijając tuman zeschniętych liści. Zrywam się na równe nogi. Znow widzę refleks bieli, ale zaraz znika mi z oczu za gąszczem gałęzi. Chwytam włócznię i biegnę dalej. Coś ucieka z moją przyjaciółką... nie ktoś, coś.

(Zabij swojego wroga, a wtedy już zawsze będziesz wolna).

Znowu krzyczę, wzywając Bishopa, a potem wystawiam włócznię przed siebie i rzucam się naprzód. Cokolwiek krzywdzi moją przyjaciółkę, rozniosę to na strzępy.

Zabiję.

Coś wpada na mnie z lewej i podcina – odbijam się od pnia i walę na ziemię w deszczu gałązek i suchych liści. Kręci mi się w głowie. W ustach czuję smak krwi.

– Nie uszkodź jej!

Jakiś nowy głos, głos wróżący śmierć, głos, którego nigdy nie słyszałam i który słyszałam tysiące razy. Głos kobiety, głos Starszego.

Jak silne smagnięcie w muł umysłu, duszący pod sobą moją przeszłość – przez chwilę coś sobie niemal przypominam, ale ten błysk zaraz mija.

Gdzie moja włócznia? Nie widzę jej. Trzepię rękami wokół po liściastej ściółce, ale nie mogę jej namacać.

Bez broni więc podrywam się na równe nogi, odwracam przodem do nowego zagrożenia.

Widzę jakiś koszmar.

Dwa koszmary, zaledwie o kilka kroków ode mnie. To ludzie, ale zarazem nie ludzie. Ich patykowate ręce i nogi pokrywa głęboko pomarszczona, czarna jak węgiel skóra. Mają wielkie czerwone oczy, okrągłe i błyszczące, ale są bez ust – w ich miejscu zwisają fałdy ciała czy może szorstkiej skóry. Jedna z istot jest prawie mojego wzrostu. Drugiej, wyższej ode mnie, przez pierś biegnie zygzakiem poszarpana, ciemnoniebieska blizna.

Coś jest z nimi nie tak. Coś, co sprawia, że mam ochotę uciec, wyłupić sobie oczy, żeby nie musieć ich oglądać, w uszy wbić sobie patyki, żeby ich nie słyszeć.

Bello nie widzę... musiały ją gdzieś odciągnąć inne z tych stworów.

Mniejszy wskazuje na mnie.

– Bierz ją – mówi tym głosem, który znam, choć go nie znam.
– Szybko, bierz ją!

Ten z blizną sięga w moją stronę. Ręce zaciskają mi się w pięści. Boję się, tak, okropnie się boję, ale jestem też wściekła. To na pewno oni – ci, którzy nas tu wsadzili, ci, którzy wymordowali tamte małe dzieci, ci, którzy dali zginąć Yongowi i Latu.

To coś łapie mnie za przegub lewej ręki i ciągnie ku ścianie gęstwiny. Potykam się, ale zaraz zapieram nogami i szarpnię mocno w przeciwną stronę, tak że potwór okręca się z powrotem zaskoczony, że w ogóle stawiam mu opór. Kopię go w goleń: czuję, jak coś pęka w miejscu, gdzie trafiłam.

Potwór puszcza moją rękę, podskakując na jednej nodze dla równowagi. Drugą ma zgiętą poniżej kolana pod dziwacznym kątem.

– Ty suko – odzywa się głosem mężczyzny, mrukliwym i nienawistnym. – Zawsze była z ciebie suka, Savage.

Jeśli ma jakieś wargi, to są one ukryte pod tymi odrażającymi fałdami skóry.

Unosi drżącą rękę. Coś metalicznego opasuje mu przedramię pod łokciem, coś jakby gruba bransoletka, z niej zaś wystaje metalowy pręt, który kończy się za kościstą dłonią. Patykowate palce zaciskają się w pięść: czubek metalowego pręta celuje prosto w moją twarz. Na bransoletce zaczyna się jarzyć biały klejnot.

Mniejszy stwór łapie tego z blizną za nadgarstek, ściąga mu rękę w dół.

– Nie strzelaj do niej – mówi – tylko bierz ją żywcem!

„Nie strzelaj do niej”? Ta bransoletka to broń?

Coś ciężkiego przedziera się przez zarośla po prawej i nagle między mną i pomarszczonymi potworami wyrasta Bishop. Na rękach i nagich ramionach ma zygzaki świeżych zadrapań. Grymas wykrzywia mu twarz w jakąś maskę, która przeraża mnie nie mniej niż te okropne stwory.

Trzyma w ręku moją włócznię.

Z rykiem rzuca się naprzód: grot wbija się głęboko w pierś potwora z blizną.

Wszystko staje w miejscu.

Z twarzy Bishopa opada maska wściekłości, zastępuje ją ten wyraz dezorientacji, który widziałam przy naszym pierwszym spotkaniu. Ciągłe jeszcze oburącz obejmuje drzewce włóczni.

Kątem oka widzę, że mniejszy potwór czmycha i znika wśród drzew, ale nie potrafię odwrócić wzroku od tego, co zrobił Bishop.

Potwór z blizną gapi się na metalowy grot zatopiony w samym środku jego piersi.

– Nie – protestuje. – Nie... Przecież ja poświęciłem wszystko.

Bishop wydaje jakiś odgłos – bardziej jęk strachu niż okrzyk wojenny. Uświadamia sobie, co uczynił, i jest tym przerażony. Cofa się, wyszarpując włócznię. Grot pokrywa gęsta, szarawo-czerwona ciecz. Bishop kręci głową lekko, bezwiednie, jakby nie chciał uwierzyć w to, co się dzieje.

Stwór pada na kolana. Osuwa się na bok. Nieruchomieje.

Bishop chwyta mnie za ramię.

– Chodź, Em! Tu może być ich więcej!

Próbuję się oswobodzić, ale Bishop jest zbyt mocny. Choć wyrywam mu się z całej siły, ani drgnie.

– Porwali Bello – mówię. – Nie możemy stąd iść, musimy ją znaleźć!

Szybko rozgląda się dookoła. Widzę to samo, co on: las rośnie wokół tak gęsto, że któraś z tych czarnych istot może się ukrywać w odległości kilku kroków. Może już nas otaczają.

Bishop jest przytłoczony, nie wie, co robić. Ścisza mnie coraz mocniej. To boli. On chyba nie zdaje sobie sprawy z własnej siły.

– Bishop, puszczaj!

Uwalnia mnie, a potem kręci głową.

– Nie możemy od razu biec za Bello... musimy ostrzec resztę.

Resztę... czy w tej rozległej sali jest więcej potworów, które właśnie skradają się do Spingate i Gastona, O'Malleya i Aramowskiego?

Słyszę, jak coś przeciska się ciężko przez zarośla: kolejne potwory przychodzą nas stąd porwać. Serce zamienia mi się w płynny ołów, nie mogę się ruszyć.

Bishop okręca się na pięcie w stronę hałasu i mierzy tam włócznią o grocie śliskim od krwi.

Spomiędzy splątanych gałęzi wynurzają się nagle Farrar i Visca. Farrar zauważa nas i zbliża się z zaciśniętymi pięściami, otwierając szeroko oczy.

– Bishop, co się stało?

Visca dostrzega powalonego potwora, cofa się przed nim o krok, jakby to był pająk czający się do skoku.

Wreszcie udaje mi się zaczerpnąć tchu. Znów mi się to zdarzyło: owładnął mną strach i po prostu zamarłam.

Visca podbiega do mnie, ale oczami strzela we wszystkie strony, szukając zagrożenia.

– Em, widziałem, jak tu szłyście, gdzie jest Bello? I co to jest to coś na ziemi?

To coś to jest potwór, a Bishop ma rację: może ich być więcej, Może są tu ich setki, kryją się w cieniach wokół nas, przemykają chyłkiem między drzewami.

Visca i Farrar patrzą na Bishopa, czekając na jakąś odpowiedź, ale Bishop jest cały rozbity. Przebiera rękami po drzewcu włóczni. Nie może przestać zerkać na przerażające zwłoki i czerwono-szarą ciecz, wysączającą się na zbrązowiałe liście i gnijące owoce.

Skoro milczy, Visca i Farrar obracają się do mnie.

Czekają, aż ktoś im powie, co mają robić.

Albo ruszymy na ślepo przez cienie i zarośla, licząc, że znajdziemy Bello, albo wrócimy do pozostałych, ostrzeżemy ich, może zbierzemy więcej kółko-gwiazd i przyjdziemy tu jeszcze raz większą grupą.

Muszę podjąć jakąś decyzję, i to zaraz.

– Chodźcie – mówię, po czym odwracam się i biegnę w stronę polany, byle dalej od cieni, byle bliżej światła. Słyszę, że kółko-gwiazdy są tuż za mną.

Drzewa się przerzedzają. Dywan liści ustępuje przed pnączami i płożącymi się roślinami, a te przed sięgającą kolan trawą.

Widzę, że na końcu zarośniętego stawu, blisko naszego tunelu w gęstwinie, przerażeni krzykami ludzie zebrali się w ciasnej grupce. Na przedzie stoi O'Malley z nożem w ręku, po bokach ma z jednej strony Bawden i Coyotla, z drugiej El-Saffanich. Wyraźnie się boi, ale gotów jest bronić D'Souzy, Smith, Becketta, Bordżigina i innych, którzy kulą się ze strachu za tą defensywną linią.

Biegnę szybko wzdłuż trawiastej krawędzi stawu, mijając sterczące z lewej trzciny. Po drodze zerkam w stronę lasów porastających obie strony Ogrodu – tyle tu drzew, tyle miejsc, gdzie potwory mogą się czaić, by potem zakraść się podstępnie do środka i porwać nas więcej.

Umiem walczyć, kółko-gwiazdy też, ale co z pozostałymi? Co, jeśli dadzą się pojmać równie łatwo jak Bello? Potrzeba mi u boku wojowników, a nie kolejnych ofiar do ratowania. Muszę wyprowadzić stąd tych najsłabszych, żeby nie przeszkadzali.

Po znalezieniu ciała Latu przyrzekłam sobie, że już nigdy nikogo nie zostawię samego. Mimo to, zanim jeszcze docieram do O'Malleya i pozostałych, wiem, że zaraz złamię przyrzeczenie. I choć od razu nienawidzę się za to, decyzja została podjęta.

– Wszyscy do tunelu. Ale już!

Nie wiedzą jeszcze, co się dzieje, ale ruszają z miejsca tak czy siak.

Kiedy biegniemy do gęstwiny, wykrzykuję więcej poleceń:

– Farrar, El-Saffani, wy pierwsi. Upewnijcie się, że w mniejszej sali nic na nas nie czyha, nic nie próbuje nas zaskoczyć. Wszyscy się tam spotkamy przed wyruszeniem na korytarz.

Trzy kółko-gwiazdy natychmiast ruszają przodem. Farrar pierwszy rzuca się na ziemię i zaczyna czołgać. Zanim reszta nas dociera do tunelu, bliźniaki są już głęboko w środku.

Mamy pochodnie? O mało nie wołam Bello, żeby się dowiedzieć.

– Okereke, ile pochodni nam zostało?

– Siedem – odkrzykuje chłopak.

Tyle musi wystarczyć.

– Gaston, Spingate, wy wchodźcie następni – mówię. – Na korytarzu staniecie z przodu, razem ze mną.

Spingate kręci głową.

– Siedem pochodni to za mało, żeby wrócić do popsutych drzwi – ostrzega. – Utkniemy w ciemności.

– Nie będziemy wracać. Ruszamy do tego portalu, który odkryliście z Gastonem.

– Ale nie wiemy, co jest za nim – protestuje. – Mówiliśmy ci: nie wyszliśmy poza te drzwi.

– Za nim jest światło, a to na razie wystarczy.

Prawie mimo woli rzucam Gastonowi spojrzenie: „Dobrze się spisałeś” – jego decyzja o eksploracji może oznaczać dla nas ratunek. Widzi moje nieznaczne skinienie głową, rozumie, odpowiada mi podobnym, wyraźniejszym. Tak jak jego szacunek jest dla mnie czymś ważnym, mój jest ważny dla niego.

Gaston wczołguje się w gęstwiny. Spingate rusza w ślad za nim.

Wskazuję po kolei ostatnie cztery kółko-gwiazdy.

– Bishop, Visca, Bawden, Coyotl, ubezpieczajcie nas na końcu. Upewnijcie się, że nic za nami nie idzie. Wszyscy inni: do tunelu, a potem czekajcie w sali, aż tam dotrę. Ruchy!

O’Malley kieruje ludźmi, wpuszczając ich do tunelu pojedynczo i pilnując, by nie przepychali się u wejścia.

Odwracam się i staję przy Bishopie. Oboje wpatrujemy się w las, który teraz zdaje się okrążyć nas ze wszystkich stron. Potwory

zaskoczyły Bello, ale teraz wiemy, że gdzieś tu są – i że nie są nieśmiertelne.

Bishop rzuca na mnie okiem.

– Ruszamy za nią?

Chcę, a zarazem nie chcę. Boję się wrócić do lasu, ale trzeba odszukać Bello, jeśli to w ogóle wykonalne. Mogłabym wziąć Bishopa, Bawden i Coyotla, moglibyśmy tam wrócić... ale wtedy zostawię resztę z mniejszą liczbą ludzi zdolnych do walki.

– Najpierw zaprowadzimy wszystkich w bezpieczne miejsce – mówię. – Do sali z jednym wejściem, gdzie będzie mogła ich obronić para kółko-gwiazd. Dopiero potem pójdziemy po Bello.

Bishop kiwa głową. On też nie bardzo chce wracać do lasu, ale wiem, że to zrobi.

Czuję na ramieniu rękę O'Malleya.

– Wszyscy już poszli. Em, co się dzieje? Co się stało z Bello?

Mam mu powiedzieć? Powiedzieć wszystkim, którzy jeszcze nie wiedzą? Kiedy poznają prawdę, mogą wpaść w panikę. Teraz co prawda się boją, ale przynajmniej mnie słuchają. Po pierwsze musimy zabrać najsłabszych gdzieś, gdzie da się ich lepiej chronić.

– Zaufaj mi, O'Malley. Potrzebuję, żeby wszyscy się uwijali i trzymali się razem. Pomóż mi w tym.

Wpatruje się we mnie niebieskimi oczami, w których płonie rozpaczliwa potrzeba wiedzy, ale O'Malley odsuwa ją na dalszy plan. Wczołguje się w gęstwinę.

– Visca, Coyotl, teraz wy – mówię. – Potem Bishop. Ja pójdę ostatnia.

Jeszcze dobrze nie skończyłam, kiedy Bishop łapie mnie za ramiona, obraca i delikatnie popycha w stronę tunelu.

– Idziesz teraz, Em. Będziemy tuż za tobą.

To on wejdzie ostatni. I nie podlega to dyskusji.

Wczołguję się do tunelu. Zmuszam się do zwolnienia tempa; po co wyjść stąd z nowymi zadrapaniami. Jeśli chcę, żeby wszyscy inni zachowali spokój, sama muszę być spokojna.

Małą salę oświetla siedem płonących pochodni. Powinnam była wydać rozkaz, by nie zapalali ich, dopóki nie wyjdziemy na korytarz.

Straciliśmy cenne minuty światła i mam nadzieję, że dotrzemy do portalu Gastona, zanim okaże się to istotne. Wszyscy stoją zbici w ciasną grupę. W powietrzu czuć zapach spalonej tkaniny.

Czekam, aż dołączą do nas ostatnie kółko-gwiazdy, a potem wysyłam Farrara i Viscę przez dziurę w drzwiach, żeby sprawdzili, czy korytarz jest pusty.

Jest.

Pojedynczo przeczołgujemy się dziurą. Gaston i Spingate stają razem ze mną z przodu. Nawet jeśli ta droga jest prosta jak strzeł, chcę mieć ich przy sobie, bo już tędy szli.

Szukam wzrokiem Bishopa, ale zasłaniają mi go płomienie pochodni i przestraszone twarze. On będzie zamykał kolumnę i jej bronił, jeśli potwory spróbują dopaść nas z tyłu.

Każda sekunda zwłoki to sekunda zmarnowanego światła.

– Do wszystkich: trzymajcie się razem! – krzyczę na tyle głośno, żeby usłyszeli mnie nawet ci na końcu. – Będziemy poruszać się szybko, więc nie zgubcie tego, kto idzie przed wami. El-Saffani, prowadźcie.

Bliźniaki wysuwają się truchtem o kilka kroków naprzód. Są gotowi zmierzyć się z każdym niebezpieczeństwem.

– Dobra – rzucam – ruszamy!

Biegniemy pod górę.

Niemal natychmiast opadają mnie wątpliwości. A jeśli potwory grasują nie tylko w Ogrodzie? Co, jeśli są także tutaj? Co, jeśli czają się w salach, na które się może natkniemy, i czyhają, żeby nas pochwycić? Pochodnie robią wyłom w ciemności, ale nie rozpędzają jej – gdy dostrzeżemy te stwory, może już być za późno.

Powinnam powiedzieć moim ludziom, co widziałam, żeby byli czujni. Powinnam... ale tego nie robię. Jeśli im powiem, co się stało z Bello, czy nie będą wpadać w popłoch na widok każdego ruchliwego cienia? Jeśli przystanę, żeby wszystko wyjaśnić, czy wystarczy nam światła do portalu Gastona?

Tyle decyzji do podjęcia już zaraz, a to pytania bez łatwych odpowiedzi.

Korytarz mija nas w pędzie. Rzeźbienia ozywają i poruszają się wśród tańca cieni. W ścianach widzę portale – niektóre drzwi są otwarte

– ale nie mamy czasu tam zaglądać. Nie przerywam naszego biegu przed siebie i liczę na pomyślność losu.

W moje serce z powrotem wślizguje się strach, który czułam w lesie. Czy biegnę, żeby wszyscy pozostali bezpieczni, czy dlatego, że sama jestem przerażona tymi stworami i nadal czuję zimno na przegubie, za który złapał mnie tamten z blizną?

Próbuję odpędzić te myśli: podjęłam decyzję i doprowadzę to do końca.

W całym korytarzu śmierdzi strachem: jesteśmy zwierzętami, które ratują życie ucieczką, nic nas nie różni od zranionej świni. Nie muszę nikogo ponaglać – wszyscy biegną najszybciej, jak mogą. Odgłos naszych kroków przetacza się grzmotem po korytarzu.

Wkrótce szaleńcze tempo zaczyna dawać się nam we znaki. Moje ciało błaga o chwilę przerwy, o oddech. Ale potwory mogą być tuż za mną – ze swoimi czarnymi jak węgiel zmarszczkami, czerwonymi oczami i gębami bez ust – gotowe porwać mnie i pociągnąć w mrok.

El-Saffani przystaje. Przed nami portal Gastona. Kamienne drzwi to dwie pięści, które jakiś olbrzym zderzył razem, by zagrozić nam drogę. Wszystkie nasze pochodnie zaczynają migotać: zdążyliśmy w samą porę.

Spingate wysuwa berło z prowizorycznej kabury i bierze się do pracy.

Przykładam dłoń do ust i krzyczę ku tyłowi kolumny:

– Bishop, widzisz tam coś?

– Nic! – odkrzykuje poprzez płomienie i przestraszone twarze.

– Chyba nic nam nie będzie.

Kamienne wrota rozsuwają się zgrzytliwie. Za nimi – biały korytarz ze świecącym sufitem.

Pochylam się bliżej Spingate.

– Zamknij je, kiedy wszyscy już przejdą, a potem wróc na przód, do mnie.

Odwracam się twarzą do pozostałych. Ileż tutaj strachu.

W tym momencie chyba rozumiem nareszcie, dlaczego to ja jestem przywódcą. Wiem, dlaczego ci ludzie na mnie głosowali. Zdarzyło się

nam niemal więcej, niż można znieść, a jednak walczymy dalej. Lada moment wszystko może runąć w drzazgi, ale nie runie, bo ja na to nie pozwolę. Ci ludzie to moi ludzie – i ja pomogę im przeżyć.

– Wiem, że się boicie, że jesteście zmęczeni, ale możecie na mnie liczyć! Nie ustaniemy. Doprowadzę nas w bezpieczne miejsce. Idźcie za mną jeszcze tylko trochę. Ruszajmy!

Ogarnia ich nowy nastrój. Widzę, jak twarze im twardnieją, jak przygotowują się na to, co konieczne. Ktoś musi być wzorem dla innych, a teraz tym kimś jestem akurat ja.

El-Saffani rzuca się naprzód. Biegnę, spod moich stóp wzbija się świeży pył. Moi ludzie ruszają za nami.

Potrzeba nam sali, której łatwo będzie strzec. Jestem zmęczona, ale nie wolno mi tego okazać. Biegnijcie, moje nogi – biegnijcie. W bezpiecznym dla wszystkich miejscu odpoczniemy chwilę, a potem wrócimy po Bello. Została sama w rękach potworów.

Jeszcze trochę... jeszcze kawałek...

Mięśnie i płuca mi płoną. Jestem gotowa paść na ziemię, kiedy doganiają mnie Spingate i Gaston.

Spingate wskazuje naprzód. Portale po lewej i prawej. Niektóre są otwarte. Będziemy mogli się za nimi bronić.

Udało nam się.

Już blisko, ale El-Saffani nagle się zatrzymuje. Dobiegam do nich, dysząc tak mocno, że nie mogę zamknąć ust.

Chłopak wskazuje coś na ziemi.

– Ślady stóp w pyle, Em...

– ...i martwi ludzie, całe mnóstwo.

Stery zakurzonych kości. Wojna Starszych toczyła się także tu.

Widzę te ślady stóp. Czy to ślady potworów? A może jest tu gdzieś więcej takich dzieciaków jak my?

Opieram się ręką o ścianę, by nie upaść. Nie ruszę się już ani o krok.

– O'Malley – wykrztuszam jakoś w przerwach między nagłymi wdechami. – Policz nas. Jesteśmy w komplecie?

O'Malley nawet się nie zadyszał. Jakim cudem nie jest wykończony, choć biegł tak szybko przez tak długo? Prostuje się, ogląda

wstecz i liczy w myślach, kiwając palcem do taktu.

Bishop ostrożnie przeciska się na przód, żeby stanąć obok mnie. Jego zakrwawiona, naga pierś unosi się gwałtownie i opada. Nadal trzyma w ręku włócznię. Mimo że się boję i padam z nóg, zerkam na nią. On też na nią spogląda – może trochę pożądliwie – ale potem mi ją podaje.

Odbieram włócznię drżącą ręką. Grot wciąż pokrywają czerwono-szare smugi.

Bishop potwierdza gest skinieniem głową. Nadal jestem przywódcą... przynajmniej na razie.

Ludzie są wycieńczeni. Niektórzy pociągają nosami, kilkoro płacze. Są przerażeni, a przecież nie znają jeszcze całej prawdy.

O'Malley kończy liczyć.

– Dwadzieścia dwoje – stwierdza. – Wszyscy oprócz Bello. Em, co się z nią stało?

Zaczynam mówić, ale gardło pali mnie zbyt mocno, nie mogę wydobyć z siebie głosu. Oddycham głęboko kilka razy, próbując się opanować.

– Porwały ją – mówię w końcu.

– Kto ją porwał?

Obrzucam spojrzeniem całą grupę. W pobliżu jest Aramowski, dyszy równie mocno jak ja. Patrzy na mnie z tą swoją arogancką miną – jestem pewna, że z góry wie, co za chwilę powiem.

Może jego arogancja jest uzasadniona: miał przecież rację.

– Potwory – odpowiadam. – Między drzewami... zaatakowały nas potwory.

Oczy Aramowskiego rozszerzają się na dźwięk tego słowa. Skinieniem głowy, powolnym i dostojnym, sprawia wrażenie, jakby od zawsze wiedział, że ta chwila nadejdzie.

Na całej długości korytarza wpatrują się we mnie twarze pełne osłupienia. „Potwory”... Przywódca grupy właśnie powiedział wszystkim, że potwory istnieją.

O'Malley kręci głową.

– To jakiś absurd. Potworów nie ma.

Bishop szturcha go w ramię tak, że prawie go przewraca.

– Zamknij się – mówi. – Nic nie wiesz, O'Malley, ty ich nie widziałeś. A ja tak. Uratowałem Savage.

Palce O'Malleya zaciskają się na rękojeści noża. Z twarzą wykrzywioną gniewem rusza na większego chłopaka, ale wkraczam między nich.

– To prawda – potwierdzam. – To były potwory. Bishop jednego zabił, sama widziałam. Inny porwał Bello.

O'Malley patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Zaraz... potwory Bello porwały? To znaczy, że jeszcze żyje?

Zadaje to pytanie takim tonem, z takim zdumieniem w głosie, że uświadamia mi tym jaskrawą prawdę: zostawiłam Bello samą sobie. Porzuciłam ją.

– Ja... nie wiem – jąkam się. – Może nie.

Gdy tylko te słowa schodzą mi z ust, czuję uderzenie wstydu. Jakąś cząstką umysłu – małą, paskudną, okropną – tak naprawdę liczę, że Bello nie żyje, bo wtedy nie musimy się po nią cofać, nie musimy wracać do Ogrodu ani stawiać czoła potworom.

O'Malley jest wstrząśnięty. Krąży wzrokiem między mną i Bishopem.

– Porwali Bello, a ty kazałaś nam uciekać? Zostawiliśmy ją samą sobie?

Jego słowa boją. Mam ochotę się z nim sprzeczać, ale nie mogę, bo taka jest prawda.

Bishop wali ręką w pierś O'Malleya, który tym razem odbija się od ściany i pada na ziemię. Bishop podchodzi o krok, celując mu w twarz wskazującym palcem.

– Nie było cię tam – oskarża go. – Nic nie widziałeś, więc stul dziób. Wszyscy wiemy, że słyszałeś, jak Em wzywa pomocy, każdy z nas słyszał, ale nie ruszyłeś się z miejsca, bo się bałeś!

O'Malley zrywa się na nogi szybciej, niż się spodziewałam. A nawet szybciej, niż spodziewał się Bishop, który już ma na gardle ostrze noża.

Czuję, jak moje ręce obracają włócznię, jakby nie należały do mnie, tylko kierowały się własną wolą. Widzę, że zakrwawiony grot nieruchomieje w odległości palca od brzucha O'Malleya.

– Opuść ten nóż – cedzę. – W tej chwili.

O'Malley wbija we mnie wzrok – zaskoczony, może nawet trochę zawiedziony. Wiem, jak to musi wyglądać: jakbym była skłonna zrobić mu krzywdę w obronie Bishopa.

Opuszcza nóż. Odchodzi wściekły na koniec grupy, rozpychając innych na boki.

Słyszę głos Spingate:

– Nie... nie, to niemożliwe.

Stoi dalej z przodu, przy kościach i śladach stóp. Wargi jej drżą, po twarzy płyną łzy.

– Niemożliwe – powtarza.

Podbiegam do niej.

– To jest możliwe, Spin. To naprawdę były potwory, widziałam je.

Patrzy na mnie wielkimi, wodniście zielonymi oczami. Kręci głową.

– Nie chodzi mi o potwory. – Wskazuje ręką zakurzone kości. – To niemożliwe, żeby one tu były, Em. Nie rozumiesz? One nie mogą tu być, bo cały czas szliśmy prosto.

Jedna z kości jest właściwie czysta, jakby ktoś ją podniósł, otrzepał i odłożył z powrotem. To kość czaszki z nierówną trójkątną dziurą wybitą w górnej części.

Od sterty kości w głąb długiego białego korytarza wiodą ślady sześciu osób. Ślady, które wyraźnie zaczynają się przy portalu po lewej.

Otwartym portalu.

Wiem, dokąd prowadzą te drzwi. W środku są trumny. Sześć jest pustych, w sześciu leżą małe zwłoki. A w mroku jednej z tych pustych trumien obudził mnie ból.

Jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia.

DWADZIEŚCIA OSIEM

To zupełnie bez sensu.

Ruszam do sali z trumnami. Doskonale wiem, co zobaczę, ale musiałam czegoś nie zrozumieć. Coś mi się pomyliło, tylko nie wiem co, i Spingate też.

Wchodzę: dwa rzędy po sześć trumien, między nimi mocno podeptane przejście. Na końcu rzędu po prawej widzę połamane wieko mojej trumny wystające w górę.

To niemożliwe... Staraliśmy się tak bardzo...

Podchodzę do trumny Brewera. Nadal jest w niej mały trupek w za dużym ubraniu. W miejscu, gdzie Spingate dotknęła czaszki, brakuje płatka wyschniętej na wiór skóry.

Chłopak u mojego boku: O'Malley.

– Szliśmy cały czas prosto – mówi. Nie jest już zły. W jego głosie słychać oszołomienie, jakby trafiło go to równie mocno jak mnie. – Szliśmy prosto, żeby się nie zgubić.

I była to moja decyzja. Moja. Nie rozumiem, co się stało.

Cała nadzieja, którą czuliśmy w Ogrodzie, przepadła. Znowu czuję się odrętwiała.

– Zrobiłam coś nie tak – szepczę. – Ja... nie wiem, co się stało. Próbowałam nas stąd wydostać.

Próbowałam. A udało mi się jedynie przyprowadzić nas w to samo miejsce. Yong nie żyje. Latu też. Straciłam Bello. Nie, zostawiłam Bello. Uciekłam tylko po to, żebyśmy mogli skończyć w punkcie wyjścia?

Nigdy nie uda się nam stąd wydostać.

Wszystkich nas czeka tutaj śmierć.

O'Malley kładzie mi dłoń na ramieniu. Wiem, że próbuje być miły, ale czuję się z tym niezręcznie. On też to wyczuwa, cofa rękę.

– Em, zostawienie Bello to nie była twoja wina.

Patrzę na niego. Te niebieskie oczy, zarys jego twarzy... Skąd wiedział, że myślę o Bello? Szkoda, że ja i O'Malley nie możemy być teraz gdzie indziej, razem, tylko we dwoje, w jakimś miejscu wolnym od strachu i zamętu.

– To nie twoja wina – powtarza. – Przepraszam, że na ciebie krzyknąłem. Nie było mnie w lesie, nie widziałem tego, co ty. Skoro mówisz, że musieliśmy uciekać, to wiem, że miałaś ważny powód.

„Ważny powód”? Bałam się, to był ten „ważny powód”.

O’Malley ma szczerą intencję, ale to niczego nie zmienia.

Rzeczywistość jest, jaka jest. Zostałam wybrana przywódcą. Wszyscy robili to, co chciałam ja, i trafiliśmy tutaj. O’Malley się myli – to jest moja wina.

Nie chcę tej głupiej włóczni. Stawiam ją drzewcem w pyłe. Grotem – z lepka, nie do końca wyschłą krwią – celuję w rzeźbiony sufit. Mogłabym ją wypuścić, dać jej upaść. Przez jakiś czas powinien ją ponieść ktoś inny.

Delikatne palce gładzą moją skroń. Czuję ból, ale nie z powodu dotyku O’Malleya.

– Coś ci się stało – zauważa.

Sięgam do głowy i obmacuję bolące miejsce. To guz, nabity, kiedy potwór rzucił mną o drzewo. Czuję coś lepkiego, także na policzku, na szyi. Przekręcam głowę i spoglądam na ramię – biały materiał znaczą cętki krwi.

Nie jestem już taka czysta.

O’Malley dotyka mojego ramienia. Dostaję od tego gęsiej skórki.

– Tu też masz jakieś ślady – dodaje O’Malley. – To po tym potworze?

Na skórze widzę znak, cztery równoległe czerwone linie – pozostałość zbyt mocnego chwytu palcami.

– Tak – kłamię. – Potwór mnie złapał.

To był Bishop ze swoją druzgocącą siłą, ale przecież nie zrobił tego naumyślnie. Nie chcę dawać O’Malleyowi powodu, żeby nienawidził Bishopa jeszcze bardziej.

O’Malley znów muska moją twarz, opuszkami palców kreśli mi ciepłą linię po policzku. Tym razem jego dotyk nie wydaje mi się niezręczny. Wydaje się idealny. Wszystko gdzieś znika, zostają tylko oczy O’Malleya i wrażenie ciepła na mojej skórze.

– W końcu zrozumiemy, co tu się dzieje – mówi cicho. – Nie ma ludzi wszechwiedzących. To, co się nam przytrafia, to jakieś szaleństwo,

wiadomo, ale ty jesteś dla nas najlepszym przywódcą. Ludzie za tobą idą, Em.

Odpowiadam mu szeptem:

– Ale dlaczego? Dlaczego za mną idą? Przecież nie wiem, co robię. Wzrusza ramionami.

– Może dlatego, że masz w sobie to coś. I niezależnie, co się dotąd zdarzyło, lepiej mieć za przywódcę ciebie niż Bishopa. Widziałaś, jak mnie znokautował? Widziałaś podbite oko Gastona, policzek Latu?

Kiwam głową. Cieszę się, że przed chwilą skłamałam o siniaku na moim ramieniu. Ale O'Malley ma rację – Bishop jest już znany z robienia ludziom krzywdy.

Po chwili jednak przypominam sobie, co powiedział Bishop w korytarzu: kiedy wzywałam pomocy, on rzucił się bez wahania ku nieznanemu zagrożeniu. O'Malley tego nie zrobił. O'Malley pozostał z innymi, nie pobiął mnie szukać.

Moja opinia o obu chłopakach najwyraźniej jest zmienna – zależy, z którym z nich rozmawiam. Nie tak to powinno wyglądać.

– Może się mylisz – mówię. – Może Bishop mógłby być dobrym przywódcą.

O'Malley prychnął.

– To tyran. Rzuca się, ciska, zastrasza innych. Jeśli zaczniesz rządzić, będzie to niebezpieczne dla nas wszystkich. Jesteś dobrym przywódcą, Em. Bishop działa. Ty myślisz.

Ogarniam gestem salę.

– Jestem dobrym przywódcą, bo myślę? Rozejrzyj się, O'Malley. Popatrz, dokąd doprowadziło nas moje myślenie.

Chciałabym wierzyć w to, co mówi. Pomógł mi parę razy w podjęciu trudnych decyzji. Gdyby nie on, nie wygrałabym głosowania. Ale to, że wróciliśmy do punktu wyjścia, dowodzi jednego: w kwestii moich zdolności przywódczych O'Malley po prostu się myli.

W moich myślach pojawia się jeszcze jeden chłopak – Yong, jego wyraz twarzy, kiedy dźgnęłam go nożem, i to, co powiedział, zanim się na mnie rzucił:

Próbowałaś, Em, ale ci nie wyszło.

Może i miał rację.

Otwieram dłoń i pozwalam włócznie wypaść. Wali się jak podcięte drzewo, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż w końcu uderza w sam środek przejścia, wzbijając podłużną chmurę pyłu.

– Wykorzystałam swoją szansę – mówię. – Teraz niech kto inny wykorzysta swoją.

O'Malley kręci głową.

– Nie możesz teraz zrezygnować. Potrzebujemy cię. Będę ci pomagał. W razie jakichś wątpliwości, jakichkolwiek, zawołasz mnie na bok i razem coś wykombinujemy.

Powinien mnie teraz nienawidzić. Na pewno inni się nie krępują. Jakimś cudem poprowadziłam nas w kółko, a on twierdzi, że to nie moja wina. Może też miał jakiś ważny powód, żeby nie przybiec mi na pomoc w lesie. Może uznał, że ktoś musi zostać z resztą grupy, utrzymać wszystkich razem, zadbać o ich bezpieczeństwo. A to, co mówi teraz, przejęcie w jego cichym głosie... O'Malley we mnie wierzy.

Być może jako jedyny z nas wszystkich.

Jest tak blisko, że dosięga mnie zapach i żar jego ciała. Zamykam oczy.

Jeszcze nigdy nie czułam się w ten sposób. Nie pamiętam wiele, ale wiem, że jeszcze nigdy się nie całowałam

Chcę, żeby O'Malley mnie pocałował.

Ktoś wbiega do sali. To Spingate. Szybko odsuwam się od O'Malleya, jakby mnie na czymś przyłapano.

– Em, już wiem, co się stało! – Na jej policzkach nadal błyszczą łzy, ale z oczu bije szaleńczy entuzjazm. – Już wiem, w jaki sposób znaleźliśmy się na powrót tutaj! Weź włócznie, Em. Każ wszystkim tu wejść i zaraz to wyjaśnię.

Znajduje kawałek podłogi z nienaruszonym jeszcze pyłem, klęka i zaczyna rysować palcem jakieś linie.

Co ona robi? Co planuje wszystkim powiedzieć?

Patrzę na O'Malleya.

Ten podnosi włócznie. Otrzepuje ją z kurzu i pyłu, a potem mi ją oddaje.

– Nie potrzeba nam po prostu przywódcy, Em – mówi. – Potrzeba nam ciebie.

Brak mi już wiary w siebie, ale na razie mogę chyba polegać na jego wierze we mnie.

Moje palce zamykają się na drzewcu włóczni. Unoszę ją odrobinę. Wydaje mi się cięższa niż przedtem.

Wychodzę na korytarz. Głowy wszystkich obracają się ku mnie. Niektórzy gromią mnie wzrokiem w jawnym gniewie. Inni patrzą z nadzieją, oczekiwaniem... wciąż uważają, że potrafię wyprowadzić ich z tego miejsca.

Unoszę włócznię.

– Wejdźcie do sali z trumnami – mówię. – Ustalimy, co robić dalej. El-Saffani, zostańcie na korytarzu, krzyknijcie, gdyby ktoś nadchodził.

El-Saffani potakuje skinieniem głowy. Ludzie powoli wchodzą do sali, ale Bishop się ociąga. Podchodzi do jakiegoś szkieletu i podnosi grubą kość udową. Chwyta ją oburącz, wykonuje próbny zamach.

Potem podnosi ją wysoko nad głowę i rąbie w dół. Kość trafia w czaszkę z trójkątną dziurą, miażdżąc ją i rozpryskując okruchy po całym korytarzu.

Część człowieka stała się bronią.

Bishop pokazuje kość udową El-Saffanim, daje im znak jednym zdecydowanym skinieniem głowy. Bliźniaki odpowiadają mu tym samym. Wynajdują dla siebie podobne kości i bez słowa zajmują pozycje z obu stron wejścia do sali.

Bishop się zmienił. Zabicie potwora pozostawiło w nim ślad – wygląda teraz tak bardzo poważnie, tak bardzo serio... Jego dawny chłopięcy uśmiech zniknął gdzieś bez śladu.

Za to po raz pierwszy dostrzegam na jego twarzy słabą zapowiedź zarostu.

Bishop nie jest już dzieckiem.

Wchodzę do sali z trumnami.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Spingate rysuje obrazki w pyle.

Koniuszkiem palca ciągnie linię prostą lub krzywą, po czym przerywa i myśli. Dotyka wtedy twarzy i zostawia na niej ślady – smugi i kreski.

Wszyscy stoimy i patrzymy. Nikt nie wie, co myśleć o magii, która przywiodła nas do punktu wyjścia.

Szliśmy prosto. Nie skręcaliśmy w lewo, nie skręcaliśmy w prawo. Nie było żadnych zakrętów, nawet bardzo łagodnych – widzielibyśmy je, patrząc w głąb korytarza. Nawet kiedy maszerowaliśmy po ciemku, to było nadal na wprost.

Mijają kolejne minuty. W tej sali jest dwadzieścia osób, niektóre siedzą już na podłodze, inne opierają się o trumny. Wszyscy czekają. Spingate gapi się w przestrzeń. Chyba zapomniała o naszej obecności.

Bishop pochyła się nad nią, ale nie patrzy na rysunki – patrzy na jej twarz.

Poryw złości marszczy mi nos i zwęża oczy. Czy Bishop uważa Spingate za ładną? Te jej rude włosy, długie nogi, koszula ciasno opięta na jej kobiecym ciele... Nie ma szans, żebym była równie ładna.

Przecieram oczy. Dlaczego nagle martwię się o coś takiego? Ciągle gubię myśli. Bello nie ma, a potwory istnieją... Nie obchodzi mnie, na kogo patrzy Bishop.

On tymczasem pluje sobie na dwa palce – wskazujący i środkowy – klęka i zanurza je w pyle. Przeciąga sobie końcami palców po twarzy, najpierw po jednej stronie, potem po drugiej.

Bishop wstaje. Policzki zdobią mu teraz po dwie ciemnoszare smugi. Oczy ma zimne i twarde.

Podchodzi do portalu, ściskając w dłoni kość jak maczugę. Wychyla się i mówi coś cicho El-Saffanim. Wiem, że Bishop uratował mnie w lesie, ale teraz wytrąca mnie z równowagi. Ten wyraz twarzy, ostrość jego ruchów...

Można się go przestraszyć.

Spingate rysuje kolejną linię. Kazała mi zwołać tu wszystkich, bo

– jak twierdziła – wie, dlaczego doszliśmy do tej samej sterty kości. Na razie od jej przedłużającego się milczenia atmosfera w sali gęstnieje.

Kilka głów obraca się w moją stronę. Potem jeszcze kilka. Ludzie czekają, aż coś powiem.

Ale ostatecznie to Aramowski przerywa ciszę.

– Opowiedz nam, co się stało z Bello – mówi. – Opowiedz nam o potworach.

Teraz patrzę na mnie wszyscy. Z wyjątkiem Spingate, która najwyraźniej zapomniała o naszym istnieniu.

Biorę oddech. Nie mówiłam im wcześniej, żeby nie wpadli w panikę. Zrobili to, o co ich prosiłam. Ale teraz ci ludzie – moi ludzie – zasługują na wyjaśnienia.

Zaczynam mówić. Opowiadam tyle, ile sobie przypominam. Całe zdarzenie było rozmazaną plamą ruchu i hałasu, kształtów i emocji. Opowiadam, jak Bello i ja poszliśmy do lasu. Mówię im nawet dlaczego – powinnam się wstydzić za moje ciało, ale już o to nie dbam. Opowiadam, jak coś wciągnęło Bello w zarośla i jak się za nią rzuciłam.

Potem opisuję potwory. Dwa potwory – jednego wysokiego, drugiego mniej więcej mojego wzrostu. Pomarszczone i czarne. Nie ciemnobrązowe, nie białe, nie opalone, nie różowe – nieprzypominające żadnego koloru skóry widocznego w tej sali, tylko czarne jak moje włosy.

Czarne jak zgnilizna.

Patykowate ręce i nogi. Dłonie jak chude pająki. Coś czerwonego w miejscu, gdzie powinny być oczy. Syczące głosy, od których dygotały mi nerwy – ale nie wspominam, że głos kobiecy brzmiał dziwnie znajomo. Ten szczegół zatrzymuję dla siebie. Sama nie wiem dlaczego.

Mówię im o bransoletce, która może była bronią – i w tym momencie czuję nagle ścisnięcie w dołku: cholera, czymkolwiek była, należało zdjąć ją z trupa i zabrać. Teraz już za późno.

Kiedy tak opowiadam, widzę wzbierający w ludziach strach. Ciała mamy dorosłe, ale nasze serca i umysły należą nadal do dwunastolatków. A ja im mówię, że straszdyła z koszmarów istnieją. Mało tego – że porwały jedno z nas.

Ale też nie są nieśmiertelne. Opowiadam im, jak Bishop zabił

jedno z nich. Dzielny Bishop wbił włócznię w serce potwora. Mówię z przejęciem, nie próbując ukryć ani mojego podziwu dla Bishopa, ani nienawiści do tych istot.

Gaston podnosi rękę – ma jakieś pytanie.

Prawie wybucham śmiechem. Stoję tu i prowadzę wykład, a wokół mnie dzieci w maskach dorosłych siedzą zasłuchane z szeroko otwartymi oczami, jakbym była ich nauczycielką.

Skinieniem głowy udzielam Gastonowi głosu.

– Powiedziałaś, że te potwory mówiły – przypomina. – Pamiętasz, co mówiły?

Próbuję odtworzyć to w myślach. Zdarzyło się tyle rzeczy naraz. Byłam wściekła i przerażona.

– Ten mały powiedział: „Bierz ją”. To pamiętam, ale reszta...

Przykro mi, nie jestem pewna.

Gaston drapie się w ucho z namysłem.

– Nie wątpię w to, co opowiadasz – tłumaczy. – Nie mam pewności, czy to potwory, ale kim by nie były, są w tym miejscu razem z nami. Wszystko na ich temat może okazać się ważne. Więc spróbuj sobie przypomnieć: czy powiedziały coś jeszcze? Cokolwiek?

Chciałby wiedzieć jak najwięcej, ale ja wolałabym nic nie pamiętać. Wszystko było jak we mgle. Zimna ręka na moim nadgarstku, która gdzieś mnie ciągnie. Porwały Bello. Prawie porwały i mnie. Zaczynam drzeć na całym ciele. Nie chcę już o tym myśleć... nie chcę, a jednak... Przypominam sobie coś jeszcze.

– Ten, którego zabił Bishop. Jak Bishop go dźgnął, wyjąkał: „Poświęciłem wszystko”.

Przez grupę przetacza się szmer.

Gaston czeka, aż powiem coś więcej. Kiedy milczę, unosi rękę w geście irytacji.

– Tylko tyle? Co to może znaczyć, Em?

Kręcę głową. Skąd mam to niby wiedzieć? Zaraz... ten wysoki powiedział coś jeszcze...

Przestaję drzeć, ciało mi zamiera. Oddech zamiera. Może i serce też.

Wiem, co on powiedział.

„Zawsze była z ciebie suka, Savage”.

Znał moje nazwisko.

Jeśli uważał mnie za sukę, to znał więcej niż tylko moje nazwisko – znał mnie. Wiedział, jaka byłam, zanim trumna odarła mnie ze wspomnień, zanim wymazała moje życie.

A teraz ten potwór nie żyje.

Ale nie był sam. Na pewno jest jeszcze ten mniejszy, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, ile ich porwało Bello. Te potwory mogą wiedzieć, kim jestem. Jeśli uda mi się je znaleźć, zmuszę je, by mi powiedziały.

To ważne informacje. Powinam się nimi podzielić, ale przemilczam je tak jak odczucie, że głos mniejszego potwora brzmiał znajomo. Coś czai się pod powierzchnią mułu pokrywającego zakamarki mojego umysłu, coś więcej niż parę zwykłych wspomnień. Kiedy myślę o odkryciu swojej przeszłości, ogarnia mnie jedno uczucie.

Groza.

Kim tak naprawdę jestem? Co ja zrobiłam? I czy naprawdę chcę się tego dowiedzieć?

Spingate w końcu się podnosi. Twarz ma całą umazaną, wygląda idiotycznie.

– Kółko – mówi z dumą i satysfakcją. – Chodziliśmy w kółko.

Jej oświadczenie brzmi irytująco, jakby palnęła coś na chybił trafił. Kółko? Co ona wygaduje? Przecież szliśmy prosto.

Aramowski robi krok w jej kierunku. Zanim się odezwie, wygładza rękami swoją białą koszulę, jakby fałdy na niej mogły przeszkodzić w wypowiedzi.

– Nie skręcaliśmy – stwierdza. – Żeby chodzić w kółko, musielibyśmy skręcać w prawo albo w lewo. Nie rozumiesz?

Spingate wskazuje na sufit.

– Pamiętacie wrażenie, jakbyśmy cały czas szli pod górę?

Rozgląda się po zasypanej pyłem podłodze, szukając wśród setek śladów jakiegoś niepodeptanego kawałka. Znajduje go obok trumny z wysuszonymi zwłokami kogoś, kto kiedyś nazywał się N. Okadigbo. Spingate klęka, kreśli nowe koło. Wewnątrz tego koła, u dołu, rysuje coś, co od razu poznaję – ludzika z kilku kresek.

Spingate ustawia obok niego palec, po czym z wolna sunie nim przez pył po wewnętrznej krzywiznie koła.

– Naprawdę chodziliśmy w kółku... po obwodzie koła – mówi.
– Koła, które mieliśmy pod nogami. Podłoga ciągle zakrzywiała się w górę, ale to koło jest wielkie... ogromne. Nie rozumieliśmy, co się dzieje.

Rysuje nową figurę: pionowy owal. Potem dwie równoległe linie proste, które wychodzą ze szczytu i z dołu owalu w bok. Wreszcie łączy końce tych linii prostych krzywizną biegnącą z kolei równoległe do owalu.

To schematyczny walec.

W środku Spingate rysuje jeszcze jednego ludzika – tym razem stoi on na dolnej linii.

Rozumiem, o co jej chodzi. Słyszę, jak ludzie szepczą między sobą, bo też zaczynają rozumieć: Spingate sądzi, że szliśmy w górę po tej krzywiznie, stopniowo zawracając aż do miejsca, skąd wyruszyliśmy.

Faktycznie szliśmy prosto, i jesteśmy tutaj, więc rysunek ma sens. Tak jakby. Ale skoro szliśmy wciąż pod górę po ścianie walca, dlaczego z niej nie spadliśmy? Chcę spytać, ale się powstrzymuję: popełniłam już wystarczająco dużo błędów. Jeśli zadam jakieś głupie pytanie, wszyscy mogą pomyśleć, że jestem za głupia, by dowodzić.

Spingate ociera twarz rękawem. Część pyłu znika, ale reszta rozsmarowuje się w długie, szare smugi.

– Tylko proporcje są złe – tłumaczy. – Ten ludzik jest dużo za duży w stosunku do reszty rysunku. Myślę, że mogłabym się zorientować, jak wielki jest ten walec. Muszę tylko porobić trochę obliczeń, zająć się... ech, jak to się nazywa? O! Mam! Muszę się zająć geometrią.

To słowo sprawia jej przyjemność – albo cieszy się tylko, że coś sobie przypominała. Może nikt nie wymazał naszej przeszłości. Może jedynie ukrył ją przed nami.

Do przodu wychodzi Gaston, tym razem raczej odsuwa innych z drogi, niż prześlizguje się między nimi, jak to ma w zwyczaju. Patrzy w dół, olśniony rysunkiem w pyłe. Potem podnosi wzrok na Spingate.

– Niesamowite – mówi. – Jesteś niesamowita.

Spingate uśmiecha się, promieniejąc z dumy.

O'Malley kręci głową, próbując coś zrozumieć.

– Ale jakim cudem nie pospadaliśmy na głowy, kiedy dotarliśmy na górę?

Uśmiecham się nieznacznie – ja się powstrzymałam, ale on nie krępuje się pytać o to na głos.

Spingate gapi się w walec. Wydaje się poirytowana, jakby znała wszystkie części odpowiedzi, ale nie umiała ich złożyć w jedną całość.

Aramowski wykorzystuje tę chwilę ciszy.

– To oczywiste – mówi. – Bogowie nie chcą, żebyśmy poodpadali, dlatego sprawili, że nogi nie odrywają się nam od podłoża.

Mina mi rzednie. Aramowski znów będzie wygadywać te bzdury? Teraz?

Zaskakuje mnie, jak wiele osób się z nim zgadza, potakując z powagą. Dla nich to wcale nie są bzdury. Na słowo „bogowie” rozszerzyły im się oczy, wyprostowali się.

Z drugiej strony – dlaczego wyjaśnienie Aramowskiego miałabym lekceważyć bez zastanowienia? Nie wierzyliśmy, że potwory istnieją; potem jednego zobaczyłam. Tak samo nie wierzę, że istnieją bogowie – jak mogę być pewna, że ich nie ma?

Gaston zaczyna się śmiać.

Wszyscy wbijają w niego wzrok. Rozgląda się zdziwiony, że nikogo więcej to nie bawi. Śmiech więźnie mu w gardle.

– Nie ma żadnych bogów – mówi, ale jakby bez przekonania.

Aramowski wskazuje ręką rysunek w pile.

– Nie ma bogów? Popatrz tylko. Co innego mogłoby nas powstrzymać od upadku, Gaston? Nie mogę podskoczyć i stanąć na suficie, prawda? Pewnie, że nie, bo odpadłbym w dół. To musi być magia, to musi być zrządzenie bogów.

Gaston kręci głową.

– Mylisz się. To ma coś wspólnego z wielkością walca. – Spogląda na rysunek. – Ja... nie do końca pamiętam, ale zdaje się nie lecimy w dół dlatego, że tak naprawdę nie stoimy na suficie.

Aramowski wzrusza ramionami.

– Zgodnie z rysunkiem Spingate musieliśmy robić właśnie to, stać na suficie. Chcesz powiedzieć, że Spingate kłamie?

Gaston podrywa głowę, jakby ktoś go chlasnął w twarz.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Czyli faktycznie chodziliśmy po suficie – mówi Aramowski.

– Jeśli to nie bogowie chronili nas przed upadkiem, jak było to możliwe?

Gaston patrzy na niego gniewnie. Nie lubi Bishopa, nie lubi O'Malleya, ale Aramowskim gardzi.

Ten zakłada ręce na piersi.

– No więc, Gaston? Czekamy.

Gaston rzuca okiem na rysunek i z powrotem na Aramowskiego.

– To, że nie umiem odpowiedzieć na twoje pytanie, nie oznacza jeszcze, że bogowie istnieją – mówi.

Triumfujący uśmiezek Aramowskiego wskazuje, że on sądzi inaczej.

– Lepiej uważaj, co mówisz, Gaston – ostrzega. – Lepiej nie mów, że bogowie nie istnieją.

Oczy Gastona zwężają się z gniewu.

– A to dlaczego?

W trakcie odpowiedzi Aramowski rozgląda się po sali, żeby wszyscy widzieli, jaka pewność bije z jego twarzy.

– Bo mówienie, że bogowie nie istnieją, bardzo ich gniewa.

A kiedy bogowie się gniewają, to nas karzą. Zsyłają świny, żeby zabiły Latu. Zsyłają potwory, żeby porwały Bello.

Wzbiera we mnie wściekłość. Mówiłam mu, żeby nie gadał takich rzeczy, ostrzegałam go.

– Aramowski – odzywam się – lepiej się zam...

Przerywa mi czyjś tubalny głos:

– Bogowie się nie gniewają, tylko wystawiają nas na próbę.

Wszyscy oglądają się na drzwi. Stoi w nich Bishop z twarzą całkowicie wysmarowaną wilgotnym, ciemnoszarym pyłem, świecą w niej jedynie białka szeroko otwartych oczu. Nie wygląda już jak człowiek, ale... jakby sam był potworem.

– Może zrobiliśmy coś złego – ciągnie. – Może bogowie wystawiają nas na próbę, chcą sprawdzić, czy jesteśmy godni. Udowodnimy im, że tak jest: wrócimy do Ogrodu i odbijemy Bello.

To skutecznie powstrzymuje Aramowskiego. Kiedy się znów

odzywa, głos ma spokojny, cichy. Mówi do wielkoluda o twarzy pokrytej śliną zmieszaną z pyłem, więc waży słowa, i wcale mu się nie dziwię.

– Bogowie chcieli Bello, więc zabrali Bello – mówi. – Nie do nas należą starania, by ją odzyskać. Chcesz, żeby potwory porwały następnych z nas?

Górna warga Bishopa wygina się w drżącym grymasie.

– Zabiłem jednego z nich – oznajmia. – Może bogowie zesłali potwory, ale ich nie chronią. Jesteśmy silniejsi niż potwory. Jesteśmy szybsi. Jeśli spróbują porwać nas więcej, to zabijemy ich więcej. Musimy wracać po Bello, i to już.

Bawden popiera słowa Bishopa krótkim warknięciem. Farrar uderza się pięścią w szeroką pierś. Kółko-gwiazdy uwielbiają Bishopa, są gotowe ruszyć za nim do Ogrodu.

Myślałam, że akceptują mnie jako przywódcę, ale może było tak tylko dlatego, że uznawał mnie Bishop.

O'Malley staje na jednej z zamkniętych trumien. U boku trzyma nóż.

– Siła i szybkość się nie liczą – mówi donośnym głosem, którym przebija się przez pomruki żądnych czynu kółko-gwiazd.

Bishop uśmiecha się szyderczo.

– A co ty o tym wiesz, tchórze? Potwora to ty na oczy nie widziałeś.

Obelga trafia celnie. O'Malley gwałtownie zaciska szczęki. Wymierza swój nóż w Bishopa.

– „Tchórze”, mówisz? No to chodź, pokażę ci tego tchórze.

Bishopowi nie trzeba tego powtarzać. Unosi swoją kościomaczugę i rusza na O'Malleya.

Uderzam drzewcem mojej włóczni w wieko trumny. Dźwięk odbija się ostro od kamiennych ścian – wszyscy aż podskakują, a Bishop przystaje.

Jeśli czegoś nie zrobię, te chłopaki gotowe są porozrywać się na strzępy.

– Dosyć! Ty – wymierzam włócznię w Gastona – przestaniesz wszystkich obrażać, ty – celuję w Bishopa – przestaniesz się nadymać,

ilekroć ktoś powie coś nie po twojej myśli, ty – mierzę w O'Malleya – przestaniesz wyciągać ten nóż albo ci go zabiorę, a ty – kieruję włącznię w Aramowskiego – przestaniesz bredzić o bogach, magii i innych podobnych głupotach.

Kiedy echo moich słów przestaje wreszcie rozbrzmiewać, nie słysząc żadnego dźwięku. Nikt się nie odzywa.

O'Malley siedzi cicho, ale sprawia wrażenie, jakby nie przejął się moją reprimendą. Opuszcza nóż. Bishop wbija wzrok w podłogę. Gaston też.

Aramowski wpatruje się prosto we mnie, rozdymając nozdrza.

– Jesteśmy w magicznym więzieniu – mówi cicho. – Potwory porwały Bello. Na razie zamilknę, ale jeśli to, co widzieliśmy, nazywasz „głupotami”, to chyba sama nie wierzysz własnym oczom.

Spingate i reszta obserwują całą naszą piątkę, czekając na rozwój wypadków.

Bishop to same emocje. Chce pognać do akcji bez myślenia, bez planu. Jego zapal jest zaraźliwy, ale nie mogę dać mu się przekabacić. Straciliśmy już troje ludzi – nie zniosę utraty nikogo więcej.

O'Malley jest przeciwieństwem Bishopa. Sprawia wrażenie, jakby zawsze się nad wszystkim zastanawiał. Muszę poznać jego zdanie.

– Widziałam, jak Bishop zabił potwora – mówię. – On ma rację, O'Malley: nasze kółko-gwiazdy są szybsze i silniejsze. Więc dlaczego twierdzisz, że siła i szybkość się nie liczą?

– Z powodu tej bransoletki – odpowiada O'Malley. – Jeśli potwór chciał z niej do ciebie strzelić, to znaczy, że mogą trafiać nas na odległość. Skoro już zabiliśmy jednego z nich, wątpię, żeby pozwoliły nam zbliżyć się do siebie ponownie. Siła i szybkość się nie liczą, jeśli potwory mogą nas zastrzelić, zanim je dopadniemy.

To mi nie przyszło do głowy. Nie wiemy, co te bransoletki potrafią, ale musimy przyjąć, że strzał z nich może nas zranić albo i zabić. O'Malley ma rację.

Bishop jednak nie daje za wygraną.

– No to pójdziemy po cichu i po kryjomu – proponuje.

– Wślizniemy się do Ogrodu, zakradniemy do lasu i odnajdziemy Bello.

Rozpaczliwie chce natychmiast jej szukać. Wstyd mu, że

zostawiliśmy ją samą sobie. Mnie też jest wstyd, ale on przeżywa to bardziej. Zupełnie go to rozdziera. Ja również chcę ją ratować, a przynajmniej dowiedzieć się, czy żyje, ale jeśli te bransoletki są naprawdę rodzajem broni, to...

Zaraz, zaraz! Gaston opowiadał o sali, w której straszy, tej z trzema niepotłuczonymi kolumnami.

– Bishop, ta włócznia – przypominam mu. – Znaleźliście ją wbita w jakieś ciało. Gaston mówił, że zwłoki miały coś na ręku. Gaston, jak ty to nazwałeś?

– Kajdanami – odpowiada Gaston. Unosi brwi, spogląda na Bishopa. – Czy bransoletka potwora wyglądała tak samo?

Bishop myśli przez chwilę, po czym potwierdza skinieniem głową.

– Tak. Powinienem był to skojarzyć, ale kiedy zobaczyłem, jak to coś atakuje Em... No, w każdym razie powinienem był to skojarzyć.

Myślę szybko, ale tym razem nie o chłopakach i nie o tym, kto chce dowodzić, ani kto jest najładniejszy.

Tym razem myślę o tym, jak przeżyć.

Chodziliśmy w kółko. Nieważne, czy przez jakąś magię albo bogów, czy dzięki sztuczkom, które Spingate nie do końca umie wyjaśnić. Ważne, że trafiliśmy na powrót tam, skąd wyruszyliśmy. O ile wiemy, nie ma stąd żadnego wyjścia. Może będziemy musieli spędzić tu dużo czasu. Jeśli mamy przeżyć, potrzebujemy jedzenia i wody, a znamy tylko jedno miejsce, które może nam to zapewnić.

To Ogród. Ale tam są potwory.

I mają broń, której my nie mamy.

– Idziemy do sali, w której straszy – mówię. – Potrzebujemy tej bransoletki. Ja pójdę. Bishop, pójdziesz ze mną, weźmiemy też...

– Nie. – Jego protest brzmi jak ryk. Szara twarz Bishopa chmurzy się jeszcze bardziej. – Idziemy szukać Bello, i to już.

W sali zapada cisza. Bishop wbija wzrok we mnie. Ja w niego.

– Bransoletka w tamtej sali to może być broń – tłumaczę. – To ważne.

W jego oczach widzę ból i wewnętrzną walkę. Co prawda to ja kazałam nam uciekać, ale on wpadł na ten pomysł jeszcze przede mną

i dobrze o tym wie. Czuje się odpowiedzialny.

– Bello jest ważniejsza – mówi. – Może właśnie w tej chwili chcą ją zabić. Nie możemy czekać. Pokonamy potwory, Em. Prowadź nas do Ogrodu.

Wiem, że wszystkim innym Bishop wydaje się w tej chwili silny i pewny siebie. Ale ja widzę w jego spojrzeniu... że mnie błaga. Rwie się do walki.

Nagle czuję wdzięczność do O'Malleya, że wybił mi z głowy rezygnację z przywództwa. Nie rozumiemy, jakim cudem trafiliśmy z powrotem do punktu wyjścia, ale to nie znaczy, że marsz prosto przed siebie był błędną decyzją. Zrobiłam to, co należało. Zrobiłam to, co było sensowne. Utrzymałam nas razem.

O'Malley ujął to najlepiej: Bishop działa, ja myślę.

I choć widzę, jak gorliwie Bishop chce się zrehabilitować, nie mogę mu na to pozwolić. Jeszcze nie.

– Tu nie chodzi już tylko o Bello – mówię. – Chodzi o nas wszystkich. Musimy przeżyć. Idę do sali, w której straszy, Bishop, a ty mnie tam zaprowadzisz. Musimy pójść tam w mocnym składzie, ale trzeba też zadbać o tych, którzy zostaną tutaj. Więc ty zdecyduj, kto idzie z nami, a kto zostaje na straży tej sali.

Nasz wzrokowy pojedynek trwa dalej. Jesteśmy na krawędzi rozłamu, rozpadu naszej grupy na dwoje. Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę ten uśmiech, który Bishop posłał mi wtedy w Ogrodzie; w tej chwili mnie nienawidzi.

Może mnie nienawidzić, proszę bardzo, byle tylko zrobił to, czego od niego chcę.

W końcu Bishop odwraca wzrok. Rozgląda się po sali.

– El-Saffani pójdzie ze mną i z Em – oznajmia. – I Visca.

I Bawden.

Napięcie w pomieszczeniu opada trochę, ale jeszcze nie mija zupełnie. Pozostali popatrują na mnie spod oka. Uważają, że powinniśmy biec na pomoc Bello. Są źli, że zostawiliśmy ją samą. Poprowadziłam tych ludzi w koło, więc trudno mi mieć im za złe, że wątpią w moje decyzje.

Bishop wskazuje swoją maczugą dwie kółko-gwiazdy.

– Farrar, Coyotl, zostajecie tu na straży. – Ku mojemu zaskoczeniu wskazuje potem jeszcze dwie osoby. – Okereke, Smith, pomożecie Farrarowi i Coyotlowi.

Okereke i Smith też są zaskoczeni, że zostali wybrani do tego obowiązku, uznanie ze strony najsilniejszego z nas to dla nich zaszczyt. To nie kółko-gwiazdy, ale rozumiem decyzję Bishopa. Okereke jest silny i otacza go taka aura, jakby raczej wypatrywał niebezpieczeństwa, niż się przed nim cofał. Wysoka, chuda Smith porusza się zwinnie i szybko. Nigdy się nie potyka, nie chwieje. Może jest nie tylko uzdrowicielką, ale i wojowniczką.

A potem Bishop wskazuje maczugą Gastona.

– Ty – rzuca. – Drzwi do sali, gdzie straszy, otworzyły się tylko przed tobą, więc musisz iść z nami.

Gaston ukrywa twarz w dłoniach.

– Niech to licho. Zupełnie zapomniałem.

Spingate kręci głową.

– Gaston nie powinien iść. Jest za mały, a teraz już wiemy o potworach i...

– Nie jestem „za mały” – odburkuje Gaston. – Jak nie pójdę, nie dostaną się do środka.

Spingate dalej kręci głową, coraz mocniej. Podnosi berło.

– Więc niech to wezmą, mnie jest bez różnicy. Pokażę im, jak to działa.

– Tej sali nie otworzy się berłem – mówi Gaston, teraz już łagodniej. – Otworzyła się tylko przede mną. Jeśli nie pójdę, równie dobrze mogą wcale nie iść.

Spingate chyba walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać. Widać, że ma dziesiątki pytań – jak działają drzwi, dlaczego nie może otworzyć ich nikt inny – ale Gaston jest niewzruszony: idzie z nami.

– Spin, jest nam potrzebny – tłumaczę. – Bishop zadba o jego bezpieczeństwo.

Spingate mierzy wzrokiem chłopaka o szarej twarzy.

– Mam nadzieję.

Bishop potwierdza to skinieniem głową.

– Też pójdę z wami – włącza się O'Malley.

Mówi to z nadzieją w głosie, ale mniej zdecydowanie niż Gaston. Myślę, że już wie, co ode mnie usłyszy.

– Chcę, żebyś został – odpowiadam. – Będziesz dowodził, kiedy nas nie będzie.

Aramowski się naburmusza.

– Naprawdę? Kolejny fatalny pomysł. O'Malley, wierzysz, że bogowie istnieją?

O'Malley kręci głową.

– Nie ma żadnych bogów.

Aramowski toczy spojrzeniem po twarzach, rozkładając ręce, jakby mówił: „Proszę bardzo, sami widzicie”.

– Em chce, żeby dowodził ktoś, kto nie wierzy w istnienie bogów – zwraca się do całej grupy. – Myślicie, że bogom się to spodoba? Ja nie sądzę. Kiedy Em nie ma, ja powinienem dowodzić, chyba się wszyscy zgodzicie?

Kilka głów kręci się przecząco, ale większość potakuje.

W mojej piersi wzbiera fala wściekłości. Aramowski chce mi odebrać przywództwo? Ciekawe, jak by to było wbić mu grot włóczni w gardło. Jeśli znów mi się sprzeciwi, mogłabym go zabić, tak jak Yonga.

Nie... Yong to był wypadek. Nie zabiłam go, nadział mi się na nóż. Właśnie tak się to stało.

Prawda?

Mocno potrząsam głową, próbuję sobie w niej rozjaśnić. Tak, Yong to był wypadek. Nie zabiję Aramowskiego za to, że mówi, co myśli – to byłoby jakieś szaleństwo.

Wracam pamięcią do Ogrodu, do Aramowskiego stojącego przed innymi. Ludzie siedzieli wokół, zapatrzeni w niego, słuchali go w skupieniu. Co do nich mówił? Oraz, bo to istotniejsze, co im powie, kiedy mnie nie będzie? Bishop zagraża grupie podziałem, ale nie wydaje mi się, żeby miał to na celu – może wręcz nie wie, że do tego dąży. Aramowski przeciwnie, doskonale wie, co robi.

Najlepiej więc nie pozwolić mu działać.

– Nie możesz tu dowodzić, Aramowski, bo idziesz ze mną – mówię.

Jest zaskoczony. Tego się nie spodziewał.

– Ale nie przydam się w walce – protestuje. – Po co mam iść? To bez sensu.

– Zdaje się, że znasz się na religii lepiej niż każdy z nas – mówię.
– A jeśli natkniemy się na coś, czego nie zrozumiemy, i postąpimy niewłaściwie? Możemy rozgniewać bogów niechcący, jeśli nie będzie cię przy nas, żebyś posłużył nam radą.

Kiedy po raz pierwszy wspomniał o bogach i magii, potakiwało mu wiele głów. Te same głowy potakują i teraz; ludzie w niego wierzą, uważają za sensowne, że przyłączy się do tak ważnej misji.

Oczy Aramowskiego twardnieją. Wie, że użyłam przeciw niemu jego własnych słów. Jeśli teraz nie pójdzie, to właściwie jakby oznajmił wszystkim, że swoich bogów ma gdzieś.

– Dobra – mówi z wymuszonym uśmiechem. – Zrobię, co do mnie należy.

– No to nie traćmy już ani chwili dłużej – kończę i idę do wyjścia.

Wyruszamy w osiem osób: Bishop, El-Saffani, Bawden, Visca, Aramowski, Gaston i ja. Próbuję działać z sensem, ale nie da się ukryć, że kieruję się jedynie przeczuciem. Bransoletka może być jakąś bronią, może pomóc nam opanować Ogród i bronić go przed potworami lub innym zagrożeniem.

Preczucie czy nie, decyzję już podjęłam.

Choć wiem, że jeśli się mylę, nie będzie mi dane podjąć kolejnej.

CZEŚĆ IV

JA I INNI

TRZYDZIEŚCI

Biegniemy pod górę.

W pyłe widać liczne ślady stóp. Największe są Aramowskiego, średni rozmiar mają ślady O'Malleya, Yonga i Spingate.

Najmniejsze należą do mnie i do Bello.

Widzę znajome kości, znajome ślady na ścianach, te same otwarte drzwi portali. Za nimi widzę trumny. Wiem, że w środku spoczywają zwłoki.

Pojawiają się też świeże ślady stóp, pod samymi ścianami korytarza. Te należą do El-Saffanich. Bliźniaki znowu biegną na przedzie, gotowe jako pierwsze zmierzyć się z każdym zagrożeniem.

El-Saffani nie mają na sobie koszul, Bishop też nie. Wszystkie kółko-gwiazdy – w tym także Bawden – ubrane są tylko w spodnie lub spódniczkę. Twarze, piersi, nawet ręce łącznie z dłońmi pokrywa im skorupa zaschniętego pyłu. Bliźniaki miały piękną skórę barwy karmelu. Bawden – jasnobrązową. Skóra Viski miała ten swój różowawy odcień.

Teraz cała piątka jest szara.

Bishop biegnie po mojej prawej, w ręce ściska kość. Za nami są Aramowski i Gaston. Bawden i Visca zamykają kolumnę.

Długo poruszamy się w milczeniu. Biegniemy szybko, w każdym razie na tyle, na ile można z Aramowskim i Gastonem. Od razu byli najwolniejsi, a już zaczynają się męczyć. Muszą postarać się nadażyć. Do miejsca, w którym spotkały się nasze grupy, jest jeszcze szmat drogi.

Za pierwszym razem szliśmy tą trasą dość powoli – nie wiedzieliśmy, dokąd idziemy, i poruszaliśmy się ostrożnie z obawy, co napotkamy. Teraz przebywamy ten dystans dużo szybciej, choć i tak pozostaje mnóstwo czasu na myślenie.

Latu wspomniała, że kiedy się obudziła, jej trumna była już otwarta. Nie miałam okazji zapytać innych o ich doświadczenia – czy nikt nie musiał walczyć o życie jak ja?

– Bishop, opowiedz mi o tym, jak się obudziłeś.

Bishop wyjaśnia, nie zwalniając biegu:

– Byliśmy w sali z kolebkami. El-Saffani, ja i Coyotl. Drzwi do sali

były zamknięte.

– Jak wydostaliście się ze swoich trumien? Znaczy, ze swoich „kolebek”.

Wzrusza ramionami.

– Były otwarte.

To samo mówiła Latu.

– Nie czuliście żadnego bólu? Co was obudziło?

Marszczy czoło. Dziwnie jest teraz z nim rozmawiać: jego oczy są niespotykane białe w kontraście z szarą papką oblepiającą mu twarz.

– Zdaje się, że coś poczułem, takie jakby mrowienie – odpowiada.

– Budziłem się dość powoli. Po trochu, na raty... no wiesz. Kolebka była otwarta, więc z niej wyszedłem.

Zupełnie jak po tym słabym kopnięciu prądem, które obudziło Spingate.

– A drzwi waszej sali? Jak je otworzyliście?

– Kiedy już od jakiegoś czasu byliśmy obudzeni, otworzyły się same – odpowiada. – Wyszliśmy i zaczęliśmy wpadać na inne grupki. To wtedy wszystkich zorganizowałem.

Żadnej atakującej go wężurki. Ani u niego, ani u Latu, Spingate czy kogokolwiek innego. Żadnej igły. Żadnego bólu.

Więc dlaczego ja?

Biegniemy dalej w milczeniu. Wkrótce zostawiamy za sobą łukowate portale i dalej widzimy tylko puste białe ściany – w miejscu spotkania obu naszych grup będziemy dużo wcześniej, niż sądziłam.

Z tyłu słyszę ciężki oddech Aramowskiego, słyszę, jak Bawden syczy, żeby przyspieszył kroku – i mimowolnie się uśmiecham.

Nie ustajemy w drodze. Wychodzi mi, że jesteśmy już za połową trasy, gdy Bishop patrzy na mnie spod oka.

– Savage, wiesz, co jest zabawne?

– Chyba już możesz mówić do mnie „Em”, Bishop.

Zastanawia się, a potem kręci głową.

– Nie pamiętam dużo, ale wiem, co znaczy twoje nazwisko, „Savage”. „Dzikuska” do ciebie pasuje.

Czerwienieję. Czyli dla Bishopa to nie jest obelga. W jego ustach, ustach kółko-gwiazdy, to chyba pewien komplement.

Może i tak, ale nie dla mnie. Straciłam panowanie nad sobą w sali z trumnami, mierzyłam we wszystkich włócznie, krzyczałam na Bishopa i pozostałych. Czy robiłam to, żeby wyjaśnić pewne sprawy, czy też był to rodzaj groźby pod adresem każdego, kto mi się postawi?

Bishop uśmiecha się szeroko. Jego zęby aż świecą w szarej twarzy.

– Savage, ty dość często tak jakby gubisz wątek, wiesz?

Kiwam głową.

– Przepraszam.

– No więc, chcesz wiedzieć, co jest zabawne, czy nie?

– Pewnie – mówię. – Co jest zabawne?

– Gdybyśmy zrobili głosowanie teraz, w tej grupie ludzi, ciekawe, kto by wygrał.

Nie myślę kroku, ale jego uwaga mrozi mi krew w żyłach. Co chce przez to powiedzieć? Wbrew sobie wyruszył jednak ze mną po bransoletkę, ale niewiele brakowało. Czy następnym razem, gdy będzie mieć inne zdanie niż ja, odejdzie własną drogą, zabierając ze sobą kółko-gwiazdy?

Oglądam się przez ramię na ludzi podążających za nami. Ile minęło od naszego przebudzenia? Gaston i Aramowski wyglądają tak samo, ale w tym krótkim czasie kółko-gwiazdy zmieniły się w coś zupełnie innego. Nie chodzi tylko o szary kolor – to coś w ich ruchach, w ich twardych spojrzeniach. Każde z tego grona niesie kość w charakterze broni i widać, że nie zawaha się jej użyć.

Gdybyśmy zagłosowali teraz, Bawden, Visca i El-Saffani wybraliby Bishopa.

Patrzę przed siebie, nie zwalniając kroku. Zaciskam mocniejszy chwyt na włócznie.

Myśl, że Bishop mógłby spróbować przejąć przywództwo... ta myśl mnie złości. Tak jak zezłościło mnie, kiedy to Yong zechciał być przywódcą. Tak samo jak złości mnie, gdy Aramowski urządza przy wszystkich te swoje gierki słowne. Kiedy zasugerował, że to on powinien rządzić, byłam gotowa go dźgnąć. Byłam gotowa go zabić.

Bishop był już raz przywódcą. Czy czuje wobec mnie taką samą złość jak ja wobec Aramowskiego? Jaką czułam wobec Yonga?

Do tej pory z nas wszystkich tylko Bishop i ja zakończyliśmy

czyjeś życie.

Uświadamiam sobie, dlaczego jego uwaga tak mnie przejęła: gdyby naprawdę chciał dowodzić, nie potrzebowałby głosowania. Jesteśmy z dala od O'Malleya i pozostałych. Kółko-gwiazdy ewidentnie słuchają Bishopa, nie mnie. Jeśli zabije mnie tutaj, po powrocie może wymyślić dowolną historyjkę, a potem po prostu ogłosić się przywódcą. Może ktoś wezwałby do głosowania, ale Bishop potrafi zniechęcić. Używał już siły do wymuszenia posłuszeństwa – co mu przeszkodzi zrobić to jeszcze raz?

Potrząsam głową. To jakieś szaleństwo. Bishop nie chce mi zrobić nic złego. Lubi mnie. Sam to przyznał. I przecież nie skłonił mnie podstępem, żebym znalazła się z dala od O'Malleya i reszty grupy. To ja go prosiłam, praktycznie kazałam mu iść ze sobą. Mimo wszystko jednak liczę, że uda nam się szybko znaleźć to, po co wyruszyliśmy – chciałabym już wrócić do pozostałych.

Moje wariackie myśli, to, jak często gubię wątek... Odkąd się obudziłam, tak trudno mi opanować emocje... cieszę się i śmieję, po chwili jestem smutna, moment później mam paranoję i gotowa jestem kogoś zabić. Wcześniej taka nie byłam, jestem pewna. Nie muszę pamiętać twarzy rodziców, by wiedzieć, że byłam grzeczną dziewczynką. To, w jaki sposób moje myśli zdają się zmieniać tory... to przeraża mnie nawet bardziej niż Bishop.

Po jakimś czasie widzę przecięcie korytarzy, przy którym zginął Yong. Jedyne, co po nim pozostało, to szeroka plama krwawej brei, w większości już wyschłej. Od tego miejsca odchodzą ślady naszych stóp.

Bishop spogląda na mnie spod oka. Pamięta, że zabiłam Yonga. Pewnie się domyśla, że nastąpiło to właśnie tutaj.

El-Saffani ogląda się i patrzy na mnie pytająco, czy może mamy tu przystanąć. Wskazuję włócznią przed siebie: „Idziemy dalej”. Ruszają.

Kiedy mijam przecięcie korytarzy, uważam, żeby nie stanąć na wyschłej krwawej plamie. W odnodze po prawej jest łukowaty portal, a za nim trumna z ciałem Yonga.

Zostawiamy rozwidlenie za sobą.

Od tej pory nikt nie odzywa się słowem przez dłuższy czas, aż

docieramy do skrzyżowania, na którym spotkały się nasze grupy. Zamiast podążać na wprost tak jak wcześniej, skręcamy w prawo, w stronę, z której nadszedł Bishop ze swoimi ludźmi.

Moje nogi od razu zauważają różnicę. Tak samo jak w Ogrodzie idziemy po płaskim. Chyba poruszamy się teraz wzdłuż walca zamiast po jego krzywiznie.

W dwóch równoległych rzędach wychodzą nam naprzeciw ślady stóp. Kiedy Bishop był przywódcą, zarządził marsz w porządkowej kolumnie dwójkowej. Ślady ułatwiają nam odtworzenie jego trasy.

Światło jest tu przyćmione, sufit nie jarzy się tak jasno. Miejscami całe okrągłe placki sklepienia są kompletnie ciemne.

Przychodzi mi na myśl zgnilizna. A zaraz potem potwory.

Korytarze zaczynają się rozgałęziać. Moglibyśmy badać okolicę w wielu różnych kierunkach, ale przyszliśmy tu w konkretnym celu. Prowadzą nas ślady stóp. Czasem idziemy prosto, czasem skręcamy.

Wkrótce natrafiamy na kości.

Masakra zaczyna się od zaledwie kilku szkieletów. Z początku myślę sobie, że Bishop i reszta przesadzili, opowiadając nam, jak strasznie wyglądało to na przeszukiwanym przez nich obszarze.

Potem robi się gorzej.

Portale stoją otworem. Kamienne drzwi, elegancko rozsunięte na boki, spoczywają w swoich ściennych niszach. Zaglądamy do słabo oświetlonych sal, widzimy przerażające pamiątki pozostawione przez Starszych.

Przed naszą salą z trumnami były kości, oznaki zacieklej bitwy, ale to jeszcze nic. Tutaj sala za salą jest zasłana śmiercią. Część zmarłych to szkielety, część – pomarszczone trupy, wyschnięte na wiór. Gdzie nie zajrzemy, czaszki szczerzą się do nas w uśmiechu.

Wiele ciał ma na sobie to, co ich właściciele w chwili śmierci. Ci Starsi nie byli ubrani tak jak my. Wszystkie zwłoki okrywają jednoczęściowe stroje złożone ze spodni połączonych z górą. Są w różnych kolorach: pomarańczowe, żółte, niebieskie, czerwone, trochę zielonych i, od czasu do czasu, fioletowe. Materiał szpecą ciemne plamy, największe w miejscach, w których brakuje ręki albo nogi. Domyślam

się, że to dawno wyschła krew.

W niektórych salach sterty splątanych ciał są tak wysokie, że trudno zgadnąć, do ilu osób należały poskręcane kończyny. W innych w ogóle nie ma kompletnych szkieletów, tylko chwiejące się stopy kości: ręce i nogi pourywane ludziom przed lub po śmierci, rzucone razem jak zbędne zabawki.

Na widok jednej z sal przystając zaskoczona – nie ma w niej nic oprócz czaszek. Są elegancko ułożone w kształt przysadzistej schodkowej piramidy, znanej mi z rzeźbień na mojej trumnie.

Starsi zmienili śmierć w sztukę.

Zerkam na Aramowskiego, ciekawa, co teraz sądzi o swoich rozgniewanych bogach. Czaszki napęniają go lękiem, ale też wyraźnie ekscytują. Wszystko to wydaje mu się fascynujące.

W miarę jak, idąc dalej, zaglądamy przez kolejne drzwi, robi się jeszcze gorzej. Znajdujemy salę szkieletów, które zwisają z sufitu za przeguby i kostki nóg na metalowych pierścieniach; salę wypełnioną wyłącznie kośćmi lewych rąk, ułożonych w kształt wiatraka z zachodzących na siebie kończyn; salę, gdzie szkielety siedzą w fotelach twarzami do siebie, utrzymywane w stałych pozach sztywnymi, poskręcanymi drutami.

El-Saffani wciąż idzie na przedzie, ale bliźniaki nie wydają się już takie odważne. Boją się tak samo jak ja, jak Bishop, jak reszta naszej grupy. Jakbyśmy wszyscy czekali, aż szkielety wybuchną śmiechem, wstaną i rzucają się za nami w pogoń.

Po jakimś czasie próbuję już nie zaglądać do sal, pełnych pogruchotanych ludzkich szczątków, ale moje starania za każdym razem okazują się daremne. Niektóre z trupów nadal mają na twarzach resztki wyschłej skóry. Czasami rozpoznaję symbole na czołach.

Zauważam pewną prawidłowość: każdy symbol, jaki widzę, każdy co do jednego, to puste kółko.

Mój symbol.

Trzymam się bliżej Bishopa, tak blisko, że wciąż na niego wpadam. Tyle trupów. Tyle kości – złamanych, szerniałych, strzaskanych, odciętych i odrąbanych.

Dlaczego Starsi robili to jedni drugim?

Przed nami bliźniaki wahają się przy kolejnym rozwidleniu. Gdy zrównujemy się z nimi, widzę, dlaczego się zatrzymały. Ściska mnie w dołku: dwa równe rzędy śladów biegną i z lewej, i z prawej.

– Bishop – przerywam ciszę, wskazując na ślady – czy po drodze tutaj przecięliście swoją własną trasę?

Chłopak skrobie się po policzku. Trochę zaschniętej szarej mazi łuszczy się i odpada. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy przypominam sobie, że pył pokrywający skórę kółko-gwiazd to w zasadzie prochy mijanych przez nas zmarłych.

– No, chyba tak – odpowiada Bishop. – Kilka razy skręcaliśmy. Może i szliśmy więcej niż raz tym samym korytarzem.

Czy się zgubił? Czy wędrówka w to miejsce była tylko stratą cennego czasu?

– Bishop, skup się – proszę go. – Musimy znaleźć salę, w której straszy. Mówiłeś, że były w niej trzy postumenty i drabina, pamiętasz?

Liczę, że te szczegóły odświeżą mu pamięć, ale kiedy znów bada ślady i omiata wzrokiem korytarz, nie widzę w jego oczach żadnego olśnienia.

Przez jeden z portali robi krok do środka, rozgląda się, wraca. Chyba jest zdezorientowany.

– To już niedaleko – mówi. – Prawie na pewno.

Gaston wysuwa się naprzód.

– Wiem, gdzie jest ta sala.

Mówi cicho, jakby się bał, że to proste stwierdzenie rozżłości Bishopa. Nie przestaje zerkać na jego kościomaczugę. On także chyba zrozumiał, że jesteśmy z dala od innych, że Bishop i kółko-gwiazdy mogliby się postarać, by zniknął bez wieści.

Bishop gapi się z góry na mniejszego chłopca. Nastawiam się na kolejną sprzeczkę.

Tym razem jednak obywa się bez niej. Bishop z westchnieniem potakuje głową.

– Naprawdę nie pamiętam – przyznaje. – Niech dalej prowadzi Gaston.

Gaston wypuszcza wstrzymywany oddech i rozluźnia się nieco.

– Doprowadziłeś nas aż tutaj, Bishop – mówi. Choć raz się nie

nabija. Może się mylę, ale chyba próbuje pocieszyć Bishopa.

Gaston z namysłem bada ślady stóp. Wskazuje w głąb prawego, ciemniejszego korytarza.

– Tam dalej na rogu skręcimy w lewo. Potem na końcu w prawo.

– Gaston patrzy na mnie i mówi cicho: – Po drodze będą cztery portale. Na twoim miejscu nie zaglądałbym przez trzeci z nich. – Przenosi wzrok na Aramowskiego. – Oboje... lepiej nie patrzcie.

Widzę, że Bishop się wzdyga. Bliźniaki wbijają wzrok w ziemię. Visca i Bawden przysuwają się do siebie tak blisko, że stykają się ramionami, jakby na samo wspomnienie tego, co zobaczyli, szukali wzajemnego pocieszenia.

Cokolwiek czeka w tej sali, przekracza pewnie wszystko, co widzieliśmy dotychczas. Nie wyobrażam sobie, co może być gorszego.

Bishop kiwa głową.

– Gaston ma rację. Pamiętam, co tam jest. Wolelibyście tego nie oglądać. El-Saffani, prowadź.

Bliźniaki ruszają w głąb korytarza. Idziemy za nimi. Skręcamy w lewo.

To teraz Bishop wydaje rozkazy? Może jednak chce przejąć dowodzenie. Muszę być czujna, muszę uważać na wszystko, co robi.

Mijamy cztery łukowate portale. Przy trzecim planuję posłuchać rady Gastona i patrzeć prosto przed siebie. Ale... jestem przywódcą, nie mogę pozwolić sobie na luksus jakiegokolwiek niewiedzy. Muszę wiedzieć o wszystkim, co nas spotyka.

Zaglądam do środka.

Tu też są pomarszczone, wyschłe ciała, ale o wiele mniejsze niż zwłoki Starszych.

Mniejsze niż my.

Mniejsze niż te w trumnach z zerwanymi wiekami.

Tak maleńkie, że mogłabym bez trudu utrzymać każde z nich na jednej dłoni.

Niemowlęta.

Nad nami zwisają setki małych trupków. Wiszą tak gęsto, że sufitu prawie nie widać, na łańcuchach zakończonych metalowymi hakami, które wbite im pod żebra. Popękana, sucha skóra poschodziła z ich

ciałek, obnażając kosteczki. Grudki odpadłego mięsa pokrywają podłogę jak jakiś makabryczny śnieg.

Moje ciało buntuje się na ten widok, zbiera mi się na wymioty. Opieram się ręką o kolano, próbuję złapać oddech. Tak się nie godzi, nie godzi.

Jak ludzie mogli dokonać czegoś tak złego?

– Mówiłem – rzuca Gaston. – Czasem może lepiej mnie posłuchaj, Em.

Powoli kiwam głową. Może i tak.

Bierze mnie za rękę i odciąga stamtąd. Ten chłopiec w jakiś sposób daje mi pewność, że mogę na nim polegać, choćby nie wiem co. W tym sensie przypomina mi Latu.

Ostatni raz skręcamy w prawo. Niezbyt daleko przed nami korytarz zamyka biała ściana z niewielką płytką: odciskiem dłoni zatopionym w prostokącie ciemnego, szklanego materiału. Na podłodze poniżej widać kwadrat z gładkiego czarnego metalu.

Bishop wskazuje na kwadrat.

– To te drzwi – oznajmia.

Zakładałam, że będą kamienne jak wszystkie inne. Chyba że ten stopiony metal, który widzieliśmy wcześniej, to też były drzwi, ale nie mamy jak się o tym przekonać.

Pośrodku płytki z odciskiem dłoni widnieje złoty symbol: poszczerbione kółko. Taki symbol mają na czołach Gaston, Spingate i Beckett.

Gaston podchodzi do płytki, a właściwie dumnie ku niej kroczy. Przykłada rękę do odcisku dłoni. Czarne drzwi w podłodze buczą, po czym podnoszą się na ukrytym zawiasie, odsłaniając wąską rurę prowadzącą w dół. Wzdłuż niej biegnie drabina, która niknie w głębokim cieniu.

Gaston zakłada ręce na piersi. Uśmiech ma tak triumfujący, że miny Aramowskiego wyglądałyby przy nim pokornie. Okres skromności najwyraźniej dobiegł końca: Gaston wrócił do normy.

– Tak to już jest – wzdycha. – Otwierają się tylko przede mną. Niektórzy są widać ważniejsi od innych.

Odzywa się El-Saffani, tym razem najpierw chłopak:

- Bishop próbował...
- ...potem my...
- ...ale dla nas nie zadziałały.

Bishop patrzy spode łba, czekając, aż skończymy. Nie podoba mu się, że Gaston może zrobić coś, czego on sam nie potrafi.

- A co z Beckettem? – pytam. – On też próbował?

Gaston potakuje.

- Dla niego też nie działały.

Myślałam, że może drzwi rozpoznają symbole, ale skoro nie otwierają się przed Beckettem, musi chodzić o coś więcej. Czy to coś szczególnego, co ma akurat Gaston? Czy może coś właściwego tylko niektórym ludziom?

- Też chcę spróbować – mówię.

Gaston ponownie przykłada dłoń do odcisku. Drzwi się zamykają. Chłopiec składa komiczny, przesadnie teatralny ukłon i ustępuje mi miejsca.

Przyciskam rękę do wgłębienia, czuję na skórze chłód materiału. Nic się nie dzieje.

Gaston sięga grzbietem dłoni do czoła i udaje, że mdleje.

– O nie, naszej nieustraszonej przywódczyni odmówiono wstępu! Cóż teraz pocniemy?

Jaki on dziwny. Dopiero co oglądaliśmy zmasakrowane niemowlęta, setki – może tysiące – zabitych, a on żartuje? Mam ochotę popotrzasać nim trochę, żeby zmądrzał. Ale może dowcipkowanie to jego sposób na radzenie sobie z tym wszystkim. To i tak lepszy typ reakcji niż mój – przecież prawie zwymiotowałam.

Do płytki podchodzi Aramowski. Przyciska rękę do szkła.

Drzwi otwierają się z szumem.

Bishop śmieje się, potrząsając swoją kościomaczugą.

- Ha! Czyli jednak Gaston nie jest taki wyjątkowy!

Radosna mina Gastona rzednie, zmienia się w gniewny grymas. Kiedy Gaston się uśmiecha, jest ładniutki, ale gdy tak jak teraz ma w oczach nienawiść, robi się brzydki, i to nie tylko fizycznie.

Aramowski wydaje z siebie westchnienie zachwytu.

- Drzwi otwierają się dla mnie, bo zostałem wybrany. Wiedziałem!

- Spogląda na Gastona z wyrazem głębokiego szacunku i akceptacji.
- Tak samo jak ty, Gaston. Ty także zostałeś wybrany. Przepraszam, jeśli cię wcześniej uraziłem, mój bracie.

Gaston krzywi się wściekle. Nigdy bym nie sądziła, że coś takiego okaże się dla niego aż tak ważne.

Wzięłam ze sobą Aramowskiego, żeby pod moją nieobecność nie przekabacał innych i nie stwarzał dalszych problemów – tymczasem właśnie zyskał na autorytecie. Ciekawe, czy uda mi się kiedyś podjąć jakąś właściwą decyzję.

Drabina czeka. Chciałabym odnaleźć bransoletkę i uciec już z tej rzeźni, ale wolę niczego nie przyspieszać, by nie popełnić kolejnych błędów.

- Bishop, mówiłeś, że w tej sali straszy?

Bishop potakuje. Drgają mu mięśnie szczęk. Zejdzie tam ze mną, ale nie próbuje udawać twardziela.

- Chyba nie widzieliście tam duchów ani nic takiego – mówię.
- Prawda?

Bishop wzrusza ramionami. Obracam się do Gastona.

- To jak, Gaston? Duchy?

Mały chłopak przełyka ślinę. Nie jest mu już do śmiechu.

– Ta sala jest... dziwna – odpowiada. – Mała i ciemna. Człowiek czuje się w niej ciężko, jakby przyciskała go jakaś niewidzialna ręka, która próbuje usadzić go w miejscu. Nogi szybko się nam zmęczyły. I obaj czuliśmy się, jakby... jakby coś nas obserwowało. Chciało mi się stamtąd wyjść. Tak szczerze, Em, nie mam ochoty tam wracać.

W ten sposób pyta mnie, choć nie wprost, czy może zostać tu, na górze. Bardzo chciałabym spełnić jego prośbę, ale jest najmądrzejszy z nas wszystkich.

– Potrzebny nam ten twój megamózg – mówię. Czochram jego czarne włosy, próbując bagatelizować sprawę. – Może są tam jakieś rzeczy, które nie będą działać przy nikim innym. Może czegoś z Bishopem nie zauważyliście, na przykład ukrytych paneli w przejściach.

– Takie rzeczy zadziałają także przy mnie – przypomina Aramowski. – A może niektóre zadziałają tylko przy mnie.

Ma rację. Poza tym, jeśli zostawię go tu razem z kółko-gwiazdami, kto wie, co im gotów nagadać. Boję się Bishopa, bo jest taki duży i silny, że mógłby zrobić mi coś złego. Aramowskiego też się boję, ale nie bardzo wiem czemu.

– Pójdę pierwsza – mówię. – Potem Bishop, Gaston, Aramowski i El-Saffani.

Bliźniaki równocześnie występują naprzód i zaczynają schodzić po drabinie, zanim zdobywam się na jakikolwiek protest. Jeśli boją się tak samo jak ja, to dobrze się z tym kryją. A może są faktycznie odważne, jak Latu.

Patrzę na Bawden i Viscę.

– Wy dwoje pilnujcie drzwi, dobrze?

Dwie kółko-gwiazdy o szarych twarzach kiwają głowami.

Ruszam w dół.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Schodząc po drabinie, w jednej ręce mam włócznię, a drugą przytrzymuję się szczebli.

Na początku jest łatwo, ale im głębiej schodzę, tym mi trudniej. Rozumiem, co miał na myśli Gaston, kiedy mówił o przyciskającej go sile: czuję się cięższa, jakbym niosła na sobie coraz większy bagaż.

Zaskakuje mnie, jak czysto jest w tej rurze. Nie licząc paru śladów na najwyższych szczeblach, pewnie z czasu pierwszej wizyty Gastona i Bishopa, nie ma tu wcale pyłu. Czy te drzwi u góry zawsze były zamknięte?

Staję na samym dole. Podłoga jest okrągła i dziwna – to rodzaj metalowej kraty. Poniżej prześwituje wklęsła czarna powierzchnia, która zdaje się podnosić pod jednakowym kątem we wszystkich kierunkach, przechodząc w zaokrąglone ściany i wreszcie w zakrzywiony sufit.

Wcześniej znajdowaliśmy się we wnętrzu wydrążonego walca. Teraz stoimy w kuli.

Moje oczy oswajają się z ciemnością.

Widzę ciało, o którym mówił Gaston, podłużny kształt, odcinający się jasną szarością na tle cieni. Z szeroko rozpostartymi ramionami leży na brzuchu na metalowej kratce podłogi. Przekręcona w bok czaszka, ciasno opięta skórą, patrzy nam w twarze, wita nas wiecznym uśmiechem. Kombinezon, kiedyś biały, przysłania żebra, ukrywa kości rąk i nóg. Materiał znaczą różnobarwne plamy: wyblakła czerwień, żółć, szarawa czerń. Największą plamę widać pośrodku pleców; to tu musiała wbić się włócznia, kończąc życie tego człowieka.

Dostrzegam to, co Gaston opisywał jako „kajdany” i „obręcz”. To dokładnie taki sam przedmiot jak ten, z którego mierzył do mnie potwór z blizną. Trzyma się na prawym nadgarstku zwłok. Pręt połączony z bransoletką wystaje na zewnątrz, równoległe do metalowej kraty.

Kilka kroków za ciałem stoją trzy postumenty opisane przez Gastona. W przeciwieństwie do innych, które widzieliśmy, są zupełnie nienaruszone. W pełnym świetle byłyby pewnie białe, teraz mają odcień bladoszary. Ich okrągłe trzony zdobią szeregi złotych symboli. Płaskie,

kwadratowe zwieńczenia są puste. Gdybyśmy zdołali się domyślić, co powinno na nich spoczywać, może rozpoznalibyśmy kolejny fragment tajemniczej układanki, jaką stanowi to miejsce.

Robię kilka kroków: mam wrażenie, że moje nogi są obciążone wielkimi kamieniami.

– Gaston, dlaczego jesteśmy ciężsi?

Zaczyna mówić, ale przerywa. Na twarzy znowu pojawia mu się wyraz frustracji.

– Chyba z podobnego powodu nie odpadliśmy od sufitu, ale – tu patrzy na Aramowskiego – naprawdę nie chce mi się teraz o tym dyskutować.

Aramowski autentycznie się kłania.

– Oczywiście, mój bracie wybrańcze. Proszę, kontynuuj.

Gaston wzdycha i kręci głową. Może wołał Aramowskiego w wersji konfrontacyjnej niż przyjaznej.

– W każdym razie jest tak, jakby mózg próbował mi powiedzieć, dlaczego czujemy się ciężsi, ale nie wie, gdzie przechowuje tę informację. Tyle spraw jest nadal... luką w pamięci.

„Luka w pamięci” – to jego własna próba opisanego wrażenia szlamu w mózgu, które ja nazywam „zamuleniem myśli”. Określenie Gastona brzmi celniej.

Obrzucam spojrzeniem zwłoki. Ależ są obrzydliwe. Znowu czuję mdłości. Widziałam już gorsze rzeczy, o wiele gorsze, ale świadomość, że temu komuś ktoś wbił włócznię w plecy, nasuwa mi pytanie, czy to samo nie może spotkać i mnie.

Muszę się skupić: to, po co przyszliśmy, jest w zasięgu ręki.

– Wezmę tę bransoletkę – mówię.

Gaston klęka przy ciele zabitego.

– Nie, ja to zrobię. Wyglądasz, jakbyś miała zaraz puścić pawia. A jeśli może być coś obrzydliwszego niż trup, to na pewno jest to obrzygany trup.

Nie mam nic przeciwko temu – niech się tym zajmie. Wolałabym już nigdy nawet nie oglądać zwłok, a co dopiero ich dotykać.

Gaston próbuje zsunąć bransoletkę. Przyschła do niej poplamiona tkanina, więc musi trochę pociągnąć, a wtedy materiał puszcza

z trzaskiem.

– Fuj, paskudztwo – komentuje Gaston. Delikatnie zsuwa bransoletkę z ręki szkieletu. Wstaje, żeby podać mi zdobycz, gdy nagle waha się i zbliża ją do oczu. – Oj – odzywa się. – To nie może znaczyć nic dobrego.

Wskazuje na podstawę pręta. Widoczny tam biały klejnot jest w kilku miejscach pęknięty. Paru kawałeczków brakuje.

Wyciągam palec, wodzę opuszką po pęknięciach.

– Kiedy potwór wycelował we mnie swoją bransoletkę, ten kamień się zaświecił – przypominam sobie.

Wszyscy patrzemy na trzymane przez Gastona urządzenie. Nie mamy pojęcia, jak działa, ale wydaje się oczywiste, że ten klejnot już nigdy nie zaświeci.

Aramowski wzdycha.

– Genialnie, Savage – mówi. – Wlokłaś nas tutaj całą tę drogę i co z tego mamy? Nic. Posłuchaliśmy cię, zamiast ruszyć na poszukiwania Bello. Teraz pewnie już nie żyje. Może udałoby się nam ją ocalić, gdybyśmy zadziałali szybciej, ale teraz jest prawdopodobnie za późno.

Przede wszystkim to Aramowski nie miał zamiaru po nią wracać. Chciał zostawić ją na pożarcie potworom, żeby zadowolić swoich „bogów”. Dlaczego zmienia zdanie? Znowu próbuje postawić mnie w złym świetle?

Bishop wbija we mnie wzrok. Jego oczy się zwężają. On chciał ruszyć Bello na ratunek, tylko ja mu nie pozwoliłam. Teraz rozumiem: pretensje Aramowskiego miały przypomnieć Bishopowi, że wędrówka aż tutaj to był mój pomysł.

Aramowski stara się nastawić Bishopa przeciwko mnie, co oczywiście nie wymaga jakiegoś wielkiego wysiłku: Bishop miał rację, a ja się myliłam.

Zmarnowałam sporo cennego czasu. Rozdzieliłam naszą grupę – po nic. Jeśli tego nie naprawię, zastąpią mnie kimś innym. Nie pozwolę na to. Muszę to wreszcie przyznać przed samą sobą: chcę być przywódcą. Jestem tą, która podejmuje decyzje. Wiem, że zdarzały mi się błędy, ale nie wierzę, by ktokolwiek poradził sobie lepiej. Jeśli chcemy pozostać przy życiu, przetrwać spotkania z potworami

i wydostać się z tego okropnego miejsca – największe szanse mamy, gdy to ja będę dalej dowodzić.

Aramowski znowu wzdycha, tym razem głośniej. Mam ochotę go walnąć, aż się nakryje nogami. Jak łatwo osądzać decyzje innych, kiedy samemu za nic się nie odpowiada.

Teraz podchodzi do środkowego postumentu, przesuwa palcem po jego płaskim zwieńczeniu i sprawdza, czy mu się palec nie ubrudził. Odwraca się i uśmiecha do mnie.

– Nie mamy broni Starszych – mówi. – O ile to w ogóle jest broń. Nawet tego nie jesteśmy pewni, bo niczego się nie dowiedzieliśmy. Bello nie ma. Yong i Latu nie żyją. Może nie tylko Bishop zastanawia się, kto by wygrał nowe głosowanie.

Środkowy postument zaczyna się jarzyć.

Odruchowo cofam się o krok. Pozostali tak samo. Aramowski kojarzy, że za nim coś się dzieje, ogląda się szybko i odskakuje gwałtownie.

Poświata przybiera na sile – to brzęcząca chmura zawieszona w powietrzu. Światło nie pochodzi z samego postumentu, raczej z pustej przestrzeni nad nim. W poświacie pojawiają się dziesiątki czarnych plam, które zmieniają kształt i położenie.

Wymierzam w to włócznię.

Bishop i El-Saffani unoszą swoje kościomaczugi. Gaston zmyka za plecy Bishopa. Za mną chowa się Aramowski.

Mam ochotę uciec, ale stoję – tym razem z wyboru, nie dlatego, że nie słuchają się mnie nogi. Poświata jest fascynująca, niemal hipnotyczna. Pływające w niej plamy nadymają się i powiększają. Łączą się w jedno i scalają, a sama poświata zaczyna przygasać. Zmienny kształt tworzy koło... nie koło, owal.

W środku tej czarnej masy nabierają intensywności dwie czerwone kropki.

Dopiero wtedy obraz wiszący nad postumentem staje się zrozumiały.

Patrzę w oczy potwora.

A potwór odpowiada mi spojrzeniem.

TRZYDZIEŚCI DWA

Widok jest tak realistyczny, że cofam się o krok i wpadam na Aramowskiego.

Obraz oddaje tylko głowę i ramiona potwora. Jego czerń to nie tyle kolor, co brak światła. Pomarszczona, sękata, szorstkoscóra... ohyda. Ten stwór jest odrażający. Instynktownie mam ochotę go zniszczyć, to wręcz odruch, jakbym nagle zobaczyła na swoim ramieniu włochatego pająka.

Bishop podkrada się bliżej postumentu. Niepewnie szturcha twarz potwora kością – wie, że tak naprawdę nic tam nie ma, ale musi to sprawdzić. Kość przechodzi na wylot, zniekształcając twarz w chmurę wielokolorowych błysków. Bishop cofa swoją maczugę; błyski przywierają do niej na chwilę, po czym smugami rozwiewają się w nicość.

Jeśli Bishop umie być dzielny, ja też potrafię. Występuję naprzód i staję u jego boku, po lewej.

W oczach potwora kłębią się najrozmaitsze odcienie czerwieni, od głębokiego ciemnoczerwonego do jasnego blasku płonącego żółcią. Kiedy się odzywa, widzę ruchy szczęk, ale pod tymi obrzydliwymi fałdami nie potrafię odróżnić ust.

– Bishop, patrzcie państwo – mówi. – Od razu z bronią w ręku. Dlaczego mnie to nie dziwi? Tylko czym się tak cały wysmarowałeś? Aleś ty przerażający.

Te protekcyjne słowa wypowiada syczącym szeptem; to dźwięk pyłu prześlizgującego się po kamieniach. Przyprawia mnie o dreszcze. Czymkolwiek ten stwór jest, każda komórka mego ciała alarmuje, że nie powinien istnieć.

Bishop rzuca na mnie okiem. W jego wzroku widzę strach i powątpiewanie. Gdyby dało się tu coś zaatakować – już by działał. A skoro nic takiego nie ma, ruchem głowy wskazuje mi postument.

Uważa, że to ja powinnam mówić.

Prostuję się i staram przybrać wygląd przywódcy.

– Skąd znasz nazwisko Bishopa?

Głowa czarnego stwora podskakuje odrobinę. Wydaje przy tym nowy odgłos, jakby zgrzytały o siebie kości. Czy to jest... śmiech?

– Chociaż oczu już nie mam tak dobrych jak kiedyś, nie sposób nie rozpoznać jego muskularnego ciała – mówi potwór. – A Bishopa, którego znam, rzadko widuje się bez broni. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nigdy, przeprzenigdy.

Ręka na moim ramieniu. Nie w geście poparcia czy ostrzeżenia, tylko delikatnego odsunięcia w bok – odrobinę, żeby ktoś mógł się włączyć do rozmowy. To Aramowski.

– Czy jesteś bogiem? – pyta potwora.

Ten przypatruje mu się przez chwilę.

– Nie poznaję cię. Jak się nazywasz?

– Jestem Aramowski.

Wyschłe i pomarszczone ramiona zaczynają się trząść i zaraz znowu słyszę to zgrzytanie kości: potwór ponownie się śmieje.

– Aramowskii, wlaźł na drzewo by – mówi. – Dziwię się, że jeszcze żyjesz. No tak, dwupierścień naturalnie będzie zakładać, że jestem-bogiem-bogiem-jestem. Zapewne w istocie jest mi dana władza nad życiem i śmiercią. Z definicji więc, dlatego, stąd i zatem, odpowiedź brzmi „tak”.

Nie wiem, czym właściwie jest bóg, ale jeśli bogowie faktycznie istnieją, nie wyglądają jak to coś.

Oczy Aramowskiego są wilgotne i lśniące. Boi się, ale zarazem jest urzeczony – nie dostrzega zagrożenia, które widzimy ja z Bishopem.

Strącam jego rękę z ramienia i daję krok naprzód.

– Znasz Bishopa – mówię do stwora – i znasz Aramowskiego.

A kim jesteś ty?

– Kim jestem? Bogiem za progiem.

Wyraźnie z nami igra.

– Nie sądzę – odpowiadam. – Nie bardziej jesteś bogiem niż ja.

Czerwone oczy błyskają i wirują.

– Nie poznaję cię, dziewczyno. Jak się nazywasz?

– Najpierw ty.

Pomarszczony stwór znów się śmieje. Mam ochotę przebić tę twarz włócznią.

– Jestem Brewer – mówi.

„Brewer”. Jak ten chłopiec w naszej sali z trumnami. Czy to możliwe, że są spokrewnieni?

– Podałem ci moje nazwisko, dziewczyno – słyszę. – A jak nazywasz się ty?

Prostuję plecy.

– Jestem Em.

Czerwone oczy wirują szybciej.

– Em? W kaście dowódczej nie ma żadnej „Em”.

– Jestem przywódcą – mówię. – Przegłosowaliśmy to.

– Głosowanie? Intrygujące.

Potwór zdaje się mierzyć mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym skupia się na moim czole.

– Jesteś kółkiem? – Ostatnie słowo wypowiada z absolutnym niedowierzaniem.

Nie odzywam się. Potwór wpatruje się we mnie długą chwilę. Odpowiadam mu spojrzeniem, bo nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

Stwór wydaje dźwięk kojarzący się z kaszlem: suchy, jeśli nie suchotniczy klekot, przy którym jego wąskie ramiona ściskają się jeszcze bardziej. Kiedy atak mija, potwór zaczyna charczeć, jakby próbował odkrztusić flegmę, zalegającą mu niewidoczne gardło.

W końcu się uspokaja. Jego czerwone oczy wirują powoli.

– Nie znam żadnej dziewczyny, która nazywałaby się „Em” – mówi. – To raczej niemożliwe, chyba że...

Kieruje wzrok w prawo. Przez chwilę jest myślami gdzie indziej, ale potem wraca do mnie nagłym spojrzeniem.

– Em? Tak jak litera M?

Co na to odpowiedzieć? Skłamać, jak zrobiłby O'Malley? Nie wydaje mi się, żeby kłamstwo miało nam pomóc bardziej niż prawda, więc potwierdzam skinieniem głowy.

Potwór pochyla się naprzód.

– Jesteś... Savage? – W jego głosie słychać zarówno podziw, jak i zgrozę.

Tak samo jak potwór z Ogrodu, ten też najwyraźniej mnie zna.

Ogarnia mnie nadzieja i takie przejęcie, że hamuję je z największym trudem. Ponownie kiwam głową.

– Wiesz, kim jestem? – pytam.

Potwór odchyła się w tył.

– Nie chce mi się wierzyć – mówi. – Tak, wiem, kim jesteś, kółko-dziewczynko. Wiem aż za dobrze. Jesteś tą, która mnie zamordowała.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Ten stwór stracił kontakt z rzeczywistością. Żyje, rozmawia ze mną, ale myśli, że go zabiłam?

– Mała Savage – ciągnie. – Wyglądasz tak krzepko, tak zdrowo. – Ton jego głosu się zmienił; każde słowo ocieka obrzydzeniem. – Nie jest ci gorąco, Em? Żadnej w głowie bolączki-drżączki-gorączki?

Gdybym nawet była chora, i tak bym się nie przyznała, nie okazałabym przed nim żadnej słabości.

– Czuję się świetnie.

Potwór wzdycha.

– Minęło tyle czasu, odkąd ostatnio serwisowano łupiny, że nie powinno mnie to dziwić. Igła-wygła musiała się zaciąć, tak jak i ja się zacynam.

„Igła-wygła”? Ma na myśli tę igłę, która mnie dziabnęła? Skąd może o niej wiedzieć? Chyba że...

– Ta rurka w mojej trumnie... To ty chciałeś, żeby mnie zaatakowała?

– Tyle awarii – smuci się. – Inne łupiny są w dużo gorszym stanie niż twoja, niektóre w dużo lepszym. Połamane zawory, zamrożone zawiasy, zepsute konsole sterowania... Stulecia nie były łaskawe dla Umilowanych. Mam nadzieję, że te nowsze są sprawniejsze. I tak wkrótce się o tym przekonamy.

– Odpowiedz na pytanie. – Mój głos brzmi obco: jest zimny i twardy jak grot włóczni. – Czy to ty chciałeś, żeby ta igła mnie dźgnęła?

– Oczywiście, że ja – stwierdza. – Zamordowałaś mnie.

I znowu te bzdury. Jako jedyna obudziłam się w ten sposób. A on... zaraz, powiedział wcześniej, że...

– Mamrotałeś coś o tym, że igła się zacięła – przypominam. – Gdyby się nie zacięła, to co by się stało?

Czerwone oczy wwiercają się w moje świdrującym spojrzeniem.

– Pogrzebowy ból głowy, mała kółko-dziewczynko. Skazanie za sprawowanie na powolne konanie. Chciałem, żeby twoja śmierć trwała

długo, tak jak moja.

Próbował mnie zabić. Nikogo innego, mnie. To, że żyję, zawdzięczam awarii.

– Gdzie jesteśmy, Brewer? – pytam. – Co to za więzienie?

Znowu się śmieje.

– Więzienie? Jak na przywódczynię to mylisz-się-mylisz-się całkiem często, czyż nie?

– W czym jeszcze się pomyliłam?

– Powiedziałaś, że żaden ze mnie bóg. A przecież jestem waszym odwiecznym obrońcą. Ty i twoi pobratymcy żyjecie tylko dzięki mnie.

Kręcę głową. Nie będę bawić się w żadne gierki z tym stworem.

– Obrońcą? Dopiero co przyznałeś, że chciałeś mnie zabić. I to tobie podobni nas napadli, porwali jedno z nas.

Czarna twarz pochyla się naprzód. Oczy wirują szybciej, zwężają się do szparek.

– Którego? I gdzie został porwany?

Udaje, że nie wie? Kolejne gierki.

– To ona, nie on – poprawiam potwora. – Bello. Porwali ją tacy jak ty. W Ogrodzie.

Z jego ukrytych ust dobiega złośliwy syk.

– Bello? To nie w porządku, nie w porządku! Już ja to naprawię, o tak, naprawię. „W Ogrodzie”, powiedziałaś? Pewnie chodzi ci o sad. Jedyna droga do niego prowadzi przez pustą sekcję, ale odciąłem ją przecież. – Znowu odwraca wzrok, jakby się zastanawiał. – Berło w waszej sali. Fakt, nie zabrałem go stamtąd, bo też i niesporo mi było dotykać narzędzia zbrodni, którym mnie zabito. Pewnie posłużyła się nim Teresa.

Narzędzie, którym otwieramy drzwi... roztrzaskało kiedyś głowę małego Brewera.

Potwór znów patrzy na mnie.

– A teraz jest ktoś w sadzie?

Kręcę głową.

– Wszyscy stamtąd wyszli. Nie powiem ci dokąd.

– To nie przede mną musicie się ukrywać – mówi Brewer.

– Wiedzą, że się obudziliście. To na pewno Aramowski, ten wnikliwiec.

To nie w porządku, nie w porządku!

Oglądam się na stojącego za mną dryblasę. Szczęka opadła mu do podłogi. Rusza językiem, jakby próbował coś powiedzieć, ale nie bardzo pamiętał, jak to się robi.

Wracam wzrokiem do potwora.

– Jest jeszcze jakiś inny Aramowski?

Potwór powoli kiwa głową.

– O tak. Znam sukinsyna aż za dobrze.

– A my znamy jeszcze jednego Brewera – oznajmiam. – Był taki chłopiec w trumnie... w tej sali, gdzie próbowałeś mnie zamordować.

Moje słowa ociekają jadem, czystą wściekłością. Cały ból, który czułam, to dzieło tego stwora.

– W trumnie? – Czerwone oczy się zwięzają, wokół nich pogłębiają się fałdy czarnej jak węgiel skóry. – Dlaczego tak ją nazywasz?

– Bo to są trumny. Wielu z nas umarło w tych skrzyniach.

Potwór milknie. Wygląda, jakby się trochę uspokoił. Znowu kiwa głową.

– Może „trumny” to jednak właściwe określenie. Przynajmniej dla chłopca nazwiskiem Brewer. Tak długo na niego czekałem, a ty go zabiłaś. – Zaczyna kołysać się w przód i w tył, stopniowo przyspieszając. – Rozbili jego łupinę... jego, jak mówisz, „trumnę”... i zaszlachtowali go. Był bezbronny. Nie obchodziło ich to. Ale potem spletałem im figła, „gaz tumani was”, i zatrasnąłem ich na zewnątrz. Nie mogli mnie dostać, a nawet nie śmieli, bo zabiłbym ich tak jak oni mnie a chciałem żeby cierpieli żebyś ty cierpiała niech ich piekło pochłonie to są demony wcielone już ja ich dorwę o tak już ja ich dorwę i będą cierpieć najgorsze męki ci...

– Zamknij się – przerywam mu. Nie chcę już słyszeć ani słowa z jego obłąkańczej gadaniny. Mam włócznie: musi mnie słuchać.

– Powiedz nam, dokąd zabraliście Bello. I gdzie my jesteśmy? Co to za budowla? Jesteśmy pod ziemią?

Znowu to zgrzytanie kości, jeszcze głośniejsze. Śmieje się tak mocno, że czarne zmarszczki zaczynają mu się gdzieniegdzie przelewać jak fałdy tłuszczu.

Mam dość bycia wyśmiewaną. Spoglądam na Bishopa: odsłania

zęby we wściekłym grymasie – on też ma tego dosyć.

Śmiech potwora przechodzi naraz w kolejny atak kaszlu, dużo gorszy niż poprzedni. Zgrzytliwy charkot przypomina mi, jak to było się ocknąć z pyłem w gardle i płucach. Brewer trzęsie się tak, że musi go to boleć. Mija kilka chwil, zanim dochodzi do siebie.

Jego oczy są teraz bardziej czarne niż czerwone.

– Jeszcze się tego nie domyśliłaś – stwierdza. – Nie najlepsza z ciebie przywódczyni, Em. Jesteś „tylko zwykłym kółkiem”, czy nie tak mówili? Jakże lekceważyli twoją przenikliwość. Jacy byli głupi, pamiętasz?

Kręcę głową.

– Nie, nic nie pamiętam.

– Ach, oczywiście, że nie – ciągnie Brewer. – Z drugiej strony, zawsze byłaś na tyle sprytna, żeby posługiwać się ludźmi bystrzejszymi od siebie. Gdzie Okadigbo? Jeszcze żyje czy znowu ją zabiłaś?

– Nikogo nie zabiłam, Brewer.

W głowie rozbłyska mi twarz Yonga, z trudem łapiącego oddech. Szeroko otwarte oczy, szok, pełna grozy świadomość, że już właściwie nie żyje...

To był wypadek...

Skupiam się na słowach Brewera. „Okadigbo” – powiedział. To nazwisko na jednej z trumien w mojej sali. Wyschnięty szkielet w za dużej koszuli. Nie żyje, to prawda, ale to nie ja ją zabiłam. To po prostu niemożliwe. Chyba że przed zamknięciem w trumnie, a teraz po prostu tego nie pamiętam, tak samo jak i szkoły czy twarzy mojego ojca.

Potrząsam głową mocno i szybko. Brewer próbuje zbić mnie z tropu.

– Przestań kłamać w żywe oczy – mówię – i powiedz, gdzie jesteśmy!

– Nie ma Okadigbo? No cóż, powinienem był sprawdzić łupiny, ale czasu było za mało, choć brakło go tylko trochę. A co z twoją nemezis, Teresą?

Nie wiem, co to takiego „nemezis”. Nie wiem też, kim jest Teresa.

– Co, nie poznajesz imienia? – upewnia się Brewer. – Oczywiście, że nie, nie w twoim wieku. Ale jeśli przeżyła, może znasz jej

nazwisko... czy Teresa Spingate coś ci mówi?

Nie powinno mnie dziwić, że zna więcej z nas. Ale dziwi. I wścieka. Nie pozwolę, żeby coś się jej stało. Straciłam Latu i Bello. Nie cofnę się przed niczym, żeby ochronić Spingate.

– Założę się, że Teresa jeszcze żyje – ciągnie Brewer. – Jestem zaskoczony, że nie powiedziała ci, gdzie jesteście. Może sama jeszcze tego nie wykombinowała... łupin uboczne skutki są takie, że aż jestem żłutki. A może właśnie domyśliła się, tylko nie chce ci powiedzieć. Ileż to sekretów kryje ta śliczna ruda główka.

Nie mogę już wytrzymać. Daję krok do przodu. Pochylam się nad tą dziwną, wiszącą w powietrzu obecnością, nad obrzydliwą twarzą Brewera. Wydobywa się ze mnie prymitywny wrzask:

– Powiedz, gdzie jesteście! Gadaj, albo cię znajdę i flaki ci wypruję. Będę patrzyła, jak zdychasz, Brewer. Postaram się, żebyś cierpiał. Słyszysz mnie? Słyszysz?

Czerwone oczy odpowiadają mi spojrzeniem – tak bliskie, tak rzeczywiste.

– Już to zrobiłaś – mówi Brewer cicho. – Sprawiałaś mi więcej cierpienia, niż byłabyś w stanie pojąć. A teraz znowu mi grozisz. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, nigdy przeprzenigdy. Zawsze była z ciebie suka, Savage.

Cofam się tak gwałtownie, że aż się potykam. Przed upadkiem powstrzymuje mnie ręka Bishopa.

W Ogrodzie potwór z blizną powiedział to samo.

Te istoty... wiedzą, kim jestem.

Brewer wzdycha, jakbym sprawiła mu zawód.

– Mała kółko-dziewczynko, nie jesteś w żadnej budowli – mówi.
– Nie jesteś pod ziemią. Nie jesteś pod wodą. Nie jesteś pod niczym. I też nie w więzieniu... nie ty w każdym razie, choć dla mnie to miejsce jest właśnie więzieniem. Ja, ja, ja, wlaź kotek za płotek i nie mruga.

Z każdego jego słowa wyziera obłąd. Jest szalony. Czy dość szalony, żeby zbudować piramidy z ludzkich czaszek? Albo ułożyć odcięte ręce w wielki wiatrak?

Dość szalony, by ponabijać niemowlęta na rzeźnicze haki?

Próbuję trzymać na wodzy swój morderczy gniew. Choć próbuję

z całych sił, nie do końca mi się udaje. Moje słowa to zwierzęcy pomruk, cedzona zapowiedź zemsty.

– Powiedz mi, co to za miejsce, Brewer.

– Ależ, mała kółko-dziewczynko, nie wiesz, że lepiej jest pokazywać, niż opowiadać?

Pod nami, nad nami i wokół nas zakrzywione czarne ściany kręcą się, migoczą i rozświetlają milionem tańczących barw. Kolory znikają równie szybko, jak się pojawiły. Jakimś cudem patrzę teraz poza wygięte ściany, w inny rodzaj czerni: zdaje się nieskończona. W tej czerni widzę punkciki jaskrawego światła.

Poruszają się powoli – niemal niezauważalnie – w górę.

Czuję w głowie coś niejasnego, nieostrego; mój umysł próbuje coś objąć, osiągnąć czegoś, przebić się przez luki w pamięci. I gdy mu się wreszcie udaje złączyć obrazy i słowa, stopniowo dociera do mnie, co właśnie oglądam.

Te punkciki światła – to gwiazdy.

– Mała przywódczyni poznaje prawdę – zauważa potwór.

– Obejrzyjcie się.

Wszyscy odwracamy się od postumentów.

Widzę plecy Gastona i Aramowskiego, plecy El-Saffanich. Widzę drabinę, która nas tu sprowadziła, za nią zaś wygiętą, przezroczystą ścianę. Za tą ścianą z kolei jest coś tak wielkiego, że nie umiem tego objąć rozumem. Na zewnątrz, w upstrzonej gwiazdami czerni, obraca się powoli rozległy, jasny krąg, cały w brązach, zieleniach i błękitach.

Kolejne słowo tworzy skojarzenie, znajduje właściwe miejsce.

Patrzę na planetę.

– Kosmos – odzywam się. – Jesteśmy na statku kosmicznym.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

„Jak na przywódczynię to mylisz-się-mylicz-się całkiem często, czyż nie?”

Tak mi powiedział Brewer. Ma rację.

Wszyscy wpatrujemy się w wielki glob, wirujący w kosmicznej czerni. Pod nami i po bokach ruchome gwiazdy zdają się obracać wspólnie z planetą, w tym samym kierunku, jakby były do niej przytwierdzone niewyobrażalnie długimi, niewidzialnymi szpilkami.

Bliźniaki stoją blisko siebie. Teraz mierzą swoimi maczugami gdzieś poza drabinę – może w planetę, może w gwiazdy, może w kosmiczną pustkę.

– Powinniśmy spadać – mówi chłopak El-Saffani. – Dlaczego nie spadamy?

Dziewczyna El-Saffani tupie nogą, sprawdzając stabilność metalowej kraty. Metal dźwięczy i wibruje.

– Solidna – stwierdza dziewczyna. – Czy to dzięki podłodze nie spadamy?

Chłopak El-Saffani kręci głową.

– Mamy ją przed nosem – mówi, wskazując planetę swoją kościomaczugą. – Nie spadalibyśmy w dół, tylko przed siebie. – Ogląda się na mnie. – Prawda, Em?

Czy on myśli, że mam choćby cień pojęcia, co się tu wyprawia?

Gaston przeciska się między nimi, prześlizguje wokół drabiny. Wyciąga ręce przed siebie. Boję się, że spadnie w przepaść i już ruszam go powstrzymać, ale przywiera dłońmi do ledwo widocznej zakrzywionej ściany i bez lęku pochyla się naprzód.

– To nie gwiazdy się kręcą, tylko my – oznajmia. Odwraca się z szerokim uśmiechem, całą jego twarz ożywia radosne zdumienie.

– Hej, Aramowski, pamiętasz, jak kłóciłeś się ze Spingate, gdy mówiła, że chodziliśmy po suficie? – Wskazuje palcem w górę.

Podnoszę wzrok. Drabina jest wciąż widoczna, ale otaczająca ją rura już nie. U szczytu drabiny unosi się kolejna z rzeczy niemożliwych: walec Spingate. Jest chyba mniejszy niż ta planeta, ale i tak nie ogarniam

go rozumem: olbrzymi, rozłożysty, o bokach niezmiernie wysoko wygiętych szerokim łukiem, na długość rozciąga się tak daleko, że nie widać końca. Powierzchnię barwy miedzi ma pełną wgniecen, rys i wgłębien, jak te korytarze, w których toczyły się bitwy. Walec wcale nie wiruje: tkwi nieruchomo nad naszymi głowami.

Dopiero teraz tak naprawdę rozumiem, o co chodziło Spingate. Szliśmy we wnętrzu tego walca, maleńcy jak mrówki. Szliśmy prosto, ale równocześnie po okręgu, aż zrobiliśmy pełną pętlę i wróciliśmy w miejsce, z którego wyruszyliśmy.

Kulista sala, w której jesteśmy teraz, znajduje się poza walcem, łączy ją z nim tylko rura z drabiną. Metalowa kratownica, stanowiąca podłogę sali-kuli, biegnie równoległe do powierzchni walca.

U szczytu drabiny – dwie zdeorientowane szare twarze: to Bawden i Visca, którzy pewnie zachodzą w głowę, dlaczego nagle nas widzą. Z ich perspektywy musimy wyglądać, jakbyśmy stali zawieszeni w czarnej pustce.

Gaston pstryka palcami i zaczyna się śmiać.

– To dlatego, że ten walec się obraca – mówi. – Dlatego trzymamy się jego wewnętrznych ścian. Nie do końca pamiętam, jak to działa, ale gdyby obracał się szybciej, czulibyśmy się ciężsi, a gdyby zwolnił – lżejsi. W tej kuli jest nam ciężej, bo przesuwamy się szybciej niż cokolwiek w tym walcu nad nami. Im dalej od środka, tym ciężsi się czujemy. Założę się, że w samym centrum walca nie ważylibyśmy nic a nic. Fruwalibyśmy w powietrzu.

Fruwalibyśmy? Gaston sprawia wrażenie, że oszalał jeszcze bardziej niż Brewer. Mówi o czymś niemożliwym. Ale sala pełna martwych niemowląt nauczyła mnie, że nie powinnam lekceważyć jego słów. Teraz też muszę go wysłuchać.

Aramowski unosi ręce, odchyła głowę.

– Cuda – oświadcza. – Unosimy się nad jakąś planetą, unosimy się w kosmosie, ale nie umieramy. Bogowie otaczają nas opieką. Brewer otacza nas opieką... Zaprawdę, jest to jeden z bogów.

Odwracam się ku paskudnej głowie wiszącej nad postumentem.

Za nią też obracają się gwiazdy, ale w przeciwnym kierunku. Po mojej lewej stronie gwiazdy przesuwają się wyraźnie z góry na dół, a po

prawej – z dołu do góry.

– Jesteśmy na jakimś statku – mówię do Brewera. Wiem, że to oczywiste. Słowa same mi się wyrwają. – Na statku, przez cały ten czas?

– Nazywa się „Xolotl” – odpowiada Brewer. – Aż trudno mi uwierzyć, że Teresa tego nie zrozumiała. Może nie jest aż tak inteligentna, jak się jej wydaje. Szkoda, taka młoda, i ta uroda, ale cichej wodzie byle kłoda na przeszkodzie ku przygodzie.

Znowu coś plecie, bardziej do siebie niż do nas.

Wskazuję za siebie, na wirującą brązowo-niebiesko-zieloną planetę.

– Co to takiego?

– To miał być nasz nowy dom, nasz nowy początek. No, przynajmniej dla mnie, Bishopa i Aramowskiego. Dla ciebie, moja mała Savage, dziki ptaszku, to raczej nie byłby raj, w to ci graj, czy luty, czy maj.

Czarne, sękaty palce unoszą się, żeby podrapać głowę, ich końce zanurzają się między zmarszczkami. Brewer zastyga, opuszcza rękę i wbija wzrok w mój symbol.

– „Em” – wymawia to słowo, jakby stanowiło odpowiedź na wszystkie pytania. – Nie wierzę, że mi to umknęło, ale... oczywiście. Oczywiście, że to ty przeżyłaś. Oczywiście, że to ty jesteś przywódcą. Czy chciałabyś wiedzieć, jak masz na imię?

Serce wali mi tak mocno, że czuję je w gardle, w uszach.

Muszę wiedzieć, kim jestem.

Potakuję.

– Proszę bardzo – ciągnie Brewer. – Na imię ci Matylda.

Matylda... Matylda... Matylda. Słowo odbija się echem w mojej głowie, znajduje samo siebie ukryte głęboko w meandrach pamięci. Wiem, że Brewer mówi prawdę.

Nazywam się Matylda Savage.

Obezwładnia mnie poczucie ulgi. Mimo grozy, przez którą przeszliśmy, mimo problemów, które wciąż przed nami, bezwiednie się uśmiecham.

Bishop uderza się w pierś.

– A co ze mną? Jak ja mam na imię?

Pająkowata ręka macha lekceważąco.

– To praktycznie bez znaczenia. Wszystkim jesteś znany jako Bishop, więc jesteś Bishop. – Głos Brewera cichnie, mięknie, napełnia się smutkiem i tęsknotą. – Wszyscy możecie mieć to, co nigdy nie stanie się moim udziałem. Możecie udać się na tę planetę.

Gaston wślizguje się między mnie i Bishopa. Przysuwa się do czarnej twarzy, bliżej nawet niż ja, kiedy straciłam nad sobą panowanie i wykrzykiwałam tamte straszne groźby. Na widok małego Gastona, który stoi tuż przed nosem Brewera, krzywię się z niepokoju, jakby potwór mógł się wychylić, kłapać paszczą i pociągnąć chłopca w nicość.

– Czy jest bezpieczna? – pyta Gaston. – Ta planeta?

Brewer śmieje się tak mocno, że aż odrzuca w tył pooraną bruzdami głowę i zaczyna się trząść. Tak jak wcześniej, odgłos zgrzytania kości przechodzi w atak kaszlu. Tym razem jednak kaszel pastwi się nad całym jego ciałem, sprawia, że ręce podrygują mu bezwładnie jak pozbawione kości. Jakiś płyn wycieka z szorstkich fałdów skóry pokrywających miejsce, w którym powinien mieć usta – na czerni lśni szarawa czerwień.

Mija kilka minut, zanim kaszel zelżeje. Czekamy cierpliwie.

W końcu Brewerowi udaje się opanować.

– A kto ty jesteś, mały ząb-chłopcze? Ciebie nie poznaję.

– Nazywam się Gaston. X. Gaston.

Czarną, kościstą ręką potwór przeciera fałdy ust. Patrzy na dłoń, z wyraźnym smutkiem stwierdzając obecność wilgoci.

– To nie w porządku – mówi cicho. – Absolutnie nie. – Skupia wzrok na Gastonie. – Bez oparzeń i blizn wyglądasz jakby mniej szykownie, Xanderze. Tak, planeta jest bezpieczna. No, w każdym razie powietrze was nie zabije. Miejmy nadzieję, że nie będziecie tam pleśnieć po próżnicy. W przeciwnym razie ta bardzo długa wycieczka zdała się na nic.

Ciekawe, jak jest na tej planecie. Próbuję sobie wyobrazić miejsce bez ścian. Zamiast sufitu – niebo bez końca. Miejsce, gdzie prochy zmarłych nie pokrywają wszystkiego, nie osiadają na językach, nie

wdzierają się do płuc.

W tej planecie jest coś, co mnie wzywa.

Nie dbam nawet, czy będzie na niej bezpiecznie. Wolę umrzeć tam, niż żyć tutaj.

Bardzo długa wycieczka... stulecia nie były łaskawe...

Słowa Brewera szturchają mnie w umysł, ciągną za jego zamulone połączenia. Wymyka się z nich skrawek wspomnienia: planeta, inna planeta. Coś brązowego, brzydkiego. Ta myśl pełźnie mi w głowie jak wąż, żywi się, rośnie, staje się prawie rzeczywista. Inna planeta... umierająca planeta. Rozpacзлиwa potrzeba ucieczki.

I nagle rozumiem.

Planeta, na którą patrzymy, nie wzywa jedynie mnie. Wzywa nas.

Wzywa wszystkich śpiących.

Wzywa urodzinowe dzieci.

– Po to skonstruowano ten statek – mówię. – Żeby nas tu przywiózł.

Potwór kiwa głową.

– Bardzo dobrze, panno Matyldo Savage. A ta podróż zajęła zaledwie dziesięć wieków.

Bishop prycha.

– Nikt tak długo nie żyje.

– Niektórzy owszem – odpowiada Brewer. – Zresztą, taki czas powinno było przeżyć wielu więcej, ale rewolty potrafią stanąć życiu na przeszkodzie.

Tysiąc lat. Jeżeli Brewer żyje już tak długo, może i faktycznie jest jakimś bogiem.

Myślę o wszystkich ciałach, które widzieliśmy. Ileż na tym statku trupów! Wycieczka na tysiąc lat. Więcej kawałków układanki trafia na swoje miejsce.

– Ten Ogród – odzywam się. – Wszystkie te owoce... zapasy na drogę. I te świnię. Też zaplanowano je jako zapasy?

– Paskudne zwierzęta – odpowiada Brewer. – Wiedziałaś, że świnię są dość inteligentne, by nauczyć się sekwencji otwarcia mniej skomplikowanych łupin? Obawiam się, że proste guziki okazały się konstrukcyjnym felerem. Człowiek uczy się całe życie. Świnię, zawsze

takie żadne wapnia. Ostrzegałem, żeby ich nie zabierać. Im inteligentniejsze stworzenie, tym większe ryzyko, że nie będzie grzeczne. Jak już wy dostały się ze swojej sekcji, nie było mowy, żeby zagnać je z powrotem. Jakoś wśród krów, kur i owiec nie widuje się buntów, prawda?

Gaston rzuca mu wąpiące spojrzenie.

– Żywy inwentarz? Dla krów potrzeba mnóstwa przestrzeni, zresztą nie widzieliśmy żadnych krów. Ani kur. Ani owiec.

Obraz nad postumentem zaciera się, zmienia. Głowę Brewera zastępuje trawiaste pole z dziesiątkami zwierząt. Mają czarną sierść, jak świnie, ale są dużo większe. Czy to krowy? W oddali widać, zdaje się, ściany znajomej gęstwiny.

A więc Ogród to mimo wszystko nie jedyna sala z jedzeniem.

Obraz znowu się zmienia. Wysoki metalowy stojak pełen małych klatek, w każdej – czarny ptak. Te rozpoznają: to kury.

Obraz mruga i znów patrzymy na obrzydliwą głowę Brewera.

– Nie opierajcie sądu o rzeczywistości na tym, co widzieliście, jeśli widzieliście bardzo mało – przestrzega potwór. – „Xolotl” jest olbrzymi. Dużo większy, niż jesteście w stanie objąć waszymi młodymi umysłami. Można by rzec, że podróż tysiąca lat zaczyna się od więcej niż jednego nielota.

Ten statek przybył z innej planety. Ma za sobą drogę, która wydaje się zarówno desperacka, jak i niemożliwie długa. Żeby to się udało, ludzie musieli ze sobą współpracować. A najwyraźniej mieli mnóstwo żywności. Ilu ich żyło na tym statku, zanim zaczęli się zabijać?

– Brewer, co się tutaj stało? – pytam. – Dlaczego robiliście jedni drugim te straszne rzeczy?

Unosi długi, kościsty czarny palec i grozi mi nim, kiwając w lewo i w prawo.

– O nie nie nie, panno Savage. Nie będę się już śmiał, choćbyś nie wiem jak starała się mnie rozbawić. Co się stało? Niektórzy nie pochwalają składania ich w ofierze.

Patrzę na Bishopa, który wzrusza ramionami. Brewer mówi samymi zagadkami, a ja zaczynam już mieć tego dość.

Znów czuję na ramieniu rękę Aramowskiego, który delikatnie

odsuwa mnie na bok, żeby mieć miejsce na wypowiedź.

– Te ciała – mówi – dorosłych, dzieci... to były ofiary?

Nie podoba mi się sposób, w jaki wypowiada to słowo: szeptem pełnym emocji.

– Nie wszyscy – odpowiada Brewer. – Wielu z nich: owszem.

Wielu więcej postanowiło nie wchodzić cicho do tej dobrej nocy. Przez dwadzieścia lat tym statkiem trzęsła wojna. Wojna o wyzwolenie tych, którzy nie potrzebowali wyzwolenia. A w ostatecznym rozrachunku wszyscy i tak nie żyją.

Wojna. Rewolta. Ofiary. Starsi sami to sobie wyrządzili. Nie ma to z nami nic wspólnego. Jeśli tu zostaniemy, skończymy tak samo – zmasakrowani i spaleni, a nasze ciała obrócą się w pył.

– Brewer, jak możemy się dostać na tę planetę?

– Polecieć – mówi potwór. – Polecieć, proszę ja ciebie, jak rakieta na niebie. Tam, na dole, możecie zacząć wszystko na nowo i nigdy przeprzenigdy nie zawracać sobie swoich idealnych główek prawdziwą ceną tej podróży ani grzechami tych, którzy was poprzedzili. Żeby tam wylądować, potrzebujecie specjalnego statku, wahadłowca. I, o ironio, mimo całego jego ogromu „Xolotłowi” pozostał już tylko jeden wahadłowiec.

Wahadłowiec. To słowo budzi przebłysk wspomnienia: podłużny statek kosmiczny ze skrzydłami. On nas stąd zabierze. Może uda nam się trafić tam, dokąd zawsze mieliśmy trafić, a przy okazji, być może, zostawić te potwory ostatecznie za sobą.

– Jeden wahadłowiec – mówię. – To znaczy, że jeśli go zabierzemy, wy nie będziecie mogli polecieć za nami?

Sękate dłonie unoszą się do powolnych oklasków.

– Rozumiesz, co znaczy „jeden” – komentuje potwór. – A ludzie mówili, że Matylda Savage jest głupia. Zgadza się, nie będziemy mogli polecieć za wami, ale wam także nigdy nie uda się tu wrócić.

Z trudem udaje mi się zachować spokój. Jeśli to nie kłamstwa – a tego nie mam jak sprawdzić – możemy uciec z tego koszmaru.

– Powiedz mi, gdzie jest ten wahadłowiec.

Brewer wydaje z siebie coś w rodzaju westchnienia, które nadyma mu pierś i trzęsie czarnymi fałdami kryjącymi usta.

– Dawno, dawno temu, podczas rewolty, odciąłem wasze komory od Buntowników. Kazałem maszynom zniszczyć korytarze, poodcinać podłogi, nawet stopić drzwi prowadzące do waszej strefy.

Przypomina mi się pierwsze skrzyżowanie korytarzy, znalezione jeszcze przed naszym długim marszem. Tamta czarna ściana, która wyglądała jak zamrożona ciecz. Zrobił to Brewer? Dla naszego bezpieczeństwa?

– Dlaczego nas chronił? Twierdzisz, że cię zabiłam, a równocześnie, że utrzymywałeś nas przy życiu. Dlaczego?

Brewer nie od razu odpowiada. Czekamy tak długo, że zaczynam wątpić, czy mnie usłyszał. Już mam zapytać ponownie, gdy wreszcie się odzywa.

– Sam zadawałem sobie to pytanie miliony razy – mówi. Oczy uspokoiły mu się do barwy bladej czerwieni. – Może to w nadziei, że uda mi się zmienić ogólny stan rzeczy, choć to tak naprawdę niemożliwe. Może to w akcie zemsty. A może dlatego, że jeśli wszyscy poumieracie, kto pozostanie dotrzymać mi towarzystwa? To ledwie kilka powodów z wielu, ale kiedy tak patrzę na was teraz... może nie chodzi o żaden z nich. Może prawdziwym powodem jest moje odwieczne przekonanie, że zostaliście stworzeni dla tej planety. Tysiąclecie kłamstw prowadzi do jednej prawdy: przyszłość należy do młodych, o ile tylko starzy będą łaskawi zdechnąć i zejść im, do cholery, z drogi.

Nie do końca rozumiem, co to wszystko znaczy. Chwytam się jednego fragmentu.

– Zostaliśmy stworzeni, żeby znaleźć się tam, na dole – powtarzam. – Masz rację. Sama to czuję. Pozwól nam to zrobić, Brewer. Daj nam odejść tam, gdzie nasze miejsce. Powiedz, gdzie jest wahadłowiec.

– Ach tak, wahadłowiec – przypomina sobie. – Polecieć, proszę ciebie, jak rakieta na niebie. Całe wieki próbowali się do was dostać, całe wieki ich powstrzymywałem. Niestety, panno Savage, kiedy odciąłem ich od was, równocześnie was odciąłem od wahadłowca. Będziecie musieli sami wejść do sekcji Buntowników i go sobie wziąć. A przy okazji sprawdźcie, czy nie uda się wam odnaleźć Bello, bo tam właśnie będzie.

Bishop gwałtownie wciąga oddech, zaskoczony.

– Myślisz, że ona jeszcze żyje?

– Być może – odpowiada Brewer. – Chociaż obawiam się, że to zależy, co rozumiesz przez to słowo.

Kolejne zagadki. Że też ten stwór nie chce mówić wprost!

Żeby uciec z „Xolotla”, musimy według Brewera wkroczyć na teren potworów „Buntowników”. Czyli stawić czoła stworom, które nas zaatakowały, które porwały Bello.

Może dalibyśmy radę za jednym zamachem i odbić Bello, i wydostać się ze statku?

Rzucam okiem na Bishopa, ciekawa, czy myśli to co ja. Głowę ma opuszczoną, brodę przy samej piersi. Wpatruje się w obraz Brewera spode łba, spod zmarszczonych brwi. Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa na odzyskanie Bello, Bishop jest gotów podjąć każde ryzyko.

Świadomość, że jest po mojej stronie, dodaje mi sił. Znów podnoszę dumnie głowę.

– Brewer, powiedz mi, jak się dostać do wahadłowca.

Potwór kręci głową.

– Skoro znaleźli was, wy znaleźliście ich. Jak powiedziała mrówka, myjąc brudnego słonia: „Może coś pominęłam”. Chyba nie sądzisz, że pozwolę wam zbrukać idealną, nieskazitelnie czystą planetę, jeśli brak wam rozumu do wykoncypowania tego i owego samodzielnie.

Krótkim smagnięciem włóczni rozcinam głowę Brewera w chaotyczny kłęb iskier. Grot wali z łoskotem w postument, odłupując kawałek białego kamienia.

– Skończ z tymi gierkami! Straciliśmy już troje ludzi. Im dłużej tu zostaniemy, tym więcej nas umrze. Pozwól nam odejść!

Gapi się na mnie bardzo długo.

– Może trzymałem was w łupinach, bo nie sądziłem, że przeżyjecie poza nimi – mówi. – Ale przeżyliście. Próbowalem cię zabić, Savage, mała dzikusko, a oto jesteś. Może się myliłem... Może uda się wam zejść z pokładu tego statku. Jeśli tego dokonacie – zasłużycie, by stworzyć świat na podobieństwo własne, nie na nasze. Kto nie zna historii, nie jest przez nią skażony. Skasuję wszystkie zapisy. Ale odchodząc, nie zapomnijcie zabrać swoich małych znajomych. Zacznę

ich teraz budzić.

Małych znajomych? Czy to znaczy, że jest nas więcej?

– Brewer, czy...

Jego twarz się marszczy, zniekształcona migotliwą falą. Obraz rozdyma się w czarny obłok i znika.

Bishop trąca mnie w ramię.

– Em, co on miał na myśli?

Nad postumentem po prawej przestrzeń zaczyna świecić i migotać.

Tam też pojawia się czarna twarz o czerwonych oczach, ale mniejsza i szczuplejsza niż twarz Brewera. Wzbiera we mnie wściekłość, bo ją rozpoznaję: to samica potwora z Ogrodu.

Wpatruje się we mnie, jakbym była jedyną obecną tu osobą.

– Odkryłaś drogę do Kryształowej Kuli – stwierdza. – To było kiedyś moje ulubione miejsce. W pewnym sensie powinnam chyba być z ciebie dumna.

Ten głos ma barwę śmierci. Podobny do głosu Brewera – stary, syczący, wielowiekowy i niewłaściwy – ale inny, tak bardzo inny, pod takim względem, że zaczynam się trząść.

Uświadamiam sobie, dlaczego brzmi znajomo: ja znam to stworzenie.

Zgrzytam zębami z wysiłku, próbując opanować własne ciało. Nie mogę okazać słabości, nie teraz. Ściskam drzewce włóczni mocno, aż do bólu palców.

– Jestem przywódcą naszej grupy – mówię. – A ty to kto?

Samica potwora kręci głową.

– Jeszcze się nie domyśliłaś? To szkoda. Nie jesteś przywódcą niczego. Sama jesteś niczym. Nie jesteś nawet człowiekiem.

Dlaczego jej głos tak mnie przeraża? Znam ją, znam to coś. Wiem, że nie zawsze tak wyglądała, czuję to w środku, ale nie mogę złożyć kawałków w jedną całość.

– Jestem człowiekiem – odpowiadam. – Wszyscy jesteśmy ludźmi, Bello też. Oddaj nam ją.

– Jesteś własnością – oznajmia potworzyca. Jej wirujące czerwienią oczy zwięzają się w szparki. – Jesteś pustą skorupą, czekającą na napełnienie, jajkiem pozbawionym żółtka. Macie złożyć broń

i przestać z nami walczyć, i to już, w tej chwili.

Ten głos... ten głos...

Mój oddech to nierówne sapnięcia, z trudem wciągam powietrze, które się ze mnie wyrywa. Boli mnie głowa. W umyśle zaczyna mi wrzeć jakieś zrozumienie, rozpycha na boki zamulone myśli, i gdy już prawie się formuje, nagle rozpaczliwie chcę się cofnąć, nie wiedzieć. Chcę, żeby mój mózg przestał, zostawił to w spokoju, ale już za późno. Całe ciało zaczyna mi sztywnieć z zimna, które kłębi się w żołądku i zmienia serce w bryłę lodu.

Ręka Bishopa na moim ramieniu uspokaja mnie, dodaje otuchy – z czymkolwiek przyjdzie nam się zmierzyć, on stawi temu czoła razem ze mną.

Kręcę głową.

– Nie złożymy broni.

– Powinniście – mówi potworzyca. – To co prawda wielki statek, ale nie macie dokąd uciec.

– Jeśli uciekniemy, będziecie nas ścigać. Ale jeśli was zabijemy, to...

– ...wtedy już zawsze będziecie wolni – kończy tamta.

Wiedziała, co powiem, mimo że nigdy nie mówiłam tych słów na głos. Słyszałam je tylko w myślach. W brzuchu wiruje mi nowe pasmo lęku, złe przeczucie pomieszane z rozpaczą. Muł cofa się, opada niżej, na jego miejscu krystalizuje się czysta wiedza... już prawie tu jest a ja nie chcę wiedzieć nie chcę wiedzieć.

Wywrzaskuję jej w twarz trzy słowa rykiem tak głośnym, jakbym chciała strącić nim z nieba wszystkie gwiazdy.

– Kim... ty... jesteś?!

– Nadal nie wiesz? Niesamowite.

Prawda wybucha i przesywa mnie tysiącem włóczni szatkujących mnie na strzępy. W końcu rozumiem swój strach, w końcu wiem, czemu ten stwór to śmierć.

Rozpoznaję jej głos, bo to mój własny głos.

– Nazywam się – mówi – Matylda Savage.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Potwór jest mną.

Ja jestem potworem.

Mam ochotę wykrzyknąć, że to coś przede mną kłamie, ale to bezcelowe. W głębi wszystkiego, czym jestem, wiem, że ona mówi prawdę.

Jak to możliwe? Jak mogę być w dwóch miejscach naraz? I jakim cudem ja tak wyglądam?

Wszystko nagle czernieje. Upadam. Czuję, jak obejmują mnie i unoszą ręce Bishopa. Jakież to dla niego łatwe, jakbym nic nie ważyła. Odnajduję pod nogami podłogę. Staję o własnych siłach, choć jestem zamroczona, a w głowie mi się kręci.

Szukam swojej włóczni.

Trzyma ją Aramowski. Uśmiecha się. Niczym się nie przejmuje. Z jego punktu widzenia sprawy mają się tak, jak chcą jego cenni bogowie.

– Wracajcie po drabinie, Em – radzi. – Wszystko w porządku. Odtąd ja się wszystkim zajmę.

Bishop jednym szybkim ruchem wrywa mu włócznię z rąk, po czym mi ją podaje.

Mimo to Aramowskiemu uśmiech nie schodzi z twarzy. „Może nie tylko Bishop zastanawia się, kto by wygrał nowe głosowanie”

– powiedział niedawno. Wtedy myślałam, że jego zdaniem wygrałby Bishop.

Ale może on wcale nie myślał o Bishopie.

Odzywa się Matyllda; jej głos rozprasza wszelkie moje rozważania o Aramowskim.

– Nie potrzeba nam wszystkich – mówi głosem nagle spokojnym i czułym. – Jeśli ty oraz inni, których potrzebujemy, złożycie broń i wypełnicie swoje obowiązki, to tym, których nie potrzebujemy, będzie wolno żyć.

Chce, żebym zgodziła się na coś takiego?

– Tym, których nie potrzebujecie, będzie wolno żyć – powtarzam

jak echo. – Czyli ci, których potrzebujecie... umrą?

– Nikt z was nie umrze – odpowiada tamta. – Nie żeby ktokolwiek z was w ogóle żył. Ale przynajmniej w ten sposób niektórzy będą mogli kontynuować tę swoją namiastkę egzystencji.

Bishop odsłania zęby we wściekłym grymasie, kręci głową. Nie odda nikogo z naszych, ja też nie. Ani w ręce tej plugawej rzeczy, ani nikomu innemu.

– Odmawiamy – odparowuję. Będę z nią walczyć, walczyć o własne życie, o życie nas wszystkich, ale nogi się pode mną uginają. Boję się, że zaraz oszaleję jak Brewer. Raz mam głos ostry i wyzywający, raz cichy i błagalny. – Jak mogę być tobą? Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Matylda. – Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

– Po prostu mi powiedz!

Trudno ocenić, co oznacza wyraz jej twarzy, bo nie jest to twarz człowieka, ale chyba zaczyna się irytować.

– Obudził cię Brewer – mówi. – Po to, żeby zrobić mi krzywdę, żeby zrobić krzywdę nam wszystkim. Sukinsyn. Każda chwila twojej świadomości na jawie, dziewczyno, naraża mnie na utratę życia. Każda informacja, która do ciebie dociera, naraża mnie na utratę życia.

Jak to możliwe? Jakim cudem to, że się czegoś dowiaduję, może być dla niej niebezpieczne?

Wpatrujemy się w siebie nawzajem, dwie Matyldy Savage zwarte w starciu, zmagające się jedna z drugą siłą woli, tej samej woli, rozdzielonej jakąś niezrozumiałą magią. Ona mnie potrzebuje, choć ja nie chcę mieć z nią nic do czynienia. Nie, nieprawda: muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, a ona może mi to zdradzić.

– Jeśli mam rozważyć twoją propozycję – mówię – wytłumacz mi, jak to możliwe, że obie jesteśmy tą samą osobą.

Matylda wzdycha, co brzmi jak rozdzieranie papieru.

– Zgoda, ale tak naprawdę nie jesteśmy tą samą osobą. Ja jestem osobą... ty jesteś własnością. Ten statek odbył podróż skądś, dokąd już nigdy nie możemy wrócić. Opuściliśmy to miejsce, żeby znaleźć nowy dom, nowy świat. Wiedzieliśmy, że podróż zajmie wiele stuleci. Abyśmy ją przetrwali, nasze ciała zostały na stałe zmodyfikowane. Tych

zmian nie można odwrócić. Zostaliśmy stworzeni na nowo w postaci, w której nas teraz widzisz.

– Paskudnej – wyrywa mi się mimowolnie.

Matylda kiwa głową.

– Tak, ta procedura nas oszpeciła. Przyniosła nam też permanentny ból, który znosimy dłużej, niż jesteś w stanie ogarnąć swoim niedokończonym umysłem. Kiedy wyruszyliśmy w drogę, Umiłowani zaczęli hodować kopie swoich ciał, które nazwaliśmy „pojemnikami”. Te pojemniki zmodyfikowano tak, żeby przeżyły na Omeyocanie, tej planecie pod nami.

„Omeyocan”.

Brewer nie podał nam nazwy planety. „Omeyocan”... To słowo jest jak piosenka, od której radosne dreszcze przebiegają mi umysł i ściska mnie w gardle. To tam jest nasze miejsce.

Matylda użyła też słowa, które wcześniej wypowiedział Brewer: „Umiłowani”. Czy należy do nich ona? A może my? To chyba bez znaczenia. Jeśli uda nam się dostać na Omeyocan, będziemy mogli zostawić to wszystko za sobą.

– Pojemniki rosną bardzo, bardzo wolno – ciągnie Matylda. Mówi do mnie jak do dziecka albo do kogoś głupiego, albo jak do głupiego dziecka. – Po przybyciu na miejsce mieliśmy dokonać transferu swoich myśli i wspomnień do pojemników, byśmy mogli przeżyć bez chorób na powierzchni globu, odporni na subtelne trucizny Omeyocana, które w innym przypadku powoli by nas zabiły.

Oglądam się na planetę wiszącą w rozgwieżdżonej czerni.

– Więc dlaczego nie zrobiliście tego transferu?

– Po drodze tutaj nastąpiła... powiedzmy, różnica zdań – odpowiada. – Niektórym trzeba było dać pewną lekcję. Jednym z tych ludzi był Brewer. Sukinsyn nas oszukał, znalazł sposób, żeby cię ode mnie odciąć. Miałaś wyjść z łupiny dwa wieki temu, kiedy twoje ciało miało dwanaście lat, tak jak nakazuje Pismo. Ale przez Brewera nie wyszłaś. Twoje ciało rosło dalej, robiło się starsze i większe, niż miało być.

Mój świat wali się w gruzy. Byłam w tej trumnie przez dwieście lat? Nie, przez tyle to byłam w niej dodatkowo. To dlatego ubrania są na

nas za małe – pasowałyby na dwunastolatków. A na tych, którzy zginęli jako małe dzieci, są za duże. Gdyby te maluchy pozostały przy życiu, dorosłyby do swoich mundurków. Ale wiele z nich, jak ten mały Brewer, nie miało na to szans.

„Jesteś tą, która mnie zamordowała” – powiedział.

Teraz rozumiem. Po skórze od nowa biegną mi ciarki na widok tej podłej kreatury, unoszącej się przed moją twarzą.

– To ty zabiłaś chłopca nazwiskiem Brewer w naszej sali z trumnami. To było jeszcze dziecko.

Matylda prychnęła kpiąco, co brzmi jak żwir sypiący się po posadzce.

– Nie dramatyzuj – mówi. – Żadne dziecko, tylko pojemnik.

Skorupa czekająca na wypełnienie, nic więcej. Ty, mała przywódczyni, jesteś moim pojemnikiem. Teraz rozumiesz? Nie jesteś żadną osobą. Brewer przez stulecia trzymał cię jako zakładniczkę. Groził, że jeśli będziemy go ścigać, zniszczy mój pojemnik tak samo, jak ja zniszczyłam pojemnik należący do niego. Pewnie umiera. Wybudził cię przez złośliwość, bym wiedziała, że powoli i na zawsze tracę swoją szansę na odrodzenie. Zrobił to, żeby mnie zranić, żebym cierpiała. Ale popełnił błąd. Teraz, gdy już opuściłaś łupinę, nie może po prostu nacisnąć guzika, żeby cię w niej zabić.

Za dużo tego wszystkiego naraz, za dużo.

– Brewer mówił, że nas ochraniał.

Matylda się śmieje.

– Doprawdy? Skądże. To jego groźba, że cię zabije, trzymała mnie przez te wszystkie lata na dystans. Ale teraz stracił swoją kartę przetargową. W końcu mogę otrzymać obiecaną nagrodę.

Mówi o czymś niemożliwym. A jednak ponownie wiem, że mówi prawdę. Jestem dla niej nagrodą, jak jakieś zwierzę, wręczane jako główna wygrana. Ale powiedziała, że nie umrę. Czy ta procedura uzupełniłaby moje brakujące wspomnienia? Zakończyłaby to szaleństwo niewiedzy, kim właściwie jestem? Moi rodzice... Może wreszcie przypomniałabym sobie rodziców.

– Kiedy dokonasz transferu swoich myśli, co się ze mną stanie? Będę wiedziała to samo co ty?

Przez chwilę Matylda się waha.

– W pewnym sensie tak. Jesteśmy tą samą osobą. Dzięki transferowi stałybyśmy się jedną całością.

Nie kłamie, ale też nie mówi mi całej prawdy.

– To ty stałabyś się jedną całością – poprawiam ją. – Pytałam, co będzie ze mną. Jeśli przeprowadzisz ten swój transfer, co stanie się ze mną jako osobą?

– Nie jesteś żadną osobą! Jesteś...

Grozę jej, potrząsając włócznią.

– To zrób jeszcze jedną kopię! Mnie mieć nie możesz! Nie możesz mieć żadnego z nas!

Czerwone oczy bledną do różu. Wyraźnie się opanowuje. Znów zaczyna mówić czułym głosem... Czy myśli, że może mnie uspokoić jak rodzic, który łagodnym tonem koi małe dziecko?

– Nie możemy sporządzić nowych pojemników – tłumaczy.

– Procedura trwa całe wieki. Mapy pamięci, połączenia międzysynapsowe, wspomnienia stanowiące punkty odniesienia przy tworzeniu ścieżek nerwowych... Jeśli te wszystkie rzeczy się nie pokryją, jeśli podstawa nie jest identyczna, wtedy nadpisanie transferem przestaje być możliwe.

„Nadpisanie”. To słowo momentalnie mnie przeraża. To słowo gorsze niż „śmierć”, gorsze niż „morderstwo”. Jeśli Matylda mnie dostanie, moje ciało będzie żyć dalej, ale to, kim jestem – jaka jestem – zostanie wymazane.

Zostałam stworzona, aby ulec zniszczeniu.

– Więc skoro jestem tobą, dlaczego nic nie pamiętam? Potrafię mówić i czytać, ale moja pamięć jest cała zamulona, pełna luk. Czemu?

– Bo tak naprawdę nie masz pamięci ani wspomnień – mówi Matylda. – Język, matematyka, nauka, umiejętności... to wszystko tworzy szkieletową konstrukcję umysłu. Dopiero nasze doświadczenie czyni nas tym, kim jesteśmy. Indywidualna tożsamość wykształca się przez to, jak postrzegamy różne rzeczy, jak reagujemy, jak odczuwamy. Wiedza, którą twój mózg otrzymał, gdy spoczywałaś w łupinie, zbudowała biologiczne rusztowanie do podtrzymania tego, kim jestem ja. Ty, mała przywódczyni, jesteś skorupką jajka. To ja jestem żółtkiem. Zostałaś stworzona, żebym ja mogła żyć. Jesteś moją jedyną nadzieją.

Przyjdź i zjednocz się ze mną, żebyśmy mogły być takie, jakie miałyśmy być.

Nazywałam ją potworem z powodu jej wyglądu, ale jej zło wykracza daleko poza takie oczywistości. Chce, żebym zniknęła, tak jakby w ogóle nigdy mnie nie było, i jeszcze próbuje opisać to jako coś pięknego.

Kręcę głową.

– Odmawiam.

Jej oczy ciemnieją, wirują coraz szybciej.

– Nie rozumiesz – mówi. – Jesteś za młoda, żeby zrozumieć.

Jestem twoim protoplastą, a ty moim pojemnikiem – nie możesz podejmować samodzielnych decyzji!

Może wie więcej ode mnie, dużo więcej, niż kiedykolwiek zdołałabym się nauczyć, ale nie wie nic o mnie.

– Mylisz się, Matylde. Podejmuję decyzje od chwili przebudzenia. I dalej będę je podejmować. Chyba już rozumiem: im dłużej żyję, tym bardziej zwiększam szansę, że umrzesz. A powinnaś była umrzeć dawno temu.

Cała aż trzęsie się ze złości. Po lewej stronie twarzy ścieka jej odrobina płynu, cienki strumyczek, który zbiera się w każdej zmarszczce, zanim przeleje się w następną.

– A co z tymi, których nam nie potrzeba? – pyta, wyraźnie walcząc ze sobą, by opanować wściekłość. – Nie chcesz, żeby przeżyli, mała przywódczyni? Ich protoplaści już nie żyją, więc nie można ich nadpisać. Przyjdź do mnie po dobroci, a będą żyć. Jeśli będę musiała cię wytropić, zabiję ich wszystkich, co do jednego. Ale najpierw będę ich torturować i przypominać, że ich ból to efekt twojego egoizmu. Będę...

– Nigdy mnie nie dostaniesz. – Słowa wyrywają się ze mnie same. Matylde przeżyła już swoje życie i niech je sobie zatrzyma, ale moje należy do mnie. – Nie dostaniesz mnie. Nie dostaniesz żadnego z nas.

Pochyliła się, aż jej wściekle, czerwone oczy wypełniają cały obraz nad postumentem.

– Znajdę cię. Brewer trzymał cię jako zakładniczkę, ale to się skończyło. Przyjdź do sadów, dziewczyno. Jeśli nie przyjdiesz, knę się na Tlaloca, że wszystkich twoich przyjaciół czekają męczarnie.

Znowu to imię...

– Tlaloc – wtrącam. – Pamiętam to imię. Kto to taki?

Matylda odchyła się do tyłu.

– Kłamiesz. Nie pamiętasz tego imienia. Nie możesz pamiętać nic takiego, to nie należy do procedury. – Jest teraz bardziej wzburzona niż wściekła. Wygląda wręcz na przejętą. – Pamiętasz coś jeszcze?

I owszem. Pamiętam zapach kotletów schabowych. Pamiętam, jak czułam się wyśmiewana i wyszydzana. Pamiętam, że Czajkowski był muzykiem. Pamiętam wycieczkę na wieś. Ale skoro Matyldę tak wzburzyło pytanie o imię Tlaloca, to kiedy powiem jej więcej, może wpaść w panikę. Chce, żebym ja przyszła do niej – to daje nam trochę czasu, zanim sama po nas wyruszy. Lepiej jej nie prowokować.

– Nie bardzo – kłamię. – Ślady różnych rzeczy, niejasne uczucia, ale... nic nie pamiętam.

Fałdy na twarzy Matyldy łopoczą od westchnienia ulgi.

– To dobrze – oznajmia. – Brewer popełnił ewidentne błędy w trakcie procedury, ale nie jest jeszcze za późno. Im dłużej pozostajesz z dala ode mnie, tym więcej formujesz własnych wspomnień, a to potęguje ryzyko, że nadpisanie się nie uda i obie umrzemy. Przyjdź teraz, a obiecuję, że potraktuję twoich znajomych po ludzku.

„Po ludzku”... też tak powiedziałam, kiedy razem z Bishopem zabijaliśmy świnie. A tamten hodowca na wsi mówił, że kiedy ubijają świnie, próbują zrobić to jak najszybciej, jak najmniej boleśnie. Nazwał to „ubijaniem po ludzku”.

Czy szybko, czy powoli, i tak wszystkie świnie kończyły martwe. Tylko tym jesteśmy dla Matyldy... żywym inwentarzem.

Jest potworem, tysiącletnią ohydą. Chce podobno, żebym wypełniła swoje „przeznaczenie”, tymczasem sama je dla mnie ustaliła.

– Nie jesteśmy twoją własnością – mówię. – Nasze życie należy do nas.

Obrzydliwy stwór kręci głową.

– Szybciej, niż ci się wydaje, głód i pragnienie i tak pognają was w moją stronę. Rzućcie broń, przyjdźcie do mnie teraz, a przynajmniej wasi przyjaciele przeżyją. Jeśli będziemy musieli na was zapolować, wszyscy zginą. Ostatnia szansa, dziewczyno: jak brzmi twoja

odpowieź?

W tej chwili zdaję sobie sprawę, że jeśli kiedykolwiek stanę z Matyldą twarzą w twarz, to ją zabiję.

Jesteśmy Urodzinowymi Dziećmi. Znajdziemy sposób, aby przeżyć.

– Moja odpowiedź brzmi: nigdy – oznajmiam. – I jeszcze jedno: zawsze była z ciebie suka, Savage.

Rzucam okiem na El-Saffanich, ogarniam gestem wszystkie trzy postumenty.

– Rozbijcie je, a potem chodźcie za mną.

Odwracam się i ruszam ku drabinie. Słyszę, jak Matylda wrzeszczy, że muszę jej wysłuchać, że muszę być jej posłuszna, że jestem za młoda, by naprawdę zrozumieć.

Zaczynam wspinać się po szczeblach, zostawiając za sobą odgłosy niszczenia.

CZEŚĆ V

W GÓRĘ I W DÓŁ

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Biegniemy w dół.

Przebiegamy obok zmasakrowanych ciał, pourywanym rąk, stosów czaszek.

Im więcej wiem, tym bardziej to wszystko ma sens.

Brewer to jeden z potworów, jeden ze Starszych, jeden z „Umiłowanych”. Może te słowa znaczą to samo. Jego kopia, jego „pojemnik” zginął – zamordowany przez kobietę, która jest mną – tak że on sam utknął na zawsze w prastarym, poskręcany ciele. Pod sam koniec ponadtysiącletniej podróży dowiaduje się, że teraz tylko zwiędnie i obumrze. Nie ma żadnej nadziei.

Też bym zwariowała.

Docieramy do przecięcia korytarzy, gdzie spotkały się nasze dwa szczepy. Skręcamy w lewo. Znow jesteśmy maleńkimi owadami, pełznącymi długim, prostym korytarzem, który biegnie po okręgu we wnętrzu gigantycznego walca. Kierujemy się z powrotem do swoich.

Co się mogło wydarzyć na tym statku? „Niektórzy nie pochwalają składania ich w ofierze” – powiedział Brewer. Była jakaś rewolta, wojna. Wielu zginęło. Czy każdy na tym statku miał kopię siebie? Czy każdemu obiecano nowe życie na Omeyocanie?

Odpowiedzi tak naprawdę są nieważne. Wszystkie decyzje mają swoje konsekwencje. Starsi podejmowali decyzje, które zniszczyły ich samych. Nasze jeszcze czekają na podjęcie, nasze życia jeszcze czekają na przeżycie – jeżeli uda nam się stąd wydostać.

Biegniemy, biegniemy, biegniemy. Potwory Matyldy wkrótce będą na nas polować, o ile już nie zaczęły. Musimy dotrzeć do naszych przyjaciół przed nimi.

Brewer nie powiedział nam, gdzie jest wahadłowiec. Nie miał czasu. Matylda jakoś go wypchnęła, może rozbiła jego kolumnę. Ale w jego gierkach z nami tkwiła pewna podpowiedź: że sama wiem, jak znaleźć wahadłowiec, a przy okazji mamy szansę odszukać także Bello.

Wcześniej nie miałam pewności, czy powinnam być przywódcą. Teraz ją mam. Jestem wśród nas wyjątkiem: zamiast po prostu reagować,

myślę. Podejmuję decyzje, kiedy jest to naprawdę trudne. Wiem, co znaczy zabić. Postaram się, żebyśmy zrobili to, co trzeba, nawet jeśli będę zmuszona nagiąć niektórych do współpracy. Wydostanę stąd moich ludzi, i to żywych – jeśli zagłosują na kogoś innego, kiedy już wszyscy będziemy bezpieczni, proszę bardzo.

Starsi podzielili swój szczerp i walczyli między sobą. Ja utrzymam nasz szczerp w jedności i staniemy do walki jako całość.

Ileż ja robię hałasu, kiedy biegnę. Gaston też, tak samo Aramowski; w trójkę sapiemy i dyszymy, plaskając stopami w podłogę. Uszłoby to mojej uwadze, gdyby nie bezgłośnie towarzystwo kółko-gwiazd. Bishopa ledwo słyszę, chociaż jest dwa razy większy ode mnie i biegnie tuż obok.

Wkrótce dostrzegam ciemną plamę na podłodze w miejscu, gdzie życie wyciekło z Yonga w pył korytarza.

Ale coś jest inaczej.

Odnoga po lewej, ta ciemna, w którą O'Malley z Aramowskim zabrali ciało Yonga... jest w niej jaśniej. Poza tym starannie omijaliśmy krwawą breję – teraz wygląda na zupełnie stratowaną.

Słyszę głosy, dobiegające ze skrzyżowania korytarzy. Nikogo nie powinno tu być. Wszyscy mieli czekać w sali z trumnami, pod opieką Coyotla i Farrara.

– Bishop, przed nami ktoś jest.

Potakuje. Usłyszał to na długo przede mną.

– Przygotujcie się do walki – mówi.

El-Saffani zwalnia, czekając, aż się z nim zrównamy.

W ciemnym wcześniej korytarzu słyszeć głosy, ale nie są to plugawe syczenia Starszych. Te głosy brzmią normalnie, jak nasze, choć mają wyższy ton. Są podekscytowane. Głośne.

Podchodzimy bliżej skrzyżowania, mamy już zaledwie kilka kroków. Ja, Gaston i Aramowski nie jesteśmy jednak wystarczająco cicho, bo chyba zwracamy uwagę kogoś, kto wychodzi zza rogu i wgapia się w nas szeroko otwartymi oczami.

Dziewczynka o ciemnobrązowej skórze.

Ma na sobie czystą białą koszulę, czerwony krawat i spódnicę w czerwono-czarną kratę.

Ubranie pasuje na nią jak ulał.

Zatrzymuję się. Tak samo Bishop, El-Saffani i pozostali.

Dziewczynka stoi z otwartą buzią. Zza rogu wychodzi chudy chłopczyk i przyłącza się do niej. Potem jeszcze jeden. I jeszcze jedna dziewczynka. Zbieg korytarzy szybko wypełnia się dziećmi w mundurkach, które gapią się na dorosłych o szarej skórze i z ludzkimi kośćmi w rękach.

– Em, kto to? – wyrywa się stojącemu przy mnie Gastonowi.

Pojęcia nie mam.

Ale w pamięci błyskają mi słowa Brewera:

„Nie zapomnijcie zabrać swoich małych znajomych”.

Mali znajomi. To ich miał na myśli.

Ktoś jeszcze wychyla się zza rogu, ale jego wyraźnie odróżniamy, bo o głowę przerasta wszystkich innych.

To O'Malley.

Twarz rozświetla mu nagły uśmiech, szerszy niż wszystkie dotąd. Żyje. Jest piękny.

Niezdarnie przesuwam się między dziećmi, starając się ich nie potrącać. Dzieci albo chwytają się go dla nabrania otuchy, albo się za nim chowają, ale ani na chwilę nie spuszczają wzroku z budzących lęk postaci Bishopa i El-Saffanich.

O'Malley podchodzi do mnie.

Bishop odsuwa się na bok.

O'Malley otwiera ramiona i przyciąga mnie do siebie.

– Em, nie byliśmy pewni, czy uda się wam wrócić.

Ścisną mnie mocno, unosi nad ziemię. Na jedną idealną chwilę wszystko inne gdzieś znika. Czuję od niego zapach potu. Ciało ma ciepłe i jędrne. Chcę chronić to ciało, chcę ochronić jego – nie pozwolę Matyldzie porwać O'Malleya.

Rzucam okiem na Bishopa, niepewna, jak reaguje na ten uścisk, ale on ostentacyjnie patrzy w drugą stronę.

Słyszę, że zbliża się więcej osób.

O'Malley stawia mnie na ziemi, a zza rogu wybiegają Spingate, Beckett i Smith. Prześlizgują się między dziećmi. Spingate pędzi do Gastona i rzuca się go objąć z takim impetem, że prawie go przewraca.

Ściska go dużo mocniej niż O'Malley mnie.

– Nie wiedziałam – mówi. Głos jej się łamie, pobrzmiwa wilgocią. – Nie było cię, a... ja nie wiedziałam... czy ty...

Gaston przytula ją w odpowiedzi, gładzi jej gęste rude włosy.

– Nic nam nie jest – mówi. – Wszyscy są cali i zdrowi.

Beckett stoi w miejscu z niezręcznym uśmiechem, nie wiedząc, czy też kogoś przytulić albo chociaż podać komuś rękę, czy lepiej się nie wychylać. Tyczkowata Smith wita przede wszystkim Aramowskiego. Splata palce dłoni, przyciska je do piersi i skłania głowę. Ten gest jest niepokojąco formalny, niemal... służalczy.

Gdyby nastąpiło nowe głosowanie, wybrałaby Aramowskiego. Inni, którzy zdają się chłonać każde jego słowo, zrobiliby to samo. Ale skoro za mną są Spingate, Gaston, O'Malley i Bishop, tak naprawdę nie ma to znaczenia. Jakich by planów nie snuł Aramowski, będą musiały poczekać, aż sprowadzę nas wszystkich na Omeyocan.

Spingate puszcza Gastona i rzuca się na mnie – teraz mnie miażdży w uścisku.

– Em! Tak się cieszę, że jesteś! Znaleźliście coś?

Odpowiadam jej uściskiem prawie równie mocnym. Spingate ładnie pachnie. Jak dom.

– Znaleźliśmy. – Odsuwam ją delikatnie. – Co wy tu wszyscy robicie? Mieliście zostać w sali z trumnami.

Spingate wyrzuca ręce w górę, wskazuje na dzieci – stoi ich już w korytarzu ze dwadzieścioro albo i więcej.

– Po prostu zaczęły się pojawiać – mówi. – Pamiętasz te zamknięte portale przy naszej sali? Wszystkie się otworzyły, na całej długości korytarza. Powychodziły z nich dzieci. Zebraliśmy ich, ile się dało, i wprowadziliśmy do nas, ale zobaczyliśmy więcej, w obu kierunkach. My poszliśmy w tę stronę. W przeciwną O'Malley wysłał Coyotla, Farrara, Opkick i Bordżigina. – Pokazuje ręką korytarz, gdzie zostawiliśmy Yonga. – Kiedy tu dotarliśmy, wszystko było rozjaśnione, jakby ktoś zapalił światła. Wszędzie łaziły dzieciaki. Poszliśmy tym korytarzem aż do końca, do kolejnych stopionych drzwi, więc chyba znaleźliśmy wszystkie dzieci, które się da znaleźć. Mieliśmy już wracać, kiedy usłyszeliśmy, że nadbiegacie.

Podchodzi do mnie dziewczynka, którą zobaczyliśmy jako pierwszą. Ma chude nogi i wystające kolana – tuż po przebudzeniu właśnie tak wyobrażałam sobie własne.

Wyciąga rękę i ujmuje moją wolną dłoń. Podnosi na mnie wzrok.

Na czole ma poszczerbione kółko. Czarny symbol ładnie współgra z jej ciemnobrązową karnacją i oczami. Na jej koszuli widać kilka smug pyłu, ale żadnych plam krwi, smaru, potu czy brudu. Nie walczyła. Nie bała się. Nie zabijała. Jest czysta, w każdej mierze nieskalana.

Jest taka, jacy wszyscy mieliśmy być.

Przykucam nieco, żeby spojrzeć jej prosto w oczy.

– Jak się nazywasz? – pytam.

Uśmiecha się.

– Zubiri. Chyba. Tak było napisane na moim łóżku.

Dla niej to nie była ani trumna, ani kolebka, tylko po prostu łóżko.

– To ładnie – mówię. Razem z przyjaciółmi obudziłam się przed nią. Jesteśmy więksi, fizycznie starsi, ale po rozmowie z Matyldą chyba już trochę to rozumiem. – Zubiri, ile masz lat?

– Dwanaście – odpowiada, ożywiając się w okamgnieniu. – Dzisiaj mam urodziny.

Nie umiem powstrzymać uśmiechu.

– Wszystkiego najlepszego. – Rozglądam się po innych czystych, zapatrzonych we mnie twarzach. – Wszystkiego najlepszego wam wszystkim z okazji urodzin.

Jeszcze raz zmienia się obraz całości. Sądziliśmy, że mamy po dwanaście lat. Po tym, przez co przeszliśmy, mamy więcej. Ale dzieciaki przed nami są dokładnie w tym wieku, przynajmniej na ile same się orientują. Dwunastoletnie umysły w dwunastoletnich ciałach.

Brewer czuł, że może nam powierzyć te dzieci. Nadal nie znam jego historii. Nie wiem, dlaczego walczył z Matyldą. Nie wiem, po czyjej stronie była słuszność, a kto jej nie miał. Pewnie nigdy się nie dowiem. Ale Brewer zdaje się mnie rozumieć – chyba wiedział, że nie mogłabym zostawić tych dzieci samych.

Są stworzone, aby stąpać po Omeyocanie.

Polecą z nami.

Jeśli ktokolwiek stanie nam na drodze, przekona się, że

Urodzinowe Dzieci – razem, jako jeden lud – są niezwykle niebezpieczne.

Dzieciaki już zaczynają wędrować po korytarzu. Mdli mnie na widok dwóch chłopców z chichotem obrzucających się garściami zaschniętej krwawej papki.

Oglądam się na Bishopa. Jego pokryta skorupą pyłu twarz wydaje się spokojna, jakby czekał na rozkazy.

– Bishop, możesz zorganizować te dzieciaki? Musimy przemieścić się naprawdę szybko.

Bishop obrzuca O'Malleya zimnym wzrokiem. Czy jest zazdrosny o ten uścisk O'Malleya jak ja o Bishopa, kiedy myślałam, że przygląda się Spingate? Z jednej strony mam nadzieję, że nie jest zazdrosny, a z drugiej, że jest. Tak czy siak, obie te strony muszą poczekać – wszyscy mamy przed sobą ważne zadanie.

Bishop odpowiada mi skinieniem głowy.

– Mogę – mówi. – Chcesz, żebym zrobił to po mojemu?

– Gdybym nie chciała, tobym cię nie prosiła.

Pokryte szarością usta drgają w najlżejszym możliwym uśmiechu. Bishop prostuje się na całą wysokość i zaczyna krzyczeć:

– Wszyscy nowi! Ustawiacie się jeden za drugim w dwóch rzędach, prostujecie prawą rękę i kładziecie na prawym ramieniu tego, kto stoi przed wami. Nie będę mówił dwa razy!

Dzieci z oczami jak spodki przepychają się jedno przez drugie i praktycznie wychodzą ze skóry, żeby jak najszybciej wypełnić jego rozkaz. W kilka sekund tłumek formuje dwa równiutkie rzędy. Bawden i Visca bez słowa zajmują pozycje na końcu, bliźniaki jak zwykle stają z przodu.

Bishop uśmiecha się do mnie.

– Co teraz, Em?

– Wracamy do sali z trumnami – mówię. – Najszybciej, jak się da. Pierś Bishopa rośnie od potężnego wdechu.

– Wszyscy ruszacie za El-Saffanim! Dopasowujecie tempo do osoby idącej przed wami, ale nie ociążać się, bo będziecie mieć ze mną do czynienia. Zrozumiano?

Dwadzieścia kilka głów potakuje gwałtownie. Ja też nie

chciałabym mieć do czynienia z Bishopem.

– Świetnie – kwituje Bishop. – El-Saffani, wymarsz!

Dzieci i kółko-gwiazdy ruszają niczym wielki oddział. Jedno muszę Bishopowi przyznać: kiedy trzeba namówić ludzi do maszerowania, idzie mu to doskonale.

Gaston i Aramowski podbiegają za resztą, podobnie jak Smith i Beckett.

Zostaję sama z O'Malleyem.

– Te dzieciaki to pewien kłopot – mówi cicho. – Mamy ich już z pięćdziesiąt w sali z trumnami. Jeśli Coyotl znalazł tyle samo, razem może ich być nawet setka. Może więcej. Jeśli zjawią się potwory, jak uda nam się obronić tyle osób?

Z zamulonej pamięci na powierzchnię umysłu przebija mi się wspomnienie męskiej twarzy. A w każdym razie jej części, obrazy są niewyraźne. Czarne wąsy. Łagodne, kochające oczy – które umiały być także surowe – rozdzielone głębokimi bruzdami i szerokim nosem.

Głos, który słyszę w głowie... jest głosem tego człowieka.

To mój ojciec.

A zarazem nie on. Bo niewyraźne wspomnienia są kłamstwem. To ojciec Matyldy, nie mój. Ja nie mam rodziców, bo nie zostałam urodzona, tylko stworzona.

Zostałam wykluta.

Ten człowiek nie jest moim ojcem, a jednak jego słowa krążą mi w umyśle. Stanowią moje jedyne realne połączenie z przeszłością.

I mam przeczucie, że są właściwe.

– Nie będziemy niczego bronić – mówię. – Ruszymy do ataku, O'Malley. Gdy się wahasz, atakuj, zawsze atakuj, nigdy nie daj wrogowi odetchnąć.

O'Malley rzuca mi zaciekawione spojrzenie.

– Co to właściwie znaczy?

– To znaczy, że ruszamy do Ogrodu. Wszyscy co do jednego.

Idziemy odnaleźć Bello. Idziemy znaleźć drogę, która wyprowadzi nas z pokładu tego statku, a jeśli potwory staną nam na przeszkodzie, zabijemy je i wtedy już zawsze będziemy wolni.

Patrzę w jego ciemnoniebieskie oczy. Obserwuje mnie taksującym

wzrokiem.

– Em, czasami można się ciebie trochę przestraszyć.

Odpowiadam mu skinieniem głowy.

– Dziękuję.

– I co masz na myśli, mówiąc: „z pokładu tego statku”? Przecież jesteśmy w jakiejś budowli.

– Chodź już, ruszajmy. Opowiem tobie i innym, jak już będziemy wszyscy razem. Mam pewien plan.

Biegniemy w dół.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Stoję na trumnie Okadigbo.

Sala jest tak pełna ludzi, że nie widzę podłogi. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami w przejściu pełnym pyłu, siedzą na trumnach, stoją oparci o ściany. Z dołu patrzą na mnie twarze – i znajome, i nowe. Opowiadam, co wiem. Opisuję, co trzeba zrobić.

O'Malley policzył. Z liczbami trudno się pogodzić. Byłam przywódczynią dwudziestu dwóch osób; teraz dowodzę sto trzydziestką.

Jak zaopiekować się tymi dziećmi? Sama nie wiem. O'Malley też nie wie. Musimy coś wymyślić. Nie zostawimy ani jednego dzieciaka, nie pozwolimy, żeby rządzące tym statkiem zło wymazało mu nowo wykluty umysł.

Zrozumiałam zagadkę Brewera. „Skoro znaleźli was, wy znaleźliście ich”. Nasza „budowla” to o wiele więcej, niż wydawało się nam z początku. Za drzwiami, które Brewer stopił, by naszym starszym wersjom zamknąć do nas dostęp, za murami Ogrodu, leżą niezliczone sekcje tego statku.

„Skoro znaleźli was, wy znaleźliście ich”.

Kiedy otworzyliśmy drzwi do pustej sekcji, jak nazwał ją Brewer, przełamaliśmy jego blokadę. Czy Matylda wiedziała, że dzieci mogą kiedyś wyjść z trumien i wtedy ostatecznie trafią do Ogrodu? Może. Może całe wieki czekała, aż w Ogrodzie pojawi się ktoś w białej koszuli i czerwonym krawacie – znak, że w linii obrony Brewera powstała wreszcie jakaś luka.

Matylda porwała Bello w Ogrodzie. Znajdziemy ścieżkę, którą podeszły nas potwory, i podkradniemy się tą samą drogą, żeby je zaatakować.

Pochwycimy jednego ze Starszych. Zmusimy tego potwora, żeby powiedział nam wszystko, czego nam trzeba: gdzie jest Bello, gdzie jest wahadłowiec i jak go obsługiwać.

Widzę wpatrzonych we mnie ludzi. Opowiadam im o Matyldzie, Brewercie, łupinach i pojemnikach. O „Xolotlu” i Kryształowej Kuli. Opowiadam im o Omeyocanie i o wahadłowcu, który nas tam zabierze,

jeśli uda się nam go znaleźć.

Mówię, że jesteśmy ścigani.

Mówię, co Starsi nam zrobią, jeśli nas schwytają.

A potem przedstawiam im swój plan.

Tak jak się spodziewałam, Aramowskiemu się on nie podoba.

– To absurdalne – protestuje. – Przez ciebie wszyscy zginiemy.

A nawet jeśli jakimś cudem uda nam się przeżyć, bogowie będą na nas wściekli za naszą zuchwałość.

Używa teraz większych słów. Robią to wszyscy starsi wśród nas, w tym i ja. Chyba stawało się tak stopniowo, ale dopiero teraz to zauważam – zwłaszcza w wypowiedziach Aramowskiego. Nie podoba mu się mój plan, bo jest absurdalny i zuchwały? Coś mi mówi, że nie podobałby mu się żaden plan przedstawiony przeze mnie. Ma ochotę zaprzeczać mi zawsze, żeby ludzie biorący go za „wybrańca” zwracali na niego jeszcze więcej uwagi.

Sprzeciwia się, ale tak jak myślałam, w tej chwili jego zdanie się nie liczy – bo wierzą we mnie moi przyjaciele.

– Uda się – mówi Bishop. – Damy radę ich pokonać, wiem, że tak.

Kółko-gwiazdy wydają pomruki. Uderzają się w pierś. Popierają Bishopa, a on popiera mnie. Dopóki tak będzie, Aramowski nic nie może zrobić. W tej sali jest pięć kółko-gwiazd, które aż palą się do walki, a ja właśnie zamierzam im ją zapewnić. Nie ma tylko El-Saffanich – bliźniaki przygotowują coś na korytarzu.

Bishop, Coyotl, Visca, Farrar i chłopak El-Saffani poobrzynali nożem O'Malleya postrzępione nogawki swoich spodni, które teraz mają mniej więcej taką długość jak krótkie spódniczki Bawden i dziewczyny El-Saffani. Wydaje mi się, że kółko-gwiazdy ponacinały sobie również skórę, żeby zrobić świeżą papkę z pyłu. Od stóp do głów pokrywa je czerwona szarość – to prawie barwa krwi potwora.

Bez koszul, z gołymi nogami, oblepione papką, którą powgniaty sobie także we włosy, wszystkie kółko-gwiazdy wyglądają identycznie. Trudno nam nawet odróżnić chłopaków od dziewczyn.

O'Malley odzyskał nóż. Bawi się nim, w zamyśleniu przerzucając go z ręki do ręki. Znów ma ten wyraz twarzy, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale nie przy wszystkich.

– Wyduś to z siebie, O’Malley – zachęcam go. – O czym tak myślisz?

Obrzuca spojrzeniem całą salę – wszyscy czekają, co powie.

– Te bransoletki – zaczyna. – Odłożyliśmy poszukiwania Bello, bo potwory mogą trafić nas na odległość. To się nie zmieniło, więc dlaczego mamy atakować je teraz?

Głowy potakują, ręce krzyżują się na piersiach. Rozumiem, dlaczego chciał mnie o to spytać na osobności, ale mam gotową odpowiedź.

– Starsi chcą brać nas żywcem – mówię. – Od tego zależy ich własne życie. Nie umieją nas rozpoznawać, w każdym razie nie od razu. Moim zdaniem to da nam dość czasu, żeby wykorzystać naszą szybkość i dopaść ich, zanim się połapią, kto jest im potrzebny.

– Twoim zdaniem? – powtarza Spingate. Ona też ma ręce założone na piersi. – A co, jeśli się mylisz? Co, jeśli po prostu będą do nas strzelać?

Bawden uderza się pięścią w pierś.

– Wtedy umrzemy – warczy. – Umrzemy podczas ataku, zamiast chować się tutaj jak tchórze.

Kółko-gwiazdy ryczą w wyrazie aprobaty. Pięknej brązowej skóry Bawden wcale nie widać – dziewczyna jest czerwono-szara, w barwach wojennych.

Podejmuję wątek.

– Żeby mieć największe szanse na przeżycie, nigdy nie zostawajmy sami – radzę. – Starsi z nas będą się trzymać w małych grupach, w czwórkach. Nie rozdzielajcie się, nawet w trakcie walki. Młodsze dzieci ochronią Beckett i Smith.

Ponad sto główek obraca się w stronę wymienionej dwójki. Beckett o włosach rudoblond uśmiecha się nieswojo. Chuda Smith nadrabia miną, próbuje wyglądać groźnie. Nie do końca udaje się jej ukryć strach.

Jesteśmy prawie gotowi, ale Aramowski nie chce dać za wygraną.

– To potwory. – Kiedy mówi, rozgląda się i zwraca do swoich zwolenników. – Zesłane przez bogów. Musimy z nimi pomówić, błagać o miłosierdzie. Widziałem, do czego są zdolne. Posłuchajcie mnie, jeśli nie chcecie skończyć jako stos odrąbanych rąk, nóg i głów. Poza tym, co

dobrego przyjdzie nam z trzymania się czwórkami? Jeśli chcesz bitwy, Em, wyślij kółko-gwiazdy – mają przynajmniej te swoje maczugi.

Zeskakuję z trumny i podchodzę do otwartego wyjścia.

Machnięciem ręki zapraszam do środka El-Saffanich.

Wchodzą. Chłopak El-Saffani wnosi wielkie naręcze kości udowych. Dziewczyna El-Saffani rozdaje je po kolei wszystkim starszym z nas, począwszy od Becketta i Smith.

Biorę jedną z nich i z powrotem wskakuję na trumnę: w jednej ręce kość, w drugiej włócznia.

– Teraz wszyscy mamy maczugi – podsumowuję.

Rzucam kość Aramowskiemu. Ten łapie ją odruchowo i gapi się na nią zaskoczony.

– Wszyscy idziemy, Aramowski. Wszyscy walczymy.

Stojąc na trumnie Okadigbo, jestem najwyższa w tym pomieszczeniu.

Może nie potrafię przemawiać tak gładko jak Aramowski, ale starałam się uważać. Obserwowałam reakcje innych i odkrywałam w pewnych słowach magiczną moc, która narzuca ludziom, jak się czuć albo jak odpowiadać... Tych słów teraz użyję.

– Aramowski ma rację co do jednego – przyznaję. – Są tu potwory. Jeśli nie zesłali ich bogowie, mamy prawo bronić się przed nimi. A jeśli to faktycznie bogowie je zesłali, zobaczą, na co nas stać i okażemy się godni. Nikt nie przyjdzie nam na ratunek. Nikt nie przyjdzie nas ocalić. Nie będziemy kulić się ze strachu w tej sali, aż ktoś inny zadecyduje o naszym życiu i śmierci.

Wpatruje się we mnie tyle twarzy, wielkich, szeroko otwartych oczu, tyle ciał lekko wychyla się w moją stronę... Ci ludzie są przerażeni. Rozpaczliwie potrzebują jakiegoś błysku nadziei.

Jest jeszcze jedno słowo mocy, które oszczędzam na koniec, powiązane z „ratunkiem”, ale większe, silniejsze. Wiem, że jeśli użyję go jak należy, pójdą za mną wszyscy, nieważne dokąd.

– Nikomu nie damy się ścigać – mówię. – Nikomu nie damy się wymazać. Wiem, że to zadanie niemal ponad siły, zwłaszcza dla nowych dzieci, ale idziemy do Ogrodu. Uratujemy Bello, jeśli będzie to możliwe. Ruszymy do ataku i albo zwyciężymy, albo zginiemy.

Unoszę włącznię wysoko i sięgam po to ostatnie słowo.

– Skoro nikt nie może nas uratować, to sami... wyrwiemy się... na wolność.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Wspólnie maszerujemy na Ogród.

Ja niosę włócznię.

O'Malley trzyma nóż.

Wszyscy inni mają przy sobie kościomaczugi. Wszyscy poza dziećmi. „Dzieci”... czy tak powinniśmy je nazywać? To my byliśmy dziećmi albo dzieciakami, to tak określaliśmy się w myślach. Ale nie jesteśmy ani dzieciakami, ani nastolatkami, ani dorosłymi. Jesteśmy wszystkim po trochu.

Dzięki zdolnościom organizacyjnym Bishopa poruszamy się jak jedna całość. Moi przyjaciele są i z przodu, i na końcu grupy. Między nimi ponad setka dzieci w białych koszulach maszeruje w trzech długich, równych kolumnach.

Czy jeszcze się boimy? Bardzo. Wszędzie wokół widzę młode twarze ściągnięte strachem, ale zdradzają też inne emocje. Jest w nich wściekłość – ktoś chciał nas wykorzystać i wyrzucić, zabrać nam ciała i przerobić nas na swoje podobieństwo. Jest poczucie wspólnoty – wszyscy walczymy nie tylko o samych siebie, ale i jedni o drugich. I jest też najświeższe ze wszystkich uczuć: nadzieja – wizja planety przyrzeczonej nam na własność.

Nasze miejsce jest na niej, na dole. Po to zostaliśmy stworzeni.

Ale jesteśmy uwięzieni na statku, gdzie chcą nas zabić potwory. Potwory są tu od tysiąca lat; teraz, gdy wiedzą, że już nie śpimy, chcą nas odnaleźć. Jesteśmy głodni, a znamy tylko jedno miejsce z pożywieniem. I tam na nas czekają.

Nie damy im długo czekać.

Nikomu nie damy się wykorzystać. Nie pozwolimy im nas odmienić. Uważają, że jesteśmy ich własnością?

Są w błędzie.

Maszerujemy. Ślady prowadzą nas do portalu, który odkryli Gaston i Spingate. Nadal jest zamknięty, kamienne połowy drzwi przylegają szczelnie do siebie.

Unoszę włócznię. Wszyscy się zatrzymują. Odwracam się do

moich ludzi.

– Okereke, Johnson, Gaston, przygotujcie pochodnie.

Gaston z dwójką mojego kółko-rodzeństwa biegnie na czoło pochodu. Johnson tuli w ramionach może z dziesięć długich kości. Okereke niesie zawiniątko z czarnych szmat; to poobrzynane nogawki spodni chłopaków kółko-gwiazd. Nie mamy teraz smaru, którego użyliśmy za pierwszym razem. Te nowe pochodnie nie wystarczą na długo – musimy przemieszczać się szybko i liczyć na to, że dotrzemy do tunelu w gęstwinie, zanim się wypalą.

Szykujemy dziesięć pochodni, ciasno obwiązując kości tkaniną. Trzy dla Bishopa, trzy dla Farrara, dwie dla O'Malleya, który pobiegnie ze mną na czele, i dwie dla Smith i Becketta, mających zabezpieczać tyły.

Zwracam się do wszystkich z pochodu wypełniającego korytarz:

– Będziemy mieć niewiele czasu, zanim skończy się nam światło.

Trzymajcie się blisko tego, kto jest przed wami. Nie zwracajcie uwagi na boczne sale. Kółko-gwiazdy pobiegną przodem i upewnią się, że nikogo w nich nie ma.

Mam nadzieję, że w salach będzie pusto. Jeśli będziemy musieli zacząć walkę przed dotarciem do Ogrodu, na pewno skończymy w ciemnościach.

Ciemność. Jeśli nas opadnie, nie wytrzymam tego. Załamie się. Przez moment znowu leżę w trumnie, obezwładniona grozą i poczuciem uwięzienia w pułapce... ale odpędzam tę wizję. Zdażymy na czas. Nie zostanę w ciemności, nie zostanę. Doprowadzę wszystkich tam, gdzie musimy dojść.

Obracam się w stronę Spingate.

– Otwieraj.

Zabiera się do dzieła, manipulując berłem.

Stoję przed drzwiami. Bishop i El-Saffani tłoczą się po mojej prawej, Farrar, Visca i Bawden po lewej.

– Już – ogłasza Spingate.

Drzwi rozsuwają się ze zgrzytem.

Za nimi – mrok.

Zdażymy na czas, zdażymy...

– Zapalcie pochodnie – rozkazuję.

Berło bucha jasnym płomieniem. Kółko-gwiazdy zapalają po jednej pochodni dla każdej z grup i puszczają się biegiem przed siebie. Widzę, jak wpadają do ciemnych sal i wypadają z nich, kierując się w głąb korytarza. Mają sprawdzić, czy stwory Matyldy nie czyhają za drzwiami i nie pochwycą nas, gdy będziemy je mijać.

Po mojej prawej stoi O'Malley. W jednej dłoni trzyma nóż, w drugiej dwie ciemne jeszcze kość-pochodnie.

Czekam, aż kółko-gwiazdy zapuszczą się tak daleko, że prawie znikną mi z oczu.

– Teraz – rzucam. – Szybkie ruchy, trzymać się razem. Spingate, zapalaj.

Koniec berła znów strzela jasną łuną. O'Malley przytyka swoją pochodnię do płomienia. Czarny materiał ożywa z głośnym „huff”.

Biegniemy.

Ależ nas dużo. Odgłos naszego biegu odbija się od kamiennych ścian echem grzmotu.

Za sobą słyszę płacz dzieci. Są przerażone i trudno im się dziwić. Każemy im biec jak najszybciej w ledwie oświetlany pochodniami mrok, by nie mogły dopaść ich potwory, których nigdy nie widziały. Te maluchy obudziły się zaledwie kilka godzin temu. Dopiero co nas poznały, a wszystko, co mówimy, zmuszone są przyjąć na wiarę. Żadne z nich, przynajmniej na razie, nie odważyło się nam sprzeciwić. Jestem pewna, że to nastąpi. Liczę, że to nastąpi, bo będzie oznaką poczucia bezpieczeństwa, w którym możemy pozwolić sobie na luksus dyskusji. Czy terroryzujemy te dzieci, by robiły, co im każemy? Owszem, pewnie tak, ale dla ich własnego dobra.

O'Malleyowi wśród głośnych trzasków dogasa pierwsza pochodnia. Zapala drugą. Wiem, że na końcu naszej grupy Smith robi w tym momencie to samo. Daleko z przodu Bishop i Farrar już jakiś czas przyświecają sobie drugimi pochodniami, pewnie zaraz zapalą ostatnie.

Światło prawie nam się kończy.

Szkoda, że nie ma z nami Latu. Z radością walczyłaby u naszego boku. Bez wahania broniłaby dzieci, nie cofając się przed niczym, co konieczne.

Latu, Yong, Bello...

Kiedy będzie już po wszystkim, kogo jeszcze zabraknie?

Refleksy światła igrają na ścianach i ciemnym suficie. Wiemy, dokąd zmierzamy, więc dotarcie na miejsce nie zajmuje nam dużo czasu.

W końcu widzimy, że przed nami kółko-gwiazdy już się zatrzymały. Dotarliśmy do sali z tunelem w gęstwinie.

Bishop staje przede mną, jakby sprawdzał, czy nie zmieniłam zdania. Nie zmieniłam. Będziemy trzymać się planu. Światło pochodni lśni w białkach oczu Bishopa, migocze na pokrywającej go czerwonej szarości.

Wyczuwam w nim złość i determinację, ale też coś na kształt smutku. Wiedzie nas do boju nie z powodu żądzy walki, ale z konieczności – wie, że to nieuchronne i właśnie on najlepiej się do tego nadaje. Odebrał komuś życie i choć należało ono do potwora, ten czyn ciąży mu na sumieniu.

Kółko-gwiazdy gromadzą się wokół mnie. Tym razem są wszystkie: siedmiu czerwono-szarych wojowników, gotowych nas poprowadzić.

– Kończą się nam pochodnie – mówię. – Wejdźcie do Ogrodu i upewnijcie się, że jest bezpiecznie, że całą resztą możemy pójść za wami. Jeśli zobaczycie potwory, w miarę możliwości bierzcie je do niewoli, ale jeśli będziecie musieli je zabić, żeby przeżyć, zabijajcie.

Siedem głów potakuje jednocześnie. Naprawdę wszyscy wyglądają tak samo. Jeśli moi ludzie są włóczęgami, kółko-gwiazdy stanowią jej ostrze.

Bishop wpycha przez dziurę swoją kościomaczugę, po czym sam wciska się do środka. W ślad za nim idą bliźniaki, potem Farrar, Coyotl, Visca i wreszcie Bawden.

Najsilniejsi z nas poszli przodem, ale to nie znaczy, że pozostaliśmy słabi.

Pochodnia O'Malleya zaczyna migotać.

Znowu opadnie mnie ciemność... będę w pułapce...

Czyjaś ręka ściska mocno moje ramię. O'Malley pochyla się blisko i szepcze:

– Trzymaj się, Em. Jesteśmy już prawie na miejscu. Nie bój się.

Biorę głęboki wdech, zatrzymuję, wypuszczam powietrze powoli. Ciemność jeszcze nas nie dopadła. Staram się o tym nie myśleć – zając się rozmową, omówić ostatnie punkty planu.

– Smith, Beckett – wołam – chodźcie tu.

Oboje przesuwają się między kolumnami dzieci. Oboje trzymają w rękach kościomaczugi. Chuda Smith ma twarz kamienną, surową. Jest przygotowana. Za to Beckett wygląda, jakby miał się zaraz porzygać.

– Postarajcie się, żeby dzieci były cicho – mówię – i bądźcie gotowi przybiec na nasz sygnał. Jeśli potwory zaatakują, sami musicie odpierać je na tyle długo, żeby wszystkie dzieci zdążyły przedostać się przez tunel.

Smith potakuje szybkim skinieniem. Beckett się poci.

Wiem, że to ryzykowne, zostawiać tylko dwie osoby do ochrony dzieci. Matylda może zaatakować w każdej chwili. Ale wszystkich innych potrzebujemy na przedzie, do szukania wyłomu, przez który potwory wdarły się do Ogrodu.

Słyszę głos Bawden po drugiej stronie drzwi:

– Em, droga wolna.

Całe szczęście, zaraz będzie jasno...

Ostatnią chwilę poświęcam, żeby zwrócić się do przyjaciół:

– Pamiętajcie, trzymajcie się swoich czwórek. Starajcie się być jak najciszej, bo potwory mogą nie wiedzieć, że tu jesteśmy. Kto znajdzie wejście, krzyczy. Jeśli usłyszycie taki krzyk, już nie trzeba być cicho, od razu ruszajcie w to miejsce. Jeśli zobaczycie potwora z bransoletką, jego musicie zaatakować najpierw. Bez wahania. Wszyscy rozumieją?

Potakują zdecydowanie. Wiedzą, że to ich jedyna szansa na przeżycie. Bardziej gotowi chyba już nie będą.

Wrzucam włócznię do otworu, potem ruszam w ślad za nią. W chwilę później wczolguję się już do świńskiego tunelu w gęstwinie. Moi przyjaciele są tuż za mną.

Światło z zakrzywionego dachu oblewa salę blaskiem. Ucisk w mojej piersi robi się lżejszy, potem mija. Nie jestem już w ciemności – dobre i to.

Wyczołguję się i staję pod jednym z owocowych drzew. Chwilę trwa, zanim zauważam kółko-gwiazdy, mimo że są całkiem blisko. Ich

czerwono-szare ciała zlewają się z tłem, z drzewami i cieniem, przez co stają się prawie niewidoczne.

Przechodzę w lewo. Ze mną moja grupa: Spingate, Aramowski i Gaston. Zatrzymałam przy sobie Spingate, bo czuję potrzebę, by ją chronić, zadbać, by nic się jej nie stało. Gaston nie zostawia jej na krok, więc włączyłam go do swojej grupy, żeby nie ryzykować sprzeczki na oczach wszystkich. Co do Aramowskiego, jemu nie ufam – nie zamierzam spuszczać z niego wzroku.

Zza drzewa wysuwa się Bishop. Bez słowa wskazuje na kolejne grupy, a potem na miejsca, w które mają się udać. Pokazuje na mnie, potem na siebie, wreszcie w prawo. Tak jak planowaliśmy, obie nasze grupy zbadają teren, gdzie porwano Bello. To najbardziej prawdopodobne położenie ukrytego wejścia, którym posłużyła się Matylda.

W grupie z Bishopem jest El-Saffani – jakżeby inaczej – oraz D'Souza, kółko-dziewczyna. Swoją maczugę trzyma tak, jakby się jej bała. Cała czwórka szybko sunie przez sięgającą kolan trawę. Moja grupa rusza za nimi.

Światło ustępuje miejsca cieniowi drzew, trawa pnączom, a potem wkraczamy w gęstsze poszycie. Pod stopami chrzęszczą nam kruche liście, przegniłe owoce i wyschłe gałązki, więc trudno poruszać się cicho. Przed sobą ledwo dostrzegam D'Souzę. Bishopa i bliźniaków nie widać wcale.

Dochodzimy do gęstwiny porastającej ścianę Ogrodu. To gdzieś tu potwory uprowadziły Bello.

Całą ósemką rozstawiamy się i zaczynamy sięgać rękami w gąszcz. Splątane łodygi tworzą warstwę tak głęboką, że dopiero kiedy odwracam głowę w bok i przyciskam do nich policzek, końcami palców dotykam ściany. Być może gdzieś w pobliżu któreś z nas wyczuje brak kamienia.

– Em.

Szept jest cichy, ale wzdrygam się tak, że wyszarpuję rękę, rozrywając sobie skórę o grube łodygi pnączy. To Bishop. Podszedł do mnie zupełnie bezszelestnie.

Rękę znaczy mi głęboka rysa. Na ziemię ścieka kilka kropli krwi. Bishop wskazuje moją włócznię.

– Rób to tym – mówi, odchodzi kilka kroków i sam zaczyna szturchać gęstwinę swoją kościomaczugą.

Patrzę na włócznię, jakbym o niej zapomniała. Wbijam ją grotem w łodygi, aż słyszę stuknięcie w kamienny mur. Próbuję znowu, ale chyba gdzieś głębiej grot blokują pnącza.

To dużo lepsze niż sięganie tam ręką.

Posyłam Bishopowi spojrzenie i uśmiech. Uśmiecha się w odpowiedzi, jego oczy i zęby aż świecą w czerwono-szarej twarzy.

Z prawej dochodzi okrzyk którejś z dziewczyn.

Bishop już pędzi w tamtą stronę, przedzierając się przez zarośla. El-Saffani jest tuż za nim. D'Souza jakby się wahała, zostać czy biec, ale potem goni za resztą grupy.

A więc to już... ruszamy do walki. Na myśl, że któryś z tych stworów może mnie złapać – chwycić w pomarszczone, pająkowate, czarne szpony – prawie staję jak wryta. Prawie. Tym razem nie pozwolę, żeby strach mnie powstrzymał.

Wymieniam spojrzenie ze Spingate, potem z Gastonem i Aramowskim. Spingate ma w ręku berło. Gaston i Aramowski niosą kości udowe. W ich rękach broń wygląda niezdarnie i topornie.

– Trzymajcie się razem – mówię. – Jak zobaczycie potwora, walcie z całej siły.

Potakują, ich oczy są szeroko otwarte. Gdyby było bezpiecznie, Aramowski może by się ze mną sprzeczał, ale nie teraz.

Kolejny krzyk, tym razem jakiegoś chłopaka, gdzieś daleko po lewej.

I jeszcze jeden za nami, wśród traw.

Atakują nas.

Spingate obraca się w kółko, zaciskając ręce na wysadzonym klejnotami berle. Nie wie, dokąd biec. Ja też nie.

Słyszę ryk Bishopa, słyszę bliźniaki El-Saffani, chłopięco-dziewczęcy jeden wściekły wrzask. Z całego Ogrodu dobiegają głosy wojowników o twarzach jak popiół, zawołania „Kto tam?” i gniewne okrzyki, a do tego dołącza wycie z bólu i strachu.

W jednej chwili opadają mnie wątpliwości: popełniłam błąd. Mój plan był zły, nie powinnam była dzielić nas na grupy – musimy trzymać

się wszyscy razem, walczyć wszyscy razem. Strach dopada mnie i chwytą w kleszcze, po raz kolejny mnie paraliżuje...

Nie.

Matylda nie może wygrać, nie może porwać już nikogo więcej.

Jestem przywódcą. Moi ludzie mnie potrzebują.

Unoszę włócznię wysoko. Ryczę tubalnym głosem – nie sądziłam, że potrafię tak głośno:

– Wszyscy do mnie! Przebijajcie się w moją stronę!

Spingate, Gaston i Aramowski gapią się na mnie w szoku. Z całego Ogrodu, z różnych punktów lasu dobiegają w odpowiedzi okrzyki bojowe moich ludzi. Usłyszeli mnie i popędzają się nawzajem w naszą stronę.

Gęstwina za moimi plecami szeleści. Obracam się, ale już czyjeś ramię oplata mi brzuch jak wąż, a zimna, koścista czarna dłoń zaciska mi się na ustach. Pod nosem czuję sękaty palec, śmierzzące zgnilizną, rozkładem, ale i czymś sztucznym.

Szarpięcie w tył wciąga mnie w głąb gęstwiny. Zdrewniałe łodygi drapią mi skórę i chwytają za włosy. Z całych sił wierzgami nogami, staram się złapać czegokolwiek choćby końcami palców. Za nogi ciągną mnie czyjeś ręce, ale te są ciepłe i próbują wydobyć mnie z powrotem na światło.

Przez sekundę wiszę w bezruchu, jak żywy przedmiot zabawy w przeciąganie liny, a potem ciepłe ręce ześlizgują się z moich nóg. Pnącza i liście znikają; jestem po drugiej stronie ściany. Ktoś ciągnie mnie po twardym podłożu. Ciemno tu, światła tak mało, że ledwie coś widać.

Moja włócznia zniknęła.

(Atakuj, atakuj, gdy się wahasz, atakuj).

Łapię szponiastą rękę zakrywającą mi twarz, wpycham sobie do ust smrodliwy palec i zagryzam z całych sił.

Coś kruchego pęka mi w zębach, tryska na język strugą o smaku śmierci.

Słyszę nieludzki wrzask. Ręka potwora puszcza moją twarz, ale ta w pasie nadal trzyma mnie mocno, a teraz chwytają mnie jeszcze dwie nowe ręce, które oplatają mi ciasno klatkę piersiową i lewe ramię.

Drapię palcami i wierzgam.

– Puszczajcie! Bo zabiję!

Słyszę, jak coś z impetem wypada z gęstwiny. Widzę błysk mojej włóczni. Zimne ręce spadają ze mnie. Gramolę się na nogi, gotowa do walki.

Staję twarzą w twarz z Aramowskim.

Trzyma włócznię, z jej grotu kapie coś czerwono-szarego. Zaraz i mnie nią uderzy, myślę w pierwszej chwili, ale w jego oczach widzę przerażenie. Pierś unosi mu się i opada, a broń drży mu w rękach.

Odwracam się ku moim napastnikom.

Stwory są dwa, ledwo widoczne w tym półmroku na tyłach gęstwiny. Wbijają w nas czerwone, wirujące oczy. Większy z nich jest zgięty wpół, trzyma się za nogę. Przez czarne szpony palców wytryskują mu czerwono-szare strugi, ściekając na metalową podłogę. Potwór wygląda w jakimś sensie znajomo, choć nie potrafię skojarzyć dlaczego.

Drugi mocno przyciska sękaty palec do pomarszczonego prawego ramienia. Czerwono-szara ciecz sączy mu się po ręce i klatce piersiowej.

Ten potwór jest tylko odrobinę niższy ode mnie.

Jeden rzut oka i wiem.

Patrzę na Matyldę Savage.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Panuje tu taki półmrok, że zastanawia mnie, czy potwory swymi czerwonymi oczami nie widzą lepiej niż ja. Po co światło stworom zrodzonym z cienia? Ten ranny w nogę wygląda, jakby się na nas gapił. Puszczą krwawiącą ranę i prostuje się.

Ależ jest wysoki.

Nie, nie gapi się na nas – gapi się na Aramowskiego.

Czerwone oczy zmieniają się, jakby łagodnieją.

Stwór wyciąga sękata, pokrytą krwią rękę ku Aramowskiemu, nie po to jednak, by go schwytać, nie w geście agresji. Wyciąga ją, jakby chciał go dotknąć.

– Wreszcie – mówi głosem suchym jak dźwięk łamanych gałązek.
– Tak długo czekałem.

Aramowski opuszcza grot włóczni.

Szczęka mu opada. Mruga powoli z zaskoczenia. Koszulę, zawsze czystą i elegancką, ma w wielu miejscach podartą, a jej biel plamią rozszerzające się pręgi czerwieni. Najwyraźniej torował sobie drogę w gęstwinie, nie zważając na ból.

Przedarł się siłą, żeby mnie uratować.

Teraz jednak nie odrywa wzroku od potwora; widzi pierwsze żywe stworzenie, które jest od niego wyższe.

– Ty – odzywa się Aramowski. – Czy ja jestem... czy ja jestem tobą?

W wyszeptanym przez niego pytaniu pobrzmiewa naraz szok i zrozumienie, jak w moim własnym głosie podczas rozmowy z Matyldą. Aramowski pyta, ale odpowiedź już zna.

Pozbawiony ust koszmar kiwa głową.

– Pójdź ze mną. Taka jest wola bogów.

Aramowski wypuszcza włócznię, która pada z łoskotem na twardą podłogę.

– Mój stwórcy – szepcze, podchodząc o krok.

Czy on zwariował? Może działają czymś na niego, żeby się tak poddawał? Łapię go za rękę i próbuję odciągnąć w tył.

Wysoki potwór wzywa go do siebie ruchem palców, życzliwym, zachęcającym gestem.

– Pójdź – mówi. – Łącząc się ze mną, uczynisz słuszenie.

Aramowski zachowuje się, jakby nawet nie zauważył, że ciągnę go za rękę. Kroczy ku stworowi, wlokąc mnie za sobą.

Kątem oka dostrzegam jakiś nagły ruch... to Matylda sięga po leżącą włócznię.

Puszczam Aramowskiego i rzucam się na nią, młóćąc rękami i kopiąc. Trafiam pięścią w coś tak miękkiego, że rozgniała się od uderzenia. Słyszę okrzyk bólu i moja stworzycielka pada na bok. Chwytam włócznię, której znajomy ciężar momentalnie dodaje mi otuchy.

Wymierzam grot w Matyldę, przysuwam go tak blisko jej piersi, że obie wiemy, co przez to rozumiem: jeśli choćby drgnie, uderzę. Rękami zakrywa sobie prawe oko. Półmrok i powykrzywiane paluchy to jednak za mało, żeby całkowicie ukryć skutki urazu. Wyłupiaste wcześniej oczysko zwisa jej teraz jak pęknięty owoc. Jakaś gęsta, żółtawoszara maź, błyszcząca w słabym świetle, spływa po jej twarzy i gromadzi się w obrzydliwych pionowych fałdach zasłaniających usta.

Oglądam się na Aramowskiego. Stoi twarzą w twarz z wysokim stworem. Obejmują się: krwawe ręce w białych rękawach na pomarszczonej, czarnej skórze, czarne ramiona na białej, zakrwawionej koszuli.

Aramowski przytula się policzkiem do czarnej piersi potwora.

Nagle gęstwina za moimi plecami trzęsie się i trzeszczy jak od nagłego ataku burzy. Przedziera się przez nią coś wielkiego, silnego, ciężkiego. Błysk szarej czerwieni, mięśni i wirujących liści. Powietrze smugą bieli przecina kościomaczuga, która o włos mija głowę Aramowskiego i trafia potwora w twarz.

Maczuga pęka na dwoje – jedna część wylatuje w powietrze i znika w mroku, druga pozostaje w rękach Bishopa.

Pod wysokim potworem uginają się nogi. Wiotcząc, wyslizguje się z objęć Aramowskiego, okręca i pada twarzą na ziemię.

Bishop daje krok naprzód. W dłoni trzyma złamaną kość. Jej poszarpany koniec sterczy w dół jak ostrze noża.

Aramowski stoi jak porażony. Widzi, że jego stwórca próbuje się odczołgać.

Bishop unosi wysoko swój kościosztylet.

Aramowski wyrzuca ręce przed siebie, by zablokować cios, ale się spóźnia.

Złamana kość zatapia się głęboko w czarnych plecach potwora.

Wszystko zamiera.

Jedynym słyszalnym dźwiękiem jest dyszenie Bishopa.

Krwawi z ramienia, z czoła. Krew spływa grubymi czerwonymi ścieżkami po ciemnym pyłe pokrywającym mu ciało.

Stoi tak z falującą pierśią, patrząc z góry na swoje dzieło, a potem chwytą za kość i wyszarpuje ją z rany.

Przez ciało wysokiego potwora przebiega dreszcz. Ostatnim wysiłkiem, powoli, przetacza się na wznak. Ignorując obecność Bishopa, wyciąga drżącą rękę w stronę Aramowskiego.

– Tak... blisko – wyszeptuje.

Zwiotczała ręka opada na podłogę.

Potwór Aramowskiego nie żyje. Odwracam się do mojego.

Matylda ani drgnie, podobnie jak moja włócznia.

Jeśli umrze, już zawsze będę wolna.

Naciskam ją grotem. Wciąż zasłaniając oko rękami, Matylda pełźnie do tyłu, aż opiera się o metalową ścianę; dalej już nie może się cofnąć. Choć jej twarz nie przypomina ludzkiej, rozpoznaję na niej wyraz strachu.

Jest przerażona. I tak jak lęk Aramowskiego nad grobem Latu, trwoga Matyldy podnieca mnie, karmię się nią. Czuję mrowienie na całej skórze i trzepotanie w żołądku.

Ta ohyda stworzyła mnie tylko po to, żeby mnie zniszczyć, ale to ja zniszczę ją.

Mocniej zaciskam ręce na włóczni. Wystarczy jedno silne pchnięcie...

Cała się trzęsie. I boi. I krwawi.

Nagle moja radość z jej lęku wyczerpuje się, znika.

Ona to ja.

Nie... ona to nie ja. Ja nie jestem nią.

Dłoń na moim ramieniu. Oglądam się i widzę O'Malleya. Nóż, rękę z nożem i rękaw ma całe umazane czymś czerwono-szarym. Czerwona krew – jego krew – ścieka mu z głębokiego rozcięcia na policzku i plami biały kołnierzyk.

– Em, nie – odzywa się cicho. – Jest nam potrzebna.

Po dłuższej chwili dociera do mnie, że to naprawdę on, a nie jakiś wytwór mojej wyobraźni. Nadal przyciskam czubek grotu do piersi Matyldy. Oczy oswoiły mi się już z ciemnością, widzę teraz więcej. Są z nami moi ludzie: Bishop i jego wojownicy z maskami pyłu na twarzach, El-Saffani, Spingate i Gaston, Coyotl i Okereke, Cabral i Bordżigin, wszyscy. Trochę dalej Smith i Beckett w otoczeniu całej masy zbitych w gromadkę, przerażonych dzieci.

Aż się boję uwierzyć własnym oczom.

– Udało nam się?

O'Malley potakuje.

– Potwory zaatakowały. Nie miały bransoletek z bronią. Sam nie wiem dlaczego. Próbowaly nas łapać. Dzięki temu, że byliśmy podzieleni na czwórki, wszystkim udało się je przepędzić. Niektóre zabiliśmy... to było straszne, Em. – Na chwilę zamyka oczy. – My byliśmy straszni.

Kiedy unosi powieki, jego twarz przybiera wyraz, którego nie widziałam na niej nigdy wcześniej. Cokolwiek przeżył tam, w Ogrodzie, cokolwiek zrobił, chce o tym zapomnieć.

– Potwory uciekły – dodaje. – Wtedy wróciliśmy po dzieci. Twój plan, Em... twój plan zadziałał.

Moi ludzie żyją.

– Straciliśmy kogoś?

Kiwa głową.

– Harrisa, kółko. Nie żyje.

Harris. Wiedziałam o tym chłopaku tylko tyle, że chyba mi nie ufał. Nawet nie miałam okazji z nim porozmawiać. A teraz już go nie ma.

Widzę, że Bishop mi się przygląda. Nadal dyszy. Czy to z wysiłku, czy z emocji po odebraniu kolejnego życia?

Wracam wzrokiem do Matyldy.

– Przegrałaś – oświadczam. – Zabierzesz nas teraz do Bello, a potem do wahadłowca.

Nawet jednym okiem potrafi spojrzeć gniewnie. Cała drży, na pewno także z ogromnego bólu, ale trzyma się prosto, tak jak przywódca powinien. Nie zamierza dać za wygraną.

– Nigdzie was nie zabiorę. A twoja przyjaciółka Bello nie żyje. Spóźniłaś się.

Mówi tonem szyderczym i zarazem oskarżycielskim, jakby to była moja wina, że Bello nie ma. Bello nikogo nie skrzywdziła, z nikim się nawet nie kłóciła. Przez głowę przetacza mi się kamienna lawina gniewu, nasilająca się bez końca... To niemożliwe, niemożliwe.

Pochylam się tak blisko Matyldy, że czuję jej zgniły smród. Przesuwam koniec grota w miejsce, gdzie powinno być jej gardło. Wciskam go między te obrzydliwe fałdy skóry.

– Kłamiesz – szepczę. – Powiesz mi, gdzie jest Bello, a potem zabierzesz nas do wahadłowca albo z tobą skończę.

Moja stworzycielka powoli kręci głową.

– Ty jesteś mną, a ja tobą – odpowiada. – Wiesz, że mówię prawdę.

Wzбира we mnie wściekłość, ale równocześnie oczy zachodzą mi łzami. Jestem prawie pewna, że Matylda mówi prawdę... prawie. Mogłabym pytać ją dalej, mogłabym ją torturować, ale jeśli Bello rzeczywiście nie żyje, to pozostawanie tu dłużej jest tylko narażaniem ludzi. „Xolotl” jest ogromny; nic o nim nie wiemy, a nasz wróg zna go jak własną kieszeń. Moi ludzie nie będą bezpieczni, dopóki nie staną na Omeyocanie.

Wiem, że znienawidzę samą siebie za tę decyzję, ale nie mam wyboru. Po raz drugi przedkładam bezpieczeństwo całej grupy nad życie jednej osoby.

– Wahadłowiec – mówię. – Zaprowadź nas do niego.

Wyrasta przy mnie Bishop.

– Em, nie – protestuje. – Musimy najpierw znaleźć Bello. To coś kłamie. Bello na pewno żyje, na pewno...

– Cicho bądź – przerywam mu głosem niewiele różniącym się od głosu Matyldy.

Twarz Bishopa hardziej, lodowaciej. Stoi aż za blisko, ten

kipiący złością mężczyzna wymalowany na ciemnoczerwono-szaro i umazany strugami krwi. Zaciska pięści. Widzę taniec tętna na jego skroniach.

Jestem świadoma, że patrzą na to inni. O'Malley, Spingate, Gaston i Aramowski, Bawden, Coyotl i cała reszta. Wiem o tym, wyczuwam to, ale cały świat zawęził mi się do jednego punktu, którym jest Bishop.

Wbijam wzrok prosto w jego ciemnożółte oczy.

– Cofnij się – mówię. – Decyzja zapadła.

Może mnie znienawidzi. Może inni też mnie znienawidzą, ale bezpieczeństwo całej grupy liczy się bardziej niż życie Bello. A nasze przetrwanie jest nieskończenie ważniejsze niż to, co cała grupa sobie o mnie myśli.

Bishopowi rozdymają się nozdrza, wykrzywiają wargi.

Ale się cofa.

Ponownie skupiam się na tym, na czym powinnam: na mojej stworzycielce.

W jedynym oku Matyldy błyszczą dumy.

– Doskonale, maleńka – mówi. – Emanujesz takim samym autorytetem jak ja, kiedy byłam w twoim...

Dopycham grot włóczni odrobinę mocniej. Ostrze wciska się w jej chore ciało, ucinając bezwartościowe słowa.

– Wahadłowiec – powtarzam. – Zabierz nas tam albo giń.

Matylda milczy przez bardzo długą chwilę.

– Nie, maleńka – odzywa się w końcu. – Wiem, jaka byłam w twoim wieku. Znam cię lepiej, niż byłabyś w stanie poznać samą siebie. Nie potrafisz mnie zamordować.

Powtarzałam sobie, że jak tylko staniemy naprzeciw siebie, to ją zabiję. Chcę wcisnąć jej ostrze włóczni w gardło, chcę na nowo poczuć jej panikę, może usłyszeć, jak błaga o litość – ale moje ręce mnie nie słuchają.

Ma rację: nie dam rady tego zrobić.

Ale muszę doprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce. Być może potwory właśnie się przegrupowują. Znowu na nas ruszą, a tym razem mogą użyć tych bransoletek.

– Jeśli nam nie pokażesz, gdzie jest wahadłowiec, zapłacisz za

wszystko, co nam wyrządziłaś – oznajmiam. – Może i masz rację. Może i nie umiem cię zabić. Na szczęście nie muszę. Bishop, zajmij się tym.

W półmroku widzę, że Bishop się uśmiecha. Kipi gniewem i frustracją. Okazja do wyładowania wściekłości na jakimś celu – dowolnym celu – sprawia mu niekłamaną, mocno złośliwą satysfakcję.

Ściskając w prawej dłoni zakrwawiony kościosztylet, podchodzi bliżej.

Matylda przenosi wzrok na Bishopa, na mnie, potem znów na niego.

Bishop unosi kość.

Matylda podrywa ręce, zasłaniając się przed ciosem otwartymi dłońmi, jakby to mogło się na coś zdać. Jej uszkodzone oko błyszczy wilgocią.

– Zabiorę was! Zabiorę was do wahadłowca!

Kładę dłoń na piersi Bishopa. Skóra pod szarą skorupą jest rozpalona.

Spogląda na mnie. Jego napięta twarz powoli wraca do normy. Opuszcza broń.

Matylda trzęsie się spazmatycznie. Jest sama, zdana na naszą łaskę.

– Bishop – mówię – daj temu czemuś tylko jedną szansę. Jeśli nie zaprowadzi nas do wahadłowca albo jeśli uznasz, że próbuje nas oszukać, zabij.

Kiwa głową.

Odwracam się do mojej stworzycielki.

– Nigdy nie dostaniesz mojego ciała, więc albo zabierz nas do wahadłowca, albo giń w tym ciele, które masz.

Ramiona jej się garbią, zwiesza głowę. Nie wiem skąd, ale wiem, że wola tego potwora wreszcie została złamana.

Zwyciężyliśmy.

CZTERDZIEŚCI

Bishop niesie Matyldę na rękach tak, jakby niósł piórko.

Zaprowadziła nas w nieznanne rejony. Biegniemy po płaskim, co znaczy, że poruszamy się wzdłuż wydrążonego walca, a nie w górę czy w dół jego zakrzywionej ściany. Wszędzie tu ciemno. Tylko po podłodze ciągną się cienkie linie świecące różnymi kolorami; to dość światła, żebym nie panikowała, ale ledwie dość.

El-Saffani znowu jest z przodu. Bishop, O'Malley i ja biegniemy kilka kroków za nimi. Naszym śladem podąża reszta, w tym trzy kolumny dzieci. Niektóre się mażą, wołają nieistniejące matki i ojców, ale nie wypadają z szyku i trzymają tempo. Niczego więcej nam teraz nie trzeba. Bawden i Visca biegną na końcu – dwójka moich wojowników o popielatych twarzach pilnuje, żeby nikt nie zaatakował nas od tyłu.

Od tak dawna jestem na nogach i podejmuję wszystkie te trudne decyzje. Nasz marsz na Ogród, walka... Napięcia we mnie zaczynają się sumować. Jestem taka zmęczona. Każdy mój mięsień krzyczy, żebym się położyła, odpoczęła, ale teraz nie możemy przystanąć. Musimy uciec, nim będzie za późno.

– Jeszcze trochę – powtarzam pozostałym – jeszcze trochę.

Wszyscy jesteście bliscy tego, by się poddać zmęczeniu. Walka w Ogrodzie musiała być zaciekła. Zostawiamy za sobą krwawy trop. Nie ma czasu na opatrzenie ran. Powinniśmy byli zabrać trochę owoców do jedzenia po drodze, ale nie pomyślałam o tym, a teraz już za późno.

Matylda każe nam biec wzdłuż niebieskiej linii. Sufit jest gdzieś wysoko, ściany kryją się w cieniu. Echo naszego biegu wskazuje, że to jakiś rozległy obszar... większy od Ogródu, większy niż wszystko, co znamy. Nie mamy czasu go badać, a nawet gdybyśmy mieli, i tak nie chcę wiedzieć, co kryje w sobie ciemność.

– Potworze – mówię do swojej stworzycielki – daleko jeszcze?

– Jesteśmy tą samą osobą – odpowiada. – Powinnaś mówić do mnie naszym wspólnym imieniem.

– Daleko jeszcze?

Wzdycha i równocześnie chyba krzywi się z bólu. Dla niej też

walka okazała się zaciekle. Czekala przy ukrytym wejściu. Wiedziala, ze przyjdziemy, jest przeciez mną, a atak na Ogród to wlasnie decyzja, ktora sama by podjela w mojej sytuacji. Zastawila na nas pułapke, ale nie docenila naszych zdolności do organizacji i współpracy. Ani naszej brutalności. Moze w jej mniemaniu wciaz jesteśmy dziećmi, które powinny latwo dac się obezwładnić.

Wszystko poszło inaczej, niż się spodziewala.

Nakłuwając gęstwinę pod ścianą Ogrodu, grotem włóczni przebiłam Matyldzie ramię. To przypadek, ale wreszcie choć raz nam się poszczęściło. Matylda straciła dużo krwi. A jeszcze teraz to wybite oko. Boli ją bardzo, ale robi, co może, by tego nie okazywać.

– Do wahadłowca już niedaleko – odpowiada mi w końcu. – Nie widzisz, że twoi ludzie są wyczerpani, mała przywódczyni? Mamy mnóstwo czasu, żeby się zatrzymać i odpocząć.

Wyczuwam, że kłamie o tym odpoczynku, ale mówi prawdę, że jesteście blisko wahadłowca. Pewnie próbuje zyskać na czasie. Nie trzeba być geniuszem pokroju Gastona czy Spingate, żeby to zrozumieć – jej przyjaciele szykują się do pościgu... albo już są w drodze.

Przyćmiona niebieska linia na podłodze rozdziela się na dwoje. Jedna połowa wiedzie dalej prosto, druga kieruje się w lewo. El-Saffani przystaje i ogląda się na nas.

Wyschła czarna ręka wyciąga się, wskazując chudym palcem w lewo.

– Tędy.

W nikłym świetle bliźniaki, pokryte popękana, czerwono-szarą skorupą, wyglądają jeszcze bardziej identycznie: nie jak chłopak i dziewczyna, tylko coś pomiędzy. Wskazuję ścieżkę po lewej i puszczają się nią przodem.

Wszyscy ruszamy za nimi.

Wciaż jest za ciemno, żeby coś zobaczyć, ale echo naszych kroków się zmienia: jesteście teraz w jakimś mniejszym pomieszczeniu.

Rozbłyskują światła.

Są tak jasne, tak jaskrawe, że aż rażą. Osłaniam ręką zmrużone oczy, a przed nimi coś zaczyna nabierać kształtu.

Coś... podłużnego.

W odróżnieniu od wszystkiego innego na pokładzie „Xolotla” nie ma na tym żadnych runów ani rzeźbień.

Nie jest też z kamienia.

To gładki, elegancki, lśniący metal.

Wahadłowiec.

Jest dość wielki, żeby pomieścić dziesięć takich grup jak my.

Jeśli uda się nam zrozumieć, jak działa, Omeyocan będzie nasz.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

W głowie kotłują mi się wspomnienia. Szukam w umyśle słów do opisanego tego, co widzę. Po lewej jest ogon wahadłowca, w prawo wskazuje zwężający się dziób. Łączy je długa, gruba rura, wysoka na pięć osób ludzi stojących jeden na drugim. Pośrodku tej rury – kadłuba – widać szeroką metalową platformę. Z podłogi prowadzi na nią pochylnia, która wznosi się na wprost ściany wahadłowca.

Jesteśmy od niego nie dalej niż sto kroków.

Błyszczący kadłub jest gładki jak szkło, nawet przy samej platformie. Nie widzę żadnego wejścia.

Rozglądam się wokół. Przeszliśmy portalem zrobionym z ciężkiego, nierdzewiejącego metalu. Podobnie jak wszystkie wcześniejsze portale, ten także jest gęsto pokryty obrazami, ale takich dotychczas nie widziałam: planety, skupiska gwiazd, długie walce i jeszcze inne rzeczy, których nie rozpoznaję.

Ta sala jest niewiele wyższa od ogona wahadłowca. U góry widać wygięty sufit z białych, krzyżujących się belek. Niedaleko od dziobu znajduje się drugi portal – największy, jaki dotąd widziałam, tak wielki, że cały wahadłowiec mógłby pod nim przejść. Drzwi tego portalu też nie są kamienne, tylko metalowe.

Ciekawe, czy kryją za sobą czerń kosmosu.

– Bishop, ponieś potwora. Cała reszta: zostańcie tutaj.

Podbiegamy do pochylni. Jej nawierzchnia jest ostra, pewnie po to, by się z niej nie ześliznąć. Małe, twarde wypustki zagłębiają mi się w podeszwy, co uświadamia mi, jak obolałe i spuchnięte mam stopy.

Stajemy na platformie.

– Matyldo, mów, jak się tu wchodzi – rozkazuję.

Jej głowa zwisa z muskularnego ramienia Bishopa. Nie mam pojęcia, czy umiera, czy tylko udaje. Półwiotką ręką wskazuje jakieś miejsce na kadłubie wahadłowca. Dostrzegam tam cienkie linie tworzące kwadrat o wielkości i na poziomie mniej więcej mojej twarzy.

– Trzeba to nacisnąć? – pytam. – Powiedz, jak to działa.

Wzruszenie pomarszczonych ramion.

– Nie wiem. Jestem tylko pustakiem.

„Pustakiem”? Co ona wygaduje? Kłamie? Znowu gra na czas? Nie – wyczuwam, że mówi prawdę. Przeszliśmy całą tę drogę, a teraz nie możemy wejść. Czas nam się kończy. Musimy coś zrobić, i to szybko.

Żeby rozwiązać tę zagadkę, potrzebuję kogoś mądrzejszego niż ja.

Oglądam się na resztę grupy. Sto kroków to niedaleko, ale pod rozłożystym sufitem tej sali moi ludzie wydają się tacy malutcy... Dzieci zbiły się w ciasną gromadkę, którą obronnym kręgiem otaczają moi przyjaciele.

– Spingate, Gaston, jazda mi tu!

Oboje puszczają się do mnie pędem. Odwracam się na powrót ku lśniącej powierzchni wahadłowca, by przyjrzeć się bliżej kwadratowi – i po raz pierwszy w życiu widzę samą siebie.

Z odbicia, oczami szeroko otwartymi w niedowierzaniu, przygląda mi się twarz nieźle poturbowanej dziewczyny.

Te oczy... są brązowe.

Z głowy zwieszają mi się na czoło i układają na ramionach strąki ciężkich czarnych włosów. Warkocz, z takim oddaniem zapleciony przez Bello, jest teraz w opłakanym stanie. Na policzku i brodzie zaschła mi czerwono-szara maź. Górną wargę mam pękniętą i pokrwawioną. Jedno z oczu jest spuchnięte, a skóra wokół niego ciemna, czarniejsza niż podbite oko Gastona, kiedy go poznałam. Widzę, że na czole rośnie mi błyszczący guz. Całe ciało pokrywają skaleczenia, zadrapania i siniaki. Z rozerwaną koszulą, podrapaną skórą, pokrwawiona i poobijana...

...jestem piękna.

Nie „piękna” pod spodem czy pomimo tych wszystkich śladów, tylko taka, jaka jestem teraz, poznaczona dowodami odwagi. Kiedyś te rany się zagoją, a ja zobaczę się taką, jaką miałam być w zamyśle Matyldy, ale na razie ta twarz – posiniaczona twarz walecznej wojowniczkii – jest moja i tylko moja.

Spingate i Gaston z tupotem wbiegają po pochylni.

Muszę oderwać się od swojego odbicia. Przychodzi mi to z trudem. Wskazuję gestem błyszczącą powierzchnię kadłuba, nie podnosząc już na nią wzroku.

– Ten kwadrat to droga wejścia – mówię. – Matylda twierdzi, że

nie wie, jak się ją otwiera.

Spingate błądzi po metalu palcami, przesuwa dłońmi po liniach, jakby wygładzała jakieś niewidoczne zagniecenia. Jej zmęczenie i strach gdzieś przepadły. Stoi przed łamigłówką: natychmiast rozwiązuje ją całą sobą.

Kładzie rękę na kwadracie, wciska go, potem przekręca. Kwadrat wsuwa się w ścianę kadłuba, odsłaniając taki sam rodzaj płytki jak ta przy drzwiach sali z drabiną – czarne szkło z odciskiem dłoni, a w środku tej dłoni: poszczerbione kółko.

Nie, zaraz... w końcu rozpoznaję ten symbol – to koło zębate.

Chwytam Spingate za łokieć.

– Spin, połóż na nim rękę.

Spingate zwilża językiem wargi, bierze wdech, po czym przyciska dłoń do płytki.

Nic się nie dzieje.

Gaston trąca mnie lekko, wyszczerzony w uśmiechu.

– No, chyba czas pokazać, kto tu jest prawdziwym bohaterem, co, Em? Mam spróbować?

Pierś ma zbryzganą czymś czerwono-szarym, a prawe ucho całe pokryte krwią, która plami mu też kołnierzyk. Walki z potworami i bieganie po nieznanym statku nie przytłumiły jego arogancji ani na jotę.

Zgadzam się skinieniem głowy.

Gaston rozciera dłonie, jakby próbował je sobie rozgrzać, strzela palcami na zewnątrz – raz, drugi, trzeci – po czym przykłada dłoń do konturu.

Wahadłowiec zaczyna drzeć.

W metalu pojawia się znikąd kilka nowych linii, jakby kadłub pękał. Linie tworzą prostokąt, który jest wyższy od Bishopa i znacznie szerszy. Podobnie jak wcześniej panel, ta płaszczyzna też cofa się odrobinę w głąb statku.

Pośrodku tworzy się pionowa kreska, która rozcina prostokąt na połowy. Rozsuwają się bezszelestnie.

Wahadłowiec staje przed nami otworem.

W środku jest ciemno.

– El-Saffani – rozkazuję warknięciem, które niesie się echem po tej olbrzymiej sali.

Oboje biegną w stronę pochylni. W kilka sekund są u mojego boku. O dziwo, żadne nie jest zakrwawione; bitwa musiała ich minąć jakoś bokiem.

Wymierzam włącznię w mrok wewnątrz wahadłowca.

– Zorientujcie się, co tam jest.

Poprawiają chwyt na swoich kościomaczugach i wchodzą do środka.

Gdy tylko przekraczają próg, włączają się światła. W lewo i w prawo biegnie jakiś korytarz o czarnej metalowej podłodze i ścianach obitych czerwonym materiałem. Z mojego miejsca widzę tylko czerwien ściany naprzeciwko.

Bliźniaki wchodzą głębiej i rzucają się w prawo, na chwilę znikając mi z oczu. Kilka sekund później znów przebiegają przede mną w milczeniu – w drugą stronę.

Po pochylni wchodzi O'Malley i staje po mojej lewej. Bishop przesuwa się trochę i zajmuje miejsce z prawej; na rękach nadal trzyma Matyldę. Czekamy razem z Gastonem i Spingate. Wizje tego, co może znaleźć w środku El-Saffani, napełniają nas mieszaniną lęku i nadziei.

To musi być nasza szansa. Po prostu musi – nie mamy już dokąd pójść.

El-Saffani powraca.

– Nikogo nie ma... – mówi chłopak El-Saffani.

– ...na oko bezpiecznie – mówi dziewczyna El-Saffani.

Chłopak El-Saffani wskazuje ku dziobowi wahadłowca.

– Z tej strony jakieś zamknięte na mur drzwi – oświadczają.

Dziewczyna El-Saffani wskazuje w przeciwnym kierunku.

Pierwszy raz widzę w niej tyle entuzjazmu.

– Z tej strony wielka sala – oznajmia. – Z setkami trumien.

Trumien? Nie, to niemożliwe. Setka nas, setki trumien... Jestem taka zmęczona, zaczyna mi się mącić w głowie. Nie położę się znowu w trumnie, choćby nie wiem co... Nie położę.

Ale skoro są ich tam setki, to sala jest na tyle duża, że zmieścimy się w niej wszyscy. Nie ma sensu zostawiać ludzi przed wahadłowcem,

gdzie będą narażeni na atak potworów.

– O'Malley, przyprowadź tu wszystkich – mówię. – Niech wejdą do środka.

Bishop nachyla mi się do ucha.

– Wystaw wartę przed pochylnią, Em. Na wypadek ataku.

Kiwam głową, zła, że sama o tym nie pomyślałam.

– Jasne. O'Malley, niech Coyotl i Farrar staną na warcie u dołu pochylni. El-Saffani, dołączycie do nich.

Bliźniaki zbiegają z platformy i stają na wyznaczonych miejscach.

O'Malley pędzi do pozostałych, przywołując ich gestami i głosem.

Spingate i Gaston wchodzą do wahadłowca. Kierują się w lewo, do sali z trumnami. Nie zatrzymuję ich.

Na platformie pozostajemy ja i Bishop z Matyldą.

Bishop prostuje ramiona z bezwładnym stworem, jakby podawał mi jakąś ofiarę.

– To coś nie jest nam już potrzebne – mówi. – Chcesz, żebym to zabił?

Owszem. Bardzo tego chcę. Chcę, żeby zdeptał ją w proch, rozgniół jej głowę na miazgę, chcę zobaczyć, jak po platformie rozlewa się jej chory mózg.

Matylda patrzy na mnie swoim jednym okiem.

– Nie krępuj się – mówi głosem chrapliwym, wyczerpanym.

Przed oczami błyskają mi obrazy, wzajemnie sprzeczne wizje: Bishop, który wydusza z tego stwora ostatnie tchnienie i przerażony Yong... konający Yong.

(Zabij swojego wroga...)

– Nie krępuj się – powtarza Matylda. – Gdybym była kimkolwiek innym, już dawno kazałabyś swojemu Bishopowi poderżnąć mi gardło.

Byłoby tak łatwo. Nie muszę jej nawet tknąć, wystarczy, że dam znak Bishopowi.

Yong, który nie może złapać oddechu, który nie przestaje pytać mnie wzrokiem: „Dlaczego?”.

(Jeśli uciekniesz...)

Udało nam się. Nikt więcej nie musi umierać.

Kręcę głową.

– Mylisz się, Matyldo. Jesteś jeńcem, a ja nie zabiję jeńca.

Jej oko się zwęża. W twarzy nie widać ust, ale i tak wiem, że się uśmiecha.

– Nie myślę się – mówi. – Zwyciężyłaś, mała przywódczyni. Byłam niewiele starsza od ciebie, kiedy wydałam swój pierwszy wyrok śmierci. Wiem, że zabijałabyś swoich wrogów, bo to samo robiłabym ja.

– Zamyka oko. Jej głos zmienia się w pełen żalu szept: – Bo to samo robiłam ja.

(Już zawsze bądź wolna...)

Skazywała ludzi na śmierć? Stają mi przed oczami wszystkie te trupy na „Xolotlu”, wszystkie te okaleczenia i krwawe ofiary. Po skórze przebiegają mi zimne dreszcze. Wszystkie te ciała... to przez nią?

Mój nóż wślizgujący się w brzuch Yonga... Wściekłość i nienawiść, które czułam. Myślał, że może mnie uderzyć, mnie? Myślał, że może odebrać mi przywództwo?

W końcu ta rozpaczliwa chwila, której nie mogłam ogarnąć, staje się wyraźna. Moje wspomnienie się krystalizuje, nabiera ostrości.

Wiem, co zrobiłam.

I przejmuje mnie to zgrozą.

Kiedy Yong mnie zaatakował... ja go dźgnęłam. Pamiętam, jak mierzyłam w niego nożem, pamiętam, że kiedy już dobiegał, zrobiłam nieznaczny krok naprzód.

Pamiętam, jak wbijałam mu ostrze w brzuch.

I pamiętam swój szyderczy uśmieszek.

Przy tym czułam się... czułam się świetnie.

Śmierć Yonga to nie był wypadek: ja go zabiłam.

Poczucie winy zalewa mnie lodowatą falą. *Zabiłam Yonga*. Mój mózg mnie oszukał, ukrywając przede mną prawdę, ale skoro ją teraz rozumiałam, już nigdy nie będę mogła jej znierozumieć. Nie wiem, czy stało się dobrze, czy źle. To Yong zaatakował mnie. Nie mam pojęcia, co by było, gdybym go nie dźgnęła – tego już nigdy się nie dowiem. Ale nie da się ukryć, że kiedy na mnie ruszył, pozbawiłam go życia.

Czuję w głowie zamęt. Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi to zrozumieć. Może istota, która mnie stworzyła, to jedyny taki ktoś.

– Matyldo, zabiłaś kogoś kiedykolwiek?

Kaszle.

– Mówiłam ci, że tak. Wiele osób.

Kręcę głową.

– Nie, nie pytam, czy kazałaś kogoś zabić... Czy kiedykolwiek zabiłaś kogoś sama?

Patrzy na mnie swoim jedynym okiem, jakbym mówiła w jakimś obcym języku. Jej milczenie to też odpowiedź. Jest winna śmierci setek ludzi, może nawet tysiący, ale rozkazywała innym, żeby wykonali za nią brudną robotę.

Nigdy nie odebrała nikomu życia.

Jej ręce zawsze pozostawały czyste.

Yong umierał przy mnie, wpatrując się we mnie oskarżycielsko. Umierał, wołając z płaczem mamę, która nigdy nawet nie istniała. Może dla niego miała to być tylko podwórkowa bójka. Może tylko zachowywał się jak mały tyran. Może nie zdawał sobie sprawy, kogo atakuje, a ta niewiedza kosztowała go życie.

Zabiłam go. Miałam jego krew na rękach. Na całym ciele.

W odróżnieniu od Matyldy wiem, jak to jest dosłownie odebrać komuś życie, zobaczyć, jak w czyichś oczach gaśnie rozumne spojrzenie, wiedzieć, że przeze mnie na zawsze przestał istnieć człowiek.

Bishop spogląda na mnie, z dezaprobatą kręci głową.

– Em, nie słuchaj tego czegoś. Wydaj mi rozkaz.

Byłoby to takie łatwe. Matylda to mój wróg, a ja pragnę jej śmierci, pragnę jej tak bardzo...

Nie. To ona by tak zrobiła, ta istota, którą mogłabym się stać, którą w pewnym sensie już się stałam. Jeśli źle zdecyduję, może będę zmuszona powtarzać jej ścieżkę.

Wiem, co znaczy zabić.

Ona, choć jest ode mnie niewyobrażalnie starsza, tego nie wie.

Mam nadzieję, że właśnie ta wiedza pozwoli mi stać się kimś innym.

Kręcę głową.

– Wciąż jest nam potrzebna – odpowiadam.

Oczy Bishopa się zwężają. Nie jestem pewna, czy mi wierzy. Może mnie osądza, uznaje, że nie potrafię zrobić tego, co konieczne. Ma do

tego pełne prawo – przywódca musi być zdolny do najtrudniejszych decyzji.

Biorę głęboki oddech, staram się uspokoić. Wchodzę na pokład wahadłowca.

Tak jak mówiły bliźniaki, po prawej są zamknięte metalowe drzwi. Nie widziałam takich dotąd. Mają zaokrąglone brzegi, a pośrodku – jakieś koło. Podchodzę bliżej. Nie ma żadnej klamki. Próbuję koła: ani drgnie.

W środku koła jest piasta, na której widać okrągłą płytkę. W centrum płytki – złote kółko zębate.

Wracam szybko i idę w przeciwnym kierunku. Krótki korytarz prowadzi mnie do sali o niskim suficie.

Przekonuję się, że El-Saffani niestety miała rację.

W szerokim przejściu pomieszczenia stoją Gaston i Spingate. Po obu stronach mają długie rzędy prostych białych trumien, takich samych jak te, z których świnie wyżarły szkielety.

Podobne przejścia widać także pod ścianami. To duża przestrzeń, ludzie mogą tu siedzieć, spacerować, leżeć albo wręcz się bawić – robić, co im się żywnie podoba. Nie musimy przecież korzystać z trumien; nawet bez pakowania się do nich jest tu dość miejsca dla nas wszystkich.

Wracam na platformę. U dołu pochylni czekają moi ludzie: kółko-gwiazdy, dzieciaki, O'Malley i cała reszta. Tak wiele już przeszli, nawet te dzieci, które obudziły się ledwie kilka godzin temu.

Machnięciem ręki wskazuję im drogę do środka, w stronę sali z trumnami.

– Wchodźcie szybko. Znajdźcie sobie miejsca i siadajcie, a my włączymy wahadłowiec.

Zaczynają mnie mijać. Czy nam się uda uruchomić ten statek? Nie wiem. Nie z powodu luk w pamięci czy zamulenia umysłu – po prostu nie mam zielonego pojęcia, jak to coś działa, i zdaję sobie sprawę, że Matylda też nie wie.

Dzieci już nie są takie czyste, ubrania mają zatłuszczone i poplamione trawą. A moi rówieśnicy, o ile jeszcze nie są półnadzy, noszą podarte koszule, całe w smugach pyłu i krwi. W rękach trzymają maczugi z kości. Walczyli, żeby się tu dostać, zmierzyli się z żywymi

koszmarami i zasłużyli sobie na tę chwilę.

Widzę Zubiri, żąb-dziewczynkę o ciemnej skórze. Podchodzi do mnie. Oczy ma okrągłe ze strachu.

– Em, czy my umrzemy?

– Nie, kochanie – odpowiadam. – Wszystko będzie dobrze. Muszę pokazać ci coś strasznego, ale będę tuż przy tobie, więc się nie bój.

Biorę ją za rękę. Na myśl o wszystkich tych trumnach ogarnia mnie odraza, ale odsuwam ją od siebie i prowadzę Zubiri do sali.

Moi ludzie się rozproszyli. Spacerują po całym pomieszczeniu. Padają zmęczeni w przejściach. Ku mojemu przerażeniu większość dzieci gramoli się do trumien i kładzie. Wszędzie wokół widzę ludzi: kółka, kółko-gwiazdy, kółko-krzyżyki, żąb-kółka i dwupierścienie. Wszyscy, co do jednego, są wyczerpani. Dali z siebie nawet więcej, niż mogli, a teraz – miejmy nadzieję – ich trud wreszcie się kończy.

Na podłodze w jednym z przejść pod ścianą, oparty plecami o czerwone obicie, siedzi Aramowski. Nie patrzy na nic konkretnego, po prostu gapi się przed siebie. Koszulę ma zakrwawioną, porwaną i – nareszcie – pogniecioną. W końcu wygląda jak jeden z nas, ale czy rzeczywiście nim jest? Dźgnął swojego protoplastę, przebił włócznią nogę sędziwemu Aramowskiemu. Gdyby nie to, może obaj zdążyliby zniknąć, zanim Bishop przedarłby się przez gęstwiny. Nasz Aramowski nie wygląda dobrze. Kiedy już dotrzemy na Omeyocan, muszę mieć go na oku. Jeśli będzie potrzebować pomocy, to mu pomogę.

Zubiri ciągnie mnie za rękę.

– Co tu jest strasznego, Em?

Wskazuję na trumny.

Śmieje się w odpowiedzi:

– To? To przecież łóżka.

Zubiri staje na palcach, znów pociąga mnie za rękę. Pochylam się do niej – daje mi buziaka w policzek i biegnie do sali.

Ta mała nie boi się trumien, a ja ledwo mogę na nie patrzeć. Ładna przywódczyni ze mnie wyrosła, nie ma co.

Zubiri siada w przejściu ze skrzyżowanymi nogami. Bierze głęboki oddech. Już jest odprężona i odpoczywa.

Niedługo też spróbuję odpocząć, ale jeszcze nie teraz: drugie drzwi

czekają.

– Gaston, Spingate, chodźcie.

Bishop stoi w korytarzu, nadal trzyma na rękach istotę o imieniu Matylda. Razem z nim czeka O'Malley. Kiedy ich mijam, ruszają za mną obok Gastona i Spingate.

Staję przed dziwnymi drzwiami.

– Gaston – rzucam – chodź no tu.

Zbliża się i patrzy na piastę koła, potem na mnie. Twarz znów mu rozjaśnia ten przebiegły, prawie bezczelny uśmiešek.

– Otwórz – mówię.

Gaston kładzie ręce na kole. Lewą naciska w dół, prawą w górę: koło się obraca.

– Jak to fajnie być mną – wzdycha Gaston.

Słychać szcęk czegoś ciężkiego. Ostatnie drzwi stają otworem.

CZTERDZIEŚCI DWA

Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć, ale na pewno nie pustą salę.

Nie ma tu nic oprócz czterech czarnych, lśniących ścian i takiej samej podłogi. Coś jest nie tak.

Co ja zrobiłam?

Wchodzę do środka. Musi tutaj coś być. Po prostu musi.

Ale nie ma.

Odwracam się do pozostałych. Spingate i Gaston stoją w drzwiach i rozglądają się po sali. Bishop nadal trzyma na rękach potwora, który jest mną.

– Nic tutaj nie ma – mówię. – I co teraz?

Czuję się zagubiona. Przyprowadziłam tu wszystkich. Popęłniłam jakiś straszliwy błąd. Ten wahadłowiec to pewnie miejsce, gdzie potwory chciały nas zwabić. Matylda mnie oszukała. Złapią nas tu i gdzieś zabiorą. Wszyscy zginiemy, wszyscy zostaniemy nadpisani. Nasze krótkie, pełne lęku życie się skończy i przestaniemy istnieć.

Gaston się uśmiecha. Lecz nie swoim zwykłym, bezczelnym skrzywieniem warg, nie prześmiewczym szczerzeniem zębów, którym tak lubi wkurzać Bishopa. Ten uśmiech jest szczery. Słodki. To wyraz czystego zachwytu, uśmiech dwunastoletniego chłopca, który przypomniał sobie coś naprawdę zdumiewającego.

Rusza przed siebie. Sala budzi się do życia.

Wszędzie błyskają światła, nie tylko na ścianach, podłodze czy suficie, ale i w samym powietrzu. Kolorowe strumienie i smugi poruszają się i powiększają, obracają i kręcą. Czerwone, niebieskie, zielone, żółte linie i kreski, i świecące kropki. Tonę w powodzi światła.

Znikąd i zewsząd naraz rozlega się jakiś nowy głos, ni to męski, ni to kobiecy:

– Witam pana, kapitanie Xanderze.

Gaston podchodzi do mnie. Wygląda przystojnie jak nigdy dotąd. Promieniuje taką radością, że mam ochotę go wyściskać, wycalować w oba policzki. Na jego twarzy odbija się gra światła. Świecące kropki

tańczą mu na brwiach, na ustach, poruszają się razem z nim, jakby były częścią jego ciała.

Bierze mnie za rękę i ściska mocno.

– Em... udało ci się – mówi. Oczy mu błyszczą. Patrzy na mnie jak na swoją bohaterkę. – Uratowałaś nas. Spingate i ja zajmiemy się teraz resztą.

O czym on mówi?

– Ja... Gaston... Ja nie...

– Xanderze – prostuje. – Na imię mi Xander.

Unosi prawą rękę nad głowę. Dłoń i palce są skąpane w żółto-zielonych liniach, jakby miał na sobie utkaną ze światła rękawiczkę.

Jeszcze raz błyska do mnie zębami w tym olśniewającym uśmiechu, obejmując gestem całą salę, która przed chwilą ożyła.

– Em, doprowadziłaś nas tutaj – podkreśla. – Nikt inny nie wiedział, co robić, ale ty wiedziałaś.

Szaleństwo świateł nic mi nie mówi. Czy nie powinnam rozumieć z tego chociaż trochę?

O'Malley spostrzega moją konsternację i wyręcza mnie:

– Masz rację, Gaston, to Em nas tu doprowadziła. Wiesz, co robić dalej?

Jaśniejący chłopiec wzrusza ramionami.

– Jeszcze nie, ale coś mi świta. Chyba wiem, jak się lata. Muszę sobie tylko przypomnieć.

Spingate staje obok niego. Ona także jest skąpana w kolorowym świetle.

– Pomogę Xanderowi – oświadcza.

Patrzę na własne ręce – wyglądają jak zwykle. Na mnie nie ma żadnych świateł. Nie ma ich też na O'Malleyu ani na Bishopie.

Spingate wygląda na zmęczoną, wręcz wycieńczoną, ale zarazem pełną euforii. Płonie światłem jak żywa pochodnia. Jest tak radosna, że nie można nie zakochać się w niej od nowa na sam widok.

– Idź porozmawiać z resztą, Em – dodaje. – Powiedz im, że wszystko będzie dobrze. Powiedz im... powiedz im, że ruszamy do domu.

Do domu. Ma rację. „Xolotl” z jego Ogrodem i salami pełnymi trumien, z jego świniami, Starszymi i całą tą jatką – to nie jest nasze miejsce. Nie jest nim też martwa planeta, którą potwory opuściły wieki temu. Te miejsca nigdy nie były nam domem.

Zostaliśmy stworzeni, by żyć na planecie, która teraz pod nami krąży.

Zostaliśmy stworzeni, aby stąpać po Omeyocanie.

Ktoś otacza mnie ramieniem. To O’Malley wyprowadza mnie z tej dziwnej sali. Idę z nim, ale przy drzwiach zamykanych kołem odwracam się raz jeszcze.

Spingate i Gaston promienieją jak para aniołów. Czarne ściany i sufit zniknęły. Zamiast nich widzę mnóstwo obrazów unoszących się w powietrzu, tak realistycznych, że chciałoby się po nie sięgnąć. Na jednym widać salę, w której stoi wahadłowiec. Na innym: ciemne korytarze, którymi niedawno szliśmy. Na kolejnym: wiszącą pod nami brązowo-błękitno-zieloną planetę. A na jeszcze innym: długi, obracający się walec koloru miedzi... olbrzymi statek, w którym wciąż jesteśmy.

O’Malley ciągnie mnie delikatnie, żebym znów ruszyła z miejsca. Prowadzi mnie do wejścia wahadłowca, gdzie czeka Bishop z Matyldą na rękach. Platforma jest pusta. U dołu pochylni stoją na warcie El-Saffani, Coyotl i Farrar.

Bishop nachyla mi się do ucha.

– Rozmawialiśmy, O’Malley i ja – mówi. – Zrobimy to w tej dużej sali z trumnami, żeby wszyscy widzieli, czy przed wahadłowcem?

Matylda już się poddała. Leży bezwładnie, czekając na swój koniec. Patrzy na mnie jedynym sprawnym okiem, które wiruje jak czerwony klejnot.

Nogi uginają się pode mną, nie utrzymają mnie długo. Całe się trzęsą ze zmęczenia. Muszę znaleźć sobie miejsce w przejściu. Muszę się położyć, przespać.

Zaraz... Bishop o coś pytał. „Zrobimy to w tej dużej sali z trumnami?”

– Zrobimy... co właściwie?

W odpowiedzi Bishop lekko unosi Matyldę, jakby pokazywał mi ją na nowo.

– Gaston umie latać wahadłowcem – mówi – więc nie jest już nam potrzebna.

Ciałem Matyldy wstrząsają dreszcze. Słyszę zgrzyt kości.

– Bishop pyta, czy chcesz mnie zabić po cichu, czy dokonać publicznej egzekucji – mówi. – Zrób to na oczach wszystkich, mała przywódczyni... To ważne, by pokazać ludziom, co będzie, jeśli wejdą ci w drogę.

Ton, jakim teraz do mnie mówi... Ona myśli, że mi pomaga. Myśli, że umiera. Jestem jej spuścizną, częścią niej, która będzie żyć dalej – chce, żeby ta część odniosła sukces, żeby utrzymała władzę. Matylda podpowiada, co zrobiłaby na moim miejscu.

Niektórzy nie pochwalają składania ich w ofierze.

To właśnie tego chce: żebym złożyła ją w ofierze dla przykładu, w ramach nauki dla innych, żeby wszyscy się mnie bali. Bali i słuchali.

Wszystkie te trupy, śmierci, rzezie na „Xolotlu”... Ile z nich nastąpiło z jej rozkazu? Matylda tak naprawdę wcale nie uważa, że kogokolwiek zamordowała; myśli, że jej masakry służyły wyższemu celom.

Jeśli ta kobieta to ja, jakim cudem jest kimś takim? Czy po dwunastych urodzinach coś jej się stało i zmieniło ją w to obrzydlistwo? Jest przerażającą istotą, której nie powinno się pozwolić istnieć.

O ile ktokolwiek zasługuje na śmierć, to właśnie Matylda.

Ale jeśli wydam ten rozkaz, czy na niej się to skończy? Kto może być następny i za jakie przewinienia? Dziś Matylda – za masowe zbrodnie i dlatego, że jest dla nas zagrożeniem. Ale jeśli jutro Aramowski znów zakwestionuje moje przywództwo, czy zagrożeniem nie stanie się on?

Nie chodzi o to, czy mam władzę skazywania na śmierć, bo najwyraźniej mam. Pytanie brzmi: jeśli skorzystam z tej władzy teraz, czy pokuszę się o skorzystanie z niej ponownie?

Odpowiedź przeraża mnie bardziej niż wszystko, co do tej pory przeżyłam, bo muszę spojrzeć w oczy gorzkiej prawdzie: tak.

Kręcę głową: ja nie jestem nią. Nie jestem Matyldą. Jestem Em, a Em ma wybór i szansę, żeby zostać kimś lepszym.

Wskazuję na koniec pochylni.

– Zostaw ją tam. Zaprowadziła nas do wahadłowca. Zrobiła, czego chcieliśmy, więc damy jej żyć.

O'Malley i Bishop gapią się na mnie, jakbym zwariowała.

– Jest naszym wrogiem – przypomina Bishop. – Chce cię wymazać.

O'Malley potakuje energicznym ruchem głowy.

– Bishop ma rację. Matyllda musi umrzeć.

Oni się zgadzają? Ci dwaj nigdy nie zgadzają się na żaden temat, a mimo to łączą się w poparciu dla zamordowania jeńca? Bishopa rozumiem, widzi wszystko czarno-biało, w prostych kategoriach: albo on, albo jego. Ale o O'Malleyu myślałam, że jest bardziej... złożony. Czuję w sercu niewygodny ucisk rozczarowania.

– Powiedziałam nie. Uciekamy stąd. Już nikt więcej nie umrze. Kiedy wylądujemy, nie będzie mogła nas ścigać. Nie będzie już mogła zrobić nam krzywdy. Moja decyzja jest ostateczna.

Matyllda kiwa głową ze zrozumieniem.

– Zapomniałam – mówi. – A niech mnie najświętszy Cinteotl, zapomniałam, jaką kiedyś byłam idealistką.

Chcę darować jej życie, a ona sobie ze mnie kpi?

Wtem jakiś wrzask – okrzyk wojenny – sprawia, że aż podskakuję.

El-Saffani puszcza się biegiem, zostawiając Farrara i Coyotla zagapionych u podstawy pochylni. Wymachując kościomaczugami, czerwono-szare bliźniaki pędzą z wrzaskiem w stronę wejścia do sali. Widać w nim dwa pomarszczone, czarne jak węgiel potwory, stawiające z trudem i w bólu spazmatyczne, roztrzęsione kroki. Jeden z nich niesie topór, drugi – wysadzane klejnotami berło.

Odnalazły nas.

– El-Saffani, wracać! – Mój krzyk niesie się echem po całej sali, ale nawet jeśli bliźniaki mnie słyszą wśród własnego wściekłego wycia, nie reagują na rozkaz.

Ruszam pochylnią w dół. Po dwóch krokach czyjaś ręka zaciska mi się na ramieniu. Przytrzymuje mnie O'Malley, ale wyszarpuję mu się, słysząc, jak rękaw puszcza mi na szwie. Zbiegam po pochylni, nie zważając na twarde wypustki, które wbijają mi się w stopy. Bishop

z grzmiącym tupotem zbiega zaraz za mną.

Jestem już w pół drogi na dół, gdy zatrzymuje mnie okrzyk Spingate, wychylającej się z wejścia do wahadłowca:

– Em, każ się wszystkim schować! Widzimy korytarze, idzie ich tu więcej! Gaston mówi, że w środku będziemy bezpieczni!

Biegnę w dół, plaskam stopami w metalową podłogę. El-Saffani – w pół drogi do celu. Obrzucam wzrokiem łukowaty portal i widok mrozi mi krew w żyłach.

Przez wejście wlewają się setki potworów. Ruchy mają posągowe i urywane, jakby każdy krok był dla nich męczarnią. Starożytna armia ciemności, horda schorowanych ciał, które powinny były umrzeć wiele wieków temu.

A na rękach niektórych – srebrne bransoletki z kolcem sięgającym za nadgarstek.

Zatrzymuję się. Bishop staje obok, nadal z Matyldą na rękach. I to właśnie ona się odzywa:

– Najwyższa pora, cholera. – W jej głosie brzmi uznanie i, jeśli mnie słuch nie myli, nadzieja, że może jednak uda jej się przeżyć.

– Kapitan Xander w końcu wytoczył armaty.

Bishop ryczy tak, że mój najgłośniejszy krzyk brzmiałby przy tym jak szept:

– El-Saffani, stać!

Jego głos powtarzają echem podłoga, sufit i ściany. Ale po raz kolejny bliźniaki nic nie słyszą. Szarżują z wrzaskiem na wroga, wymachując maczugami.

Kawałki układanki wskakują na swoje miejsce z niemal słyszalnym trzaskiem. Pokonaliśmy Starszych w Ogrodzie, bo nie przynieśli ze sobą broni – chcieli brać nas żywcem. Ale teraz mamy wahadłowiec, ich jedyny środek transportu na Omeyocan. Jak mogłam być aż tak głupia? Woleliby zabić większość z nas, niż ryzykować, że zostaną tu już na zawsze.

Potwory unoszą ręce. Bransoletki rozpalają się białym żarem.

Bliźniakom prawie udaje się ich dopaść.

Rozlega się skwierczenie, które słyszę pierwszy raz w życiu, przywodzące na myśl zwierzę wrzucane żywcem do wrzącego oleju,

a potem z kolców bransoletek strzelają stożki drgającej żarem energii. W białym błysku odcinają się sylwetki El-Saffanich; w oślepiającym świetle ich postacie to czarne cienie. Trwa to ułamek sekundy, a później widzę już na wylot przez ich plecy.

Wojenny okrzyk El-Saffanich ucina się na zawsze – po podłodze rozbryzgują się setki krwawych strzępów ciała. Niektóre toczą się i zamierają z plaśnięciem u stóp potworów.

Z moich płuc wyrywa się nagły, palący ryk rozpaczy, który zdziera mi gardło aż do bólu.

Ci rzeźnicy zamordowali moich przyjaciół.

W oczach szklą mi się łzy. Rozpacz przygniata mnie, miażdży, ale zaciskam zęby i odpycham ją z całych sił. Nie ma na nią czasu.

Łapię Matyldę za nadgarstek, wyrywam z ramion Bishopa. Sędziwy stwór pada ciężko na podłogę.

– Wszyscy do środka! – wrzeszczę i wbiegam po pochylni. Kółko-gwiazdy są tak szybkie, że mnie wyprzedzają. Wpadam do wahadłowca razem z O'Malleyem. Gdy tylko wskakuję za próg, krzyczę w stronę dziobu: – Gaston! Zabieraj nas stąd!

Coyotl i Farrar biegną do sali z trumnami. Bishop i O'Malley zostają ze mną w korytarzu.

Podłoga wibruje: drzwi wahadłowca zaczynają się zasuwać. Przez coraz węższe wejście widzę Matyldę Savage u dołu pochylni. Leżąc na boku, patrzy na mnie swym jednym, wirującym okiem.

Potykaçąc się i powłócząc nogami, ludzie mojej stworzycielki podchodzą bliżej. Mierzą we mnie rękami, biały żar bransoletek narasta aż do bolesnego lśnienia.

Drzwi wahadłowca domykają się z sykiem. W jednej sekundzie jestem na krawędzi śmierci, w drugiej tuż przed moją twarzą wyrasta ściana czerwonego metalu. Słyszę, jak coś ze skwierczeniem trafia w nią od zewnątrz, ale nie przebija się do środka.

Znikąd i zewsząd naraz rozlega się tubalny głos Gastona, jakby dobiegał wprost ze ścian wahadłowca:

– Pakujcie się do tych trumien! Jazda do środka i leżeć bez ruchu!

Ktoś mnie ciągnie – to Bishop wlecze mnie do wielkiej sali.

Nie wejdę znowu w tę ciemność, nie mogę.

Zaciskam pięść i walę Bishopa prosto w oko. Błyska mi w głowie myśl o Latu, ale już po chwili Bishop łapie mnie za ręce tak mocno, że czuję, jak wyginają mi się kości.

Wokół nas ryk Gastona:

– Uwaga, ruszamy do domu! Pakować się do tych trumien, bo nie przeżyjecie!

Próbuję wyrwać się z uścisku Bishopa, ale jego ręce są jak metalowe pręty, które kiedyś trzymały mnie w ciemności.

– Bishop puszczaj nie mogę tam wejść nie mogę!

Unoszę się do góry. Bishop zarzuca mnie sobie na ramię i wnosi do sali pełnej trumien.

Łomoczę go pięściami, próbuję kopnąć. Przejeżdżam mu po plecach paznokciami.

– Ani mi się waż, Bishop! Nie waż się zostawiać mnie w ciemności!

Drapię go z całej siły, pod palcami czuję ciepłą krew. Jestem już w przejściu, z obu stron mam trumny. Ci, którzy w nich jeszcze nie leżą, przepychają się w poszukiwaniu pustych.

Czyjeś ręce łapią mnie w nadgarstkach – to O'Malley.

– Em, przestań! Wszystko będzie dobrze!

Unoszę głowę, widzę ciemnoniebieskie oczy, pełne bezradnego przerażenia. Czuję, jak twarz wykrzywia mi się w złośliwym grymasie. Ciskam w niego swoją nienawiścią.

– O'Malley, zabij Bishopa! Chce mnie uwięzić w ciemności i ja umrę ja nie mogę tam wrócić!

Walczę i wierzgam, wije się i wyrywam, ale jeden i drugi jest dużo silniejszy ode mnie. Co im tak trudno zrozumieć? W ciemności różne rzeczy kłają; cienie chcą mnie przytrzymać i udusić. Znowu zostanę w pułapce, uwięziona na wieki.

To jedna ze sztuczek Brewera. Współdziała z Matyldą, żeby nas wszystkich schwytać, schwytać mnie, wymazać mi umysł. Chcą mnie nadpisać, ale tego im mało – chcą mnie najpierw wsadzić w ciemność, ukarać, a potem...

Świat wiruje wokół. Chwilę trwa, zanim dociera do mnie, co się dzieje, dlaczego czuję pod plecami miękkie obicie.

Moi przyjaciele włożyli mnie do trumny.

Czyjeś ręce przytrzymują mnie w miejscu. Coś odrzuca mnie w lewo, ciska mną w obitą ściankę trumny – to nie chłopaki, to efekt ruchu samego wahadłowca. Przez oślepiający mnie strach przeziiera chwilowy błysk zrozumienia: Gaston i Spingate... wahadłowiec startuje z „Xolotla”... zabierają nas stąd.

Bishop i O'Malley przyciskają mnie, ale nie używają całej siły – tylko tyle, żebym nie usiadła z powrotem ani nie rzucała się na nich. Jestem w trumnie, odchodzę w ciemność, przyjaciele mnie zdradzili, muszę walczyć, muszę ich zabić.

W moją twarz zagląda jakaś inna. Właściwie to twarzyczka. Dziewczynka. Ubrana w czystą koszulę. Ma ciemną skórę, kruczoczarne włosy, ciemne oczy. Na czole – poszczerbione kółko.

To Zubiri.

– Em, wszystko będzie dobrze – mówi. – Nie bój się. – Uśmiecha się do mnie.

Jaka ona spokojna. Nic jej nie przeraża? Jestem od niej starsza... Czy to nie ja powinnam pocieszać ją?

– Nie mogę tu być – oświadczam, jakby to maleństwo mogło pokonać Bishopa albo wydać rozkaz O'Malleyowi. – Nie mogę znowu być w trumnie. Powiedz im.

Chcę, żeby mój głos brzmiał wściekle, groźnie i niebezpiecznie, ale wydobywa się ze mnie jako żałosny jęk. Nikomu niczego nie rozkazuję, tylko błagam.

Zubiri kręci głową.

– To nie jest trumna, Em. To łóżko. Musisz w nim teraz leżeć.

Wiesz, co to są „przeciążenia”?

Nie wiem. Nigdy nie słyszałam tego słowa. Kręcę głową.

– To znaczy, że jak nie będziesz w bezpiecznym miejscu, będzie tobą rzucać po całej tej kabinie. – Głos Zubiri brzmi kojąco. Ona w ogóle się nie przejmuje, nic a nic. – Kiedy ten wahadłowiec poleci, Em, to jeśli nie będziesz w środku, prawie na pewno zginiesz.

Chce mi pomóc. Ale to oznacza, że muszę zostać w tej koszmarnej skrzyni.

Patrzę na Bishopa.

– Nie ruszaj się, Em – mówi. – Wszystko będzie dobrze.
Patrzę na O'Malleya.

– Jesteś bezpieczna – dodaje. – Wydostałaś nas. Ale już się połóż,
żebyśmy mogli odlecieć. Nie chcę umrzeć tu teraz, tak blisko
Omeyocana.

„Omeyocan”.

Lecimy tam. Po to zostaliśmy stworzeni.

Znowu coś szarpie całym światem, i to tak gwałtownie, że
O'Malley, Bishop i Zubiri koziołkują w bok i wpadają między sąsiednie
trumny. Przez chwilę nikt mnie nie trzyma. Mogłabym uciec... ale nie
robię tego.

Jeśli nie zostanę w tej trumnie, chłopcy będą próbowali mnie
złapać dla mojego bezpieczeństwa. O ile Zubiri się nie myli, mogą wtedy
zginąć.

Wolę oszaleć w ciemności, niż żeby przeze mnie miało się im coś
stać.

Zamykam oczy i zmuszam się do leżenia na wznak.

Obicia ścianek trumny napierają na mnie. Szyja mnie łaskocze,
czeka na użądlenie igłą – wiem, że nastąpi lada moment. Tym razem nic
się nie zatka, od trucizny dostanę bolączki-drżączki-gorączki i umrę,
wrzeszcząc, cała rozpalona... ale wytrzymuję bez ruchu.

Powietrze przeszywa głos Gastona:

– Ostatnie ostrzeżenie. Startujemy!

Słyszę, jak O'Malley gramoli się do trumny po mojej prawej.

Bishop rzuca się do tej z lewej.

Każdy z nich wyciąga do mnie rękę nad krawędzią swojej trumny.

Szukam rękami ich dłoni. Splatamy się palcami.

Prawą dłonią wyczuwam ciepły i delikatny dotyk O'Malleya.

Za lewą trzyma mnie Bishop. Jego ręce są szorstkie i pokryte
pęcherzami. Prawie miażdży mi dłoń, ale nie mam mu tego za złe, bo
dzięki temu czuję się bezpieczniej.

Coś słyszę, więc unoszę głowę. Od strony nóg w górę zasuwa się
wieko trumny, powoli odcinając mnie od otoczenia. Sięga mi już do
kolan, do ud, do bioder...

Puszczam ręce chłopaków.

Składam dłonie na piersi, lewą na prawej.

Wiek domyka się nad moją twarzą.

Zapada mrok.

Słyszę szcęknięcie, potem jakiś syk. Obicie trumny przyciska się szczelnie do moich boków, pleców, piersi i twarzy. Narasta we mnie krzyk nie do powstrzymania, efekt natychmiastowej i bezcelowej reakcji mojego ciała na potrzebę ruchu, oswobodzenia.

Wtedy czuję jakiś dziwny zapach. Prawie od razu ciało zaczyna mi się rozluźniać.

Świat znowu się przesuwają. Czuję silne przyciąganie w prawo, potem w lewo, potem w górę... Gdyby trumna nie ścisnęła mnie ze wszystkich stron, poleciałabym przez całą salę i walnęła o ścianę albo drzwi, albo sufit. A po drodze nabrałabym takiego impetu, że wszystkie kości przysnęłyby mi w drzazgi.

Zubiri miała rację.

Te trumny wróżyły kiedyś śmierć; teraz chronią życie.

Wrażenie przyciągania maleje... potem znika.

Szybujemy.

Powieki mi się zamykają. Ten zapach to... ładny zapach. Nie czuję już stresu. Jestem zmęczona... tak ogromnie zmęczona.

Mrugam, a może tylko próbuję, bo wiem, że jeśli zamknę oczy, to już się nie otworzą.

Przez krótką chwilę, zanim odejdę w sen, wydarzenia mojego niemożliwie krótkiego życia ponownie przebiegają mi przez głowę. Widzieliśmy tyle okropnych rzeczy. Zabiłam Yongę. Straciliśmy Latu. Straciliśmy Bello. Straciliśmy El-Saffanich. I Harrisa.

Łzy płyną mi z oczu na myśl o zmarłych przyjaciółkach. Nic już nie mogę na to poradzić, więc nie ma sensu, żebym tłumiła wzbierającą we mnie rozpacz. Nie żyją i już nigdy ich nie zobaczę.

Ale mimo tych tragicznych i bezsensownych śmierci – z rąk stworów, które nie powinny istnieć – wiem, że moi przyjaciele nie umarli na próżno. Jestem dumna z nich wszystkich, tak samo jak z tych, co przeżyli, bo wspólnie zwyciężyliśmy.

Obudziliśmy się w więzieniu. Stworzono nas tylko po to, żeby nas wymazać. Starsi powiedzieli, że jesteśmy ich własnością. Że nie

jesteśmy ludźmi.

Udowodniliśmy im, że się mylą.

Ci Starsi – czy też potwory, czy Umiłowani, czy kim tam oni są – nie dbają o nas. Nie obchodzi ich, w co wierzymy, za czym się ujmujemy, nie obchodzi ich, co lubimy ani kogo Kochamy, ani co myślimy – chcą po prostu kopii samych siebie. Chcieliby zabić dzieci, żeby sami mogli żyć wiecznie.

Stworzono nas, żebyśmy byli jak oni, ale zasłużyliśmy sobie na inną drogę. Nie podążają za nami. Możemy być wszystkim, czym tylko zechcemy. Możemy teraz wykuć nową przyszłość. Jeśli popełnimy błędy, to te błędy będą przynajmniej nasze.

Ciemność w mojej głowie rośnie, żeby dopasować się do ciemności poza nią. Ale zanim odpłynę, ostatnie myśli napęłniają mnie pokojem.

Jesteśmy Urodzinowymi Dziećmi.

Jesteśmy w drodze na Omeyocan.

Lecimy.

SUPERGRZECZNA PROŚBA OD AUTORA

Szanowny Czytelniku!

Dziękuję Ci za czas poświęcony na moją powieść. Mam nadzieję, że sprawiła Ci mnóstwo satysfakcji.

Nie chcę być nietaktowny, ale muszę Cię o coś prosić: pomyśl o kolejnych czytelnikach, którzy chcieliby sami, osobiście przeżyć zakręty i zwroty fabuły.

Innymi słowy, moja prośba brzmi: żadnych spojlerów.

Ślicznie proszę.

W dzisiejszym świecie – blogów, recenzji na Goodreads, Amazonie, Twitterze, Facebooku i we wszelkich serwisach społecznościowych, które istnieją lub które dopiero powstaną – zaskakująco łatwo nagłośnić własną sympatię bądź antypatię wobec każdego dzieła literackiego, także tego. Jeśli Twój przekaz skierowany w szeroki świat będzie zdradzać główne punkty zwrotne fabuły albo rozwiązania zagadek, inni stracą okazję do samodzielnego przeżycia odkryć, które potrafią uczynić z literatury coś tak wyjątkowego.

Każdego czytelnika zaskoczyć można tylko raz.

Jeśli więc będziesz tweetować albo blogować, pisać recenzje i je udostępniać (a mam nadzieję, że tak!), proszę, staraj się nie zdradzać tego, co dobre. Dano Ci szansę czerpania przyjemności z tej historii bez spojlowania; byłbym Ci wdzięczny za pozostawienie tej samej szansy innym.

Dzięki!

Scott

PODZIĘKOWANIA

Ekspercką pomoc w zbieraniu informacji okazały mi następujące osoby:

dr Joseph A. Albietz III,

dr Nicole Gugliucci,

dr Phil Plait,

Sydney Sigler,

Maria Walters.

Serdecznie im dziękuję.

A za opinie dotyczące fabuły moją wdzięczność zechcą przyjąć:

Julianna Baggott,

Byrd Leavell,

Rebecca E. Rae,

Holly Root,

Jody Sigler.

Szczególne podziękowania należą się Justinowi Manaskowi, bo postawił mnie na początku drogi do tej książki, oraz A. Kovacs, mojej partnerce biznesowej, bez której nigdy nie skończyłbym żadnego ze swoich projektów.

O AUTORZE

Scott Sigler jest autorem piętnastu powieści, sześciu nowel i dziesiątków opowiadań, notowanych na listach bestsellerów „New York Timesa”. Jest też współzałożycielem wydawnictwa Empty Set Entertainment, w którym publikuje swoją serię książek z cyklu *Galactic Football League*. Mieszka w San Diego w Kalifornii.

scottsigler.com

[Facebook.com/scottsigler](https://www.facebook.com/scottsigler)

[Twitter.com/scottsigler](https://twitter.com/scottsigler)

[Instagram.com/scottsigler](https://www.instagram.com/scottsigler)

[scottsigler.tumblr.com](https://www.tumblr.com/scottsigler)

